

PRZYCODY GOTREKA I FELIXA

WILLIAM KING
ZABÓJCA
SMOKÓW

WARHAMMER
WARHAMMER

William King

Zabójca Smoków

Przygody Gotreka i Felixa tom IV

Tłumaczył Grzegorz Bonikowski

„Gdy odlatywaliśmy z zaginionej cytadeli Karag Dum, cieszyłem się na myśl o powtórny zobaczeniu Ulriki i oczekiwałem odpoczynku po naszych przygodach. Nie miałem pojęcia, że nasza tułaczka dopiero się rozpoczyna. Nie wiedziałem, że wkrótce spotkamy wrogów zarówno starych, jak i nowych, włącznie z najpotężniejszym potworem, jakiego miałem do tej pory nieszczęście spotkać”

– Fragment z *Moich Podróży z Gotrekiem*,
Tom III, spisanych przez Herr Felixa Jaegera
(Wydawnictwo Altdorf, rok 2505)

NOC SKAVENA

„Wkrótce – pomyślał Szary Prorok Thanquol, – moi wojownicy zaatakują”.

Thanquol zatarł łapy z radości. Wkrótce całe jego knowanie i przekupstwo zaczną się opłacać. Wkrótce zemści się na krasnoludzie Gotreku Gurnissonie i jego przerażającym ludzkim pomagierze, Felixie Jaegerze. Wkrótce pożałują na zawsze, że wtrącili się w intrygi tak potężnego czarnoksiężnika. Wkrótce pośle ich krzyczących i błagających o litość ku tak słusznie należnej śmierci. Wkrótce...

Wokół siebie słyszał oddziały zajmujące pozycje. W mroku poruszały się kolejne szeregi straszliwych wojowników skavenów, samej śmietanki żołdactwa szczuroludzi. Ich różowe ślepia migotały w ciemności, długie ogony uderzały w powściąganą żądzę mordy, a kły lśniły od śliny. Tuż za nim, jego potworny ochroniarz, trzeci wielki szczuro-ogr noszący imię Kościorwija mruknął tłumiąc łaknienie krwi.

Szczuro-ogr przekraczał rozmiarami człowieka. Był ponad dwukrotnie wyższy i dziesięć razy cięższy. Jego łeb wyglądał jak przerażające połączenie głów szczura i wilka. Czerwone ślepia płonęły szaleńczą nienawiścią. Potężne pazury wysuwały się z grubych paluchów. Długi, przypominający robaka ogon chlastał wściekle powietrze. Ten nowy szczuro-ogr, wymiana za stwora zabitego przez Felixa Jaegera podczas bitwy pod Samotną Wieżą, kosztował Thanquola małą fortunę w tokenach spaczenia. Było to jedno z wyrzeczeń, jakie poniósł Thanquol podczas swojej ostatniej wizyty w wielkiej jamie Klanu Moulder, Piekielnej Otchłani. Został zmuszony do wydania ponad połowy osobistego majątku i musiał zgodzić się na rezygnację z części łupów w zbliżającym się zwycięstwie, na rzecz przeklętych władców Klanu. Wszystko to w zamian za ich wsparcie podczas tego nowego przedsięwzięcia. Thanquol uważał jednak, że nie należało tym się przejmować. Zdobyte nieuniknione zwycięstwa w zupełności wynagrodzą mu jego wydatki. Tego był całkowicie pewien.

Myślał o siłach, które zostały pchnięte do tego odległego miejsca, zgodnie z jego błyskotliwym planem. Byli tu nie tylko sztormvermini i wojownicy klanowi w barwach Klanu Moulder. Były także szczuro-ogry i stada dzikich szczurów popędzanych przez poganiaczy. Jego armia liczyła niemal tysiąc istnień.

Dzięki takiej sile Thanquol był pewien zwycięstwa – szczególnie, że jego przeciwnikami byli zwykli ludzie. W jaki sposób mogli przeciwstawić się prawdziwym powiernikom ziemi, potomstwu samego Rogatego Szczura? Odpowiedź była prosta. Nie ma takiego sposobu. Ogon Thanquola zeszytywniał z dumy, gdy on kontemlował skalę zwycięstwa, które wkrótce będzie należeć do niego.

Thanquol węszył powietrze długim szczurzym nosem. Jego wąsy drgały niespokojnie. Może sprawiała to bliskość Pustkowi Chaosu, które wyczuwał oraz obecność wielkiej żyły spaczenia, samej esencji magicznej mocy. Jeszcze raz zdumiał się nad głupotą edyktu Rady Trzynastu, który zabraniał armiom skavenów wkraczania na te nawiedzone przez demony ziemie. Z pewnością strata kilku skaveńskich niewolników zostałaby wynagrodzona wielkim skarbem, w postaci zdobytego spaczenia. To prawda, że w przeszłości Pustkowie pochłonęły całe armie szczuroludzi, ale z pewnością nie usprawiedliwiało to powściągliwości Rady. Thanquol był pewien, że pod jego dowództwem, a przynajmniej dzięki wskazówkom wydawanym z daleka w istocie bowiem, nie widział sensu w ryzykowaniu stratą skavena o jego potężnym intelekcie – grupa wojowników wykonałaby misję.

Istniały także inne możliwości. Gdyby posiadał statek powietrzny, który te przekłete krasnoludy zbudowały dla Gurnissona i Jaegera, a którego do tej pory nie udało się przechwycić jego głupawemu pomocnikowi Lurkowi Snichtongue'owi, mógłby go użyć w celu pozyskania spaczenia na Pustkowiach. Sfrustrowany uderzył swym ogonem w chwili, gdy pomyślał o karygodnej niekompetencji Lurka, a potem zacisnął chciwie łapy na myśl o powietrznym pojeździe. Nie znajdował końca zastosowań dla pojazdu, które wykorzysta, kiedy go zdobędzie.

Dzięki niemu możliwe stanie się szybkie przetransportowanie Szarego Proroka i jego ochroniarzy w dowolne miejsce Starego Świata. Dostarczy oddziały na tyły wroga. Na podstawie tego prototypu zostanie zbudowana powietrzna flota. Za pomocą takiej armady Thanquol i – jak lojalnie pośpieszył dodać w myślach – za jego pośrednictwem także Rada, podbije świat.

Oczywiście, najpierw musiał położyć łapy na statku powietrznym, co sprowadziło jego uwagę na sprawy bieżące. Spoglądając przez lunetę zauważy ufortyfikowany dworek zamieszany przez kislewskich sojuszników krasnoluda. To były typowe umocnione domostwa budowane przez ludzkie klany w tej okolicy. Otaczały je wysokie palisady i rów, a sam dwór był solidną budowlą z kamienia i belek. Okna były wąskie, zwykle stanowiły tylko szczeliny dla łuczników. Drzwi i wrota były masywne i mocne. Zbudowano je, by odpierały ataki potwornych stworzeń, tak powszechnych w tych stronach leżących w pobliżu Pustkowi Chaosu. Wewnątrz znajdowały się stajnie, bowiem ludzie bardzo ukochali swoje konie. Thanquol nigdy nie mógł tego zrozumieć. Uważał, że te bestie nadawały się tylko do jedzenia.

Dwór był typowy pod każdym względem, za wyjątkiem jednego szczegółu. Thanquol zauważył to z radością. Na zewnątrz głównego budynku znajdowała się masywna drewniana wieża zakończona metalową platformą. Nie licząc materiału, z którego została zbudowana nie różniła się niczym od wieży dokującej, jaką Thanquol widział pod Samotną Wieżą. Było to zanim statek powietrzny odleciał unikając wpadnięcia w jego łapy. Bez wątplenia to było miejsce, gdzie statek zatrzymał się w drodze na północ ku Pustkowiom. Najwyraźniej w celu uzupełnienia paliwa lub zapasów. Bystry umysł Thanquola zrozumiał, że istniało ograniczenie zasięgu pojazdu. Warto było to wiedzieć. Ale dlaczego właśnie tutaj? Dlaczego tak blisko Pustkowi Chaosu?

Thanquol przez chwilę rozmyślał, co to może znaczyć. Dlaczego krasnoludy, w szczególności ten przeklęty Zabójca Trolli Gotrek Gurnisson, postanowiły wysłać tak cenne urządzenie na Pustkowie. Gdyby tylko udało się tego dowiedzieć temu głupkowi, Lurkowi. Gdyby tylko raportował zgodnie z otrzymanym poleceniem. Thanquol nie był w najmniejszym stopniu zaskoczony, że tak się nie działo. Jego przekleństwem było kierowanie bufonami, którzy żyli tylko po to, by psuć jego genialne plany. Thanquol często podejrzewał, że ci pacholki zostali mu podrzuceni na skutek machinacji jego podstępnych wrogów w Skavenblight. Zawzięci polityki skavenów bywały nieskończone i powikłane, a lider o geniuszu Thanquola miał wielu zazdrosnych rywali, przepelnionych zawiścią.

Niewątpliwie, kiedy tylko Gurnisson znajdzie się w mocy Thanquola, uda się go zmusić do odkrycia przyczyn tej misji. Stanie się to na skutek różnych przemyślnych metod perswazji znanych Szaremu Prorokowi. A jeśli to się nie uda, wówczas zmusi do mówienia pomagiera Gurnissona, tego przeklętego człowieka, Felixa Jaegera. W zasadzie Thanquol uważał, że właśnie z nim pójdzie łatwiej. Nie to, żeby bał się konfrontacji z tym przerażającym jednookim krasnoludem, nic z tych rzeczy. Thanquol wiedział, że w każdych okolicznościach jest odważny i waleczny i taki bezmyślny, gwałtowny brutal, jak Gotrek Gurnisson nie może go zastraszyć w żaden sposób. Udowodnił to podczas licznych spotkań z Zabójcą. Po prostu, zmuszenie do gadania Jaegera będzie wymagało znacznie mniejszego wysiłku.

Po namyśle, Thanquol musiał przyznać, że Jaeger także mógł okazać się głupio uparty w podobnej

sytuacji. Może łatwiej będzie po prostu pochwycić kilku jeńców z dworku poniżej i przesłuchać ich na okoliczność misji krasnoluda. Z pewnością muszą być wprowadzeni w ten sekret. W końcu, w jaki sposób kurdupłom udałoby się zmusić ich do trudu wybudowania wieży pośrodku tego zapomnianego stepu, nie wyjawiając swojej misji ludzkim sprzymierzeńcom? Thanquol musi zadbać, by jego sojusznicy pochwycili kilku ludzi do przesłuchania. Co więcej, wyda ten rozkaz natychmiast.

Thanquol zachichotał na tę myśl. Plan krasnoludów musiał być ważny, skoro poświęciły tyle czasu i wysiłku, oraz zaryzykowały stratę statku powietrznego, aby go zrealizować. Może poszukiwały na Pustkowiach złota lub magicznych skarbów. Thanquol znał krasnoludy na tyle dobrze, by uznać to wyjaśnienie za najbardziej prawdopodobne. Kiedy tylko jego niewiarygodnie błyskotliwy plan zostanie wprowadzony w życie, wszelkie skarby zgromadzone przez jego przeciwników znajdą się w zaciśniętej, potężnej łapie Thanquola.

Obracał w myślach swój plan, tak prosty, a jednak tak genialny. Tak bezpośredni, a jednak równie przebiegły. Tak sprytny, a jednak tak niezawodny, co jest warunkiem niezbędnym dla wszystkich wielkich planów skavenów, którzy muszą liczyć się z partactwem swoich bezmyślnych podwładnych. Zaprawdę był to dowód, jeśli w ogóle był potrzebny, niezwykłego geniuszu Thanquola. Przejrzał go krok po kroku.

Najpierw, przechwycą dwór. Wówczas z pewnością powróci statek powietrzny, a oni wezmą krasnoludy z zaskoczenia, gdy tylko zakończą dokowanie. Zanim będą w stanie odlecieć, Thanquol unieruchomi okręt za pomocą specjalnego zaklęcia, które przygotował właśnie na tę chwilę dzięki wspaniałemu czarodziejstwu skavenów. A wtedy nie pozostanie im nic poza zaczerpnięciem zdobyczy tego zwycięstwa.

Oczywiście, było kilka spraw, które mogły pójść nie po myśli. Thanquol był dumny, że jego geniusz zawsze dopuszczał taką możliwość. W dowolnych oddziałach skavenów istniała szansa, że lokaje wszystko pokręcą. Należało liczyć się z możliwością, że krasnoludy mogą zniszczyć swój statek powietrzny, nie chcąc dopuścić, by wpadł w łapy skavenów. Takie rzeczy zdarzały się w przeszłości, ponieważ krasnoludy były obłudnie dumną i szaleńczo upartą rasą. Zawsze istniała także niewielkie prawdopodobieństwo, że krasnoludy przylecą inną trasą.

Thanquol zadrżał. Całe jego umiejętności wróżbiarskie mówiły mu, że to było niemal niemożliwością. Czytał to pełne trzynaście godzin w swoich własnych odchodach, po zjedzeniu tylko sfermentowanego, przyprawionego spaczeniem twarogu, wycierpiawszy straszliwe wzdęcia udowadniając w ten stosowny sposób swoje oddanie Rogatemu Szczerowi. Uświęcone wydaliny zapewniły go, że jego plan nie może zawieść oraz, że tutaj spotka krasnoludy. Oczywiście, jak to bywa ze wszystkimi przepowiedniami, istniał pewien margines błędu, który należało brać pod uwagę. Thanquol czuł, że jego wielkie doświadczenie wróżbiarskie pozwala mu widzieć prawdę. Inni, pomniejsi Prorocy mogli dopuścić, by ich rozum zaćmiły własne pragnienia i nadzieje, ale on odczytał znaki z surową bezstronnością, która była jedną z cech jego niezawodnego geniuszu.

Był pewien, że przeklęty Gurnisson powróci z Pustkowi. Prawdę mówiąc, wątpił, by cokolwiek mogło temu przeszkodzić. Thanquol odczytał omeny i wiedział, że krasnolud niósł na swoich ramionach potężne przeznaczenie. Było to przeznaczenie, które może przełamać tylko ktoś, komu przeznaczono jeszcze ważniejszy los. Naturalnie, Szary Prorok Thanquol wiedział, że to on był takim osobnikiem. Nadal jednak nie wolno było niedoceniać Zabójcy.

W swoich snach pobudzonych spaczeniem Thanquol doświadczył licznych, dziwnych wizji, , gdy poszukiwał miejsca pobytu swoich wrogów. Widział potężną fortecę zakopaną głęboko pod górą oraz walkę z demonem o prawdziwie przerażającej mocy. Była to istota tak potężna i złowroga, że Thanquol wołał nawet o tym nie myśleć. Odsunął od siebie te myśli. Krasnolud powróci,

sprawdając ze sobą statek powietrzny. Jego przeznaczenie zostanie przełamane tytanicznym intelektem Thanquola. Taki jest jego los.

Thanquol zauważył, że obserwują go szponowładzi Mouldera. Thanquol zaklął pod nosem.

– Jakie są twoje polecenia, Szary Proroku Thanquolu? – mruknął największy z nich. – Czego od nas pragniesz?

– Moje rozkazy – rzekł z naciskiem Thanquol – są takie, byście ze swoimi skavenami natychmiast rozpoczęli wykonywanie planu. Zdobądźcie dwór i zatrzymajcie przy życiu możliwie wiele ludzi, do dalszego przesłuchania. Zwracajcie szczególną uwagę na oszczędzenie samic i ich szczeniąt. Człowieczyny stają się wybitnie niebezpieczne, gdy się im zagraża.

– Oszczędzilibyśmy je, tak czy inaczej, Szary Proroku Thanquolu. Do naszych eksperymentów.

Thanquol przechylił łeb, aby rozważyć słowa szponowładcy. Co Moulder miał na myśli? Czy jego Klan zamierzał przeprowadzić nowy program hodowlany, związany z nurtowaniem ludzi? Warto było dowiedzieć się tego. Skaven musiał zauważyć, że powiedział za dużo, bowiem odwrócił się plecami do Thanquola i pomknął w dół wzgórza, aby dać rozkaz swoim żołnierzom. Thanquol poczuł ogarniające go podniecenie.

Za pięć minut rozpocznie się atak.

Ulrika Magdova stała na blankach dworu i spoglądała w kierunku odległych gór. Była wysoką kobietą odzianą w skórzany pancerz kislevskiej wojowniczkii. Miała krótkie, popielate włosy, a jej twarz była szeroka i zdumiewająco urodziwa. Dłonie błędziły wokół rękojeści jej miecza.

Za górami jasno biła w niebo luna. Migoczące światło Pustkowi Chaosu w nocy podświetlało szczyty. Były to wielkie, postrzępione kły należące do odległego potwora, który zamierzał pochłonąć świat.

W tej chwili zastanawiała się, czy ten potwór połknął Felixa Jeagera i jego towarzyszy. Od tygodni nie było od nich znaku, a żadnym wróżbom czarownika, Maxa Schreibera nie udało się wyjawić niczego o ich losie. Ulrika nie była pewna, czy kiedykolwiek zobaczy jeszcze Felixa. Nie była pewna, czy w ogóle tego pragnie.

Nie chciała, by zginął. Nic takiego. Z całego serca pragnęła, by powrócił bezpiecznie. Tylko jego obecność była tak... niepokojąca. Pociągał ją bardziej niż chciała. Był w końcu bezdomnym awanturnikiem z Imperium, kryminalistą i dobrowolnym rewolucjonistą. Ona była córką i dziedziczką bojara, jednego ze szlachciców, którzy strzegli północnych granic Kisleva przed stworami Pustkowi Chaosu. Jej obowiązkiem było poślubienie mężczyzny wybranego przez jej ojca, aby dzięki temu wzmocnić sojusze z sąsiadami i zapewnić siłę oraz czystość krwi jej klanu.

„Idiotka” – powiedziała sobie. Czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Po prostu poszła do łóżka z mężczyzną, którego zapragnęła. Robiła to już wcześniej i będzie robić ponownie. To nie było niczym niezwykłym bądź gorszącym w Kislevie, gdzie życie bywało krótkie i często kończyło się gwałtownie, a ludzie korzystali ze wszystkich przyjemności, których mogli zażyć. Fakt, że spała z bezdomnym awanturnikiem nie powinien mieć żadnego znaczenia. To nie miało przyszłości. A jednak, od jego odlotu stale o tym myślała. To naprawdę typowe dla mężczyzn, że zamieszał jej tak bardzo w głowie, a potem odszedł, bogowie wiedzą dokąd.

Wiedziała, że miał swoje powody. Felix Jaeger przysiągł towarzyszyć Zabójcy Gotrekowi Gurnissonowi w jego misji poszukiwania śmierci, jakkolwiek długo to potrwa i bez względu na to, że sam może znaleźć własną śmierć. Ulrika pochodziła z kultury, w której szanowano przysięgi. Tak mogli czynić tylko ledwo ucywilizowani ludzie, którzy ustanawiali swoje prawa za pomocą miecza. Tu, na pograniczu było prawników, ani pisemnych kontraktów, tak powszechnych w Imperium.

Tutaj albo dotrzymywało się przysięgi, albo sprowadzało hańbę na siebie i swoją rodzinę.

I oto, co przysięga uczyniła z tym głupcem. Uniosła go na pokładzie wielkiej maszyny latającej krasnoludów na Pustkowie Chaosu w poszukiwaniu zaginionego krasnoludzkiego miasta Karag Dum. Ulrika chciała go błagać, by nie leciał, by został z nią, ale była zbyt dumna i nie odezwała się. Obawiała się także, że i tak jej odmówi, a takiego wstydu nie mogłaby znieść.

Nie spuszczała wzroku z gór, jakby patrząc na nie intensywnie mogła zajrzeć za skały i zobaczyć, co za nimi leży. Zresztą, nie miała pojęcia, co on do niej czuje. Może dla niego to była tylko przygodna noc. Wiedziała, że mężczyźni tacy bywają. Wieczorem obiecują cały świat, a rano nawet nie odezwą się miłym słowem.

Uśmiechnęła się. Wątpiła, by Felixowi zabrakło gładkich słówek, czy słów w ogóle. To jej się w nim podobało. Znajdował słowa z łatwością, jaka nie przychodziła jej surowemu ludowi. Prawdę mówiąc, zazdrościła mu tego daru, bowiem nie potrafiła wyrazić tego, co czuje. W jakiś dziwny sposób wiedziała, że Jaeger jest dobrym człowiekiem. Potrafił walczyć, jeśli taka była potrzeba, ale to nie stanowiło jego całego życia, jak to bywało wśród ludzi, wokół których dorastała.

Czasami myślała, że on nie jest dość twardy, a czasem zaskakiwał ją okazując, jak bardzo potrafi być zimny i bezwzględny. Z pewnością tylko niebezpieczny człowiek może być towarzyszem Gotreka Gurnissona. Od krasnoludów, którzy zbudowali wieżę usłyszała, że Zabójca stał się już mroczną legendą pośród swego ludu.

Potrząsnęła głową. To prowadziło do nikąd. Miała obowiązki do wypełnienia. Była dziedziczką swojego ojca i była tu potrzebna, by strzec granic, by dowodzić jeźdźcami. Były to obowiązki, które wypełniała równie dobrze, jak dowolny mężczyzna, a nawet lepiej niż większość z nich. Obok niej rozległ się odgłos kroków. Obróciła głowę i zobaczyła Maxa Schreibera idącego w jej stronę wzdłuż balustrady.

– Nie możesz zasnąć? – zapytał, uśmiechając się. – Mogę przygotować ci miksturę.

– Sprawdzam warty – odpowiedziała. – To mój obowiązek.

Spojrzała na magika. Był wysoki i niepokojący, mimo bladego, uczonego oblicza i szerokich oczu. Ostatnio zaczął zapuszczać kozią bródkę, która pasowała do niego. Nosił formalny strój magików swojego kolegium. Była to powłóczysta złota szata narzucona na zieloną kamizelkę. Całość uzupełniały żółte bryczesy. Na jego głowie sterczała dziwnie wyglądająca mycka. „Przystojny mężczyzna” – pomyślała, choć wywoływał w niej niepokój. Nie był to ten rodzaj niepokoję, jaki odczuwała czasem w obecności przystojnych mężczyzn. Ten człowiek wyraźnie odstawał od reszty ludzkości. Powodowała to jego moc i trening, który pozwalał mu z niej korzystać. Nie całkiem mu ufała, co zresztą było typowym odczuciem większości ludzi wobec magików. Zawsze zmuszali do zastanawiania się, czy są w stanie czytać w myślach, omamić człowieka za pomocą zaklęcia i zmusić go do wykonywania swojej woli, otoczyć iluzjami. W ich obecności ludzie bali się mówić o takich rzeczach na głos, a nawet myśleć o nich, na wypadek gdyby rzeczywiście potrafili czytać w myślach. Nikt nie chciał ich obrazić w ten sposób.

Sam Schreiber nigdy nie dał jej żadnego powodu, by wątpić w jego życzliwość. A jednak...

– Rozmyślasz o okręcie powietrznym – powiedział.

– A zatem potrafisz czytać w myślach?

– Nie. Studiuję tylko ludzką naturę. Gdy widzę młodą kobietę wzdychającą i spoglądającą na północ ku Pustkowiom, potrafię zebrać fakty. Widzę także ciebie i Felixa razem. Stanowicie dobraną parę.

– Myślę, że wyciągasz zbyt pochopne wnioski.

– Być może – uśmiechnął się, trochę smutno. – *Herr* Jaeger jest szczęśliwcem.

– Co w tym szczęśliwego musisz przekroczyć Pustkowie Chaosu.

– Nie to miałem na myśli i wiesz o tym.

– Ja także nie potrafię czytać w myślach, *Herr Schreiber*, zatem jak mogę się dowiedzieć, co masz na myśli jeśli tego nie powiesz?

– Dlaczego mnie nie lubisz, Ulriko?

– Ależ lubię cię.

– Wydaje mi się, że jestem dla ciebie odpychający.

– To tylko dlatego, że jesteś...

– Czarodziejem?

– Właśnie. – Uśmiechnęła się bez wesołości.

– Przywykłem do tego. Ludzie nie ufają nam, ani nas nie lubią. Dopiero niedawno przestali nas prześladować w Imperium.

– Tutaj czasami nadal palą wiedźmy. Podobnie czarnoksiężników. Jestem pewna, że niektórzy z moich ludzi chcieliby zrobić to samo z tobą.

– Zauważyłem to.

– Jesteśmy blisko Pustkowi Chaosu. Ludzie są podejrzliwi. Na twoim miejscu nie brałabym tego do siebie.

Potrząsnął energicznie głową, a jego smutny uśmiech poszerzył się. Ulrika zdała sobie sprawę, że w innych okolicznościach mogłaby polubić tego mężczyznę.

– Nie widzę powodu, dla którego spalenia na stosie nie miałbym brać do siebie.

– Masz rację.

– Dziękuję ci – powiedział z lekką nutą ironii. Nagle przechylił głowę na bok. Wydawało się, że czegoś nasłuchuje.

– Co się dzieje – spytała Ulrika. Nagle poczuła ukłucie strachu.

– Psyt! Myślę, że tam coś jest – zamknął oczy, a jego twarz zamarła. Wyczuła wokół niego igrającą moc. Przez jego zamknięte powieki dostrzegła lśniące światło, jakby gałki oczne stały się małymi słońcami, mogącymi świecić przez skórę. Mięśnie na szczęce czarodzieja zacisnęły się. Wymruczał pod nosem słowa w tajemnym języku.

Otworzył oczy. Ulrika dostrzegła gasnące w nich światła, niczym żarzące się węgle zamierającego ognia. Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. Jego uchwyt był zaskakująco silny jak na uczonego.

– Nie ruszaj się – powiedział. – Nie okazuj żadnych emocji. Coś tam jest i musimy zejść z tej balustrady.

– Trzeba podnieść alarm.

– Nie podniesiemy żadnego alarmu, jeśli ustrzelą nas strzelcy wyborowi – powiedział cicho.

– Któż mógłby do nas strzelać?

– Zaufaj mi – powiedział prowadząc ją wzdłuż balustrady. – Idź normalnie, a potem wespnij się po drabinie na wieżę wartowniczą.

– Co się dzieje? – spytała Ulrika. Niepokój w głosie magika był zaraźliwy.

– Tam są skaveny. Szczuroludzie wyznający Chaos.

– Skąd wiesz? – zapytała, a potem zbeształa się w myślach. Znała przecież odpowiedź. On był magikiem. Zmieniła nieco pytanie, by ukryć swoją pomyłkę. – To znaczy, skąd wiesz, że to skaveny?

– Dużo studiowałem o wyznawcach Chaosu – odezwał się swoim cichym głosem. Ulrika wiedziała, że ten spokojny głos miał ją uspokoić. Trochę ją to zdenerwowało, ponieważ nie potrzebowała takiego wsparcia. Jeśli czarodziej to zauważył, to nie dał żadnego znaku. – W końcu,

po to właśnie wynajęły mnie krasnoludy.

Dotarli do drabiny.

– Wchodź. Za chwilę pójdę za tobą. Gdy tylko znajdziesz się w wieży, uderz w dzwon na alarm.

Nie mamy wiele czasu.

Pomimo braku zaufania do niego, nie wątpiła ani trochę, że mówił poważnie. Przynajmniej pod tym względem żywiła pełną wiarę w Schreibera. Wydawało jej się, że kątem oka dostrzega niewyraźną, kłębiącą się masę, jakby szybko poruszające się stworzenia zbliżały się do dworu. Gdy zeskakiwała z drabiny, poczuła mrowienie między łopatkami. Wyobraziła sobie, że ktoś celuje w nią z łuku lub kuszy, albo za pomocą jednej z tych dziwnych, czarnoksiężskich broni, której miały używać skaveny. Tak opowiadał jej Felix. Czują pot spływający po plecach. Była zaskoczona odwagą Schreibera. Cały czas stał tam, udając człowieka zajętego swobodną rozmową, mamrocząc coś, co miało udawać cichą pogawędkę. Gdy tylko znalazła się na szczycie drabiny, sam zaczął się wspinać.

Wdrapywała się najszybciej jak potrafiła i gdy tylko jej stopy dotknęły podłogi wieży, wyciągnęła rękę i złapała za sznur wielkiego dzwonu. Pociągnęła go z całej siły. Rozległo się przenikające noc czyste brzmienie dzwonu. Wiedziała, że zostanie usłyszane w całym dworze, od najgłębszych piwnic do najwyższych komór.

– Budźcie się! – krzyknęła. – Wróg u bram!

Dudnienie dzwonu nie zdążyło jeszcze zamilknąć, gdy usłyszała w oddali donośny, dziki ryk. Wiedziała bez cienia wątpliwości, że tam były skaveny. Wojownicy już zaczęli wybiegać z dworu trzymając gotową broń. Widziała masywną sylwetkę swojego ojca zagłębiającego się w ciemnościach. Jego pierś okrywał częściowo okuty pancerz skórzany, a jeden ze sług pomagał dopinać paski. Ojciec wykrzykiwał rozkazy swoim ludziom.

– Oleg – biegnij na swój odcinek i obsadź ludźmi balustradę. Standa – chcę łuczników na wszystkich czterech murach zanim zobaczymy, z którego kierunku nadchodzi atak. Marta! Zbierz wszystkie służki i nabierajcie wody ze studni na wypadek pożaru. Zgromadźcie bandaże i maści dla rannych! Dalej! Z życiem!

Ulrika cieszyła się, że jej ojciec był na miejscu. Był weteranem tysiąca bitew stoczonych wzdłuż tych niebezpiecznych granic. Sama jego obecność dodawała ducha wszystkim jego ludziom, oraz jej samej.

Wyjrzała z wieży wartowniczej i zobaczyła zbliżającą się horde. Były tam setki skavenów, nadchodzących niczym furtzana fala wałaca przez odsłonięty teren. Zastanawiała się, czy we dworze mają dość ludzi, by ich powstrzymać. Wątpiła w to. Nadchodziły raporty o coraz większych ilościach wyznawców Chaosu nadchodzących przez przełęcz. Większość oddziałów jeźdźców patrolowała pogranicze Chaosu. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności zostali zaatakowani w chwili, gdy tak wielu ich jeźdźców przebywało z dala od dworu. Być może był to jednak skutek przemysłowości skavenów.

Dobytając miecza myślała o tym, czy kiedykolwiek zobaczy jeszcze Felixa. Wtedy pierwsza fala skavenów zderzyła się z murami i nie miała już czasu myśleć o czymkolwiek innym, niż o walce na śmierć i życie.

POWRÓT

Felix Jaeger spoglądał w dół z mostku „Ducha Grungniego”. Był wysokim mężczyzną o jasnych włosach, szerokim w barach i szczupłym w biodrach. Miał opaloną twarz, a z kącików oczu wybiegały zmarszczki, które nie pasowały do twarzy tak młodego człowieka. Felix jednak sam przyznałby, że podczas swojego dotychczasowego życia przeżył wystarczająco wiele niedoli.

Jego dłonie tkwiły zaciśnięte na wielkim kole sterowym statku powietrznego. Dokonywał poprawek kursu, kierując potężny pojazd w stronę, gdzie jak mniemał znajdowała się przełęcz stanowiąca wylot Pustkowi Chaosu. Ręce nadal bolały go od oparzeń, które odniósł na skutek trzymania młota Ognistobrodego. Cieszył się, że w ogóle może cokolwiek chwytać w dłonie. Miał szczęście. Lecznicza maść krasnoludów bardzo mu pomogła.

Jego bystre oczy omiatały umęczoną ziemię pod nim. Obserwował jałowe, półpustynne tereny przepływające pod „Duchem Grungniego”. Wydawało mu się, że w oddali dostrzega wznoszący się obłok pyłu. Wzdrygnął się. Cokolwiek wzbijało ten pył, nie było przyjazne. W tym miejscu, nic takie nie było.

Patrzył na kompas, ale wiedział, że na Pustkowiach nie można na nim polegać. Kilkakrotnie zauważał, jak żelazna igła wiruje pod wpływem nikczemnej magii. Na szczęście znajdowali się w pobliżu końca przekłetej krainy, gdzie dziwnie kolorowe chmury burzowe nie zawsze zasłaniały niebo, a często dało się zauważyć gwiazdy na niebie, widoczne w nocy i czasem w przyćmionym świetle dnia. Pomagało mu to w nawigacji. Kilkakrotnie znacznie schodzili z kursu, do chwili, gdy zobaczyli gwiazdy, według których dało się nawigować. To wydłużało ich podróż o dodatkowe dni.

Felix wypuścił głośno powietrze. Był zmęczony do szpiku kości. Nie cieszyło go już, że Malakai Makaïsson nauczył go pilotować pojazd. Chociaż dzięki temu miał co robić. To nie pozwalało jego umysłowi zamartwiać się rzeczami, na które nie miał wpływu.

Nos pojazdu obracał się ciężkawo. Nie było w tym nic dziwnego. „Duch Grungniego” był przeładowany. Ocalali członkowie krasnoludzkiej społeczności z Karag Dum, ci którzy przeżyli ostateczną konfrontację z demonicznym Krwiopijcem i jego pomocnikami, wypełniali wszystkie kabiny i wolne pomieszczenie na okręcie powietrznym. Ładownia pękała w szwach od skarbów, jakie zabrali z zaginionej cytadeli. Felix zastanawiał się, jak Hargrim i jego lud przystosują się do nowego życia za Pustkowiami. Silniki buczały głośno, z wysiłkiem zmagając się z wiatrem na zewnątrz okrętu. Felix przeklinał ten los, bowiem wydawało się, że wszystkie żywioły sprzymierzyły się przeciw nim, podczas wylotu z Pustkowi. Doszukiwał się w tym działania złej magii. Na dole były tuziny magów wiernie służących Mrocznym Potęgom i łatwo było wyobrazić sobie, że wezwali wiatr, aby spowolnić statek powietrzny, albo burzę, która ma ich cisnąć na ziemię. „Duch Grungniego” został zabezpieczony przeciw bezpośrednim efektom działania magii, ale tylko inny magik mógł cokolwiek zdziałać przeciw podobnym metodom pośrednim.

Felix starał się odsunąć te myśli od siebie i myśleć o przyjemniejszych rzeczach. Był ciekaw, co teraz robi Ulrika. Zastanawiał się, czy tęskni za nim, albo czy w ogóle o nim myśli. Może całkiem zapomniała. Może dla niej to była tylko przelotna znajomość. Te myśli pierzchły natychmiast na dźwięk głośnego przeklinania, jakie rozległo się za nim.

Na mostek statku powietrznego wszedł Gotrek Gurnisson i głośno dał znać o swojej obecności. Kroczył przez pokład sterowniczy spoglądając na młodych inżynierów i rzucając pełne irytacji spojrzenia za kryształowe okna, jakby spodziewał się, że zobaczy lecącego na nich wroga. Biorąc

pod uwagę, że ledwie kilka dni temu Gotrek był bliski śmierci od ran, jakie odniósł w swojej bitwie z Krwiopijcą Khorne'a, można było stwierdzić, że krasnolud dochodził do siebie w zdumiewającym tempie. Nadal nie wyglądał zbyt dobrze. Jego masywna klatka piersiowa owinięta była bandażami. Wielki, pomalowany na czerwono grzebień włosów wystawał nad turbanem bandaży okręconych wokół jego głowy. Materiał okrywał przepaskę na oko, która zwykle zasłaniała jego pusty, lewy oczodół. Jedno ramię zwisało na temblaku, ale nadal udawało mu się utrzymywać masywny topór w prawej dłoni. Dla Felixa, który z najwyższym trudem mógł unieść broń oboma rękami, był to zdumiewający wyczyn.

Fakt, że Zabójca stał na własnych nogach należało tłumaczyć krzepą typową dla krasnoludów. Felix wiedział, że gdyby on, lub jakikolwiek inny człowiek odniósł rany Gotreka, leżałby w łóżku przez całe miesiące, jeśli w ogóle udałoby się to przeżyć.

– Czujesz się lepiej? – spytał Felix. Przekleństwa Gotreka były wystarczającą odpowiedzią na to pytanie.

– Czuję się, jakby moją głowę zdeptało stado osłów, człeczyno.

– A zatem są postępy?

– Tak. Wczoraj czułem się, jakbym przegrał zawody w łupaniu się głowami ze Snorrim Gryzonosem.

– Cóż, masz szczęście, że w ogóle żyjesz. Tak mówi Borek.

– Co w tym szczęśliwego, człeczyno? Gdybym poległ w walce z tym przeklętym demonem, odpokutowałbym za swoje uczynki, a ty układałbyś moją pośmiertną sagę. A tak muszę słuchać chrapania Snorriego Gryzonosa i wysłuchiwać jego przechwałek, iluż to zwierzoludzi nie zatłukł. Wierz mi, istnieje coś takiego, jak przeznaczenie gorsze niż śmierć.

Felix uniósł brwi. Znał krasnoluda na tyle dobrze, by wiedzieć, że on tylko żartuje. Co ciekawsze, biorąc pod uwagę fakt, że celem życia krasnoluda była heroiczna śmierć w bitwie, Gotrek nie wydawał się wcale tak zasmucony tym, że nadal żył. Felixowi wydawało się wręcz, że w głosie Zabójcy wyczuwa nutę gorzkiego zadowolenia, chociaż nie uznał za dyplomatyczne mówienie o tym. Zamiast tego powiedział:

– Gdybyś jednak zginął, wówczas nie udałoby się uciec nikomu z ludu Karag Dum, młot Ognistobrodego wpadłby w ręce wyznawców Chaosu, a Wielki Krwiopijec wywarłby swoją zemstę na rasie krasnoludów. Z pewnością jest się z czego cieszyć.

– Być może masz rację, człeczyno.

– Wiesz, że tak jest. Pomogliśmy Borekowi udowodnić prawdziwość jego teorii o położeniu Karag Dum. Udało nam się znaleźć zaginione miasto i odzyskać święty młot.

– Nie warto jednak tego rozstrząsać.

– Co więcej, powstrzymaliśmy moce ciemności, oraz zdobyliśmy solidne ilości złota i...

– Powiedziałem, że...

– Felix Jaeger rzeczywiście ma rację, Gotreku, synu Gurniego – odezwał się głęboki, dojrzały głos. Felix spojrzął w tył, by zobaczyć, że na mostku pojawił się wiekowy uczonek krasnoludzki, Borek. Był niemal zgięty w pół ze starości i musiał używać laski, by móc chodzić, ale była w nim żywotność i podniecenie, jakiego wcześniej Felix nie widział. Krasnoluda przepełniała chęć życia i triumf. Ich sukces w Karag Dum, jeśli można tak nazwać wzięcie udziału w bitwie, która pozbawiła życia większości krasnoludzkiej populacji miasta, dało sens jego całemu życiu. Odzyskali młot Ognistobrodego i oddadzą go ludowi krasnoludów. Felix wiedział, że Borek uznaje to, czego dokonali za wielki, chwalebny wyczyn. On sam nie był tego taki pewien. Za uczonym stał jego siostrzeniec Varek, który towarzyszył Felixowi, Gotrekowi i Snorriemu w zaginionym mieście i

zapisał ich czyny. Okulary Vareka migotały w świetle dostającym się na pokład sterowniczy. Uśmiechnął się radośnie do Felixa i Zabójcy. „Całe szczęście,” – pomyślał Felix. Niewielu krasnoludów mogło pochwalić się przeżyciem spotkania z demonem Chaosu.

Tuż za nimi stał Hargrim, syn Thangrima Ognistobrodego. Jego broda i ubranie były pofarbowane na czarno, na znak żałoby po ojcu. Teraz jego ojciec odszedł, a on stał się wodzem ludu z Karag Dum. Jego twarz była ponura jak śmierć. Oczy były smutne, jak tylko mogą być oczy krasnoluda, który stracił w jednej chwili ojca i swój dom.

Felix zauważył spojrzenie, jakie kierował ku niemu Borek. To nie był wzrok pasujący do starca, którego biała broda ciągnęła się po podłodze. Zawarty był w nim element czci, który krępował Felixa. Od czasu jego powrotu z Karag Dum, większość krasnoludów na statku powietrznym zaczęła obdarzać go takimi spojrzeniami. Felix wznosił młot Ognistobrodego i wezwał jego moc podczas bitwy w wielkim demonem. Najwyraźniej był pierwszym i jedynym człowiekiem w historii, od czasu boskiego Sigmara, który dokonał takiego wyczynu, a teraz oni uznawali go za pobłogosławionego przez ich bogów. Felix nie czuł się szczególnie błogosławiony. Samo wezwanie mocy młota omal go nie zabiło. Miał nadzieję, że w życiu nigdy nie będzie musiał powtórzyć takiego wyczynu, jak walka z demonem.

– Spójrzcie tam, w dół! – krzyknął Felix, by odwrócić ich uwagę. Jego bystre oczy dostrzegły poruszenie na Pustkowiach, na krawędzi wielkiego obłoku pyłu. Na wszystkich bogów, to było coś dużego! Gdyby tę chmurę wywołali ludzie, Felix podejrzewałby obecność całej armii. Tu, na Pustkowiach Chaosu, któż wiedział, co to mogło oznaczać?

Gdy się zbliżyli, dostrzegł grupę postaci, pomniejszonych na skutek odległości, które jechały przemierzając krainę i wzbudzając za sobą potężną, wielobarwną chmurę kurzu.

Borek zerknął na dół przez swoje binokle.

– Co to takiego? Powiedz mi! Moje oczy nie są takie dobre.

– To ślad pyłu – odrzekł Gotrek. – Tam są jeźdźcy. Mnóstwo jeźdźców.

– Powiedziałbym, że kilka setek wojowników Chaosu zakutych w czarne zbroje. Kierują się na południe, w tę samą stronę, co my.

– Twoje oczy są lepsze od moich, człeczyno. Wierzę ci na słowo.

– To dziesiąta grupa jaką widzieliśmy od opuszczenia Karag Dum. Wszystkie kierują się w tym samym kierunku.

Powoli do umysłu Felixa docierała pewna myśl. Poczul, jak jego serce zaczyna łomotać, a w ustach narasta suchość. Mijali środek kłębu pyłu i teraz dostrzegał znacznie więcej postaci. Były ich tysiące, może dziesiątki tysięcy. Wydawało mu się, że zauważa pokręcone figury zwierzoluty i innych, bardziej niepokojących stworzeń. Było jasne, że wyznawcy Chaosu, jakich zobaczyli wcześniej byli jedyni maruderami lub tylną strażą znacznie większego oddziału. Należeli do armii, która kierowała się prosto ku ziemiom człowieka.

– Na Grugniego, tak maszeruje armia – usłyszał Vareka. Młody krasnolud przyciskał do twarzy lunetę i spoglądał przez nią z uwagą. – Te siły przewyższają armię, która oblegała Karag Dum. Co się dzieje?

– Obawiam się, że moce Chaosu planują nową inwazję na ziemie człowieka – rzekł Hargrim. – Żadne miejsce nie będzie bezpieczne dla mojego ludu.

Felix czuł dreszcz strachu. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęli mieszkańcy ludzkich krain była prawdziwa inwazja wyznawców Chaosu. Byli niezliczeni i potężni, a po tym co Felix zobaczył na Pustkowiach, teraz podejrzewał, że tylko nieustanne wzajemne walki powstrzymywały ich przez wymiecieniem ludzkiej cywilizacji.

- Dobrze. Przydała by mi się solidna walka – rzucił Gotrek.
- Zdawało mi się, że ostatnio miałaś jej dosyć – powiedział oschle Felix.
- Nigdy nie dość walki dla Zabójcy, Felixie Jaegerze – odezwał się Borek. – Powinieneś o tym wiedzieć.
- Niestety, to prawda – umysł Felixa zaprzątnęła kolejna niewesoła myśl. Wiedział, że nie opuści go do końca tego dnia. – Jeśli hordy Chaosu rozpoczną inwazję, przejdą przez przełęcz Topora.
- I co z tego, człeczyno?
- Dwór Ivana Straghova znajduje się dokładnie na ich drodze.
- Wobec tego, lepiej byśmy się pospieszyli i ostrzegli ich, prawda?

Felix czuł podniecenie i napięcie. Minęli Przełęcz. Przed nimi leżały ziemie Kisleva. Za kilka godzin znowu zobaczy Ulrikę. Czuł się niezwykle podenerwowany. Zupełnie jak przed bitwą, a może jeszcze bardziej. Zastanawiał się, czy ona będzie równie zadowolona widząc go żywego. Nie wiedział co powie, co sam powinien powiedzieć, w co ona będzie ubrana. Potrząsnął głową. Zdawał sobie sprawę, że zachowuje się jak zadurzony uczeń, a jednak nie mógł się opanować. Upłynęło wiele czasu od chwili, gdy po raz ostatni czuł coś podobnego wobec innej osoby. To nie zdarzyło się od śmierci Kirsten w Forcie Von Diehl, a wydawało się, że od tego czasu minęły całe lata. Szkoda, że przybywał z tak złymi wieściami.

Przyłożył lunetę do oka i badał horyzont, szukając zarysu dworu. Został nagrodzony widokiem, który brał za wieżę cumowniczą. „Wkrótce – myślał, – wkrótce”.

– Tęskny za powrotem? – usłyszał głos za sobą. Felix spojrzał na Vareka. Młody krasnolud spoglądał na niego z nieśmiałością, jak na czcigodnego bohatera. Felix nie miał pojęcia, dlaczego tak się działo. Varek dzielił z nim wszystkie niebezpieczeństwa lotu do Karag Dum. Zmierzył się z tymi samymi wrogami i uczynił wiele, by ich misja zakończyła się sukcesem. Nie miał powodu, by wywyższać Felixa, ale najwyraźniej to robił. Varek nosił skórzany hełm i gogle lotnika. Makaisson uczył go pilotażu żyrokoptera podczas podróży powrotnej. Felix zorientował się, że krasnolud właśnie wrócił z lotu.

– Oczywiście, że młody Felix tęskni – rzekł Snorri Gryzonos. – Nawet Snorri to widzi. Felix niedługo zobaczy swoją przyjaciółkę.

Snorri puścił porozumiewawczo oko do Felixa. To nie był przyjemny widok. Nawet spowity w bandaż, Snorri Gryzonos przedstawiał sobą widok krasnoluda bardziej przerażającego niż Gotrek, a rany jakie odniósł pod Karag Dum nie poprawiały tego wyglądu. Podobnie jak Gotrek, Snorri był członkiem kultu Zabójców, zaprzysięgłych szukać bohaterskiej śmierci w bitwie. Jego przysadziste, małpowate ciało pokryte było tatuażami. W odróżnieniu od Gotreka, ten miał trzy gwoździe wbite prosto w ogoloną głowę. Zastępowały grzebień włosów, jaki nosiła większość Zabójców. Snorri nie był najbystrzejszym z krasnoludów, ale był towarzyski, jak na Zabójcę.

Felix poprawił ostrość lunety i skupił wzrok na zbliżającym się dworku. W tym widoku było coś dziwnego. W pierwszej chwili nie potrafił stwierdzić, co takiego, ale powoli zaczął rozumieć. Na polach wokół dworu było zbyt mało ludzi. Prawdę mówiąc, nie było tam nikogo. Powinien zobaczyć chłopów, wozy, konie pociągowe, żołnierzy, wartowników, jeźdźców przynoszących wiadomości. Przebiegał wzrokiem wzdłuż horyzontu upewniając się, że ma rację. Jego serce biło coraz szybciej. Wnętrza dłoni nagle zwilgotniały. Poczul nieprzyjemny skurcz na dnie żołądka. To było coś złego. Czy siły Chaosu już tu dotarły?

Wyszeptał modlitwę do Sigmara prosząc, by nic złego nie wydarzyło się Ulrice, a potem dodał modlitwę za jej ojca i resztę ludzi w majątku. Nie był pewien, czy jego modlitwa zostanie

wysłuchana. Spoglądając uważnie na dwór dostrzegł znaki katastrofy.

Wyglądało na to, że brama została wybita za pomocą tarana. Widać było ślady ognia na kamiennych murach. Zawalił się cały fragment palisady. Wszystko to przypomniało mu przerażające widoki po masakrze w Forcie Von Diehl.

– Nie, tylko nie to – jęknął.

– Co takiego, człeczyno? Co widzisz? – spytał Gotrek.

Felix nie był w stanie odpowiedzieć. Jedyne, co dodawało mu nadziei to fakt, że nie dostrzegł żadnych ciał. Nie był jednak pewien, czy to dobry znak. Nigdzie nie było widać śladów życia. Żadnych pozostałości bitwy, za wyjątkiem uszkodzeń budynków i fortyfikacji. Pomyślał, że z pewnością powinny gdzieś tam być ciała, a przynajmniej ślady pochówku. Szaleńczo przeczesywał wzrokiem okolicę szukając stosu pogrzebowego lub masowej mogiły. Jeden z pagórków wydawał się nowy!

– Co tam widzisz, człeczyno? – zapytał ponownie Gotrek. Teraz w jego głosie brzmiała groźna nuta.

– Dwór został zaatakowany – odpowiedział Felix. Ledwo udało mu się powstrzymać drzenie głosu. – Wygląda na to, że wszyscy po prostu znikli.

– W powietrzu?

– Na to wygląda.

– To mi się nie podoba – stwierdził Gotrek. – Cuchnie pułapką.

Felix zmuszony był zgodzić się ze stwierdzeniem Zabójcy. Sytuacja na dole ukrywała coś złego, co nie podobało mu się w najmniejszym stopniu. Z drugiej strony, desperacko pragnął dowiedzieć się, co stało się z Ulriką. Modlił się, by żyła.

Statek powietrzny zbliżył się do dworu, który wyglądał jak opuszczony.

Szary Prorok Thanquol spoglądał na zbliżający się okręt powietrzny przez okular swojego peryskopu. Jak zawsze, widok dzieła krasnoludów był bardziej imponujący, niż chciałby to przyznać. Tak masywny pojazd mógł latać tylko dzięki magii potężniejszej niż ta, którą dysponował. A jednak wiedział, że to nie magia utrzymuje w powietrzu wielki okręt, lecz dziwna technologia krasnoludów.

Zaczął przeżuwać odrobinę staranie wybranych cząstek sproszkowanego spaczenia, wiedząc, że wkrótce będzie potrzebował całej czarodziejskiej mocy, jaką mu to zapewni. Czul się nieco osłabiony. Ostatniej nocy, magiczny pojedynek z ludzkim czarownikiem pozbawił go niemal wszystkich sił. To wydarzenie niemal zachwiało całym jego skrupulatnie przygotowanym planem. Kto mógłby się spodziewać, że ludzie będą mieli wśród siebie tak silnego maga. W końcu jednak Thanquol zatriumfował, co było nieuniknione. Moc prawdziwego sługi Rogatego Szczura zawsze pokonywała słabą magię człowieczym Prawdziwym skaveńskim wojownikom udało się przejąć strażnicę ludzi. Serce Thanquola wypełniało się dumą na myśl, że to im się udało, chociaż przewyższali wroga liczebnie zaledwie jak dziesięć do jednego. Zwycięstwo w takich stosunkach sił było odpowiednim dowodem triumfu geniuszu jego umiejętności dowódczych.

Udało im się nawet zabrać kilku jeńców, którzy z pewnością posłużą jako odpowiednie obiekty eksperymentów klanu Moulder, gdy jego wyprawa dobiegnie końca. Thanquol z bólem myślał, że nie ma zbyt wiele czasu na dokładne przesłuchanie więźniów. Nie było nic przyjemniejszego niż złamanie woli paru przerażonych ludzi. W szczególności był zadowolony, że trzyma w garści ludzkiego czarownika. Mężczyzna stracił przytomność po odbiciu zaklęcia, gdy starał się rozproszyć ostatni czar Thanquola. Kiedy tylko się ocknie, Thanquol pozwoli sobie na przyjemność torturowania go i zmuszenia człowieka, by zdradził tajemnice swoich zaklęć.

Udało im się pochwycić kilka samic, co okazało się niespodziewanym zyskiem. Ocalałych uwięziono w lochu, za wyjątkiem najmłodszej i, jak zgadywał Thanquol, najbardziej atrakcyjnej samicy, której zamierzał użyć jako przynęty do zwabienia Felixa Jaegera i Gotreka Gurnissona w pułapkę.

Nawet czas przybycia statku powietrznego był bardzo odpowiedni. Zaczynało się ściemniać, co pomoże ukryć zaczajonych żołnierzy oczekujących w budynku i w piwnicach, aby napaść na krasnoludy. Patrząc na nadlatującego Ducha Grunniego Thanquol pomyślał, że Lurk nadal *może być żywy* i można się z nim skontaktować. W takim razie warto było spróbować. Posiadanie żywego agenta na pokładzie może okazać się bardzo przydatne dla planów Thanquola.

Postanowił spróbować.

Lurkowi pękał łeb. Podczas ostatnich dni to nie było nic nowego. Od pewnego czasu przeżywał największe cierpienia, jakie kiedykolwiek spotkały skavena w historii świata. To było nieuczciwe. Nie prosił się o miejsce na tym przeklętym statku powietrznym. Nie prosił się o te zmiany jakie nastąpiły w jego ciele. Bez wątpienia, to był efekt spaczenia i tych piorunów, które uderzyły w statek powietrzny, zdaje się, całe wieki temu. One wywołały zmiany. Słyszał, że podobne efekty dotyczyły Szarych Proroków po długim spożywaniu proszku, a Rogaty Szczur wie, ile pyłu spaczenia nałykał się gdy głupie krasnoludy wysłały swój głupi statek nad Pustkowie.

Gdyby tylko mógł schronić się poniżej, w gondoli, gdzie było bezpiecznie. Tam powietrze było filtrowane przez specjalne ekrany, znajdowało się mnóstwo jedzenia, a ludzka i krasnoludzka magia chroniła przed wpływami Chaosu. To jednak okazało się niemożliwe. Jego po trzynastokroć przeklęty mistrz, Szary Prorok Thanquol nalegał na przekazywanie regularnych raportów, ale czarodziejstwo nie mogło przeniknąć do chronionego wnętrza pojazdu. A zatem Lurk musiał opuścić bezpieczną gondolę, aby zadowolić swojego przeklętego pana. W ten sposób wystawiał się na działanie mutagennego pyłu. A teraz, gdy pokład pełen był karłów, Lurk nie mógł się tam schować. To tylko kwestia czasu, zanim zostanie znaleziony, a wątpił, by nawet skaven o jego cudownej sile był w stanie pokonać tak wielu krasnoludzkich wojowników.

Nie wiedział, co było gorsze – czy ból łba, czy głód płonący w jego brzuchu. Nie pamiętał, by kiedykolwiek był tak żarłoczny, nawet po walce, gdy każdy skaven najbardziej potrzebował posiłku. Głód pojawił się razem ze zmianami w jego ciele. Teraz był wielki i muskularny, jak nigdy przedtem. Miał mięśnie niczym szczuro-ogr, a jego ogon miał długość stalowego kabla. Ciało miało prawdopodobnie dwukrotnie większe rozmiary niż poprzednio, a jego pazury przypominały sztylety. Z jego czaszki zaczęły wystawać zaczątki rogów, podobnych do tych, jakie znajdowały się na łbie Szarego Proroka Thanquola. Lurk zastanawiał się, czy staje się Szarym Prorokiem? A może to był znak innego błogosławieństwa Rogatego Szczura? W tej chwili Lurk nie czuł się szczególnie błogosławiony. Był zmęczony, głodny i rozżalony. Odczuwał usprawiedliwioną czujność w obecności wrogów. Niektórzy błędnie nazywali to strachem. W jego łbie pojawiło się dziwne brzęczenie, które zdawało się przebierać formę słów.

„Lurk! Ty głupcze! Czy to ty?” – Lurk zastanawiał się, czy to była halucynacja wywołana głodem, czy też cierpienia, jakie przeżył ostatecznie pozbawiły go rozumu. A jednak w tym głosie było coś znajomego. Irytująca arogancja i pogarda do wszystkich poza sobą samym.

„Lurk! Odpowiadaj! Wiem, że tam jesteś! Wyczuwam cię!” – łapy Lurka chwyciły amulet, który dał mu Szary Prorok Thanquol. Nie był pewien, czy to możliwe? Czy po tylu długich dniach Thanquolowi udało się nawiązać kontakt?

„Widzę statek powietrzny, ty kretynie! I wykrywam twój mizerny umysł. Jeśli nie odpowiesz,

pochłonę twoją żalną duszę i rzucę twoje ropiejące flaki na pożarcie Kościorwijowi”.

Przez mózg Lurka przemknął pierwszy słaby przeblask buntu. Kimże był Szary Prorok Thanquol, by przemawiać do niego w ten sposób, po tym wszystkim, co wycierpiał? Czy Thanquol kiedykolwiek wyruszył na Pustkowie Chaosu? Czy Thanquol kiedykolwiek dotarł tak daleko w równie niebezpiecznym i eksperymentalnym pojeździe? Czy Thanquol kiedykolwiek poddał się działaniu pyłu spaczenia, który wywołał tak niekontrolowaną mutację? „Niech tylko spróbuje nakarmić mną Kościorwija” – pomyślał Lurk czując wzbierającą w nim wściekłość. „Wyrwę potworowi wszystkie kończyny, jedna po drugiej, pożrę jego ciało, połamię kości do szpiku i wypluję chrząstki na ciebie, potężny Szary Proroku Thanquolu. Przekonasz się”.

Zamiast tego wyciągnął łapę i dotknął kryształu.

– Najpotężniejszy z mistrzów – zapiszczał. – Czy to możesz być ty? Czy twojemu wszechmocnemu czarodziejstwu udało się wreszcie pokonać wszelkie przeszkody położone przez te przeklęte krasnoludy i odnowić kontakt z twoim wiernym Lurkiem?

„Tak, idioto, udało się!”

Złowroga myśl przemknęła przez eter i zagnieździła się w mózgu Lurka. Lurk był zdumiony, że jego usta i przedmózdze potrafią sformułować tak naciągane i nieszczerze pochlebstwo, podczas gdy jego potylicy i cały duch buntował się przeciw Szaremu Prorokowi. Wiedział, że w odpowiednich warunkach byłby w stanie zabić Thanquola, a świat nie stanie się przez to gorszy. Szary Prorok był szalony, niekompetentny i zasługiwał na śmierć. Powinien go zastąpić ktoś lepszy. Lurk doskonale nadawał się do tego. Teraz wiedział, że zmianie uległo nie tylko jego ciało, ale także umysł i duch. Stał się sprytniejszy, a oczy otworzyły mu się na wiele spraw. Teraz wiedział, że stał się bystrzejszy od Thanquola i mógłby dowodzić znacznie lepiej, gdyby miał ku temu okazję. W tej chwili jednak postanowił, że rozważna skavenśka ostrożność jest najlepszym wyjściem.

– Gdzie jesteś, o najpotężniejszy z mistrzów?

„Jestem pod tobą w ludzkiej fortecy, czekając z pułapką na te głupie kurduple. A teraz raportuj! Gdzie byłeś? Dlaczego nie odpowiadałeś na moje potężne zakłęcia komunikacji?”

„Ponieważ nigdy do mnie nie dotarły, ty przemądrzały głupcze” pomyślał Lurk.

– Być może mój słaby umysł nie był w stanie pomieścić tak potężnego czarodziejstwa, o największy z magów – odpowiedział.

„Raportuj! Czy na statku powietrznym jest wiele krasnoludów? Czy jest uszkodzony? Gdzie byłeś? Czy macie na pokładzie jakieś skarby?”

O co chodziło temu szalonemu skavenowi? Skarby? Jakież tu mogą być skarby? Szary Prorok Thanquol nie miał pojęcia co tu się działo, to było pewne. Czy uważał, że Lurk spacerował po całym okręcie powietrznym? Czy myślał, że krasnoludy przywitały go wylewnie i udzieliły odpowiedzi na wszystkie pytania? Jego lekceważenie w stosunku do Thanquola wzrastało z każdą upływającą chwilą. Jego usta wypowiedziały słowa:

– Na które pytanie mam odpowiedzieć najpierw, o najmądrzejszy z przywódców?

„Odpowiadaj jak wolisz, ale rób to żwawo-żwawo! Nie mamy zbyt wiele czasu zanim...”

– Zanim co, o najbystrzejszy z potentatów?

„Nieważne. Bądź tylko gotowy do działania, gdy wydam ci rozkaz.”

– Jak zawsze, o najmężniejszy z dowódców.

Zamykając oczy, Lurk mógł wyobrazić sobie stojącego przed nim Szarego Proroka Thanquola. Jego czerwone ślepia lśniły od szalonej wiedzy, piana wywołana działaniem spaczenia, od którego był uzależniony, spływała z jego pyska. Lurk żałował, że nie może być przy nim w tej chwili, tak by mógł schwycić i skręcić jego chudy kark. Wyciągnął pazury w oczekiwaniu.

„Wkrótce okręt latający zacumuje i nasza pułapka zamknie się! Przygotuj się do wszczęcia jak największego chaosu i zamieszania wśród kurdupli, ale uważaj, by w żaden sposób nie uszkodzić statku!”

Lurk był pewien, że ma się przygotować na własną śmierć wykonując te wariackie plany. Nie miał zamiaru narażać swojego życia dla powiększenia chwały Szarego Proroka Thanquola. Zrozumiał, że to zdarzało się już wystarczająco często, bez żadnej wdzięczności ze strony Thanquola, za to co dla niego zrobił.

– Oczywiście, panie. Żyję, by być Tobie posłusznym – odrzekł.

„Dobrze-dobrze! Dopilnuj tego, a zostaniesz odpowiednio nagrodzony! Jeśli mnie zawiedziesz, to...”

– Nie mów nic więcej, o najbardziej przekonujący z celebrantów. Nie zawiodę cię.

„A teraz odpowiedz na moje pytania! Czy na pokładzie jest wiele krasnoludów?”

Lurk odpowiadał starając się zawyżać siłę krasnoludów pod każdym względem. Nauczył się, że dobrze było mieć przygotowaną wymówkę, na wypadek gdyby zawiódł Szarego Proroka Thanquola. Było to coś, czego nauczył się od niego samego.

Felix spoglądał na dworek. Zdawało się, że jest tak źle, jak się tego obawiał. Nie było widać śladu życia. Nie! Chwila! Co to takiego? Czy to jakiś ruch w oknie? Wyostrzył widok w lunecie patrząc na to miejsce, ale zanim to zrobił, poruszenie minęło.

– Sądzę, że lepiej będzie jak zejdziemy na dół i zbadamy to – powiedział z rozdrażnieniem Gotrek, ściągając temblak ze swojego ramienia i napinając mięśnie na próbę.

– A jeśli to pułapka? – spytał Felix.

– O co ci chodzi, człeczyno? Co z tego, że to pułapka?

Felix dokładnie rozważył swoje słowa. Zabójca nadal zawzięcie postanawiał szukać własnej zagłady, to było oczywiste. Ale tym razem Felix chciał mu towarzyszyć. Musiał dowiedzieć się, co tam się stało. Desperacko pragnął wiedzieć, co stało się z Ulriką. A także jej rodakami, jak dodał w myślach z poczuciem winy, chociaż musiał przyznać, że tak naprawdę troszczył się o los tylko jednej osoby, tam na dole.

– Zejdziemy razem – rzekł Felix.

– Snorri pójdzie z wami – rzucił Snorri.

– Myślę, że reszta z nas powinna pozostać na statku powietrznym, – odezwał się Borek. – Nie ma sensu ryzykować wszystkiego i wszystkich na samym końcu wyprawy.

Stary naukowiec mówiąc to przynajmniej nie krył zażenowania. Felix zresztą nie zamierzał go o to obwiniać. Gdyby to on dowodził okrętem, zabroniłby wychodzić wszystkim poza Zabójcami. A jedyny powód, dla którego nie zabraniał niczego Zabójcom wynikał z jego wiedzy, że bez sensowne jest wydawanie im jakichkolwiek rozkazów.

– Zacumujemy przy wieży – powiedział. – A wy będziecie mogli zejść. Przynajmniej ta konstrukcja stoi na miejscu i wygląda na nietkniętą. To łut szczęścia.

– Doprawdy? – spytał Felix, dobywając swojego miecza o smoczey gałce. – Nie jestem pewien, czy szczęście ma z tym cokolwiek wspólnego.

Szary Prorok Thanquol chichotał złowieszczo. Wszystko szło doskonale. Wszystkie pionki znajdowały się na swoich miejscach. Udało mu się nawet nawiązać kontakt z tym imbecylem, Lurkiem. „Może ten szczeniak okaże się jeszcze przydatny?” – pomyślał Thanquol, chociaż nie żywił ku temu wielkich nadziei. Lurk nie udowodnił w przeszłości swojej przydatności. A jednak, nigdy nic nie wiadomo.

Patrzył na samicę o jasnej sierści, którą nakazał sprowadzić z piwnicy. Zgadywał, że była atrakcyjna według dziwnych standardów ludzi. Być może uda się ją wykorzystać jako monetę przetargową. Ludzcy samcy byli dziwacznie wrażliwi na punkcie swoich samic, Rogaty Szczur wie, dlaczego.

Pokazał jej groźnie swoje kły, ale ku jego zaskoczeniu ona nie okazała ani strachu, ani podziwu. Zamiast tego splunęła mu w pysk. Thanquol zlizął plwocinę swoim długim różowym językiem i wyciągnął złowrogo swoje pazury. Samica ponownie go zaskoczyła. Sięgnęła ku rękojeści miecza, który już nie tkwił na swoim miejscu, a Thanquol nagle poczuł ulgę, że go tam nie ma. Wyglądało na to, że samica faktycznie może być niebezpieczna.

– Bądź bardzo cicho! – pisał z groźną nutą – albo zapłacisz własnym życiem. Tak rzecze Szary Prorok Thanquol.

Jeśli rozpoznała jego imię, nie dała po sobie znać.

Zawsze miło znać imię szczura, którego zamierza się zabić – odpowiedziała.

Thanquol otworzył odrobinę szerzej swoje ślepie i pozwolił jej dostrzec płonąca tam moc. Tym razem cofnęła się nieco, jak to bywało w niemal każdym przypadku, gdy ktoś widział ten nadnaturalny błysk.

– Nie bądź głupia, samico. Zabić mnie nie możesz. Żyć będziesz, jeśli ja zechcę. Umrzesz, jeśli mnie rozżościsz.

– Ty jesteś skaveńskim czarnoksiężnikiem, o którym mówił Felix, – mruknęła do siebie, tak cicho, że Thanquol ledwie mógł ją usłyszeć. Ledwie...

– Ty znasz przekłętą Felixa Jaegera? – zapytał.

Najwyraźniej zrozumiała swój błąd, bowiem zacisnęła usta i nie powiedziała nic więcej. Thanquol obnażył swoje kły.

– Interesujące. Bardzo-bardzo.

Rozważał tę informację zastanawiając się, do czego może się przydać. Ciekaw był natury związku między tą samicą, a Felixem Jaegerem. Czy byli parą? Możliwe. Ludzie zawsze wydawali się być w rui. Tak już z nimi było. Czy mieli szczenięta? Nie. Za mało czasu. Thanquol przeklął. Gdyby tylko dowiedział się o tym wcześniej, mógłby wykorzystać jakoś tę wiedzę. Teraz, było już za późno. Musiał przygotować swój umysł na wielkie zakłęcie związania.

– Kościorwij! – wydał rozkaz. – Pilnuj ten samicy. Nie pozwól jej uciec.

Wyczuł na sobie jakieś spojrzenie i zauważył, że najbliższy szponowład Mouldera przygląda się mu uważnie. Thanquol był ciekaw, ile usłyszał z jego konwersacji z samicą. To zresztą nie miało znaczenia. Wkrótce będzie miał dość czasu, by to wszystko zakończyć. Jego wrogowie znajdowali się już prawie w zasięgu łapy.

Felix patrzył, jak statek powietrzny ustawił się w pobliżu wieży. Krasnoludy wyrzuciły haki, a potem podciągnęły delikatnie okręt na miejsce. Wysunięto trap między wieżą i statkiem. Felix wyciągnął swój miecz o smoczej gałce i przygotował się na długie zejście ku ziemi. Był nerwowo. Wyczuwał wbite w siebie spojrzenia złych oczu. Wmawiał sobie, że to tylko jego wyobraźnia, ale wiedział, że to nieprawda.

– Gotowy, człeczyno? – spytał Gotrek.

– Jak nigdy.

– Snorri też gotów – rzucił Snorri Gryzonos.

– Zatem ruszajmy.

Gdy szli po rampie, Felix jeszcze raz poczuł niepokojące uginanie się podłogi pod ich ciężarem i

zdał sobie sprawę, jak wysoko się znajdują. Wiatr rozwiał jego długi czerwony płaszcz i szarpnął za długie włosy. Było zimno, jak zimny może być tylko wiatr z północnych stepów.

Gotrek i Snorri wyglądali komicznie, owinięci w bandaż, gdyby nie ich poważne twarze. Felix szczerze wątpił, by ktokolwiek odważyłby się śmiać z Zabójców, gdy byli w takim nastroju. Samemu nie bardzo było mu do śmiechu. Zauważył, że zarówno Gotrek, jak i Snorri poruszali się powoli i starali się nie urazić swoich rannych boków. Miał nadzieję, że tam na dole nic ich nie zaatakuje. Wiedział, że Gotrek w pełnym zdrowiu był w stanie zmierzyć się ze wszystkim, co chodziło na dwóch nogach i niemal ze wszystkim na czterech, ale w tej chwili krasnolud był ciężko ranny i trudno byłoby na niego liczyć, jeśli ma dojść do walki.

– Pójdę pierwszy – powiedział Felix ruszając w stronę drabiny. Wątpił, by klatka windy jeszcze działała, a zresztą nie chciał zostać w niej uwięziony w razie ataku. To za bardzo przypominało śmiertelną pułapkę.

– W twoich snach, człeczyno – rzekł Gotrek.

– Snorri też musi znaleźć zagładę – rzucił Snorri. – Twoja robota polega na zapisaniu tego, młody Felixie.

– Zgodziłem się to zrobić tylko dla Gotreka, – odparł urażony Felix.

– Cóż, jeśli Snorri znajdzie się tam, gdzie doczeka swojej śmierci, z pewnością będziesz mógł poświęcić mu kilka wersów, człeczyno.

Felix spojrział na ziemię poniżej. Był prawie pewien, że zauważył poruszenie w oknach dworu.

– Czy ktoś tam jest? – krzyknął. Nie było sensu w zachowaniu ciszy. Ewentualni wrogowie już zobaczyli i usłyszeli przybycie „Ducha Grungniego”.

– Z pewnością tam są, człeczyno – powiedział Gotrek. – Słyszę ich.

– Snorri wyczuwa smród skavenów – stwierdził Snorri.

– Świetnie – rzekł Felix. – Tylko tego nam było potrzeba.

– Cieszę się, że tak myślisz, młody Felixie – odpowiedział Snorri. – Snorri też się cieszy.

– Mam kilka spraw do załatwienia z tymi szczurołudźmi – powiedział Gotrek.

– Jestem pewien, że oni mają kilka spraw do załatwienia z nami, Gotreku – odrzekł Felix. Po wydarzeniach w Nuln, był pewien, że skaveny nie mają najmniejszej ochoty rozmawiać z nimi. Tego był pewien. Zmusił się do marszu.

Lurk wyglądał z wielkiego balonu. Wiedział, że statek powietrzny zatrzymał się. Usłyszał zamierzający odgłos silników. Czuł szarpnięcie statku, jakby o coś się otarł, czuł także lekkie boczne drgnięcia, gdy był przywiązywany. Wiedział, że nadszedł czas na jego działanie. Jego własne, a nie Szarego Proroka Thanquola. Wiedział, że jeśli ma kiedykolwiek uciec z tego przeklętego pojazdu pełnego kurdupli, nigdy nie zdarzy się lepsze okazja, niż podczas ataku Thanquola. To zajmie załogę, podczas gdy Lurk spróbuje uciec. Później przyjdzie czas na wymówki dla Thanquola. Lurk przygotował się do akcji.

Ulrika patrzyła na małe postacie wychodzące na platformę powyżej. W jednej z nich rozpoznała Felix. Jej serce zamarło. Nie czuła się tak źle od chwili, gdy oddział uderzeniowy skavenów zaroił się na murach i zaczął wyrzynać jej ludzi. Zebrała się myślą, że przynajmniej udało się jej zabić pół tuzina kłębiących się potworów, zanim została ogłuszona ciosem od tyłu.

To zresztą niewiele zmieniało, ponieważ tych stworów było zbyt wiele. Nadal obliczała, że jej żołnierze wycięli co najmniej połowę skavenów. Czuła mdłości z niepokoju. Przez cały dzień tkwiła zamknięta w piwnicach, część jej domu zamieniono w lochy, nie wiedziała, czy jej ojciec i

przyjaciele nadal żyją, a teraz musiała patrzeć jak ten pyszniący się, rogaty czarnoksiężnik-albinos szykował się do zasadzki na Felixa i jego załogę. Nie miała złudzeń, że nie uda im się odeprzeć szczurołudzi. Na pokładzie statku powietrznego było ich za mało by powstrzymać piskliwe hordy.

Rozejrzała się żałując, że nie ma swojej broni. Nie liczyła na pokonanie wielkiego szczuro-ogra, który służył za ochroniarza Szarego Proroka Thanquola, nawet w pełni uzbrojona, ale przynajmniej miałyby jakieś szanse. Jeśli w ogóle można mówić o jakichkolwiek szansach. Żałowała, że nie posiada czarodziejskich mocy Maxa Schreibera. Wówczas nie miałoby znaczenia, czy jest uzbrojona, czy nie. Cóż za zniszczenie rozpętał mag ostatniej nocy zanim został ogłuszony przez jakieś zaklęcie tego szalonego szczuroczłeka stojącego przed nią! Sam Schreiber musiał zabić pięćdziesiąt skavenów.

Takie myśli prowadziły do nikąd. Gdyby życzenia były koźmi, wszyscy jeździlibyśmy na doborowych rumakach, jak zwykł mawiać jej ojciec. Musiało być coś, co można zrobić. Gdyby mogła ostrzec Felixa i innych oraz uciec. Pomyślała o tym. Nawet jeśli nie uda się jej zbiec, nadal może ich ostrzec. Była twardą córką surowej ziemi. Jeśli ma zapłacić za to życiem, niech tak będzie.

Rozejrzała się po sali i zobaczyła kłębiące się morze szczurzych pysków. Żałowała, że to będzie ostatnia rzecz, jaką zobaczy w tym życiu, zawahała się przez chwilę, a potem otworzyła usta szykując się do ostrzegawczego krzyku.

Szary Prorok Thanquol czuł pulsującą w nim moc. Właściwa chwila zbliżała się. Gurnisson i Jaeger oraz przepiękny okręt powietrzny znajdowali się już prawie w jego łapach.

Sięgnął do sakiewki i znalazł niezbędne składniki. Kawałek magnetyzowanego spaczenia. Fragment metalu pokrytego runami. Trzynastościenny amulet oznaczony trzynastoma śmiertcionośnymi runami o najwyższej mocy. Miał wszystko, co było potrzebne. Był gotów. Tym razem jego wrogowie nie uciekną. Tego był pewien.

Wyprostował łapy, sięgnął do dna swojego ducha, zaczerpnął mocy z wiatrów magii i przygotował się do uwolnienia swojego zaklęcia.

ZASADZKA WE DWORZE STRAGHOVA

Felix spojrział w dół. Nie czuł się szczęśliwy. Spośród wielu rzeczy, jakich nienawidził i których się obawiał, skaveny znajdowały się niemal na szczycie listy. Bał się tych nikczemnych plugawców od czasu pierwszego spotkania ze skavenami w kanałach ściekowych pod Nuln. Co gorsze, wydawało się, że od tego czasu paskudne stworzenia stąpają im po piętach, a nawet zaatakowały Samotną Wieżę przed ich wyprawą na Pustkowia Chaosu. Któż mógłby jednak pomyśleć, że pojawią się tutaj? Najbardziej wysunięte na północ prowincje Kisleva leżały daleko. Czyżby Rogaty Szczur sięgał nawet tutaj?

A jednak, Felix czuł, że w jego życiu nie powinno go już nic zaskakiwać. Czasami wydawało mu się, że on i Zabójca byli najbardziej pechowymi istotami, jakie kiedykolwiek spacerowały po powierzchni ziemi. Wszędzie, gdzie się pojawili, spotykali sługi Chaosu. Wszędzie, gdzie poszli, znajdowali nieszczęścia i zniszczenie. Inna jeszcze myśl zastąpiła poprzednie. Czy możliwe było, że Ulrika żyje i znajduje się w mocy szczuroludzi? Nie był w stanie o tym myśleć spokojnie.

– Czy powinniśmy schodzić? – zapytał Felix. Byli w połowie wysokości drabiny, na piątej platformie.

– Dlaczego nie? – odpowiedział Gotrek. – Chciałeś dowiedzieć się, co wydarzyło się Kislevczykom.

– W tych okolicznościach, jestem całkiem pewien, co się stało.

– Zgadywanie nic nie da, człeczyno. Tak mogą żyć ludzie, którzy podzielili się z nami ogniem i schronieniem.

– Dali ogień, schronienie i wiadro wódki dla Snorriego – dodał Snorri.

– Zatem postanowione – powiedział z przekąsem Felix. – Chętnie sprzedam swoje życie za wiadro wódki.

Felix wiedział, że gdera tylko dla samego gderania. Przekonywał się w myślach, że nawet gdyby nie było tutaj dwóch Zabójców, nadal szedłby naprzód, by poznać los Ulriki i jej rodziny. W otoczeniu Gotreka i Snorriego nie mógł się już wycofać. Zebrał się w garść myślą, że jeśli na dole są skaveny, to zginie wiele z nich.

O ile nie mają ze sobą tych straszliwych strzelców wyborowych. A nawet kilku kuszników. Nie byłoby nic łatwiejszego niż ustrzelić ich z odległości. A może jednak nie? Nie w tym świetle. Nie wśród tych wszystkich drewnianych prętów. A Snorri i Gotrek byli niscy, nie stanowili dobrych celów. Oczywiście, to pozostawiało jeden łatwy cel dla dowolnego strzelca. Felix próbował nie myśleć o tym, jeszcze raz zawisając na szczeblach drabiny.

Szarego Proroka Thanquola otoczyło lśnienie. Przez chwilę Ulrika stała bez ruchu, zastanawiając się, jakie nowe okropieństwo zamierza uwolnić skaveński czarnoksiężnik. Aura mocy otaczająca stwora była zniewalająca. Skaven podniósł dwa przedmioty, które wyjął z sakiewki i zaczął coś śpiewać w swoim piskliwym narzeczu. Ślepią wszystkich skavenów w pokoju odwróciły się w jego stronę. Szczuro-ogr pomrukiwał, jakby wyczuwał gromadzące się siły. Ulrika postanowiła, że nie miało znaczenia, co zamierza zrobić skaven. To była jej najlepsza okazja, by coś uczynić. Bez względu na to, jaką nikczemność ma zamiar popełnić Thanquol, ona musi to zatrzymać.

Wyskoczyła naprzód i posłała obutą stopę prosto w krocze Szarego Proroka Thanquola. Skaven wydał jęk bólu i zgiał się w pół, upuszczając swoje czarnoksiężskie przybory. Powietrze wypełnił

nagle dziwny zapach piżma. Szczuro-ogr ryknął i rzucił się na nią. Ulrika dała nura przed siebie, tuż pod wyciągniętymi pazurami potwora. Minęły ją o cal, a ona prześlizgnęła się pod kolumnowymi nogami i ruszyła w stronę drzwi.

Skaveny piszczały w zamieszaniu. Ulrika odsunęła rygiel na drzwiach i skoczyła do następnej izby. Szczuro-ogr ryczał za nią ze wściekłości. Przed sobą zobaczyła zaskoczonego skavena. Desperacja dodawała jej sił. Rąbnęła go w pysk. Stwór jęknął z bólu i upuścił swój miecz. Ulrika kopnęła go w dolną łapę, a gdy skaven podskakiwał na drugiej, schyliła się i podniosła jego broń. Nie był to oręż, do którego przywykła, ale poczuła się lepiej z bronią w dłoni.

Rozejrzała się. Po lewej znajdowały się schody prowadzące do piwnic, gdzie tkwili uwięzieni jej ludzie. Na prawo był długi korytarz pełen skavenów. Nie było zatem wyboru. Przy odrobinie szczęścia mogło jej się udać uwolnić kilku ludzi. Poza tym, wąski korytarz stanowił znacznie lepsze miejsce do ostatecznej obrony niż otwarta izba.

W takich okolicznościach nie miała żadnego wyboru.

– Co to było? – spytał Felix, słysząc odległy ryk, który brzmiał aż zbyt znajomo. Słysząc w nim było wysoki pisk bólu.

– Dla mnie to brzmi jak jeden z tych wielkich szczurzych potworów – powiedział Gotrek. – Cokolwiek to jest, należy do mnie.

– Czy Snorri też może dostać jednego? – zapytał żałośnie Snorri.

– Możesz wziąć mojego – rzucił Felix, zatrzymując się na najniższej platformie i szykując się do walki.

– Dziękuję ci, młody Felixie – powiedział Snorri. W jego głosie słysząc było szczerą wdzięczność.

Szary Prorok Thanquol ścisnął swoje czułe miejsce i przeklinał. Ta głupia samica zapłaci za zniewagę, obiecywał sobie. Ośmieliła się podnieść swoje brudne łapska na jednym z największych skaveńskich czarnoksiężników. Co gorsza, przerwała mu w chwili, gdy miał wyzwolić swoje zaklęcie, które stanowiło zwieńczenie bezbłędnego planu zasadzki. Czar posiadał wystarczającą moc, by unieruchomić okręt powietrzny. Nie przejmował się tym. Nadal miał dość czasu. Nadal mógł korzystać z elementu zaskoczenia.

W chwili, gdy łyzy strasznego bólu pociekły z jego ślepi, zrozumiał w pełni głupotę swoich podwładnych. Błędnie uznali jego jęk bólu za sygnał do ataku i wybiegli z budynku, by zaatakować Gotreka Gurnissona, Felixą Jaegera i jeszcze jednego Zabójcę. Czy ci głupcy nigdy nie nauczą się wykonywać rozkazów?

W tym momencie zdał sobie sprawę, że stało się najgorsze. Widząc horde szczuroludzi pędzącą ku podstawie wieży, tchórzliwe krasnoludy zaczęły odlatywać. Widział, jak „Duch Grungniego” nabiera wysokości nad polem bitwy. Może uda im się uciec zanim Thanquol zdąży użyć swojej magii. To była straszna myśl.

Thanquol przysiągł, że ludzka samica naprawdę drogo za to zapłaci, gdy tylko dostanie ją w swoje łapy. W tej chwili miał inny problem. Musiał poprowadzić ten atak, zanim zakończy się kompletnym fiaskiem.

Lurk Snitchtongue czuł, że statek powietrzny nagle zaczął nabierać wysokości. Słyszał ryk silników. Jego czułe uszy wyłapywały pokrzykiwania rozkazów wydawanych przez krasnoludy poprzez tuby komunikacyjne na okręcie. Przez jedną chwilę, żałował że nie rozumie tego wulgarnego,

gardłowego języka, ale potem zrozumiał, że nie musi. Było dość oczywiste, co się stało. Krasnoludy wykryły zasadzkę, którą przygotował dla nich Szary Prorok Thanquol i rozpoczęły ucieczkę. Oto kolejny dowód, jeśli trzeba ich więcej, wielkiej niekompetencji Thanquola.

To zresztą w niczym nie pomagało Lurkowi. Nadal tkwił na okręcie, a jego szanse ucieczki przypadły. Słyszał krasnoludy wdrapujące się po drabinach wewnątrz torby powietrznej, gdy kierowały się do wieżyczek zamontowanych na szczycie statku powietrznego. Najwyraźniej szykowały się do walki.

Przez chwilę umysł Lurka ogarnęła bezrozumna wściekłość, która niemal pozbawiła go możliwości rozsądnego myślenia. Chciał wspiąć się tam i powrywać im kończyny, a potem pożreć ich ciepłe, krwawiące ciała. Zanurzy się w ich czaszkach, a potem wysmie smakowite mózgi, aby nasycić swój głód. Wepchnie swój pysk do ich wnętrza i pochłonie jelita, gdy będą jęczeć w agonii.

Równie szybko powróciła skaveńska ostrożność i zapanował nad sobą. Może lepiej będzie wspiąć się na szczyt i sprawdzić, czy w jakiś sposób może wykorzystać sytuację. Z pewnością nie było sensu schodzić do gondoli. Tam było zbyt wielu krasnoludów nawet dla skavena o tak niesamowitej sile, jaką dysponował Lurk. Pomimo swojej przemiany nadal zbyt dobrze pamiętał, jak śmiercionośny jest topór Gotreka Gurnissona.

Szybko doskoczył do drabiny i zaczął piąć się w górę.

– Nadchodzą! – krzyknął Gotrek. Felix pomyślał, że krasnolud nie musi okazywać takiej wesołości, ale zachował tę myśl dla siebie. Wiedział, że wkrótce będzie potrzebował wszystkich sił do walki. Masa stłoczonych skaveńskich wojowników wypadła z domostwa, z obnażonymi mieczami i spienionymi pyskami. To był widok jak z jakiegoś, wyjątkowo paskudnego koszmaru. Natychmiast stracił wszelkie nadzieje na ujrzenie żywej Ulriki. Przynajmniej będzie mógł ją pomścić. W ciągu kilku następnych minut zginie spora liczba skavenów.

Wieża drgnęła. Felix spojrział w górę obawiając się najgorszego. Miał rację. Silniki okrętu powietrznego ożyły z rykiem i powoli odsuwały pojazd. Można było porzucić wszelkie myśli o ucieczce do „Ducha Grungniego”.

„Dzięki, chłopaki” – pomyślał Felix – „Właśnie tego mi brakowało”.

– Chodźcie i zdychajcie! – ryknął Gotrek.

– Snorri ma dla was prezent – krzyknął Snorri wyciągając swój topór w jednej i młot w drugiej dłoni.

Felix oparł się o jeden ze słupów, mając nadzieję, że to zapewni mu ochronę przez pociskami, jakie mogą miotać w niego skaveny. Masa wojowników szczurołudzi dotarła już do stóp wieży. Niektórzy zaroili się wokół drabiny, inni otoczyli podpory samej konstrukcji. Było ich zbyt wielu, by dało się policzyć. Felix zauważył potworny kształt szczuro-ogra wychodzącego z dworku. Biorąc pod uwagę, ile razy te potwory zagroziły mu śmiercią, ten widok nie uspokoił go w najmniejszym stopniu.

– To nie będzie wielka walka – powiedział Gotrek.

– Łatwizna – rzekł Snorri. Felix żałował, że nie podziela pewności siebie tych dwóch maniaków. Jego żołądek skręcał się ze strachu, jak zawsze przed walką. W tej chwili pragnął tylko zderzyć się z wrogiem, by zakończyło się to oczekiwanie. Coś nakazywało mu nawet zeskoczyć prosto w masę skavenów, ale wiedział, że to byłoby samobójstwo. Stał zbyt wysoko, a potem zostałby otoczony ze wszystkich stron i powalony.

Pierwszy futrzany pysk pojawił się na drabinie. Gotrek rozciął go jednym uderzeniem topora. Czarna krew przysła na jego bandaż. Skaven spadł pociągając za sobą inne na drabinie. Felixowi

zaczęło świtać, że jeśli pozostaną w tym miejscu, zachowają spore szanse na przeżycie. Jednocześnie nie może ich dopaść zbyt wielu skavenów, a większość z nich znajdzie się w nieciekawej pozycji, gdy będą musiały wspiąć się na platformę. W tych momentach pozostaną całkiem odsłonięte.

– To zbyt łatwe – rzekł Gotrek.

– Snorri uważa, że powinniśmy zejść na dół i zacząć prawdziwe zabijanie – powiedział Snorri.

„Ani się waż” – pomyślał Felix, zauważając spoglądające na niego różowe ślepia skavena wspinającego się po metalowej podporze. Skoczył ku niemu, ale zdesperowany stwór ruszył naprzód z obnażonymi kłami, usiłując dostać się do gardła przeciwnika.

Po następnym uderzeniu serca Felix był zbyt zajęty walką o życie, by zastanawiać się nad zagrożeniami jakie niesła ta sytuacja.

Varek pędził przez korytarze „Ducha Grungniego”. Szybko dostał się na pokład hangaru. Żyrokoptery czekały. Wspiął się do kokpitu i poruszył dźwignią zapłonu. Silnik z rykiem powrócił do życia. Wiatr uderzył w twarz Vareka, gdy wirniki zaczęły się obracać. Krasnoludzcy inżynierowie już otwierali drzwi z tyłu gondoli. Żyrokoptery ruszały naprzód jeden po drugim i wyskakiwały w noc. Varek cieszył się, że krasnoludy wykorzystały czas przelotu nad Pustkowiami Chaosu, aby wypakować i złożyć latające maszyny. Wyglądało na to, że teraz wszystkie będą potrzebne. Varek poczuł ucisk na dnie żołądka, gdy jego kopter wyskoczył z okrętu powietrznego, a potem wirniki nad nim gwałtownie poruszyły powietrzem i zaczął nabierać wysokości. Sięgnął do torby za sobą i zaczął szukać jednej ze swoich bomb.

Pomyślał, że to było prawie tak ekscytujące, jak wyprawa do Karag Dum.

Ulrika popędziła w dół schodów. Skaven odwrócił się w jej stronę obnażając zęby. Rozbiła jego czerep jednym uderzeniem skradzionego miecza, a zaskoczony kompan skavena zaburczał w jej stronę. Powietrze wypełnił dziwny, ciężki smród. Zauważyła, że stwór wypuszcza piżmo z gruczołów znajdujących się w pobliżu nasady jego ogona. Rzuciła się w jego stronę. Sypnęły się iskry, gdy sparował mieczem jej uderzenie. Nastąpił zgrzyt metalu trącego o metal, gdy przesunęła swoje ostrze w dół główki przeciwnika. Jelce obu broni zetknęły się. Obróciła miecz rozbijając przeciwnika. Ten odskoczył jęcząc o litość. Nie okazała mu jej.

– Co tam się dzieje? – usłyszała poniżej mocny głos. Niemal krzyknęła z ulgi rozpoznając, do kogo należał.

– Ojczy, czy to ty? – już otwierała drzwi.

– Ulrika – powiedział jej ojciec, Ivan ściskając ją z dziką radością. Jego krzaczasta broda laskotała ją w twarz. Zobaczyła za nim jeszcze tuzin obszarpanych i obitych ludzi w piwnicy. – Co się dzieje?

– Powrócił statek powietrzny. Skaveny próbowały urządzić na nich zasadzkę.

– Ilu z nas jeszcze żyje?

– Nie wiem. Myślę, że w piwnicach są inni jeńcy.

Ivan podniósł miecz jednego ze skaveńskich strażników. Rzucił go swojemu wysokiemu i wychudzonemu porucznikowi, Olegowi, a potem podniósł miecz należący do drugiego skavena. Drugi z jego ulubieńców, Standa, niski, krępy mężczyzna o wystających kościach policzkowych wyglądał na niezadowolonego, że dla niego zabrakło broni.

– Plugawy oręż, ale będzie musiał wystarczyć.

– Co zrobimy? – spytała Ulrika.

– Uwolnimy tylu więźniów, ilu uda nam się znaleźć. Zabijemy jak najwięcej skavenów. Użyjemy

ich broni, by uzbroić naszych wojów, a potem będziemy walczyć, lub uciekniemy, w zależności od sytuacji.

- To dość pobieżny plan – rzekła, uśmiechając się.
- Przykro mi, córko, ale to najlepsze, co mogę wymyślić w tych okolicznościach.
- To będzie musiało wystarczyć.

Szary Prorok Thanquol przeżuwał swoją dolną wargę obserwując wojowników rojących się wokół wieży. Widział, że sprawy nie miały się dobrze. Jego odważne skaveny posiadały przewagę liczebną, ale wrogowie zajmowali dobrą pozycję. Gotrek Gurnisson chronił powierzchnię nad drabiną i rąbał wszystko, co się do niego zbliżyło. Drugi Zabójca i Felix Jaeger krążyli po platformie zabijając wszystkich szczuroludzi, którzy wdrapali się po zewnętrznej części wieży. Thanquol czuł się rozdarty między pragnieniem wsparcia swoich oddziałów a powstrzymaniem ucieczki „Ducha Grungniego”.

Stał przez chwilę niezdecydowany, a potem postanowił trzymać się pierwotnego planu, na ile się da. W końcu to on wymyślił swój chytry plan, który powinien działać pomimo niekompetencji jego pomagierów. Otworzył usta i zaczął wyśpiewywać słowa zaklęcia.

Wiatry magii zawyły w jego uszach, gdy czerpał ich energię. Przeniknęła go czysta rozkosz, gdy wypełniła go moc spaczenia.

Felix wykonał unik przez cięciem miecza skavena i natarł na atakującego go szczuroludka. Skaven odskoczył zgrzytając pazurami na metalowej powierzchni wieży, gdy zorientował się, jak blisko jest jej krawędź. Felix przeklął. Miał nadzieję, że w panice stwor od razu zeskoczy. Cóż, zawsze można mu trochę pomóc. Felix skoczył naprzód wkładając w to cały impet swojego ciężaru. Skaven był znacznie lżejszy i poleciał plecami w powietrze ponad brzegiem platformy. „I bardzo dobrze” – pomyślał Felix zanim zauważył, że stworzeniu udało się chwycić belki wspornika swoim ogonem. Wisiał na nim łbem w dół. Uśmiechając się złośliwie Felix odrąbał długi, bezwłosy ogon stworza. Ogon oddzielił się od ciała, a skaven wrzasnął coś w swoim niezrozumiałym języku spadając ku własnej śmierci. Felix zdążył skrzywić się z satysfakcją zanim chrobotanie pazurów na metalu ostrzegło go o kolejnym skavenie za nim.

Obrócił się unosząc miecz i stanął naprzeciw wroga.

Lurk wystawił pysk przez właz. Rozejrzał się. Krasnoludy zajęły pozycje za dziwnie wyglądającymi działami, które wypełniały obrotowe wieżyczki na szczycie okrętu powietrznego. Widział wystarczająco wiele maszyn klanu Skryre, by zorientować się, że te działa z pewnością rozerwą go na strzępy, jeśli spróbuje je zaatakować. Chociaż był potężnym i niezwyciężonym skaweńskim wojownikiem, nie widział sensu w prowokowaniu niepotrzebnej śmierci. Tu nie było dla niego nic do roboty.

Pod nim rozległ się ryk i nagle nad okrętem powietrznym pojawiła się jakaś latająca maszyna. Lurk skrył się, gdy przemknęła tuż nad jego głową. Myślał o potężnym czarodziejstwie, które napędza mały pojazd. Gdyby tylko wiedział o nich wcześniej, może udałoby mu się ukraść jeden z nich i uciec.

– Oj! Co to takiego? – usłyszał krzyk jednego z krasnoludów.

Niechaj Rogaty Szczur pożre ich dusze, krasnoludy zauważyły go. Zniknął z pola widzenia, opuszczając się na drabinie. Zastanawiając się, co dalej robić. Może mógłby schować się wśród worków gazu, wypełniającego balon? Nie. To bez sensu. Wcześniej, czy później znajdą go i

sprowadzą wystarczające siły, by go zabić. Chociaż z pewnością w ten sposób wypełniłby polecenie Thanquola, który nakazał mu wszczęcie zamieszania na pokładzie, to jednak nie pomogłoby mu w żaden sposób. Jeśli ma zamiar pomóc w zwycięstwie Thanquola, wolał pozostać żywy, by móc wziąć udział w triumfie. Zresztą część jego umysłu podpowiadała, że Thanquol nie pozwoli nikomu dzielić się swoim zwycięstwem.

Schodził nadal, aż dotarł do dna torby gazowej. Widział krasnoludzkie twarze spoglądające na niego z włazu, który prowadził do właściwego statku powietrznego. Zdecydowanie wyglądały złowrogo. A zatem nie pozostaje nic, poza walką. To nie była pierwsza rzecz, o której zwykle myślał, ale wyglądało na to, że nie ma wyjścia.

Obnażył kły i wyciągnął pazury. Przerażony krasnolud uskoczył do gondoli zatrzasnąwszy za sobą właz. Fala bólu przeniknęła Lurka. Zauważył, że jego ogon został przytrzaśnięty przez ciężki właz.

Był pewien, że ktoś za to zapłaci.

Ulrika przedzierała się przez ciemne piwnice. Smród skavenów mieszał się z zapachami, jakie pamiętała od dzieciństwa. Wszystko jednak przenikał odór zbyt wielu ludzi stłoczonych w zbyt małym miejscu. Cieszyła się jednak. To znaczyło, że jej ludzie nadal żyli. Nie śmiała żywić takiej nadziei. Byli zamknięci wraz z beczkami wódki oraz w piwnicznych spiżarniach, opróżnionych z zapasów, które zabrała głodna skaveńska horda.

Żałowała, że nie ma latarni. Żałowała, że nie ma więcej broni. Odsunęła od siebie te myśli. Nie miało sensu marzenie o czymś, czego mieć nie może. Musiała działać z tym, co już ma. Nasłuchiwała. Nawet poprzez dobrze ubitą ziemię dało się słyszeć odgłosy walki. Słyszała ryk szczuro-ogra, piski rannych skavenów i odgłos czegoś jeszcze.

To brzmiało jak eksplozje. Co się tam działo? Czy skaveński czarnoksiężnik uwolnił jakieś wstrętne zaklęcie? Popchnęła drzwi ostatniej piwnicy i stanęła przed dwoma kulącymi się skayenami. Najwyraźniej zostali tu pozostawieni w jakim szczególnym celu, a ten cel stał oczywisty chwilę później. Jeden z nich trzymał nóż na gardle Maxa Schreiber. Max był nieprzytomny, jego piękne złote szaty były brudne i porwane. Inny skaven, wielki potwór o czarnym futrze podniósł się i ruszył w jej stronę.

– Szykuj się na śmierć, głupia samico – zapiszczał w źle akcentowanym reikspieli.

Felix dostrzegał zły obrót rzeczy. Pomimo ich wysiłków, na platformie pojawiało się coraz więcej skavenów. Snorri i Gotrek, spowolnieni na skutek swych ran, nie walczyli tak dobrze, jak zazwyczaj. Trzech z nich nie było w stanie zabezpieczyć wszystkich stron, przez które wróg mógł dostać się na ich platformę. Były tam cztery kolumny, po jednej na każdym z rogów wieży, oraz drabina pośrodku. Podczas gdy udawało im się opanować trzy z tych dróg, zawsze istniały dwie pozostałe, przez które wdzierało się coraz więcej skavenów, a nawet tych nie byli w stanie odeprzeć.

Rozejrzył się. Ranni czy nie, Zabójcy rozpętali wokół siebie piekło. Podłoga platformy lepiała się od krwi i rozlanych wnętrzności. Coraz trudniej było w tym bałaganie znaleźć pewne oparcie dla stóp. Felix obawiał się, że każdej chwili może stracić równowagę i runąć na dół. Tu i tam, w przyćmionym świetle zauważał ciała dosłownie rozdarte na strzępy toporem Zabójcy. Widać było porozrzucane kości, płuca i inne organy wewnętrzne.

W krótkiej chwili przerażającego przeblysku, Felix dostrzegł, że te wnętrzności ułożone były inaczej niż w ludzkim ciele. Widział wystarczająco wiele otwartych zwłok, by o tym wiedzieć. W ułamku chwili kątem oka zauważył Gotreka. Zabójca stał na szczycie stosu zmasakrowanych ciał. Jedną dłońią unosił w powietrzu skavena i dusił go, podczas gdy jego topór opisał łuk

powstrzymując z dala towarzyszy stwora. Czarna krew skavenów nasączyła bandażę Gotreka. Z jego ust kapłała piana. Wył jak szalenie zagłuszając piszczące, trwożliwe okrzyki wojenne i jęki przeciwników. W pobliżu, Snorri wymachiwał oboma broniami tnąc i tłukąc niczym oszalały rzeźnik z piekła rodem. Walcząc uśmiechał się, najwyraźniej ciesząc się z czynionego spustoszenia i niepomny na bliskość śmierci.

Smród był obrzydliwy. Był to odór mokrego futra skavenów, dziwny piżmowy zapach, jaki wypuszczały przerażone, smród ekskrementów, rozdartych ciał i krwi. W innym miejscu Felix odczuwałby mdłości, ale teraz zapachy tylko drażniły. Jak zawsze, gdy zbliżała się śmierć, jego zmysły stawały się niesamowicie wyostrzone. Zdawało mu się, że smakuje każdą chwilę życia.

Jego uszy wypełnił straszliwy ryk. Nagle zauważył błyski na dole wieży oraz poruszające się wielkie, złowróżbne cienie nad nim. Zaryzykował rzut oka w górę i zauważył żyroskopier katapultujący się z okrętu powietrznego. Z maszyny wydobywały się błyski. Przez chwilę zauważył szalone oblicze Malakaia Makaissona za sterami pojazdu, gdy zwariowany inżynier zrzucił deszcz bomb u podstawy wieży. Felix słyszał pełne udręki, przerażone krzyki stłoczonych tam skavenów. Sama wieża zatrzęsała się, jakby kopnął ją olbrzym, a Felix musiał walczyć o utrzymanie się na nogach pośród posoki. Szeptał modlitwę do Sigmara prosząc go, by bomby nie posłały na ziemię całej konstrukcji grzebiąc ich pośród chaosu zmiażdżonych drewnianych podpór.

Felix zastanawiał się, czy Makaisson ma jakieś pojęcie, co robi? Czy dbał o to? Spoglądając w dół, Felix dostrzegał straszliwe straty wśród skavenów. Zmiażdżone szczuroludzkie ciała wylatywały w powietrze. Niektóre były kompletnie rozdarte na kawałki siłą eksplozji. Inne leżały na ziemi, pozbawione kończyn, krwawiące i piszczące. Aż dziw, że skaveny utrzymywały pozycję w obliczu tak gwałtownego ataku. Felix zauważył, że spada coraz więcej bomb, tym razem z okrętu powietrznego. Jedna trafiła w wieżę obok niego, z syczącym lontem. Przez jedną straszliwą chwilę Felix czuł, że jego czas się skończył i za chwilę zostanie rozerwany na tysiąc drobnych kawałków. Zamarł w miejscu, ale potem powróciła odwaga i zdolność ruchu.

Kopnięciem wyrzucił bombę z platformy. Widział jak sypiąca iskrami bomba znika w tłumie poniżej. Ułamek chwili później straszliwa eksplozja szarpnęła skavenami.

„To było zbyt blisko, – pomyślał Felix. Potrząsnął pięścią w powietrzu i krzyknął: – Patrz co robisz, ty głupi bękarcie!”

Tego było zbyt wiele dla skavenów na dole. Rozproszyły się we wszystkie strony nie potrafiąc stać w obliczu śmierci spadającej na nie z nieba. Uwagę Felixa przykuło lśnienie w drzwiach dworu. Zobaczył znaną postać Szarego Proroka, okrytą blaskiem. Zdumienie niemal go sparaliżowało. Rozpoznał skaveńskiego czarnoksiężnika. To był Szary Prorok Thanquol, który dowodził atakiem na Nuln, i którego Felix po raz ostatni widział uciekającego z sali balowej pałacu hrabiny elektorki. Felix ciekaw był, jak on się tutaj dostał. Czy stwór przebył całą drogę tylko po to, by dokonać zemsty? Czy możliwe było, że Szary Prorok stał za atakiem na Samotną Wieżę?

Widząc wirującą energię wokół postaci domyślał się, że Szary Prorok zamierza rzucić zaklęcie. Co za nowe szaleństwo zamierzał rozpętać?

Lurk stał na krawędzi gondoli. Poniżej widział całą piekielną scenę podświetloną rozbłyskami bomb. Widział swoich pobratymców bez litości rozdzieranych na strzępy gwałtownymi wybuchami i czuł się w pełni szczęśliwy, że nie jest wśród nich. Ulga znikła, gdy zrozumiał, jak bardzo osobliwa jest jego pozycja. Jeśli wkrótce nie opuści statku powietrznego, zostanie złapany przez krasnoludy i pokonany na skutek ich przewagi liczebnej. Musiał natychmiast uciekać, ale nie znajdował sposobu, by tego dokonać.

Poza jednym. Statek powietrzny zbliżał się ponownie do wieży. Być może uda mu się przeskoczyć ze szczytu gondoli na wieżę. To było niebezpieczne, a jeśli źle obliczy skok, albo poślizgnie się, spotka go pewna śmierć. W każdym razie lepsza była taka szansa niż żadna. Lurk zebrał w sobie całą odwagę. Poczul, jak napinają się jego mięśnie, serce zaczęło bić szybciej, a gruczoły piznowe ścisnęły się.

Zamierzał to zrobić w jednej z najbliższych sekund.

Ulrika uchyliła się pod ciosem skavena o czarnej sierści i odpowiedziała uderzeniem. Stwór odskoczył i wpadł na skavena trzymającego miecz przy karku Schreibera, posyłając kompana w powietrze. Ulrika zrozumiała, że szczuroczłękowi najprawdopodobniej kazano zabić czarownika przy pierwszych oznakach jakichkolwiek kłopotów. To miało sens. Sam Schreiber, gdyby tylko odzyskał świadomość, mógłby wyrządzić tyle szkód, co oddział kawalerii. Czarodziej władał taką mocą.

Pomyślała, że musi zrobić wszystko, by uratować mu życie i to szybko. Skoczyła naprzód, gdy skaven jeszcze toczył się po ziemi i rozbiła czaszkę dużego czarnego stwora jednym potężnym uderzeniem. Jego ciało padło na podłogę, przygniatając mniejszego. Wykorzystując ten fakt zanurzyła swój miecz w gardle jeszcze żywego skavena, a potem kopnęła go kilka razy dla pewności.

Po upewnieniu się, że oba nie żyją, odwróciła się do Schreibera. Był poobijany, a łuki brwiowe czarodzieja wyglądały na rozbite, ale szybko sprawdziła, że jego serce nadal bije. Była szczerze wdzięczna, że tak się stało. Delikatnie potrząsnęła nim, wiedząc, że takie traktowanie rannego jest ryzykowne, a jednak musiała obudzić go, aby mógł jej pomóc. Jęknął i coś zamamrotał, ale otworzył oczy. Ulrika widziała jak powoli powraca w nich świadomość. Uśmiechnął się rozbitymi ustami.

– Jestem zbyt trzeźwy, by być martwym – odezwał się wreszcie. – Miło jest powracać do świata żywych i zostać powitany przez tak piękną twarz.

– Nie ma czasu na komplementy, Maxie Schreiberze. Skaveny nadal tu są, a na szczycie schodów toczy się walka. Potrzebujemy twojej pomocy.

– Zawsze to samo – mruknął, powoli i boleśnie podnosząc się na nogi. Obejrzał się patrząc zdegustowany na jego zabrudzone złote szaty.

– Nikt nie chce znać czarownika... dopóki nie pojawi się problem. Wtedy, to co innego.

– *Herr* Schreiber, czy twoje rany pozbawiły cię rozumu?

– Nie, Ulriko. Staram się także rozjaśnić sytuację za pomocą żartu. Jesteś cudowną kobietą, ale jeśli wolno mi powiedzieć, twoje poczucie humoru nie należy do twoich mocnych stron.

– Lepiej zbieraj się, Max.

– I dziękuję ci za uratowanie życia. Jestem twoim dłużnikiem.

– Niczego nie jesteś mi winien. Po prostu wyjdź stąd i zacznij rzucać zaklęcia, jak to czyniłeś zeszłej nocy.

Skinął głową, a potem nagle jego twarz spoważniała.

– Szary Prorok Thanquol gromadzi swoje moce i to potężne. Nigdy nie czułem wichrów magii tak silnie wirujących i tak szybko pędzących. Zastanawiam się, jakie kłopoty oznacza to dla nas?

Szary Prorok Thanquol czuł wzbierającą w nim moc. To było niczym poruszający się wąż w jego brzuchu i klatce piersiowej, który pragnął wydostać się na zewnątrz. Wiedział, że pochłoniął niesamowitą ilość spaczenia. Było tego dość, by pomniejszy skaveński mag po przyjęciu takiej dawki eksplodował lub rozpuścił się w maż składników pierwszych. On jednak był Thanquolem. Był największym z Szarych Proroków, najpotężniejszym z magów, najwyższym czarnoksiężnikiem ludu

skavenów. Nic nie pozostawało poza jego mocą. Nic.

„Kontroluj się” – upominał się w myślach. „Myśl. Myśl”. Znał aż zbyt dobrze poczucie wszechogarniającej pewności siebie, która przepełniała nałogowych użytkowników spaczenia w podobnych chwilach. Istotnie, uważał że większość skaveńskich czarnoksiężników odczuwała chwile najwyższej potęgi na kilka uderzeń serca, zanim spaczeń kończył z nimi. On nie zamierzał zostać jednym z nich. Prawdą było, że podobnie jak wszyscy Szarzy Prorocy miał spory szacunek do swoich zdolności, ale nie zamierzał pozwolić proskowi z surowego pyłu Chaosu, by pozbawił go zmysłu samozachowawczego. Zmysł ten nakazywał mu w tym momencie wzięcie się w garść i mówił mu, że musi rzucić zaklęcie oraz uwolnić moc, zanim ta go pochłonie. Trudno było to zrobić z taką ilością surowej energii czarodziejskiej krążącej w jego żyłach. Ekstaza o nieograniczonej mocy pulsowała w jego mózgu, ale wiedział, że musi to zrobić, albo zagłada będzie nieunikniona.

Powoli zmusił się do recytacji słów potężnych inkantacji, które przygotował. Rekonstruował zawily labirynt gestów, które skupiały magię, jeden po drugim. Gdy poruszał łapami, strumienie czystej energii magicznej podążały za jego pazurami, jak gdyby wycinając otwory w samej materii rzeczywistości, co jak sądził, faktycznie było prawdą. Poruszał ramionami wykonując coraz szersze gesty, coraz głośniej wykrzykiwał potężne sylaby inkantacji. Wokół jego ciała tańczył nimb światła. Czysta energia magiczna zaczęła wyciekać z jego ślepi, z pyska, nosa i niższych części ciała. Czuł moc kotłującą się w jego wnętrznościach niczym kwas i wiedział, że walczy z czasem. Jeśli wkrótce nie ukończy zaklęcia, moc rozerwie go na strzępy. Część umysłu, która nie była zajęta wiązaniem skomplikowanej geometrii zaklęcia obiecywała, że już nigdy nie pożre tyle spaczenia.

Przebrnął przez ostatnie potężne sylaby inkantacji i wykonał ostatni gest łapą. Powoli z jego ciała uniosła się poskręcana masa zielonych macek. Potem te włókna wyciągnęły się jedno po drugim i zaczęły szukać statku powietrznego. Thanquol czuł łaskotanie całego ciała przez wibrującą energię. Jego futro podniosło się, a ogon wyciągnął na całą długość. Całe ciało stało się niesamowicie wrażliwe. Najlżejszy pocałunek powietrza na jego szczecinie wywoływał odczucie, jakby ktoś szorował go metalową szczotką. To było bolesne, ale jednak przyjemne. Zmuszało go do dalszej koncentracji. Postrzegał każdą mackę energii jako przedłużenie samego siebie, rzecz, którą może kontrolować i czuł się jakby to były zakończenia jego łap.

Rozciągnął sieć mocy. Zaklęcie było wielką łapą, za pomocą której mógł uchwycić statek powietrzny i unieruchomić go. Teraz te głupie krasnoludy dowiedzą się, jaką głupotą było sprzeciwianie się Szaremu Prorokowi Thanquolowi, najpotężniejszemu z magów, mistrzowi całej magii. Weźmie ich drobny statek powietrzny i zmiażdży go. Rozbije go na kawałki i uderzy nim o ziemię. Potem...

Nie! O czym on myślał? To przemawiał przez niego pył spaczenia. Wystarczy, jak unieruchomi okręt latający i pozwoli przejąć go swoim podwładnym. Tak. To było to. „Skoncentruj się” – mówił sam do siebie. „Nie spuszczaaj oka z celu, które jest już prawie w twojej mocy”.

Jego poszukujące palce mocy dotknęły gondoli statku powietrznego. Thanquol pisnął. Poczuł jakby go oparzyło. Cóż to była za nikczemność? Jakie złe czarodziejstwo tu działało? Obserwował strumienie zielonego światła odsuwające się od okrętu na jego rozkaz. Oczywiście, statek był chroniony przed magią Chaosu. Musiało tak być, skoro przelatywał nad Pustkowiami. Thanquol ostrożnie posłał z powrotem swoje macki. Wiedział, że ma dużo czasu. To co wydawało się dla niego minutami w jego wzbudzonym stanie, dla innych trwało krótkie uderzenia serca. Jego badawcze macki igrały wokół gondoli i wycofywały się. Sięgnął ku torbie powietrznej. Sukces! Nie była chroniona. Nie! Poprawka. Część z niej była. Fragmenty podtrzymujące wieżyczki. Przesuwając moc wzdłuż dolnej części torby powietrznej wyczuł nagle znajomą, a jednak subtelnie zmienioną

obecność. To był Lurk! Odłączył jeden strumień energii, aby pochwycić jego samowolnego wysłannika, łapiąc go w połowie skoku. Reszta kontynuowała oplatanie się wokół niechronionych części torby powietrznej, utrzymując statek powietrzny na miejscu.

Nie! Co się działo?! Dlaczego zaczynał odrywać się od ziemi?! To nie powinno się... Zaraz! Już wiedział. Sam Thanquol nie był w stanie zatrzymać statku powietrznego. Jego waga była nieznaczna w porównaniu z masą okrętu latającego. Po chwili zastanowienia zrozumiał, że musi sam zakotwiczyć się w ziemi.

Z szybkością myśli stworzył więcej strumieni energii spaczenia i posłał je wbijając głęboko w ziemię, niczym korzenie rośliny, której wzrost przyspieszyła magia. Teraz był przyczepiony do jednego miejsca. Teraz miał punkt oparcia, dzięki któremu mógł zмагаć się z silnikami statku powietrznego. Jeszcze raz wyciągnął swoją moc.

Natychmiast znowu zaczął być przyciągany ku ziemi, razem ze statkiem. Tak było znacznie lepiej. Był olbrzymem! Był bogiem! Dzięki swojej magii ściągnie „Ducha Grungniego” prosto z nieba. Złapał go niczym rybę na sznurku wędki, a teraz musiał tylko przyciągnąć go do siebie. Ci żałośni głupcy nie mogli niczego zrobić, by go powstrzymać.

Wyciągając moc najdalej jak się dało, powoli zaczął ściągać statek powietrzny na ziemię.

Felix patrzył zdumiony na masę lśniących strumieni światła wypadających z drzwi dworku, wijących się wokół wieży niczym węże i wreszcie otaczających statek powietrzny. Na chwilę walka zatrzymała się, a oczy wszystkich skierowały się ku temu czarodziejskiemu spektaklowi. Światła dotknęły gondoli i natychmiast cofnęły się, ale zostały odepchnięte tylko na moment. Prawie natychmiast ponownie otoczyły balon. Felix dostrzegał uginającą się powierzchnię torby powietrznej i zastanawiał się, czy skaven rozerwie torbę i zniszczy statek.

Kilka sekund później oczywiste było, że nie na tym polega plan Szarego Proroka. Felix patrzył z otwartą szczęką, gdy „Duch Grungniego” powoli zaczął być ściągany ku ziemi. Skaveny przerwały odwrót zatrwożone pokazem mocy Szarego Proroka. Wyglądało na wysoce prawdopodobne, że statek powietrzny zostanie przechwycony.

Wyglądało na to, że okręt, a wraz z nim całą wyprawę do Karag Dum, czeka zagłada.

BITWA!

Ulrika i Max Schreiber biegli przez piwnice. Wszędzie wokół tłoczyli się uwolnieni więźniowie. Niektórzy uzbroili się w broń zabraną martwym strażnikom skaveńskim, inni trzymali pałki wykonane z połamanych krzeseł, stare narzędzia i noże kuchenne. Ulrika nie czuła się spokojniejsza.

– Ilu? – zapytała ojca.

– Około trzydziestu zdolnych do walki. Wszystkich około pięćdziesięciu.

– Tak niewielu?

– Tak niewielu.

– Czy myślisz, że nasze patrole wrócą na czas?

– Nie możemy na to liczyć.

– Co się dzieje na górze?

– Powinnaś wiedzieć o tym lepiej, córko. Cały czas byłem na dole.

– Nad nami uwolniono potężną magię – powiedział Max Schreiber. – Obawiam się, że skaveni zamierzają pochwycić statek powietrzny. Podejrzewam, że planowały to od dawna.

– Trzeba je powstrzymać.

– Jak? Nie mogliśmy ich zatrzymać ubiegłej nocy, gdy mieliśmy mury i stu uzbrojonych ludzi. Jak dokonamy tego teraz?

– Musimy coś wymyśleć, córko.

Max Schreiber uśmiechnął się.

– Mamy przewagę, której nie posiadaliśmy zeszłej nocy.

– A cóż to takiego? – spytała Ulrika.

– Nie spodziewają się nas.

– Na Taala, Maxie Schreiberze, masz dar dostrzegania jasnej strony życia! – huknął Ivan.

– Ruszajmy na górę i zobaczmy, co da się zrobić. Mamy przynajmniej szansę na ucieczkę podczas zamieszania.

– Nie będzie żadnej ucieczki, Maxie Schreiberze. To jest dom moich przodków. Nie porzucę go na pastwę jakiś śmierdzących, plugawych szcziroludzi.

– Teraz rozumiem, dlaczego tak dobrze dogadujesz się z krasnoludami – rzeki Max Schreiber. – Wszyscy jesteście uparci jak diabli.

Felix Jaeger patrzył w podziwie jak Szary Prorok ściąga „Ducha Grunniego” ku ziemi. Mały skaven toczył zmaganie z potężnym pojazdem i wygrywał. Krasnoludy nie dadzą się jednak pokonać bez walki. Silniki statku powietrznego ryczały, a Felix widząc ką ustawienia stateczników rozumiał, że ktokolwiek stoi przy sterach, usiłuje unieść okręt. Strumienie energii pozostawiały lśniący powidok w jego oczach. To był niesamowity pokaz mocy magicznej, jeden z największych, jakie widział.

– Lepiej zejdźmy na dół i zabijmy skaveńskiego magika – odezwał się Gotrek.

– Dobry plan – rzekł Snorri.

„Idiotyczny plan” – pomyślał Felix. Wszystko, co musieli zrobić, to wywalczyć sobie drogę przez małą armię skaveńską i zmierzyć się z czarnoksiężnikiem, który jest w stanie ściągnąć statek powietrzny z nieba. Z drugiej strony, nie mógł wymyślić niczego lepszego. Statek zapewniał największe szanse na ucieczkę, a jeśli zostanie przechwycony lub zniszczony, wówczas będą

skończeniu.

– Ruszajmy zatem – rzucił Felix bez wielkiego entuzjazmu.

„Teraz nadszedł moment mojego triumfu” – pomyślał Szary Prorok Thanquol. „Teraz wszystkie skaveny złożą ukłon przed moim geniuszem. Teraz Rada Trzynastu musi uznać moje osiągnięcia”. Czuł się zdolny do osiągnięcia i ściągnięcia księżyców z nieba i gwiazd z firmamentu. Pomyślał, że to może nie jest zły pomysł. Podobno Morrslieb, mniejszy księżyc, był zrobiony z gigantycznego kawałka spaczenia. Gdyby mógł go zatem dosięgnąć, wówczas...

Nie. Lepiej trzymać się spraw bieżących. Najpierw przechwyci statek powietrzny, a później zdobędzie Morrslieba. A jeśli nie dosięgnie go swoimi zaklęciami, to może uda mu się tam dolecieć okrętem latającym. W umyśle Thanquola pojawił się plan pełny niesamowitego rozmachu. Mógłby użyć statku powietrznego, aby dolecieć do księżyca i wykopać tyle spaczenia, ile tylko by chciał. To będzie osiągnięcie nieporównywalne z żadnym z zapisanych w annałach rasy skavenów i z pewnością nagrodą będzie miejsce przy stole Rady. Co najmniej. Może cała Rada skłoni się przed nim i uzna go za największego ze wszystkich sług Rogatego Szczura. Majestatyczność tej wizji była tak wielka, że przez chwilę Thanquol pograżył się w jej kontemplacji. W tej chwili poczuł jak włókna mocy rozluźniają uchwyt i powrócił do rzeczywistości zdając sobie sprawę, że najpierw musi wyciągnąć swoją rybkę na brzeg, zanim to wszystko stanie się możliwe. Wznowił zmagania ze zdwojoną zjadłością.

Lurk był nieszczęśliwy. W połowie skoku schwyciła go jedna z tych wielkich macek energii i ściągnęła na ziemię w ułamku chwili. Lurk od dawna wiedział, jak potężny jest Szary Prorok, ale nigdy do tej pory nie poczuł tak dosłownego dowodu tej mocy. Czy była to jakaś zemsta dokonana przez Szarego Proroka Thanquola za jego nielojalne myśli? Czy Thanquol był świadom pomysłów Lurka dotyczących jego osoby? Czy planował zakończyć cierpienia Lurka ciskając go na ziemię?

„– Nie-nie, mistrzu! – zabełkotał. – Oszczędź najwierniejszego ze swoich sług. Będę ci służył wiernie do końca moich dni. Zniszcz tamtych plugawców. Oni cię nienawidzą. Nie ja. Ja zawsze robiłem dla ciebie co najlepsze!”

Jeśli Thanquol usłyszał najszczerze modlitwy Lurka, nie dał znaku. Przepełniony trwogą Lurk patrzył na zbliżającą się ku niemu ziemię.

Ulrika wbiła miecz w plecy skavena kulącego się w sali i podeszła do okna, aby zobaczyć źródło dziwnego lśnienia. Nigdy nie widziała niczego podobnego. Rogaty skaveński mag unosił się w powietrzu jakieś dwadzieścia kroków nad ziemią. Do ziemi przykuwały go setki strumieni światła, a setki innych ściągały na dół opierający się statek powietrzny.

Poniżej, setka skaveńskich pysków kierowała się ku niebu. Stały zatrzymane w zdumieniu, przyglądając się swemu panu podczas pracy. Za sobą usłyszała mruknięcie Maxa Schreiberera:

– Na Sigmara, jak on utrzymuje taką moc i nie wybucha? Musiał pożreć najczystszy spacjeń, a jednak nie umarł.

– Co takiego? – spytała.

– Ten stwór jest wypełniony surowym proszkiem Chaosu. Używa go do zasilenia swojego zaklęcia. To powinno być niemożliwe do wykonania dla dowolnej śmiertelnej istoty, ale tak się dzieje. Nie mam pojęcia, w jaki sposób.

– Może byłoby lepiej, gdybyś zaczął zastanawiać się, jak go zabić – zasugerowała Ulrika.

– Nie jestem pewien, czy mam dość siły.

- A zatem sprawy nie wyglądają dobrze.
- Przejawiasz tendencje do niedoceniań sytuacji, moja droga.

Felix obserwował Gotreka opuszczającego się po drabinie. Jedną ręką Zabójca trzymał się szczebli, a w drugiej trzymał swój topór niczym pałkę opuszczając ją na czaszki skavenów pod nim. Popychanemu czystą zaciekłością Gotrekowi udało się dotrzeć na dół i oczyścić przestrzeń wokół podstawy drabiny. Kilka chwil później dołączył do niego Snorri. Nie widząc innego wyjścia, Felix zaczął schodzić.

Ryk dobiegający z nad głowy powiedział mu, że żyrokoptery powróciły, by wykonać kolejny nalot. Felix widział bombę toczącą się ku lewitującemu Szaremu Prorokowi. Czas palenia się lontu w najlepszym razie nie był dobrze obliczony i bomba przetoczyła się obok Thanquola, by eksplodować wśród skavenów. Po raz kolejny uświadomiwszy sobie niebezpieczeństwo, próbowały rozpaczliwie uskoczyć na bok, ale zostały rozerwane przez krasnoludzki materiał wybuchowy.

Felix zadrżał myśląc o tym, jak niewiele brakuje, by jedna z tych bomb przypadkiem zboczyła i objęła wybuchem jego samego, Gotreka i Snorriego. Wolał o tym nie myśleć. Zamiast tego rzucił się naprzód, rąbiąc desperacji w prawo i w lewo, usiłując dać z siebie wszystko, by wyciąć sobie drogę przez stłoczone szeregi skavenów i dotrzeć do miejsca, nad którym unosił się Szary Prorok Thanquol. Niestety, Felix nie wiedział, co powinien zrobić, gdy już tam dotrze.

Szary Prorok Thanquol otworzył usta i wydał z siebie szaleńczy śmiech. Jego zmysły rozszerzyły percepcję wraz z zasięgiem mocy. Postrzegał sam siebie jako wielkiego olbrzyma patrzącego na robactwo poniżej. Jego duchowa forma była równie wielka, jak statek powietrzny, którego się uczeplił. Był istotą o niesamowitych rozmiarach. Pomyślał, że z pewnością tak czuł się Rogaty Szczur spoglądając na świat śmiertelników. Thanquol pomyślał, że to może być omen, zwiastun rzeczy, które mają nadejść. Może nie będzie końca przeznaczenia Thanquola. Może dotrze tam, dokąd nie dotarł jeszcze żaden skaven i osiągnie szczyty bóstwa. Z pewnością w tej chwili, gdy spaczeń krążył w jego żyłach, to wszystko wydawało się możliwe. Mógł osiągnąć wszystko.

Teraz był panem sytuacji. Nic nie mogło go zatrzymać. Nawet jego przekłeta nemezis Gotrek Gurnisson, ani jego nikczemny pomagier Felix Jaeger. Wreszcie, po tych wszystkich długich miesiącach wysiłków, uda mu się osiągnąć całkowite zwycięstwo nad nimi. Jakże słodkie to było uczucie!

Zaraz! Co to było? Spojrzał w dół i zobaczył mijający go żyrokopter. Zauważył bombę, która przetoczyła się obok niego i wybuchła wśród oddziałów, posyłając ich wirujące dusze ku Rogatemu Szczurowi. Jak śmiać atakować wybrańca Rogatego Szczura na ziemi? Pokaże im. Z szybkością myśli sięgnął jedną ze swoich macek mocy i rąbnął w żyrokopter jak człowiek zabijający muchę. Niestety był odrobinę za wolny, by złapać mknący pojazd i chybił.

Przypadkowo przypomniał sobie o czymś przyczepionym do jednej z jego macek. Oczywiście. To był ten łajdak, Lurk. Przez chwilę Thanquol rozważał rozbicie nędznego pomagiera o ziemię jako karę za jego porażki, ale potem, dzięki psychicznemu łączu, które pozwalało przekazywać wrażenia poprzez strumienie energii, usłyszał w jak wdzięczny sposób Lurk składa mu obietnice wiecznej wierności. Co więcej, zdał sobie sprawę ze zmian, które dotknęły jego pomocnika, o spaczeniu krążącym w jego ciele i mutacji, jaką przeszedł. To było warte zbadania. Poświęcił chwilę na niezbyt delikatne umieszczenie Lurka na ziemi i wznowił swoje próby złapania żyrokoptera.

Pojazd okazał się nieuchwytny we frustrujący sposób. A jednak uważał, że czysta satysfakcja z jego rozbicia będzie wystarczającą nagrodą.

Felix patrzył przerażony na strumienie światła uderzające w żyrokopter. Mały machina latająca zaczęła się rozpadać. Jej części spadały beładnie z nieba, aby rozbić się o ziemię zabijając koleje skaveny. Wielki kłęb pary i dymu buchnął z zepsutego silnika pojazdu. Potem nastąpiła potężna eksplozja, której podmuch zwałił go z nóg. Felix domyślał się, że właśnie wybuchły zapasy bomb na pokładzie żyrokoptera. Krzyki skavenów powiedziały mu, że krasnoludzki pilot nie był jedyną ofiarą.

Nad nim śmigały pozostałe żyrokoptery. „Jeden na dole, trzy zostały” – pomyślał Felix.

– Co teraz zrobimy? – pytała Ulrika. – Jesteś magikiem. To twoje pole do popisu.

– Śmiertelnik w żaden sposób nie może utrzymać przez dłuższy czas takiej ilości mocy. Moc może go pochłoniąć. Możliwe jest także, że moc zawarta w tym, czego się najadł, wyczerpie się i straci swoje siły. Jeśli osłabnie, może będę w stanie zakłócić jego zakłęcie. Jeśli nie...

– Powiadasz, że powinniśmy nic nie robić?

– Mówię, że powinniśmy czekać, Ulriko. Nic nie wskóramy bezmyślnym atakiem na stwora. Zobacz, jak zmiotł ten żyrokopter. Z łatwością mógłby uczynić to z nami.

„Ach, to było dobre” – pomyślał Szary Prorok Thanquol. Czuł potężną falę przyjemności po zniszczeniu krasnoludzkiego lotnika, nawet za cenę kilku tuzinów żywotów swoich pobratymców. W końcu można było ich zastąpić. Podobnie, jak większość skavenów. Cieszył się, że on nie jest jednym z takich skavenów.

Potrząsnął łbem, gdy zauważył nowy problem. Podczas chwil, gdy ścigał lotnika, wypuścił „Ducha Grungniego”. Okręt znowu wspinał się ku niebu z wielką prędkością. Thanquol złapał go swoimi mackami mocy, postanawiając jak najszybciej z tym skończyć.

W chwili gdy jeszcze raz chwycił statek powietrzny, zdał sobie sprawę z innego wyzwania. Gotrek Gurnisson, Felix Jaeger i ten drugi przeklęty Zabójca byli na ziemi i kierowali się ku niemu. Oczywiście, znajdował się w powietrzu nad nimi, ale mimo to trochę się niepokoił. Sama bliskość Zabójcy wystarczała do podrażnienia wrażliwych nerwów Thanquola. Nienawidził tej nikczemnej kreatury z całych sił.

Teraz dysponował środkami, by skończyć z tym zagrożeniem raz na zawsze. Z pewnością mógł zrobić to samo, co z żyrokopterem i zmiażdżyć Zabójcę. Demonicznie szczerząc kły, przygotował się do wbicia Gotreka Gurnissona w ziemię.

Felix zobaczył przednie strumienie mocy docierające do Gotreka. W tej samej chwili Zabójca obrócił toporem zakreślając wielki łuk. Runy na jego krawędziach zaśniły jeszcze jaśniej stykając się z zakłęciem Szarego Proroka. Powietrze wypełnił smród ozonu. Strumienie rozpadły się w obłok iskier po dotknięciu starożytnej magii, której moc była silniejsza. Felix ofiarował modlitwę Sigmarowi i wszelkim innym bóstwom, które mogą go słuchać. Pozostałe strumienie cofnęły się, skręcając w górę i uciekając od Gotreka niczym kobra szykująca się do ataku. Felix wiedział, że Zabójca zdobył dla nich tylko kilka chwil zwłoki.

Thanquol poczuł, jakby włożył palce w ogień. Oczywiście, odczuwał tylko efekty zniszczenia jego zakłęcia, ale wrażenie było podobne. Przeklinał krasnoluda. Mógł domyśleć się, że nie będzie tak łatwo sprowadzić na niego śmierć. A jednak, jeśli Zabójca jest nietykalny, to może jego pomagier taki nie będzie. Mógłby przynajmniej zgładzić Felixa Jaegera.

Felix zobaczył jak strumienie światła rozszczepiając się zaczynają opływać Gotreka. Ku swojemu przerażeniu zrozumiał, że kierowały się ku niemu i nie może nic na to poradzić. Skaveński czarnoksiężnik najwyraźniej zamierzał go zabić. Zakłęcie runęło naprzód. Tuzin macek pędziło z prawej i lewej strony Gotreka, mknąc prosto na Felixa. Felix zauważył, że przynajmniej strumienie zabijają następnych ze skaveńskich wojowników. Sposób, w jaki padali rozerwani przez przecinającą ich energię nie wróżył dobrze jego własnemu losowi.

Ulrika z przerażeniem patrzyła, co się dzieje. Widziała jak Gotrek odpycha atak Szarego Proroka i przez moment wydawało jej się, że to wystarczy. Potem zrozumiała, że Thanquol zamierza zaatakować Felixa.

– Czy możesz coś zrobić? – spytała Maxa Schreiberera.

– Za chwilę, spróbuję skontrolować zakłęcie. Myślę, że rozumiem to, co teraz robi Szary Prorok i może uda mi się rozplątać ten czar.

– Felix nie ma ani chwili – rzekła Ulrika, wiedząc że już jest za późno.

Felix przygotował się na spotkanie śmierci. Nie było to całkiem to, czego się spodziewał, ale powiadają, że śmierć nigdy nie nadchodzi w sposób, w jaki uda się przewidzieć. Zebrał się w garść, szykując mięśnie do ostatniego, rozpaczliwego skoku ku ocaleniu. Wątpił, by w jakikolwiek sposób udało mu się uniknąć zakłęcia. Było po wszystkim. Runęła ku niemu fala oślepiającego światła. Powstrzymał się od wrzasku.

Szary Prorok Thanquol cieszył się pewien, że przynajmniej tym razem zabije jednego ze swoich przysięgłych wrogów. To nauczy Felixa Jaegera, co znaczy sprzeciwianie się mocy Thanquola. Ale tuż zanim udało mu się zgnieść Jaegera niczym robaka, jakim był, Zabójca uderzył ponownie, poruszając się szybciej niż nadażało oko. Rąbał najpierw na lewo, a potem na prawo przecinając pasma energii swoim straszliwym toporem. Thanquol zaskowyczał z bólu. Czul się, jakby odcinano mu ogon.

Co gorsza, czuł jak moc wzbudzona spaczeniem w jego wnętrzu zaczyna zanikać i blednąć. „Nie teraz” – pomyślał. Nie. Nie teraz. Nie w chwili tak bliskiej triumfu. Ale niestety, tak właśnie było. Energia zaczęła już z niego wyciekać. Wyglądało na to, że statkowi powietrznemu uda się uciec.

Pomyślał, że przynajmniej jego wojownicy zniszczą tych arogantów, Jaegera i Gurnissona. W chwili gdy to myślał, poczuł coś dziwnego. Zastanawiał się, dlaczego ziemia zaczyna się zbliżać?

– Teraz – Ulrika usłyszała mruknięcie Maxa Schreiberera, a potem mag zaczął poruszać dłońmi i przemawiać w jakimś języku, którego nie rozumiała. Gdy się przyglądała, w powietrzu przed czarodziejem zaczęły przybierać kształty złożone struktury ze światła, a potem jednym gestem posłał je wirujące ku Szaremu Prorokowi. Gdy uderzyły Thanquola, lśnienie wokół skaveńskiego czarnoksiężnika pobladło i skaven runął głową na ziemię.

– Teraz jest dobra chwila na atak – odpowiedział Max. Nie musiał jej tego powtarzać.

– Ruszajmy! – krzyknęła i wypadła z dworku rzucając się od tyłu na zaskoczonego skavena. Za nią podążyli ocaleli Kislevczycy ryczący z żądzy krwi.

Felix patrzył zaskoczony na lśnienie blednące wokół Szarego Proroka, który zaczął spadać na ziemię. Uchylił się przed cięciem skaveńskiego wojownika i obnażył zęby parując cios kolejnego. Wstrząs uderzenia przeniknął jego ramię. Zebrał się do kupy i ciął naprzód rozszczepiając na dwie części czaszkę skavena, a potem obrócił się, by rąbnąć drugiego i przebił jego gardło. Przed nim

Gotrek i Snorri wyrąbali krwawą ścieżkę prowadzącą do skaveńskiego maga. Byli zdeterminowani i postanowili, że tym razem nic ich nie powstrzyma. Z góry nadal spadały bomby wyrzucane z uwolnionego statku powietrznego i krążących żyrokopterów.

Felix kulił się za każdym razem, gdy upadały na ziemię. Wyobrażał sobie, że jedna z nich wybucha obok niego i rozrywa jego ciało. Słyszał głos wzywający głośno głupie krasnoludy, by przestały ich bombardować i z zaskoczeniem odkrył, że należał do niego. Miał nadzieję, że wkrótce ktoś na górze zorientuje się, co się tutaj dzieje i przerwie atak. Felix wątpił, by heroiczna śmierć Gotreka miała polegać na wyrwaniu wszystkich kończyn na skutek wybuchu bomby jego kamratów. A jednak Felix widział wydarzające się podczas walki jeszcze gorsze i głębsze rzeczy, a w tej chwili wszędzie wokół nich panował chaos.

Siekąc wokół siebie ze zdwojoną werwą, Felix wyrąbywał sobie drogę przez oddziały skavenów.

Szary Prorok Thanquol pomyślał, że to nie było sprawiedliwe. Właśnie w chwili, gdy zwycięstwo było w jego zasięgu, został powstrzymany na skutek niekompetencji swoich pomagierów i podłej jakości spaczenia przysłanego przez tych kretynów ze Skavenblight. Czy był skazany na ciągłe porażki z podobnych powodów? Był dobrym i wiernym sługom sprawy skavenów. Okazywał oddanie w swoich modlitwach do Rogatego Szczura. Prosił o tak niewiele dla siebie. W czym tkwił problem?

Leżał wyczerpany na ziemi, wstrząśnięty nagłym zanikiem mocy wzbudzonej przez spaczeń i rozplatanie jego zaklęcia. Powoli, ale w nieunikniony sposób docierały do niego wszystkie skutki tego wydarzenia. Gdzieś tam był mag dość silny, by zniszczyć jego dzieło, mag który bez wątpienia dysponował świeżymi siłami nie uszczuplonymi przez bezinteresowne wysiłki chronienia swoich niewdzięcznych pomocników. Mag, który nawet teraz może chcieć zniszczyć bezbronno Thanquola. Ta myśl sprawiła, że gruczoły Thanquol ścisnęły się od potrzeby wypuszczenia piżma strachu. To nie była godna nagroda za jego długą służbę dla Rogatego Szczura i Rady Trzynastu.

Nagle wyczuł kolejne, jeszcze bardziej przerażające zagrożenie. Po prawej stronie słyszał zwierzęce porykiwanie Gotreka Gurnissona, gdy Zabójca wycinał sobie drogę przez oddziały skavenów. Bez wątpienia, żaloszny umysł krasnoluda wypełniała tylko nieuzasadniona żądza wykończenia Thanquola i odarcia świata z jego geniuszu. Niewątpliwie pomagier krasnoluda, Felix Jaeger rad będzie z odejścia Thanquola. Cóż mógł zrobić?

Jakby nie miał dość powodów, by skupić się na odwrocie, Thanquol usłyszał za sobą odgłosy ludzkich okrzyków bojowych. Skąd wzięły się te nowe siły? Czy podczas walki przybyły posiłki? Czy było to dzieło wrogiego maga? To nie miało znaczenia. Wobec przerażającego deszczu bomb z góry, mrozącej krew w żyłach wizji walki z Gotrekiem Gurnissonem przed nim i ataku wielkiego oddziału z tyłu, Thanquol widział dla siebie tylko jedno wyjście. Bohatersko uniknie pochwycenia przez te dominujące siły wrogów i powróci, by wyrzec swą zemstę innego dnia.

Gromadząc resztki swej mocy, wymruczał słowa zaklęcia ucieczki. Przeniesie go tylko o kilkaset kroków od terenu walki, ale to wystarczy. Z tamtego miejsca rozpocznie swój odwrót taktyczny.

– Gdzie się podział ten przeklęty mag? – Felix usłyszał warknięcie Gotreka. Nie wiedział, co mu odpowiedzieć. Dotarli do miejsca, gdzie z pewnością spadł Szary Prorok, ale nie było tam nic poza słabym zapachem siarki w powietrzu. Wściekły Gotrek zarąbał dwa skaveny jednym uderzeniem swojego topora i odwrócił się w stronę potwornej sylwetki zbliżającego się szczuro-ogra.

– Mój! – ryknął.

– Snorriego! – krzyknął Snorri.

– Kto pierwszy, ten lepszy, – odpowiedział Gotrek i rzucił się naprzód. Felix rozglądając się życzył im szczęścia. Nastąpiło nagłe wyciszenie bitwy. Jego nozdrza zaatakował dziwny smród dobiegający od przerażonych skavenów. Felix nie dziwił im się. Ich przywódca zniknął. Były rozrywane przez bomby, atakowane przez dwóch najdzikszych Zabójców na świecie i jednocześnie zaskoczenie atakiem od tyłu. Felix rozumiał powody upadku ich morale. Wątpił, by jakikolwiek ludzki oddział był mniej przerażony.

A jednak to nie oznaczało, że niebezpieczeństwo minęło. Skaveny nadal znacznie przerastały ich siły liczebnie, a jeśli będą miały dość czasu, by zdać sobie z tego sprawę, wówczas powrócą do walki i całkiem możliwe, że zwyciężą. W tej chwili był czas na wykorzystanie zaskoczenia i przeważenie losów bitwy.

Rozejrzał się i zauważył szczuro-ogra otoczonego z jednej strony przez Gotreka, a z drugiej przez Sorriego. Potwór zniknął pod gradem ciosów. Padł jak ścięty dąb. Felix pomyślał, że jeśli ten widok nie wywoła paniki wśród skavenów, to nic tego nie dokona. Wykrzykując okrzyk bojowy natarł naprzód w towarzystwie Gotreka i Snorriego.

Nagle przed sobą usłyszał odgłos ludzkich okrzyków oraz znajomy głos wykrzykujący rozkazy i słowa zachęty dla żołnierzy. Jego serce podskoczyło. Z pewnością miał halucynacje. Był tylko jeden sposób, by sprawdzić, co się dzieje.

Lurk przerwał przeżuwanie ciała martwego skavena. Chwilowo zaspokoiwszy swój głód mógł ponownie skierować uwagę na bieżące sprawy. Za sobą słyszał krzyki przerażonych skavenów, triumfalne wrzaski ludzi i dzikie porykiwania krasnoludzkich Zabójców. Domyślał się, że bitwa jest przegrana. Czuł ból w kościach od uderzenia o ziemię. Oczywiście wiedział, że gdyby nie ten ból, odwróciłby koleje bitwy swoją interwencją. Niestety uniemożliwiły to jego siniaki i najprawdopodobniej skręcona kostka.

W ciemnościach widać było promienie złotego światła koszące skaveny. Wyglądało na to, że ich wrogowie także dysponują czarodziejskimi mocami. Był pewien, że wszystko jest stracone. Był także pewien, że to czas, by odejść. Podniósł się, rozejrzał wokół upewniając się, że nikt go nie zauważył, a potem czmychnął w noc.

Poruszając się wśród zgliszczy pola bitwy Felix zauważył znajomą postać. Jego serce załomotało. Ulrika żyła. Nie myśląc o niczym więcej, ruszył w jej stronę przez masę skavenów. Wszędzie wokół niego szczurołudzie odwracali się i uciekali. Bali się jego błyskającego miecza i bliskości dwóch Zabójców. Sama ich obecność wystarczająco działała im na nerwy. Nie było cienia wątpliwości, że skaveny zostały pokonane. Kłębiły się wokół szukając drogi ucieczki. Ich formacje rozpadły się, a dyscyplina przestała istnieć. Strata przywódcy oraz zaskoczenie wynikające z rzezi urządzonej przez ich wcześniejszych zakładników wystarczyło, by rozproszyć armię skavenów. Felix pomyślał, że ucieczka była dla nich jedyną szansą na przeżycie.

– Ulrika! – krzyknął, ale ona nie usłyszała go. W tej chwili skoczył na nią wielki skaven o czarnej sierści. Felix, przerażony, że straci ją właśnie w momencie odnalezienia, ruszył naprzód z pomocą. Nie musiał się wysilać. Ulrika sparowała uderzenie szczuroczłeka i przebiła jego serce. Gulgocząc z bólu skaven padł na kolana, a potem rozciągnął się na ziemi otoczony szybko rozszerzającą się kałużą własnej posoki.

Ulrika zauważyła jakiś ruch kątem oka i odwróciła się gotowa do ataku. Przed długą chwilę pełną napięcia on i Felix patrzyli na siebie. Żadne z nich nie poruszyło się. Żadne nic nie powiedziało. A potem jednocześnie oboje uśmiechnęli się i ruszyli ku sobie. Nie mogąc się powstrzymać, niepomny niebezpieczeństwa, Felix chwycił ją w ramiona. Ich usta zetknęły się, a ciała przycisnęły do siebie.

Otoczeni wyjącem szaleństwem bitwy stali w miejscu, jakby byli jedynymi ludźmi na świecie.

Max Schreiber patrzył na nich. Był zmęczony, zarówno z powodu magii, z którą właśnie się zmagał, jak i w reakcji na pobicie, jakiego doświadczył ostatniej nocy. Jego kończyny były ociężałe ze znużenia. Nie był tak wyczerpany nawet jako uczeń, kiedy musiał czuwać przez długie dni w służbie swojego mistrza. A jednak zwycięstwo należało do nich. Skaveny były w rozsypce i mimo tego, że nadal utrzymywały przewagę liczebną, wątpił, by wróciły. Nie byty z natury odważnymi stworzeniami i wiele czasu zabierało im pogodzenie się z porażką.

Max lubił uważać się za uczonego, a nie za wojownika, ale odczuwał satysfakcję ze swoich dokonań. Zmierzył się z siłami Chaosu i pomógł je powstrzymać. Częściowo uważał te doświadczenia za znacznie bardziej satysfakcjonujące niż rzucanie zaklęć ochronnych na domy i pojazdy swoich klientów. Zaczął rozumieć emocje bitewne, o których zawsze tylko czytał. Uśmiechnął się gorzko zauważając całujących się Felixa i Ulrikę.

Najwyraźniej jak na czarodzieja nie bojącego się niebezpieczeństw doznawał całkowitych porażek na polu emocjonalnym. Czuł gryzącą go zazdrość i wiedział, że nie usunie jej cała jego magia.

Był bardziej niż przywiązany do Ulriki. Przez kilka ostatnich dni miotał się w uścisku pasji. Naprawdę, powinien opuścić dwór wiele dni temu, ale został pod pretekstem oczekiwania na powrót „Ducha Grungniego”. Widząc w jaki sposób Ulrika patrzyła na Felixa, domyślał się, że istnieje niewielka szansa, by odpowiedziała na jego zaloty.

Uderzyła go niegodziwa myśl: „O ile coś nie przydarzy się Felixowi Jaegerowi”. Zaskoczony swoją własną determinacją posłał grad złotych promieni, które wbiły się w uciekającego skavena.

Stwór umarł w widowiskowy sposób, co było bardzo satysfakcjonujące.

Nagle zapadła cisza. Bitwa była skończona. Martwi leżeli na stosach wokół dworu. „Duch Grungniego” unosił się nad głowami zacumowany do wieży niczym koń przywiązany do słupa. Skaveny zostały pokonane.

Było późno. Felix czuł się zmęczony, ale podniecony. Trzymał dłoń Ulriki jakby obawiał się, że zniknie, jeśli ją wypuści, a ona najwyraźniej wcale nie chciała, by ją puścił. Wszystkie niepokoje, jakie przeżywał podczas powrotnego lotu teraz wydawały się bezsensownymi i pustymi widmami. Cieszyła się, że go widzi, tak samo jak on nią i nie był w stanie wyrazić jak bardzo był z tego powodu szczęśliwy. Zamiast tego mógł tylko stać i gapić się bezmyślnie w jej oczy. Słowa nie przychodziły. Na szczęście, ona i tak wydawała się zadowolona.

Podszedł Snorri.

– Dobra walka była – powiedział. Czarna krew zakrzepła na jego bandażach, a krasnolud krwawił z tuzinów nowych, małych ran, ale wydawał się być uradowany swoim losem.

– Nazywaj to walką – odezwał się Gotrek. – Ja miewałem bardziej niebezpieczne przeżycia podczas przycinania włosów.

– Wolałbym nie spotkać twojego golarza – rzeki Felix.

– Felix powiedział żart – zauważył Snorri. – Snorri myśli, że to śmieszne.

– Napijmy się piwa – zaproponował Gotrek. – Nic tak nie zwiększa pragnienia, jak trochę lekkich ćwiczeń.

– Snorri chce wiadra wódki – rzekł Snorri. – I Snorri to dostanie.

Krasnoludy zaczęły schodzić z wieży cumowniczej, do której przymocowany był „Duch Grungniego”. Wkrótce ich mały odział pomagał Kislevczykom znosić ciała na stos do całopalenia.

Felix uznał, że nadeszła dobra chwila, by on i Ulrika oddalili się do jej komnaty. Zgodziła się.

– Nie myślałam, że cię jeszcze zobaczę – powiedziała Ulrika.

Świt był piękny. Złote promienie słońca padały pod kątem na nieskończone morze trawy wokół nich. Ptaki śpiewały. Było tak cicho, że gdyby nie nikły zapach płonących ciał utrzymujący się w powietrzu, Felix nie mógłby uwierzyć, że poprzedniego wieczora miała tu miejsce bitwa.

– Bywały chwile, gdy myślałem, że nigdy cię już nie ujrzę. Mnóstwo takich chwil – odpowiedział.

– Czy było źle?

– Bardzo.

– Na Pustkowiach?

– Na Pustkowiach i w Karag Dum. Nie uwierzyłabyś, gdybym opowiedział ci o tym, co tam znaleźliśmy.

– Zrób to.

– Dobrze – powiedział zamykając ją w swoich ramionach.

– Nie to miałam na myśli – powiedziała, a potem pocałowała go.

– Na razie wystarczy tych opowieści – odezwał się ciągnąc ją na długą trawę.

– Tak – odpowiedziała.

Po wszystkim leżeli nadzy na jego starym wełnianym płaszczu. Oparła się na łokciu i zaczęła laskotać jego twarz źdźbłem trawy.

– Jak było na Pustkowiach Chaosu?

– Czy naprawdę musimy o tym rozmawiać?

– Nie, jeśli tego nie chcesz.

Namyślił się przed udzieleniem odpowiedzi.

– To straszne miejsce. Przypomina sen szalonych bogów.

– To niezbyt dokładne określenie.

– Bardziej, niż mogłabyś pomyśleć. Zmienia się w przypadkowy sposób. Krajobraz drga i unosi się...

– To brzmi jak opis miraży na pustyni.

– Być może. Ale tam są inne rzeczy... Wielkie posągi o wysokości wzgórz, zrujnowane miasta, o których nie słyszał żaden człowiek, a które mogły po prostu spaść z nieba. Nieprzeliczalne hordy potworów i ludzi w czarnych pancierzach, wszyscy zmierzający do...

– Co się stało? Dlaczego zamilkłeś?

– Oni tutaj idą. Widzieliśmy ich ze statku powietrznego. Całe hordy. Więcej niż byłem w stanie policzyć, a to byli zaledwie harcownicy jeszcze większej armii.

– Dlaczego nie wspomniałeś o tym wcześniej?

– Ponieważ byłem tak szczęśliwy, że cię widzę, a także dlatego, że zapewne Borek już powiedział o tym twojemu ojcu.

Ulrika usiadła i zapatrzyła się na horyzont. Uwadze Felixa nie uszedł fakt, że patrzyła na północ, na góry, za którymi leżały Pustkowie Chaosu. Wyczuwał zmianę w jej nastroju, jakby wznowioną ostrożność, która miała w sobie coś ze strachu.

– Siły ciemności już tu docierały. Żyjemy na ich granicach. To są kresy. W przeszłości walczyliśmy z nimi i zwyciężaliśmy.

– Nie przeciw takiej armii, jaka się zbliża. To będzie jak wielka Inwazja Chaosu sprzed dwustu lat, za czasów Magnusa Pobożnego.

Zmarszczyła brwi.

– Jesteś pewien?

– Widziałem to na własne oczy.

– Dlaczego teraz? Dlaczego za naszego czasu? – wydawało mu się, że słyszy nutę lęku w jej głosie.

– Jestem pewien, że Magnus zadawał sobie to samo pytanie.

– To nie jest odpowiedź, Felixie – teraz słyszał nutę rozdrażnienia. Jej czoło było zmarszczone.

Wezbrała w nim podobna nerwowość.

– Nie jestem prorokiem, Ulriko, tylko zwykłym człowiekiem. Nie potrafię odpowiedzieć na takie pytania. Wiem tylko, że to potwierdza to, co widziałem w innych miejscach...

– Jakich innych miejscach? – jej słowa były ostre. Nie podobał mu się jej ton.

– W Imperium mnożą się kultyści. Wyznawcy Chaosu są w każdym mieście. Zwierzoludzie wypełniają lasy. Liczba odmieńców, zmutowanych ludzi wzrasta każdego miesiąca. Kwitnie działalność nikczemnych magików. Czasami myślałem, że wieszczki zagłady mają rację i zbliża się koniec świata.

– To nie są wesołe słowa – powiedziała wyciągając rękę i mocno ścisnęła jego dłoń.

– To nie są wesołe czasy.

Pochylił się i dotknął jej policzka.

– Musimy niedługo wracać i dowiedzieć się, co mówili inni.

Uśmiechnęła się blado i schyliła się, by pocałować jego brew. – Cieszę się, że jesteś tutaj – powiedziała nagle.

– Ja też – odpowiedział Felix.

Max Schreiber słuchał opowieści krasnoludów z rosnącym niepokojem. Ich opis zbliżającej się hordy Chaosu zmroził go do szpiku kości. Obrazom, jakie wymalowali w jego umyśle, udało się nawet zagłuszyć zazdrość, którą odczuwał tego ranka widząc odchodzących razem Felixa i Ulrikę.

BURZA

Znajdując się na tylnym pokładzie obserwacyjnym „Ducha Grungniego”, Felix obserwował dwór widoczny daleko za nimi. Ogarnął go smutek. Dom Ivana Straghova był miejscem, gdzie znalazł szczęście przed wyruszeniem na Pustkowie Chaosu i wątpił, by kiedykolwiek ujrzał go ponownie.

Kislevczycy zbierali się, by rozpocząć daleką jazdę na południe. Oddział jeźdźców przybył, gdy debatowali nad planami, zebrali wierzchowce, które uciekły podczas ataku skavenów i dostarczyli konie dla większości ocalałych. Uzgodniono, że około tuzina zwiadowców pozostanie w dworku tak długo, jak to będzie możliwe. Ich zadaniem było informowanie innych przybywających wojowników o tym, co się stało. Potem, Ivan i reszta stwierdzili, że wszelkie powracające z daleka oddziały, jeśli przybędą hordy Chaosu, szybko same zorientują się, co się dzieje i odpowiednio zareagują. To nie był solidny plan, ale w tych okolicznościach nie mogli ułożyć lepszego.

Felix odwrócił się i spojrzał na Ulrikę. Jej twarz okazywała dziwne emocje. Nie była szczęśliwa z faktu, że została wysłana na południe statkiem powietrznym w celu powiadomienia carycy o ich położeniu, podczas gdy inni będą musieli jechać konno. Chciała dzielić niebezpieczeństwa wojowników swojego klanu. Felix pomyślał, że gdyby on sam nie przebywał na okręcie, wówczas w ogóle nie zgodziłaby się na to. Z pewnością czuł, że pomógł przekonać ją, by poleciała. Podobnie jak Max Schreiber.

Felix spojrzał na czarodzieja. Lubił Maxa, ale ostatnio zauważył dziwne spojrzenia, jakie ten człowiek rzucał w jego stronę, gdy Felix był z Ulriką. Czy było możliwe, że jest zazdrosny? Łatwo było w to uwierzyć. Ulriką była bardzo piękna, a Max pozostawał we dworku przez cały czas, gdy podróżowali nad Pustkowie Chaosu. Kto wie, co mogło się wówczas wydarzyć? Felix uśmiechnął się gorzko. Wyglądało na to, że sam robi się co najmniej zazdrosny.

Pokrzepił się myślą, że najgorsze już za nimi, przynajmniej na jakiś czas. Udało im się uciec z Pustkowi zachowawszy życie i przeżyli zasadzkę skavenów. Z tego miejsca musieli tylko polecieć prosto na południe ku stolicy Kisleva, a potem do Karaz-a-Karak, gdzie Borek zamierzał przedstawić ocalałych z Karag Dum i część ich skarbów Wielkiemu Królowi krasnoludów. Felix zastanawiał się, co Gotrek naprawdę myśli o tym wszystkim.

O ile Felix wiedział, Zabójca został na zawsze wygnany z tego wielkiego podziemnego miasta. Felix nie był pewien, czy krasnolud sam skazał się na wygnanie, czy też była to kara za zbrodnie Zabójcy. Zadawanie takich pytań nie wydawało mu się dyplomatyczne. Gotrek nalegał na pozostanie w Kislevie i pomocy w walce przeciw hordom Chaosu. Felix miał nadzieję, że tak uczyni. Ivan nie zauważył, że Gotrek, jako były inżynier byłby bardziej przydatny przygotowując mury do oblężenia. Potem wyruszyli statkiem powietrznym z Ulriką i jej ochroniarzami.

Tak czy inaczej, Felix był zadowolony. Chciał zostać z Ulriką i cieszył się, że Zabójca nie przypominał mu o obietnicy podążania za nim i opisanie jego śmierci. Nie wątpił, że przyjdzie na to czas później. Ogromna armia podążająca na południe zapowiadała mnóstwo walki. Gotrek będzie miał wiele okazji do odnalezienia swojej bohaterskiej zagłady.

Felix wyciągnął rękę, wziął dłoń Ulriki i uściśnął jej palce. Obróciła się i uśmiechnęła blado. Było jasne, że myślami błądziła wśród tych drobnych figurek powoli oddalających się pod nimi. Odwróciła się i spojrzała w dal jeszcze raz, jak ktoś, kto stara się zapamiętać otoczenie i ludzi, których może już nigdy nie zobaczy.

Szary Prorok Thanquol przyglądał się badawczo Lurkowi w bladym świetle Północy. Z przykrością musiał przyznać, że był to widok zarówno imponujący, jak przerażający. Jego lokaj wyglądał, jakby był w stanie pokonać szczuro-ogra. Przewyższał Thanquola ponad dwukrotnie i zapewne był dziesięć razy cięższy. Jego pazury wyglądały na mocne jak stal, a masywny guz rogatej kości na końcu ogona przypominał maczugę. W tej chwili Thanquol żałował obrzucania Lurka w przeszłości wszystkimi zniewagami. Nie był pewien, czy w swoim stanie osłabienia potrafi zebrać magiczną energię potrzebną do zniszczenia Lurka. W tych okolicznościach, spryt i dyplomacja, dwa z największych talentów Thanquola, wydawały się najbardziej skutecznymi środkami.

– Lurk! Cieszę się, że wróciłeś. Dobrze-dobrze! Razem musimy przynieść wieści o porażce podle przeprowadzonego ataku klanu Moulder na ludzki fort i przedstawić je Radzie Trzynastu.

Lurk spojrzał na niego czerwono i błyszczącymi i dziwnie niespokojnymi ślepiami. Kiedy otworzył usta, by przemówić, obnażył wielkie ostre kły. Thanquol zwalczył pragnienie wypuszczenia piźma strachu.

– Tak-tak, o najbardziej majestatyczny z mistrzów – warknął głosem znacznie głębszym niż ten, jaki pamiętał Thanquol. Czarnoksiężnik powstrzymał się od wydania westchnienia ulgi. Podczas długiego marszu przez noc Lurk wydawał się dziwnie ponury. Teraz przynajmniej ten wielki, zmieniony spaczeniem skaven wydawał się pozostawać pod kontrolą. To było dobre. Będzie w stanie ochronić Thanquola przed wieloma niebezpieczeństwami czekającymi po drodze. A kto wie? Możliwe, że przebadanie jego zmutowanego ciała odkryje wiele sekretów, włącznie z tym, jak stworzyć więcej jemu podobnych osobników. Sekcja zwłok potrafiła pokazać wiele ukrytych rzeczy. Thanquol poruszając się niespokojnie pod tym przenikliwym spojrzeniem pomyślał, że to musi jednak poczekać dopóki nie uciekną z tego groźnego miejsca.

– Te otwarte przestrzenie są pełne konnych żołnierzy – rzekł Thanquol. – Zdrajcy Moulderów także będą w wielkiej sile. Musimy użyć inteligencji i sprytu, aby uciec wrogom i wypełnić naszą misję.

– Skoro tak mówisz, o najbardziej przekonujący z potentatów. – Thanquol nie był pewien, czy w głosie Lurka nie wyłapał nuty ironii. Czy jego lokaj kpił sobie z niego? Czy w jego ślepiach dostrzegał błysk głodu? Thanquolowi zupełnie nie podobało się to spojrzenie, ani sposób, w jaki Lurk przysuwał się do niego. To przywoływało nieprzyjemną wizję kota skradającego się do ofiary. Lurk obliznął żarłocznie swoje usta.

Thanquol z wielkim wysiłkiem zebrał swoją moc. Wokół jego pięści pojawiło się migoczące światło. Lurk zatrzymał się i zamarł na miejscu. Służalczko opuścił głowę. Thanquol spojrzał na niego zastanawiając się, czy nie byłoby najgorszym pomysłem natychmiastowe zniszczenie go i zakończenie tej sprawy. Gdyby posiadał pełnię magicznych mocy zrobiłby to bez wahania, ale teraz nie był pewien, czy powinien to uczynić. Nie chciał niepotrzebnie zużywać resztki pozostałej mocy. Wokół niego było zbyt wiele zagrożeń. Lurk spoglądał na niego ostrożnie. Wyglądał na gotowego do skoku przy pierwszej okazji. Thanquol widział podobną postawę u innych skavenów. Znał ją aż nazbyt dobrze.

– Najpierw ruszymy na północ. Ku górą. Nasi wrogowie nie będą się tego spodziewali. Potem ruszymy okrężną drogą wzdłuż granic równiny, aż znajdziemy wejście do Pod-dróg.

– Dobry plan, o najłaskawszy z dobroczyńców.

– A zatem ruszajmy w drogę. Żwawo-żwawo! Zajmę pozycję przywódcy, z tyłu.

Lurk nie wydawał się protestować. Spoglądając na jego szerokie plecy, Thanquol nadal zastanawiał się, czy to był dobry pomysł. Droga do gór na piechotę była długa, a jeszcze dłuższa prowadziła z powrotem do skaweńskiej cywilizacji. Czy nie lepiej postąpiłby kończąc podróż z

Lurkiem zabijając potwora w tej chwili. Lurk, jakby przeczuwając jego myśli rzucił mu groźne spojrzenie przez ramię. Thanquol powstrzymał potrzebę wypuszczenia piźma strachu.

Pomyślał, że może lepiej będzie po prostu poczekać i zobaczyć, jak się sprawy potoczą.

Max Schreiber spacerował po okręcie powietrznym. Pamiętał, że podczas jego podróży do Kisleva znacznie łatwiej było to robić. Każdy cal korytarza został wypełniony skrzyniami wyniesionymi z ładowni, aby zrobić miejsce dla uchodźców z Karag Dum. Członkowie załogi spali na materacach w korytarzu. Max pomyślał, że leżenie na tej nitowanej, żelaznej podłodze nie jest przyjemne. Na całym statku trudno było o wygody.

Sam Max był zmęczony od ciągłego przebywania w półprzysiadzie. Statek powietrzny został zbudowany dla krasnoludów, co oznaczało, że jak dla niego sufit był o wiele za nisko. Poruszanie się po statku czasami przypominało nową formę straszliwych męczarni. Naturalnie, przez większość podróży mogło się tak wydawać.

Nadal cierpiał na skutek obrażeń doznanych podczas bitwy, a jego serce było ciężkie od zazdrości wobec Felixa i Ulriki. Oczywiście odmówił, gdy krasnoludy chciały umieścić go w tej samej kabine, co dwoje kochanków. Taka propozycja była pozbawiona taktu, ale do tego właśnie przyzwyczaili go członkowie Starszej Rasy. Jak na lud szcycący się osiągnięciami zdobyczy cywilizacyjnych, podczas gdy ludzie nadal nosili zwierzęce skóry, okazywali się zdumiewająco nieokrzesani w sprawach towarzyskich wymagających subtelności. Zupełnie inaczej, niż elfy. Oczywiście, Max wiedział, że nietaktowne byłoby wskazywanie im tego. Większość krasnoludów z pasją nienawidziło Najstarszą Rasę, co było niezrozumiałe dla Maxa.

Mówił sobie, by nie był tak negatywnie nastawiony. Próbował dostrzegać jasne strony. Przedostatniej nocy pomógł w osiągnięciu zwycięstwa nad skavenami i swoją magią uratował wiele istnień. Uleczył nawet Gotreka i Snorriego z najgorszych ran. Wykonał tu dobrą robotę. Powinien być z siebie dumny.

Zatrzymał się i przez chwilę rozglądał. Zastanawiał się nad potworem, którego krasnoludy podobno zauważyły na statku powietrznym podczas bitwy w wiosce. Nie wątpił, że coś zobaczyły, ale może to była iluzja, albo jakiś pomniejszy demon wezwany przez skaveńskiego Szarego Proroka. Ten stwór był z pewnością dość silny, by móc rzucić dowolne z tych zaklęć. Max uważał się za bardzo szczęśliwego, że przeżył to spotkanie. Kolejny fakt, za który należało być wdzięcznym losowi.

Pomyślał, że to zdumiewające – jako uczeń, bezpieczny dzięki swej dumie ignoranta, uważał, że nic nie może mu zagrozić, gdy stanie się czarodziejem. Okazało się, że większa część jego kariery w sztukach tajemnych polegała na odkrywaniu, iż świat jest pełen istot znacznie potężniejszych od niego.

Rozpadły się kolejne iluzje. He już ich było do tej pory? Zobaczmy – jedna z jego próżnych fantazji młodzieńczych kazała mu wierzyć, że któregoś dnia nauczy się zaklęć, które nakłonią kobietę, by go pokochała. Rzeczywiście, teraz znał takie zaklęcia, podobnie jak pół tuzina innych, które wymuszają posłuszeństwo u wszystkich poza obdarzonymi najsilniejszą wolą. Oczywiście, teraz był związany najświętszymi przysięgami, by nie używać tych zaklęć za wyjątkiem potrzeby obrony Imperium lub całej ludzkości. Na tym polegała odpowiedzialność, która nadeszła wraz z mocą.

Świat był znacznie bardziej skomplikowany, niż mógłby to przewidywać jako chłopak. Wiedział, że gdyby kiedykolwiek użył tych zaklęć, naraziłby swoją nieśmiertelną duszę. Droga ku potępieniu była wybrukowana nie dobrymi chęciami, ale żądzami zaspokojonymi za pomocą nikczemnych środków.

A jednak, bywały chwile, gdy przez jego umysł prześlizgiwała się myśl, że potępienie nie jest

zbyt wysoką ceną za miłość takiej kobiety, jak Ulrika. Szybko odsunął od siebie te dywagacje. Wiedział, że pułapki Chaosu są subtelne i niezwykle liczne. Był jednym z ludzi, którzy powinni o tym wiedzieć. Nauczyli go tego tajni mistrzowie. Nakazywał sobie patrzeć na jasną stronę i przestać myśleć o tak mrocznych sprawach.

Nie udawało to mu się pomimo całego solidnego treningu, jaki przeszedł.

Ulrika zastanawiała się, co się dzieje? Zmienacka jej życie kompletnie się zmieniło. Ledwie kilka tygodni temu wróciła z Middenheim, a teraz musi uciekać ze swojego domu, być może na zawsze. Tak nagle zmiany wydawały się niemożliwe.

Kilka dni temu żarliwie pragnęła powrotu Felixa i obawiała się, że się tego nie doczeka. Teraz to nastąpiło i sprawiło, że jej życie pogmatwało się jeszcze bardziej niż uznawała to za możliwe. Oczywiście, cieszyła się mogąc go zobaczyć, aż za bardzo. Wiedziała, że dała się namówić na wejście na pokład statku powietrznego i podróż w celu ostrzeżenia Lodowej Królowej tylko dlatego, że on był tutaj i nie byłaby w stanie znieść myśli o rozstaniu z nim tak szybko po ponownym spotkaniu.

Jednocześnie czuła się winna i zła. Była wojowniczką swojego ludu, a wojownicy nie unikają wypełniania swoich obowiązków tylko z powodu miłości. Teraz żałowała, że nie została ze swoim ojcem. To właśnie należało uczynić i wiedziała o tym. Jej miejsce było u jego boku.

Te złożone emocje złościły ją i wiedziała, że z ich powodu staje się zamknięta w sobie i czasami nieprzyjemna. Były także inne komplikacje. Widziała, w jaki sposób patrzy na nią Max Schreiber. Nie pierwszy raz mężczyźni patrzyli tak na nią. To nie było nieprzyjemne, ale wiedziała, że chociaż lubi Maxa, nie chce od niego niczego więcej niż przyjaźni. Miała nadzieję, że potrafi sprawić, by to zrozumiał. Jeśli nie, sprawy mogą przybrać paskudny obrót. Wiedziała, co dzieje się z niektórymi mężczyznami, gdy zostaną odrzuceni. Co gorsza, Max był czarownikiem. Kto wiedział, do czego był zdolny? Cóż, to były obawy na przyszłość. Odsunęła od siebie myśli o sprawach, które mogą nigdy nie nadejść, o których nie warto było rozmyślać, zanim się nie wydarzą.

Obecnie, pytanie brzmiało, co czuje wobec mężczyzny, który stoi obok niej trzymając jej dłoń. Teraz, gdy Felix powrócił, wraz z nim wróciły wszystkie pozostałe problemy, które ją prześladowały. Był bezdomnym wędrownikiem i zmierni na dwór carycy. Przysięga kazała mu podążać za Gotrekiem i opisać jego śmierć. Zmienił się od powrotu z Pustkowi. Stał się cichy i trochę ponury. Może Pustkowie potrafią zmienić człowieka w bardziej subtelny sposób niż mutacje?

Zresztą, co tak naprawdę o nim wiedziała? Wmawiała sobie, że to są sprawy, które nie powinny wpływać na jej uczucia, ale w głębi serca czuła, że tak się działo.

W oddali widziała gromadzące się chmury burzowe. Z tej wysokości wyglądały inaczej, ale nie mniej groźnie. Pomyślała, że burza nadchodzi z północy, z Pustkowi Chaosu. To była myśl, która przepełniła ją strachem.

Snorri patrzył na północ w stronę zbierających się chmur. Snorri wiedział, że zbliża się silna burza. Wskazywały na to rozmiary i czerń chmur oraz blade błyski odległych błyskawic. Tak. Zbliża się silna burza. Zresztą, nie dbał o to. W tej chwili był pijany. Pochłonął co najmniej jedno wiadro wódki ziemniaczanej i czuł się niewiele lepiej. To ostatnio często się zdarzało. Snorri wiedział, że pije zbyt wiele. Z drugiej strony, Snorri mówił sobie, że nie może przestać.

Snorri pił, by zapomnieć. Snorri stał się w tym tak dobry, że zapomniał, o czym chce zapomnieć pijąc. Sprawiał to alkohol, albo ciosy otrzymane w głowę podczas jego kariery jako Zabójcy. W tej chwili pomyślał, że mógłby napić się jeszcze. To pomogłoby mu utrzymać stan zapomnienia, tak na

wszelki wypadek.

Wiedział, że cokolwiek próbuje zapomnieć, było złe. Wiedział, że uczynił coś, za co musi odpokutować, przeżył tak wielki żal lub wstyd, że wymaże to z pamięci tylko poszukując bohaterskiej śmierci. W ten sposób odzyska dobre imię dla siebie i swojego klanu. Zastanawiał się, co to było.

W głębi jego umysłu zamigotały obrazy. Zona, dzieci, maleństwa, wszyscy martwi. Czy ich pozabijał? Nie sądził, by tak było. Czy był odpowiedzialny za ich śmierć? Ukłucie bólu w piersi powiedziało mu, że ma rację, najprawdopodobniej Snorri był za to odpowiedzialny. Wtedy też był pijany. Tak, tak właśnie było. Pociągnął jeszcze raz z wiadra i podał je Gotrekowi. Gotrek potrząsnął głową. Potarł swoją przepaskę na oko kłykciami wielkiej pięści i utkwiał wzrok w chmurach.

Burza zdecydowanie zbliżała się. Snorri czuł w kościach, że nadciąga z północy, aby porwać okręt. Przyszło mu na myśl, że może wysłali ją czarnoksiężnicy Chaosu w zemście za to, co zrobili w Karag Dum. Podzielił się tym pomysłem z Gotrekiem, ale ten tylko odburknął.

Snorri nie czuł się obrażony. Gotrek Gurnisson był ponury nawet jak na standardy Zabójców. Snorri wiedział, że ma ku temu powody. Kiedyś znał przyczyny, dla których Gotrek musiał ogolić swoją głowę. Tego był pewien. Ale zbyt wiele wódki, lub zbyt liczne ciosy w głowę Snorriego znowu wybiły mu tę wiedzę. „Tak to już ma być”, pomyślał.

Snorri odczuwał ból głęboko w kościach. Zdziwiająco, jak szybko wyleczył się ze wszystkich obrażeń, jakich doznał. To zaklęcie ludzkiego magika było silne. A jednak nie usunęło całego bólu. Snorri przez kilka ostatnich tygodni odebrał sporo razy podczas licznych walk.

Ale to było w porządku. Lubił walkę. Jeszcze bardziej niż wódkę, albo dobre krasnoludzkie piwo. Szaleństwo bitwy pozwalało mu zapomnieć. Podczas walki przestawał widzieć, kim jest i kim był kiedyś. Wiedział, że to samo przeżywał Gotrek. Pociągnął jeszcze raz i przyglądał się zbliżającej ścianie czerni. Podejrzewał, że to najgorsza burza jaką widział. Jeszcze gorsza niż ta, którą statek powietrzny przetrwał na Pustkowiach.

W umyśle Snorriego pojawiła się wizja „Ducha Grungniego” rozbitego o ziemię siłą burzy, połamanego i spalonego. Zauważył, że nie dba o to. O nic już nie dba. Teraz był chodzącym trupem. Jego życie wypaliło się dawno temu. W tej chwili nie miało znaczenia, czy jego śmierć będzie heroiczna, byleby nadeszła. A jednak, myśląc o tym umysł Snorriego buntował się. To zbyt przypominało zdradę samego siebie i jego zmarłych bliskich. A jednak częściowo tak właśnie się czuł. Zastanawiał się, czy Gotrek kiedykolwiek odczuwał to samo.

Snorri wiedział, że to jedna z tych rzeczy, o które nigdy nie zapyta. Znowu zaproponował Gotrekowi wiadro. Tym razem drugi Zabójca wziął je.

– Zła burza się zbliża – pomyślał Snorri. Najgorsza jaką Snorri kiedykolwiek widział.

Porywisty wiatr targał futrem Lurka. Jego żołądek burczał niemal tak głośno jak szczuro-ogr. Czuł się, jakby całe gniazdo szczeniąt w jego brzuchu usiłowało wygryźć się na wolność. Nie pamiętał, by kiedykolwiek był tak głodny.

Nad nimi kotłowały się czarne chmury. Uderzenia wielkich piorunów przerywały ciemności podświetlając scenę piekielnym blaskiem. Deszcz bijący w jego pysk oślepił go. Nie czuł zapachu Szarego Proroka Thanquola i był ciekaw, czy mag nadal idzie za nim w ciemnościach.

Wysoka trawa marszczyła się i falowała niczym wody wielkiego oceanu. Żdźbła uderzały w niego niczym miękkie, bezsilne miecze. To mu się nie podobało. Zdecydowanie. Chciał być gdziekolwiek, byle daleko stąd. Chciał znaleźć się w jakiejś bezpiecznej norze z twardego kamienia, a nie pod tym wirującym, zmiennym niebem.

W milczeniu przeklinał Thanquola. Szary Prorok jak zwykle był źródłem wszystkich cierpień w

zyciu Lurka. Żałował, że nie wykorzystał okazji skoku na niego, gdy mógł to zrobić. Był pewien, że wtedy magia Thanquola nie była tak silna. Szary Prorok wyglądał na wyczerpanego, jak gdyby wysiłki poprzedniego wieczora zużyły całą jego moc. Wiedział, że w swojej nowej, odmienionej formie jest w pełni zdolny pokonać swojego dawnego pana. Niczego nie pragnął bardziej niż zanurzyć swój pysk w brzuchu Szarego Proroka i jeść jego trzewia, najlepiej gdy Thanquol będzie jeszcze żył.

A jednak nie zrobił tego pomimo straszliwego głodu. Musiał zmierzyć się z tym faktem. Nie całkiem wiedział, dlaczego tak się stało. Może częściowo na skutek przyzwyczajenia, ze względu na godną skavena ostrożność w obliczu magii Thanquola, a częściowo ze względu na naturalny skaweński spryt. Wiedział, że jeśli poczeka, odpowiednia okazja dokonania zemsty pojawi się, a on w mniejszym stopniu zaryzykuje swoją własną ceną skórą.

W końcu, biorąc pod uwagę tak przemyślnego skavena, jak Thanquol nigdy nie można być pewnym, czy jest on rzeczywiście tak słaby, czy tylko udaje. Lepiej było zachować ostrożność, niż żałować nierozważnego czynu.

A przynajmniej tak myślał. Teraz jednak rozpętała się straszliwa burza i zdawało mu się, że jest gotowa zdmuchnąć cały świat. Co gorsza, wyczuwał w niej dziwny posmak, słaby smród spaczenia. Ta burza nadciągała prosto z Pustkowi. Bez wątpienia wskazywały na to mieniące się kolorami błyskawice. Odwrócił się, by zapytać Thanquola, co powinni zrobić.

Szary Prorok stał z szeroko otwartymi ślepiami i ustami, wdychając wiatr niesiony burzą niczym skaweński niewolnik łykający grzybowe wino. Wydawało się, jakby burza była stworzona dla niego. Lurk zadrzał ze strachu. Może powinien jeszcze bardziej odwlec myśli o zemście. W końcu czekał wystarczająco długo. Kilka kolejnych minut, godzin, dni albo nawet tygodni nie powinno stanowić różnicy.

Gdyby tylko nie był tak koszmarnie głodny. Patrzył na Thanquola mierząc wzrokiem każdy funt jego ciała. Thanquol zauważył to spojrzenie i wokół jego pazurów prześlizgnęła się blada, migocząca aura mocy. Lurk zrozumiał, że teraz nie jest dobry moment na zemstę. Ale wkrótce taki nastąpi. Już wkrótce.

Felix czuł wstrząsy statku powietrznego.

– Co to było? – spytała Ulrika.

Nie wyglądała na przestraszoną. Nigdy na taką nie wyglądała, ale czuł drzenie jej ciała w miejscu, gdzie stykało się z jego własnym.

– Wiatr – odpowiedział.

Duch Grunniego podskoczył nagle niczym okręt na miotanym sztormem morzu. Przycisnęła się mocno do niego. Felix poczuł, jak serce skacze mu do gardła. To nie było przyjemne uczucie, ale doświadczał już podobnych na Pustkowiach Chaosu. Pomyślał, że ona także. Podczas ich pierwszego przelotu między Middenheim i Kislevem przeżyli burzę. Wyciągnął rękę, by pogłodzić ją po włosach i dotknąć jej ciepłego, nagiego ciała.

– Nie ma się czego bać. Przechodziłem gorsze rzeczy na Pustkowiach Chaosu.

Wzdłuż korytarza i w izbach odbił się echem przenikliwy dźwięk. Cały statek wibrował.

– To tylko metal kadłuba. Jest naprężony – rzeki, próbując przypomnieć sobie wszystkie uspokajające zapewnienia, których nauczył go Malakai.

Był zaskoczony słysząc, jak spokojnie to zabrzmiało. Żałował tylko, że sam tak się nie czuje. Statek drżał niczym żywa istota. Dwoje kochanków przytulało się do siebie w pociemniałej kabinie. Oboje oczekiwali na nadejście katastrofy.

Max Schreiber dotarł na pokład sterowniczy. Sprawy nie wyglądały dobrze. Nie dostrzegali niczego przez potężne czarne chmury przed nimi, za wyjątkiem powtarzających się rozbłysków piorunów. Cały statek dygotał. Silniki były niczym zagubione dusze usiłując przepchnąć „Ducha Grungniego” przez potężne prądy powietrza.

Z drugiej strony, przynajmniej przy sterach stał Malakai Makaisson. Ze wszystkich zdolnych pilotów na statku, Max najbardziej ufał właśnie niemu.

– Tu ni jezd tak źle, na une wyglunda – rzekł Makaisson.

Jak zawsze jego twardy, gardłowy akcent i dziwny dialekt wywoływał konfuzję Maxa. Makaisson nie był krasnoludem, którego było najłatwiej zrozumieć.

– Cieszę się, że odczuwa pan taką pewność siebie, *Herr* Makaisson – powiedział Max.

Rozejrzał się. Poza Zabójcą-inżynierem, wszystkie twarze na pokładzie sterowniczym wyrażały obawę. Makaisson bawił się nausznikiem swojego osobliwego skózanego hełmu, który został obcięty na górze, by wypuścić jego grzebień włosów Zabójcy. Poprawił gogle osadzone na czole, a potem spojrzał na Maxa i wyszczerzył się w uśmiechu. To nie był kojący widok. Makaisson w najlepszym razie nie wyglądał na pełnego rozumu, a w tej chwili zdecydowanie przypominał szaleńca.

– Ni ma siem czygo być! Obróciem statek ode wiater. Ucikniem zanim burza nas huknie. Nic tu.

Prawdę powiedziawszy, słowa Makaissona brzmiały zaskakująco rozsądnie, jak zwykle, gdy się im dobrze przysłuchać. Max wyobraził sobie statek powietrzny uciekający przed wiatrem na podobieństwo okrętu żaglowego. Sztorm przyspieszy tę ucieczkę. Powinni być bezpieczni dopóki nic nie rozerwie torby powietrznej. Dokładnie w chwili, gdy poczuł się odrobinę spokojniej, „Duch Grungniego” podskoczył w górę niczym koń pokonujący płot. Max musiał złapać się krawędzi jednego z siedzeń dla pilotów, aby utrzymać się na nogach.

– Mała turbulemcja, człeku. Nie bój siem nic!

– Albo mi się wydaje, albo burza przechodzi – zastanawiała się Ulrika. Felix sam od pewnego czasu zadawał sobie to pytanie.

Minęły godziny odkąd dopadł ich sztorm i były to jedne z najdłuższych godzin w życiu Felixa. „Duch Grungniego” nigdy nie wydawał mu się tak mało bezpiecznym miejscem. Bał się, że cały pojazd może rozpaść się w każdej chwili i wszyscy zginą spadając. W dziwny sposób obecność Ulriki niczego nie poprawiała. Wizja własnej śmierci nie zachwycała go szczególnie, ale myśl o dziewczynie w jego ramionach umierającej w tej samej chwili, podczas gdy on nic nie może zrobić, była po prostu straszna.

– Myślę, że to prawda – odezwał się wreszcie. Był prawie pewien, że tak jest w istocie. Statek powietrzny najwyraźniej nieco zwolnił. Deszcz przestał uderzać tak silnie o okna. Błyski piorunów stały się rzadsze. Może najgorsze rzeczywiście minęło?

Ulrika wtuliła swoją głowę w jego ramię. Przytulił ją mocno i ofiarował modlitwę do Sigmara, prosząc, by ich oszczędził.

Max Schreiber spoglądał na wskaźnik prędkości na konsoli sterowniczej. „Duch Grungniego” wyraźnie zwalniał. Według Makaissona oznaczało to, że wiatr od ogona był słabszy. Max nie był całkiem pewien, co krasnolud chciał przez to powiedzieć, ale miał dzięki temu ogólne pojęcie, jak wygląda sytuacja. Był wdzięczny, że bogowie ich oszczędzili.

– Mówiłeś ci, ni? – rzekł Makaisson – ale czyś słuchel? Skundże! Powiadałech, co ten okremt wyczynie wienczej niżli tu, ale tyś wiesz lepij, ni? Aye, cóż pytam siem, kto miel racjem, co?

– Pan miał rację, *Herr* Makaiisson, nie ma wątpliwości – powiedział Max i cieszył się, że tak było w istocie. Jeszcze bardziej cieszył się, że Zabójca doskonale wiedział, co robić, by ocalić swój okręt. Może nie całkiem zasługiwał na swoją reputację wywoływania katastrof. W gęstej ciemności burzy zamajaczyło przed nimi coś wielkiego.

– Co to takiego? – spytał Max.

– Tu choerna góra, jidioto. Pomóż mnie obrycać tu choerne koło.

Max desperacko wspomagał Makaiissona ciężarem swojego ciała, gdy obaj usiłowali zmienić kurs. Duch Grungniego zaczął powoli skręcać. Zbyt powoli.

Snorri obudził się. Był trzeźwy i musiał przyznać, że miał straszego kaca. Cała podłoga wydawała się uginać, a to normalnie był efekt jakiego doświadczał, gdy był bardzo pijany. Potem zaświtało mu, że może to nie jest kac. W końcu znajdował się na statku powietrznym. Może wyginał się cały pojazd? A co wywoływało ten zgrzyt? To brzmiało jakby cała gondola ocierała się o skałę. Czy wylądowali? Jeśli tak, do dlaczego tak okropnie trzęsie i dlaczego wszystkie głosy w oddali krzyczą? Spojrzał na Gotreka. Drugi Zabójca spoglądał ponuro w ciemność.

– Wiedziałem, że ten idiota Makaiisson pozabija nas wszystkich – powiedział Gotrek.

Przez nagle rozdzielające się chmury burzowe Snorri dostrzegł otaczające ich górskie szczyty. Zgrzytanie trwało. Wiedział, że trą o skałę. W tych okolicznościach mógł zrobić tylko jedno. Pociągnął kolejny długi łyk wódki i czekał na nadchodzący koniec.

Max Schreiber czuł tarcie całego kadłuba gondoli o górskie zbocze. Modlił się żarliwie, by konstrukcja wytrzymała. Z drugiej strony, przynajmniej torba powietrzna pozostała nietknięta. Jeszcze kilka chwil i droga będzie wolna. Jeśli tylko statek powietrzny wytrzyma odrobinę dłużej. Ofiarował wszystkim bogom modlitwę o pomoc.

POWIETRZNE SPOTKANIE

Zgrzyt metalu ustał nagle. Max poczuł chwilową ulgę. Starek powietrzny był znowu wolny. Uniknęli zderzenia ze zboczem góry. Makaisson krzyczał do tuby komunikacyjnej.

– Chcemy raporty o okremcie. Jakie zniszczemnia? Jak tam silniuki? Jakiś dziur w gondoli lub balunie?! I ruszać się glomby!

Pociągnął za dźwignie kontrolne i hałas silników zamarł. Statek nadal poruszał się popychany wiatrem, ale jego prędkość spadła o połowę, blisko zatrzymania się pojazdu. Zdawało się, że burza ominęła ich. Max spojrzął na Zabójcę-inżyniera.

– W czym problem?

– Problem w tym, że wystartować! Myślę, że silniuki są trochę uszkodzone po przeciognieciu ich po skałę. To tylko teoria, ale bardzo możliwa. No i jest też fakt, że nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy!

– Najprawdopodobniej jesteśmy w Górach Krańca Świata – rzekł Max. – To jedyny łańcuch w promieniu stu mil, nas zwiłało na południe. Nie widzę pod nami Pustkowi Chaosu.

– Toż prawdziwy gemnusz! – szydził Malakai. – Wiem, gdzie jesteśmy w Górach Krańca Świata. Jestem krasnoludem, nie? Poznaję góry, jak je widzę. Nie wiem tylko, gdzie dokładnie w nich jesteśmy.

Max spojrzął na Malakaia. Krasnolud był wściekły. Malakai Makaisson był najbardziej opanowanym Zabójcą, jakiego spotkał Max, a taki pokaz szalu to było coś niezwykłego. Max zaczął zastanawiać się, czy nie mieli większych kłopotów, niż to sobie wyobrażał.

– To nie wydaje mi się zbyt wielkim problemem.

– Zatem pozwól, co wyjaśnię. Jeśli doznaliśmy poważnych uszkodzeń, to nie jest dobrze. Przyprawiamy naprawę pośrodku takiej dziury, gdy nie mamy części zamiennych nie będzie łatwe. Możemy być daleko od domu. Nadal nie widzisz problemu?

Max nagle zrozumiał zdenerwowanie Malakaia Makaissona. Był wyprowadzony z równowagi myślą o opuszczeniu swojego ukochanego okrętu. Max potrafił to zrozumieć. Ten pomysł nie napawał go radością. Góry Krańca Świata były wielkie i pełne włóczących się plemion orków i innych potwornych stworzeń, a także niezliczonych dzikich zwierząt.

– Myślę, że możemy mieć jeszcze jeden problem – powiedział jeden z czeladników pociągając za ramię Makaissona.

– Świtnie! A co to za problem?

– Oto on! – odpowiedział krasnolud pokazując.

Max rzucił okiem w stronę wskazywaną przez wyciągnięty palec krasnoluda. Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Opadła mu szczeka. W uszach słyszał łomot serca głośny niczym dudnienie bębna. – Bogowie, ocalcie nas – wyszeptał.

– Nie sądzę, by oni mogli! – powiedział Makaisson. – Nie z czymś takim!

– Coż, przynajmniej nadal żyjemy – rzekł Felix, podnosząc się do przysiadu i wciągając swoje bryczesy.

– Cieszę się z tego powodu – odpowiedziała Ulrika. Felix uśmiechnął się wyglądając na młodszego o całe lata.

– Ja też, – nałożył buty i koszulę oraz przypasał miecz. – Pójdę zobaczyć, co się dzieje.

Nagle rozległo się głośne łomotanie butów o metalową podłogę.

– Człeczyno, łap swój miecz! – usłyszał krzyk Gotreka, gdy ciężka pięść zakołatała do drzwi.

– Snorri myśli, że to dobry pomysł – usłyszał głos Snorriego.

– Co się dzieje, w imię Sigmara? – zapytał.

– Za chwilę sam zobaczysz.

Zdumiony Max Schreiber wyglądał przez okno pokładu sterowniczego. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Nie powstrzymywało to jednak narastającego w nim przerażenia.

To był smok. Nie jakiś tam zwykły smok, ale zapewne największy, o jakim słyszał. Nie był co prawda ekspertem w tym temacie. To był pierwszy widziany przez niego smok i miał szczerą nadzieję, że już ostatni.

Na początku, gdy zobaczył go w oddali, pomyślał, że to tylko wyjątkowo duży ptak. Stworzenie latało jednak zbyt dziwnie jak na ptaka i gdy zaczęło się zbliżać, Max zyskał pewne pojęcie o skali stworza porównując go z otoczeniem. Był zbyt wielki na jakiegokolwiek ptaka o jakim słyszał, włącznie z orłami bojowymi Leśnych Elfów, które były dość duże, by unieść na swoich grzbietach dorosłego wojownika. Obserwując zbliżającego się potwora dostrzegwał, że jego kształt także różnił się od ptasiego. Był o wiele za długi, a budowa skrzydeł przypominała raczej nietoperza niż ptaka.

Gdy stwór znalazł się jeszcze bliżej, Max zauważył długie jaszczurcze ciało, ogromny węzowaty ogon i podługowatą szyję zakończoną masywnym łbem. Widział kolory jakich nie miały żadne ptaki, może za wyjątkiem latających nad Pustkowiami Chaosu. Łuskowata, skórzasta skóra była czerwona, ale występowały na niej przebarwienia migoczące wszystkimi kolorami tęczy. Monstrualny łeb otaczał potężny kołnierz kostny. Wzdłuż długiego grzbietu biegł podwójny rząd ostrych jak brzytwy wypustek. Na pokładzie sterowniczym zapanowało istne pandemonium. Malakai Makaiisson wykrzykiwał rozkazy do tuby głosowej pchając ze wszystkich sił dźwignie kontrolne. Silniki zawyły jak demony, gdy statek powietrzny nabierał prędkości.

– Działonowi, na stanowyska! – huknął Makaiisson. – Wypaście wszystkie żyrokoptery i tu natychmniast!

Max zastanawiał się, co mogą w ten sposób wskórać. Był sparaliżowany ze strachu, gdy smok nadlatywał bez widocznego wysiłku. Nigdy nie widział tak olbrzymiej żywej istoty. Od nosa do ogona potwór musiał mieć długość torby powierzchni okrętu. Wyglądało na to, że może unieść byka w każdej ze swoich łap. Taki widok mógł zatrzymać serce nawet Zabójcy.

Wszędzie wokół siebie słyszał odgłosy biegnących stóp krasnoludów pędzących wykonywać rozkazy Makaiissona. Statek rozbrzmiewał echem pełnych paniki okrzyków i przysięg krasnoludów, które zdały sobie sprawę, z czym muszą się zmierzyć. Były niedobitkami z Karag Dum, od dawna zahartowanymi przez strach, a zatem widok smoka musiał być naprawdę przerażający, skoro wzbudzał trwogę w ich sercach.

Varek wspiał się do kokpitu żyrokoptera. „Smok” – pomyślał zarówno podniecony jak przerażony. Zobaczył smoka, jedno z legendarnych stworzeń. Jedną z najstarszych bestii. To było kolejny dziw, jakiego stał się świadkiem podczas tej podróży, kolejna rzecz warta zanotowania w jego księdze. „Jeśli przeżyję” – pomyślał, gdy silnik ożył z rykiem, a żyrokopter był gotowy do startu.

Max nie mógł ruszyć się z miejsca. Wiedział, że gdyby w tym właśnie momencie jego życie zależało od rzucenia zaklęcia, byłby już martwy. Jego umysł był pusty. Nie był w stanie zapanować nad magią, nawet gdyby jego życie było zagrożone. Smok otworzył pysk i zaryczał. Dźwięk odbił się echem niczym grzmot wśród gór. Jednocześnie między jego kłami o rozmiarach mieczy przeskokowały

małe płomienie. *Gdy* stwór zbliżył się, Max zrozumiał jedną z przyczyn swego przerażenia. To, co brał za małe klejnoty, którymi wysadzona była skóra błyszcząca w słońcu, w rzeczywistości było drobnymi odłamkami spaczenia. Zadrżał na myśl o wpływie jaki ta straszliwa substancja musiała wywierać na smoka. W najlepszym razie dotknęło go szaleństwo i mutacje. Być może tłumaczyło to rozmiary stwora i jego dziwaczny wygląd.

Z tej odległości dostrzegał długie, mięsiste wypustki otaczające paszczę potwora i wyrastające tuż nad ślepiami rogi sterczące niczym łodygi dziwnej rośliny. Tu i tam łuskowatą skórę pokrywały bąble i krosty. Stwór najwyraźniej doświadczył dotyku Chaosu. Czy to możliwe, by przybył wraz z burzą, przewiany z Pustkowi siłą tych demonicznych wiatrów? Max nie wiedział tego. Obliznął swoje zaschłe usta. Nie chciał się dowiedzieć.

Smok był już prawie obok nich, lecąc równoległe do statku powietrznego niczym wieloryb płynący wzdłuż kogi towarowej. Jeszcze nie zaatakował, ale Max nie miał wątpliwości, że stwór był złowrogi. Bawił się z nimi, jak kot z myszą.

Smok był tak blisko, że można było dostrzec szczegóły jego ogromnego łba. Ślepia stwora lśniły żółcią, a źrenice płonęły niczym czerwone słońca. W ich głębi migotała złośliwa inteligencja. Z nozdrzy i pyska buchały kłęby trującego gazu wśród przebłysków małych płomieni.

Stwór był tak wielki, że mógł połknąć konia za jednym razem. Te pazury mogły rozdrzeć torbę powietrzną z taką łatwością, z jaką człowiek rozdziera pergamin. Gdyby zionął, balon z pewnością zająłby się ogniem, a któż wie, co stałoby się potem. Max zadrżał przypominając sobie, że silniki „Ducha Grungniego” były zasilane czarnym płynem. To była jedna z najbardziej łatwopalnych substancji znanych nauce alchemicznej. Istniało aż nazbyt wiele możliwości, które mogły doprowadzić do katastrofy.

Słyszał kolejne silniki ożywające z rykiem, gdy żyrokoptery jeden po drugim wyskakiwały z hangaru na pokładzie statku powietrznego. Po bitwie we dworku pozostały tylko trzy maszyny. Max domyślał się, że mogły zaszkodzić smokowi tyle, co pchły wilkowi. Nie widział żadnych szans na przetrwanie tego spotkania.

Patrzył na pierwsze żyrokoptery pojawiające się w polu widzenia i kierujące prosto na smoka. Huk donośny jak tysiąc muszkietów oznaczał, że otworzyły ogień działa organowe w wieżyczkach na szczycie torby powietrznej i pod gondolą. Linia eksplozji na cielsku smoka wskazała trafienia.

Smok rykiem oznajmił swój gniew. Jego długa węzowata szyja wygięła się ustawiając otwarte szczęki na osi statku powietrznego. Max stłumił krzyk przerażenia, gdy w ich kierunku buchnął kłęb płomieni i gazu spaczenia.

Wiatr smagał twarz Vareka. Krasnoluda przepełniała euforia prędkości. Wykrzykiwał radośnie, gdy żyrokopter pomknął łukiem w stronę smoka. Miał wrażenie, jakby olbrzymia pięść wgniatała go w siedzisko. Nigdy nie czuł się tak ożywiony. Wydawało mu się, że zrozumiał jeden z sekretów Zabójców i poznał przyczynę ich nieustannego poszukiwania własnej śmierci. To była egzystencja na krawędzi i to było cudowne. Wielki potwór przed nim zdawał się powiększać. Strach ścisnął wnętrze Vareka, gdy poczuł na sobie palące spojrzenie potwora. Zebrał się w garść i przygotował do ataku.

Felix słyszał nad sobą hałas strzelaniny z wieżyczek. Co to mogło być? Co mogło atakować ich na takiej wysokości? To musiało być coś latającego i poruszającego się dość szybko, by ich dogonić. Oczekiwał końca strzelaniny. Pewnego razu obserwował demonstrację działa organowego odpalonego przez żołnierzy podczas parady na cześć Imperatora w Altdorfie. Urządzenie rozerwało na drzazgi niewielki drewniany fort. Nic nie mogło wytrzymać skoncentrowanego ognia połowy

tuzina takich dział, nieprawdaż?

Snorri i Gotrek wspinali się po drabinie. Była wykonana z metalowych kabli i biegła przez całą torbę gazową na szczyt statku powietrznego. Prowadziła do znajdujących się tam wieżyczek oraz zapewniała dostęp do wnętrza balonu załodze, która chciała przeprowadzić naprawy.

Felix prześlizgnął się szybciej niż krasnoludy. Przez krótką chwilę pozostawał sam na szczycie gondoli i zauważył, w co strzelano. Dostrzegł mknący kształt długiego gada o rozmiarach statku powietrznego i skrzydłach nietoperza. Chwilę później wszystko zasłonił gryzący dym dział organowych. „Na wszystkich bogów, czy to mógł być smok?” – zastanawiał się Felix? Czy rzeczywiście zobaczył to, co mu się wydawało? Miał najszczerzą nadzieję, że tak nie było.

Było tu zimno, a uderzenie wiatru wycisnęło łzy z oczu Felixa, który schował się ponownie do wnętrza torby. Wszędzie wokół siebie dostrzegał setki mniejszych toreb gazowych. Wiedział, że Makaïsson zaprojektował je w taki sposób, że nawet w przypadku rozerwania zewnętrznej powłoki balonu nie ucieknie cały gaz unoszący ich w powietrzu. Zgodnie z zapewnieniami krasnoluda musiała pęknąć ponad połowa tych zbiorników, zanim „Duch Grungniego” zaczęłby tracić wysokość.

Nagle Felix poczuł dramatyczny wzrost temperatury. Zauważył płomienie migoczące wokół niego i uderzył go obrzydliwy odór przypominający mu ścieki i spaczeń. Co się działo?

– Smok zionął – usłyszał krzyk Gotreka.

„Zaraz zginę” – pomyślał Felix.

Max powstrzymał się od krzyku, gdy obłok płonącego gazu otoczył statek powietrzny. Wyobraził sobie zapalającą się torbę gazową i cały pojazd rozrywany apokaliptycznym uderzeniem gorąca i ognia. Przez krótką chwilę był pewien, że nie żyje. Zamknął oczy, przerażony wciągnął powietrze i czekał na nieuniknioną falę bólu, która oznajmi koniec jego życia. Minęło uderzenie serca, potem następne, a on żył dalej. Czuł drżenie statku powietrznego i wiedział, że to było to krótkie zawieszenie nieuniknionego. Instynktownie zaczął uspokajać się i zszokowany stwierdził, że nadal żyje.

Otworzył oczy, rozejrzał się i zobaczył Makaïssona, bez ustanku z furią ciągnącego za dźwignie. Statek szedł w górę, pnąc się ostro. Max zauważył pod nimi smoka, rozkładającego skrzydła i rozpoczynającego pozornie leniwy lot spiralny ku niebu. Wokół niego śmigwały niczym komary trzy żyrokoptery.

– Nadal żyjemy – stwierdził Max.

– Słyszna uwaga! – odpowiedział Makaïsson. – Nie bydziemy płakać z tygo powydu, prawda dyży czływieku?

– Jak to możliwe? Dlaczego nie spłonęliśmy na śmierć? Dlaczego nie zapaliła się torba gazowa?

– Takie krótkie osmalynie metalu ni wystarczy, coby go stopić, co byś wiedział, gdybyś kidyś pracywał z żylazem. Mnieliśmy nico szczynścia z torbom gazowom. W moim ostatnim statku powitrznym była eksplozja, winc tym razem ochruniłem baluny miksturom ogniodpornom. I bardzo dybrze, naprywde.

– Makaïsson, nie dbam o to, co mówią o tobie inni – uważam, że jesteś geniuszem.

– Dzinki, chyba – powiedział Makaïsson. Dokonał małej poprawki przy urządzeniach sterowniczych. – A przy okazji, cu dukładnie mówiom o mni inni? Ni, cobyim sim tym przyjmował, wisz.

Felix wyszedł na szczyt statku powietrznego. Wzdłuż grzbietu torby gazowej biegła metalowa

wręga. Wybiegały z niej sieci podtrzymujące balon. Ktoś odważny i nie bojący się ryzyka mógłby wspinać się po nich. Wzdłuż wręgi rozmieszczone były wieżyczki z działami organowymi. Przez całą długość grzbietu biegła mała poręcz przystosowana do wzrostu krasnoludów. Felix złapał za nią i wyciągnął się na zewnątrz. Wiatr szarpnął jego włosami i wycisnął łzy z oczu. Powietrze wyło w jego uszach, gdy nie było zagłuszane przez grzmot dział organowych. Dostrzegął wykrzykujących Gotreka i Snorriego. Wymachiwali pięściami w stronę smoka, ale nie słyszał ani słowa z ich pokrzykiwań. Zapewne nie była to wielka strata, bowiem najprawdopodobniej nie krzyczeli nic rozsądnego.

Potrząsnął głową wiedząc, że celowo próbuje odwrócić swoją uwagę od przerażającego widoku poniżej. To był rzeczywiście smok, który wznosił się wśród obłoków. Pod nim widział strumienie, doliny i wzniesienia, które brał za Góry Krańca Świata. Wokół potężnej bestii uwijały się żyrokoptery.

Przez chwilę pomyślał, że niewielu ludzi miało okazję oglądania takiej sceny, ale potem stwierdził, że z radością zamieniłby ten przywilej na możliwość przebywania na ziemi możliwie daleko od tej wielkiej kreatury.

Widział żyrokoptery atakujące smoka swoimi strumieniami gorącej pary, ale to nie przynosiło żadnego skutku. Nie dało się skrzywdzić stworzenia, we wnętrzu którego płonęły ognie Chaosu, parząc go przegrzaną wodą. Może gdyby spróbowali wypuścić parę prosto w gardło potwora, ogień mógłby zgasnąć, ale Felix wątpił w to. Bomby rzucane przez pilotów w tej chwili okazywały się równie mało skuteczne. Trudno było oszacować odległość do tak szybko poruszającego się celu i odpowiednio wybrać długość lontu.

Felix widział bomby bezskutecznie eksplodujące w powietrzu wokół smoka. A potem smok obrócił się gwałtownie i zionął w najbliższy żyrokopter. Maszyna wybuchła równie nagle i gwałtownie, jak jedna z bomb, ale w znacznie większej skali. Felix ofiarował modlitwę za duszę pilota opadającego na ziemię w płonącym wraku.

Smok wyprostował skrzydła i zaczął szybko nabierać wysokości w pościgu za „Duchem Grunniego”. Nastąpiła przerwa w kanonadzie, gdy strzelcy czekali, aż potwór ponownie znajdzie się w zasięgu.

– Jest mój – usłyszał głos Gotreka.
– Jest Snorriego – odpowiedział Snorri.
– Myślę, że wystarczy go dla wszystkich – rzekł Felix, sięgając do rękojeści swojego miecza. – Nie musicie się o to wyklócać... auć!

Odsunął dłoń od rękojeści broni jakby się oparzył. Nie była gorąca, ale gdy dotknął rękojeści zakończonej głowicą w kształcie smoczego łba, poczuł dziwne łaskotanie i falę energii, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczył. To nie było nieprzyjemne uczucie, tyle że nastąpiło niespodziewanie. Ponownie sięgnął po miecz, łudząc się, że to mu się tylko wydało, ale gdy tylko to zrobił, wrażenie wróciło ze zdwojoną siłą.

Po jego dłoni rozlało się dziwne ciepło, które popłynęło wzdłuż ramienia i ogarnęło całe ciało. Było mu dobrze. Znikł cały strach przed smokiem. Czuł ogarniające go podniecenie, moc i siłę. Stwierdził, że oczekuje na zbliżenie się smoka, by mógł go dosięgnąć.

W głębi ducha zastanawiał się, czy nie postradał zmysłów. Nie wyniknie z tego nic dobrego, jeśli smok zbliży się do delikatnej torby gazowej i zawieszanej pod nią gondoli. Felix wiedział, że musi tu działać jakieś czarodziejstwo. Może to Max Schreiber rzucił na nich zaklęcie, nie mówiąc im o tym? Jeśli tak, to dlaczego nie zauważał żadnych zmian u Gotreka i Snorriego? Nie miało sensu zakładanie, że magik rzucił zaklęcie na niego, a nie na dwóch Zabójców, którzy byli znacznie silniejsi.

Smok wypełnił jego pole widzenia. Felix czuł zniecierpliwienie. Wiedział, że to wrażenie pochodzi od miecza. Trzymając przed sobą ostrze dostrzegał runy lśniące wzdłuż niego z siłą i jasnością, jakich wcześniej nie widział. Wydawało się, jakby były wypisane żywym ogniem.

Zamyślił się nad tym. Nie znał zbyt dobrze historii tego miecza poszukiwanego przez templariusza Aldreda wiele miesięcy temu w ruinach Karaku Osiem Szczytów. Zawsze wiedział, że broń jest magiczna. Utrzymywała ostrość nieporównywalną z inną bronią i nigdy nie pojawiła się na niej szczerba, nawet po tylu bitwach. Felix sądził, że nałożone na nią zaklęcie ogranicza się do tego.

Patrząc w tej chwili na miecz i obserwując jego zachowanie w obecności wielkiego smoka pod nimi, przyszło mu na myśl, że być może głowica miecza jest czymś więcej niż tylko zwykłą dekoracją. Może jej kształt wyrażał przeznaczenie broni. Wydało mu się, że od samego oręża przyplęnęło zapewnienie, iż ma rację.

Przyłączył się do Zabójców wykrzykujących zniewagi w stronę smoka, zaskoczony własną zaciekłością. Normalnie, za żadne skarby nie ściągałby na siebie uwagi tak potężnej bestii, ale najwyraźniej wpływ miecza był niezwykle silny. Patrząc na zdumione twarze Gotreka i Snorriego domyślał się, że są równie zaskoczeni, jak on sam.

Smok piął się w górę wściekle tłukąc skrzydłami powietrze i szykując się do ataku. Na jego drodze pojawiły się żyrokoptery, chociaż Felix częściowo tylko zdolny do rzeczowego rozumowania zastanawiał się, w jaki sposób mogą zagrozić stworowi.

Ulrika z rosnącym poczuciem bezsilności obserwowała przez iluminatory kabiny toczącą się poniżej bitwę. Nie mogła nic zrobić, by wpłynąć na wynik tej walki. Nie miała umiejętności niezbędnych do obsługi dowolnej z broni pokładowej, ani do prowadzenia okrętu. Wątpiła, by mogła choćby zadrapać przerażającą bestię, gdyby zbliżyła się do niej na odległość ciosu. Co gorsza, znajdowali się tysiące kroków nad powierzchnią ziemi. Nie było dokąd uciec, ani gdzie skryć się, gdyby tylko chciała to uczynić.

Nie. Nie zgadzała się siedzieć bezradnie. Musi coś zrobić. Na myśl przychodziła jej tylko jedna rzecz, a zatem uczyniła to. Złapała krótki, donośny róg kościany, którego używała do polowań konnych z lukiem, przerzuciła przez ramię kołczan strzał i wyruszyła na poszukiwanie dogodnej pozycji strzeleckiej.

Max Schreiber cieszył się czując ustępujące przerażenie. Zdawało się, że obezwładniająca moc smoka, która wzbudzała w nich strach została przez coś rozproszona. Nie był pewien, co to było, ale gdzieś w pobliżu wyczuwał źródło energii magicznej pulsujące niczym latarnia. Cokolwiek to było, miało wielką moc. Czy na statku powietrznym mógł przebywać jeszcze jeden czarodziej? To nie wydawało się prawdopodobne. Krasnoludy nie słynęły ze swojej znajomości sztuk magicznych i wiedział, że ani Felix, ani Ulrika, czy też jej ochroniarze nie byli magami. To musiało być coś innego.

Cokolwiek to było, Max był wdzięczny, że to coś istniało. Miał czysty umysł i znowu czuł, że jest w stanie czerpać wiatry magii. Sięgnął głęboko do studni swojej duszy i zaczerpnął jej mocy. W umyśle zaczął przeglądać znane sobie najsilniejsze zaklęcia. Może mógł w jakiś sposób wpłynąć na losy bitwy. Może...

Spoglądając przez okna pokładu sterowniczego na przerażającą sylwetkę smoka wątpił w to.

Felix obserwował zbliżającego się smoka. Wydawało mu się, że słyszy potężne uderzenia jego skrzydeł pomimo ryku dział organowych. Zdumiewały go rozmiary tego stworza. Nie sądził, by

kiedykolwiek przebywał tak blisko równie ogromnej żywej istoty. To sprawiło, że poczuł się nieistotny, mały, zbędny i bez znaczenia.

Inna część jego umysłu pragnęła starcia ze stworem. Chciał dotrzeć do miejsca, gdzie mógłby zmusić go do walki. Felix zastanowił się nad tym i zrozumiał, że to co wzywało go do bitwy nie pochodziło od niego. To był wpływ czegoś z zewnątrz. Te myśli pochodziły od miecza, który zmuszał go do wymachiwania orężem i wykrzykiwania wyzwania. Chociaż cieszył się, że strach ustąpił, z drugiej strony buntował się wewnątrz. Sam był panem swoich działań – nie jakaś na wpół świadoma, starożytna broń. Zmusił się do zamknięcia ust. Wysiłkiem woli opuścił miecz i zatrzymał go w pozycji obronnej.

To było trudne, ale udało mu się. Miecz walczył z nim wijąc się w dłoni niczym wąż. Felix miał wrażenie jakby był pijany i nie mógł odpowiadać za swoje czyny. Wysiłił całą wolę, by zamilknąć i stać w miejscu, a im bardziej się starał, tym słabszy stawał się dziwny przymus. Albo znowu stał się panem samego siebie, albo miecz zachowywał swoją moc do ważniejszej walki. Wydawało mu się, że zapewne prawdziwe jest to drugie.

– Chodź spróbować ostrza topora! – ryknął Gotrek.

– A potem skosztuj młota Snorriego! – krzyknął Snorri. Felix patrzył w milczeniu na stwora, który był już prawie przy nich. Czuł smród trucizny Chaosu w jego oddechu.

Cały kadłub zadudnił echem, jakby uderzony olbrzymim młotem. Siła wstrząsu niemal zrzuciła Ulrikę z drabiny. Czuła drgania i obrót gondoli i domyślała się, że jedna z tych wielkich łap musiała uderzyć w statek powietrzny. Serce podskoczyło jej do gardła. W jej umyśle pojawił się wyraźny obraz gondoli odrywającej się od torby gazowej i spadającej ku ziemi. Szybko odsunęła od siebie tę myśl i wznowiła wspinaczkę. Skoro miała zginąć, chciała zginąć podczas walki.

Max przetoczył się po podłodze pokładu sterowniczego, ciśnięty siłą uderzenia niczym dziecięca zabawka. Czuł ugięcie się gondoli, gdy łapy smoka uderzyły w bok statku powietrznego. Całe wnętrze pojazdu wibrowało niczym bęben, gdy wielkie gadzie skrzydła okładały go wściekłymi ciosami. Oczyma duszy widział smoka wczepiającego się w okręt niczym tygrys w gryzający się w gardło swojej ofiary. Ten obraz nie był uspokajający.

Uniósł wzrok i zobaczył Makaissona mocującego się z dźwigniami kontrolnymi. Krasnolud przeklinał głośno:

– Choerny przerośnięty jaszczur! Próbawuje zjeść nas żywcem. Choerny gupi stwór. Ni da rady zjeść solydnej stali. Prawda? No powidźcie sami, prawda?

W głębi serca Max nie był taki pewien. Wiedział, że smok nie musi ich zjeść, by doprowadzić do katastrofy. Kilka następnych takich ciosów oderwie gondolę i wszyscy zginą.

Varek był naprawdę podekscytowany. Nie sądził, by cokolwiek mogło równać się z zejściem do trzewi Karag Dum wraz z Zabójcami i Felixem, ale to okazało się możliwe. Powietrzna walka ze smokiem. Pomyślał, że to byłby znakomity rozdział w jego księdze. Uniósł otrzymane od Makaissona przenośne działko organowe. Stwierdził, że nadszedł czas na kilka dobrych strzałów w smoka.

Felix czuł pod stopami pokład wyginający się od uderzenia. Łapy smoka wbiły się w bok statku powietrznego. Uszy Felixa wypełnił odgłos zgrzytającego metalu kadłuba poddającego się sile ciosu. Długa szyja smoka wygięła się. Potwór odgryzł fragment torby gazowej odrywając wielki kawał zewnętrznego pokrycia. W jego paszczy eksplodowały balony. Felix zadrżał zastanawiając się, ile

jeszcze znieś okręt. Machnięcie ogromnego ogona minęło gondolę i zakończyło się na jednym z dział organowych, rozplaszczając je razem z działonowym. Wrak wieżyczki wyleciał w przestrzeń opadając ku ziemi widniejącej daleko poniżej.

Sprawy nie wyglądały dobrze. Cały kadłub skrzypiał, gdy smok oparł się na nim swoim ciężarem. Potwór wyciągnął długą szyję pokrytą łuskami i nagle jego łeb pojawił się tuż przed Felixem.

Gotrek i Snorri ruszyli naprzód. Błysnął topór Snorriego i odbił się od skóry smoka. Jego młot również nie poskutkował w widoczny sposób. Natomiast topór Gotreka trafił celu rozrabując pancerną skórę i upuszczając posoki. Smok ryknął ze wściekłości. Machał potężnym łbem złowrogo łypiąc na Zabójcę. Felix dostrzegł w ślepiach stwora złośliwą inteligencję i wiedział, że smok zamierza zemścić się na drobnym stworzeniu, które go skrzywdziło.

Otworzył paszczę. W jego szczękach płonęły oknie piekielne. Felix odniósł wrażenie, jakby potwór śmiał się. Jakiś dziwny impuls kazał mu rzucić się między Gotreka i smoka w chwili, gdy potwór zionął. Powstrzymał się od krzyku widząc mknącą ku nim ścianę ognia.

Max wyśpiewywał słowa zaklęcia czerpiąc coraz więcej energii magicznej. Wiedział, że nie będzie miał drugiej okazji i chciał wykorzystać ją jak najlepiej. Nawet jeśli smok ich zniszczy, czuł odrobinę satysfakcji wiedząc, że może go zranić. Przynajmniej, miał taką nadzieję.

Gdy słowa wypływały z jego ust, czuł wirujące wokół siebie wichry magii. Ściągała ku niemu złota magia w odpowiedzi na tajemnicze właściwości mantry. Kształtował moc gestami, nadawał im formę pracując w niej niczym garncarz w glinie. W jego dłoniach pojawiał się wielki bełt energii wspomaganą siłą jego umysłu i słów. Gdy zbyt trudno było utrzymać falę, wykonał ostatni gest i posłał ją ruchem wirowym ku smokowi.

Potężny promień złotego światła trysnął naprzód przenikając nieszkodliwie przez kryształ okna, a potem uderzył w cielsko smoka i wbił się prąc w stronę jego serca.

Ulrika podciągnęła się przez krawędź wjazdu na szczycie torby powietrznej. Zdażyła jeszcze zobaczyć Felixa skaczącego między Gotreka i zionącego smoka. Wiedziała, że Felix zaraz zginie.

– Nie! – krzyknęła. W tej samej chwili jej ciało reagując bez udziału rozumu już ustawiało się w pozycji strzeleckiej, naciągając łuk i wymierzając strzałę w oko smoka.

Varek jedną ręką ciągnął pręt sterowniczy, a drugą ostrzeliwał się z przenośnego działka organowego. To nie przynosiło zbyt wielkich efektów. Widział pociski odbijające się od skóry smoka, ale równie dobrze mógł strzelać śrutem w mastodonta. Zapewne to nie było przyjemne dla smoka, ale nie zadawało mu prawdziwych ran. Varek pomyślał, że być może jego książka zakończy się w tym miejscu. Może właśnie teraz nadszedł kres tej historii.

Felix nie mógł uwierzyć w to, co stało się w następnej chwili. Gdy runął na niego płomień, Felix uniósł miecz. To był bezcelowy i próżny gest wykonany bardziej z siły nawyku niż w nadziei uratowania się. I coś się stało. Runy na ostrzu zabłysły jeszcze jaśniej. Uderzenie żaru i bólu nie nadeszło. Ochroniła go jakaś czarodziejska siła.

Poczuł wielki nacisk, jakby spychał go prąd rzeki. Przez chwilę zdawało mu się, że zostanie zmieciony ze szczytu torby gazowej, ale udało mu się utrzymać pozycję. Powoli zaczął przeć naprzód, aby zaatakować smoka. Ostrze pulsowało jasno w oczekiwaniu na uderzenie.

Ulrika wypuściła strzałę. Pocisk poleciał prosto w stronę smoczego ślepią, ale w ostatniej

sekundzie stwór poruszył się i strzała zagłębiła się jednej z dziwnych narośli wystających z jego brwi. Nienawistny ryk potwora był ogłuszający.

Smok Skjalandir był sfrustrowany. To nie działało się tak, jak sobie zaplanował. Ten dziwny pojazd przyjął walkę. Na pokładzie znajdował się czarownik miotający zaklęcia przeciwko niemu. Topór tego krasnoluda był najpotężniejszą bronią jaką widział w ciągu swoich dwóch tysięcy lat istnienia, a miecz unoszony przez tego drobnego człowieka wzbudzał w nim lekki niepokój. Broń lśniła starożytną nienawiścią skierowaną przeciw wszystkim osobnikom jego rodzaju.

Wściekłość i żądza zemsty nadal go przepelniały. Teraz łatwo było go rozgniewać. Wiedział o tym. Zmienił się od czasu, gdy ci dwaj identyczni albinosi-czarnoksiężnicy przebudzili go z długiego snu. Obawiał się, że wiedział dlaczego tak się stało. Ten ze złotą laską wbił kawałki spaczenia w jego ciało. Ten z hebanową laską związał go zaklęciami. Wówczas smok był zbyt zaspany, by się opierać. W jego pamięci pojawiał się tajemny rytuał, który przepelniał go strachem i złością. Przypominał sobie rozbrzmiewające w jego jamie imię mrocznego boga, władcy zmian. Pamiętał, jak magowie zgrabili jego wielki skarb. Wiedział, że został unieruchomiony rzuconym przez nich zaklęciem, ale jego umysł był zamroczony i nic nie mógł z tym zrobić.

Topór znowu wbił się, zagłębiając w ścięgna na jego karku. Dla Skjalandira to było jak ugryzienie mrówki. Bolesne, irytujące, ale niezbyt szkodliwe. To samo dotyczyło zaklęcia atakującego go z boku oraz ukąszeń tych drobnych dział. Naprawdę, te małe istotki nie mogły w żaden sposób naprawdę go zranić. Nadszedł czas, by zakończyć tę farsę.

Skjalandir zastanowił się. Mógł zionąć na balon ponad metalową gondolą. Gdy w niego uderzył, odkrył wewnątrz tysiące mniejszych balonów. Jego smoczy umysł był dość bystry, by zrozumieć, że to właśnie utrzymywało statek w powietrzu. Gdyby tylko udało mu się je podpalić...

Czy zaklęcie utkane przez miecz i chroniące jego właściciela przed smoczym zionięciem ochroni nieożywioną strukturę? Skjalandir wątpił w to. Nauczy tych krasnoludzkich intruzów. Wdzieranie się do jego królestwa i zanieczyszczanie terenów łowieckich maszynami jest ich olbrzymim błędem. Zabije ich, tak jak pozabijał wszystkie krasnoludy, które przyszły zmierzyć się z nim. Zniszczy ten pojazd w taki sposób, w jaki zniszczył miasteczka otaczające jego jamę i naprawdę nic nie mogą zrobić, by go powstrzymać.

A może powinien uderzać dalej w metalową gondolę? Jeśli oddzieli ją od torby gazowej, wszyscy wewnątrz niej runą na dół. Wówczas będzie mógł bez przeszkód zająć się istotami na szczycie balonu. Coś w jego udręczonym spaczeniu umyśle nakazywało mu wybrać drugą opcję. Była okrutniejsza.

Wiedział, że zbliżają się pozostałe żyrokoptery. Niech im będzie. Ich parowe oddechy nie mogą go zranić, a żalosne jaja wybuchające ledwo drapią jego pancerz. Jeśli ośmielą się użyć swojej broni tak blisko statku powietrznego, wówczas zapewne wyrządzą więcej szkód własnemu pojazdowi niż Skjalandirowi.

Max wyczuwał nad sobą falę energii magicznej. Domyślał się istnienia zaklęcia ochronnego i to nie rzuconego przez śmiertelnego czarownika. Wszyscy czarownicy mieli swoje magiczne sygnatury, równie charakterystyczne, jak głos. Można było rozpoznać dzieła innego adepta sztuk magicznych, o ile nie zostały zamaskowane. Doświadczony praktyk, taki jak Max, potrafił nawet określić rasę i zazwyczaj także płęć rzucającego zaklęcie, ale tym razem nie miał pojęcia. To mógł być artefakt lub runy, a jednak dostrzegał w tym ślad jakiejś obcej inteligencji.

Max nie sądził, by miał okazję dowiedzieć się tego. Kilka chwil po uwolnieniu swojego zaklęcia

zdał sobie sprawę, że oszukiwał sam siebie wierząc, że uda mu się zaszkodzić smokowi. Może go zranić, sprawić mu ból, ale nie ma większej szansy, by go zabić niż pszczoła próbująca pokonać słonia. Stwór był zbyt ogromny i potężny, a w samej jego naturze wplecione jest zbyt wiele magii, by Max był w stanie naprawdę go skrzywdzić. Pomyślał gorzko, że może tego dokonać istota potężniejsza od niego. Ostatnio spotykał ich całkiem sporo.

Przez jego umysł przemknęły węzły zaklęcia ucieczki, ale wątpił, by to przydało się na coś. Wątpił, by zaklęcie sprowadziło go bezpiecznie przez tak długą drogę na dół, a nawet w takim przypadku nadal będzie poruszał się z obecną prędkością, w tym samym kierunku co pędzący „Duch Grungniego”. Najprawdopodobniej rozbije się o skałę lub o drzewo, albo inną przeszkodę.

Nie był także pewien, czy chce uciekać. Na statku była Ulrika, a on nie chciał jej porzucać. W każdym razie jeszcze nie teraz, dopóki nie był absolutnie pewien, że nie ma szans na jej ocalenie.

Felix spojrzał na smoka. Miał wrażenie, że stwór kpi sobie z niego. Przelatywał tuż za zasięgiem ciosu i ignorował wyzwania wznoszone przez Gotreka i Snorriego. Chciał im pokazać, że może ich zniszczyć, jeśli przyjdzie mu na to ochota. Bawił się z nimi. Wyglądało na to, że wszystko co Felix czytał o złośliwości i okrucieństwie smoków było prawdą.

Czuł krótkie ukłucie desperacji. Czy po tym wszystkim skończy w ten sposób? To nie wydawało się sprawiedliwe. Po tylu przygodach, jakie przeżył, poniesie śmierć podczas przypadkowego spotkania w Górach Krańca Świata. A jednak, któż wiedział, kiedy nadejdzie dzień śmierci? Szczęście każdej osoby miało swój kres, a Felix zaczął podejrzewać, że ostatnio ma go aż nazbyt wiele. Żałował tylko, że Ulrika jest tutaj, a on nie będzie przy niej w tym ostatecznym momencie.

Zerknął na Gotreka i zobaczył, że Zabójca zachowuje się tak, jakby zbliżała się jego ostatnia chwila. Felix stwierdził, że zapewne ma rację. Krasnolud wymachiwał swoim toporem i wykrzykiwał pogroźki w stronę smoka. Snorri dzielnie go w tym wspomagał.

Kątem oka Felix zauważył coś wylatującego łukiem nad smoka, a potem opadającego na niego niczym pikujący jastrząb.

Varek ścisnął drążek sterowniczy swojego żyrokoptera i przeżuwał brodę we frustracji. Zrobił wszystko, by zabić smoka, ale stwór ignorował jego działa organowe i nie udało mu się trafić go bombami. Teraz potwór zamierzał zniszczyć „Ducha Grungniego”.

Co gorsza, na pokładzie statku powietrznego znajdowały się zaginione skarby Karag Dum i młot Ognistobrodego, jedna z legendarnych broni jego ludu. Jeśli „Duch Grungniego” zostanie zniszczony, Młot ponownie zaginie, być może tym razem na zawsze. Varek był dumny biorąc udział w tej ekspedycji, dumny, że stanowi części załogi statku powietrznego. Jeszcze większą dumą napełniało go uczestnictwo w wyprawie, która przywróci starożytny oręż runiczny jego ludowi. Wiedział, że jeśli teraz zawiodą, będzie musiał ogolić swoją głowę i stać się Zabójcą, by odpokutować za swoją porażkę. Wiedział, że nie będzie mógł żyć z myślą, że dotarli tak daleko, wycierpieli tak wiele, a jednak na końcu przegrali. Wiedział, że ta myśl będzie go trawiła do końca życia.

Upłynęło kolejne uderzenie serca zanim znalazł rozwiązanie swojego problemu. Skoro ma zostać Zabójcą, będzie musiał szukać swojej zagłady w walce z najpotężniejszymi potworami. Przed nim znajdował się jeden z najgroźniejszych. Wiedział, że nigdy nie znajdzie równie wielkiego. Tego był pewien. Miał także broń, która mogła zabić stwora, chociaż za cenę życia krasnoluda. A jednak to był wielki czyn. Zagłada, która zapewni jego imieniu wieczne życie w annałach jego ludu i przyniesie wieczystą chwałę klanowi Vareka i jego przodkom. Dokonując jednego uczynku stanie się Zabójcą Smoków i ocali żywota wszystkich swoich przyjaciół. Nie chcąc dawać sobie czasu na rozważenie tej decyzji, zadziałał natychmiast. Szarpnął za drążek sterowniczy żyrokoptera, otworzył całkowicie

przepustnicę i wycelował prosto w smoka przed sobą.

Łopaty wirników pierwsze wyrwały wielkie kawały cielska smoka, a potem wbiły się w niego także wirniki na nosie pojazdu. Nagłe uderzenie rozerwało silnik, a potężna eksplozja zmiażdżyła ciało Vareka.

W ostatniej myśli, zanim ogarnęła go ciemność żałował, że nigdy nie dokończy swojej księgi.

Felix patrzył na żyrokopter opadający na smoka. W ostatniej chwili zauważył znajomą twarz. Pomyślał „Varek, nie rób tego!”. Nawet gdyby jego myśl mogła wpłynąć na decyzję Vareka, było już za późno. Żyrokopter wbił się w smoka. Łopaty jego wirników wyrwały wielkie kawały smoczego cielska. Siła wstrząsu oderwała smoka od okrętu powietrznego. Kilka chwil później nastąpiła potężna eksplozja, gdy zapalił się żyrokopter i jego ładunek materiałów wybuchowych. Kula ognia spowiła spadającego smoka. Felix nie wyobrażał sobie, by cokolwiek mogło to przeżyć. Nie miał racji.

Smok runął łbem ku oczekującej go ziemi. Felix był pewien, że za chwilę potwór rozbije się, ale tak się nie stało. W ostatnim momencie rozwarł skrzydła i wyhamował swój upadek. Felix widział jak potwór znowu wzbija się ku niebu. Na początku przeraził się, że smokowi nic się nie stało i chce do nich powrócić, ale odczuł ulgę widząc, że stwór leci nierówno i oddała się od pojazdu.

Jego serce wypełnił żal. Nie mógł uwierzyć w to, że Varek odszedł. Młody krasnolud był towarzyszem podczas jednej z jego najniebezpieczniejszych przygód i nagle już go nie było. Ręka śmierci sięgnęła po niego i zabrała go. Felix patrząc na Gotreka i Snorriego stwierdził, że to było niesprawiedliwe. Przyglądał się jak przyjmują to Zabójcy.

Na twarzy Gotreka malował się żal, szacunek i jeszcze coś, czego Felix nie mógł rozpoznać.

– Dobra śmierć – rzekł wolno i z bólem.

– Wspaniała śmierć – powiedział Snorri. – Zostanie zapamiętany.

– Zostanie pomszczony, – odparł Gotrek. Felix nie wątpił, że krasnolud zamierzał wypełnić tę obietnicę.

Skjalandir odlatywał od statku powietrznego wstrząsany straszliwym bólem. Podczas całego swojego długiego życia nie odczuwał takiego bólu. Nie czuł satysfakcji z faktu, że istota, która zadała mu ranę zginęła w chwili swojego uderzenia. To nie było dobre. Najlepiej będzie powrócić do swojej jamy i wyzdrowieć. Potem będzie dość czasu, by szukać zemsty na tych przeklętych stworzeniach.

POWITANIE BOHATERÓW

Felix stał na pokładzie sterowniczym „Ducha Grungniego”. Patrząc na wskaźniki domyślał się, że nie jest dobrze. Nie było odpowiedzi od niemal połowy przyrządów i silników. Nawet z tego miejsca dało się słyszeć okropny odgłos zaledwie dwóch pozostałych motorów.

Makaïsson precyzyjnie przeszedł przez drzwi. Felix nigdy nie widział takiego gniewu w oczach Zabójcy-inżyniera.

– Źle? – zapytał.

– Powiedziałbym, że choernie źle. Mamy szcymście, że nadył ta jestymy. Kable zawiszynia utrzymujomce gondolem z torbom gazowom prawie przepalili siem w trzech mnijscach. Kazałym chopokom dokonać paru napryw, ale tu tylko prowizyrka. Kwystia czasu, gdy wszystko sim zepsuje.

– To nie brzmi zbyt dobrze – stwierdził Felix. To jeszcze bardziej rozwścieczyło Makaïssona.

– Torba gazowa rozyrwana! Dwa z silmników ni pracyjom dobrze. Kabłyb przebity w co najmniej dwunastu mnijscach! Straciliśmy wieżyczkiem i wszystkie żyro poza jednym. Choera. Powidam ci, jeśli to ma być ostytnia rzecz, jakom uczynieni, tyn smok zapłyci za tu. Pożyłuje dmnia, kiedy zaatakował mój statek powietrzny.

Felix skrzywił się. Nie wątpił, że Makaïsson mówił to, co myślał, ale Felix nie miał pojęcia, w jaki sposób wypełni swoją przysięgę. Uderzyli w smoka ze wszystkiego, co mieli, a mimo to potwór odleciał do swojego leża. Felix nawet nie był pewien, czy go odstraszyli. Miał wrażenie, że stwór zostawił ich w spokoju, ponieważ taki miał plan. Pomyślał, że mają równie wiele szans, by zabić smoka, co on na zostanie Imperatorem.

Stary Borek wszedł na mostek kuśtykając. Wyglądał starzej niż zwykle. Poruszał bezsilnie laską, niczym ślepiec badający swoją drogę. Jego długa broda ciągnęła się po podłodze. Krasnolud wydawał się u kresu sił. Strata siostrzeńca ciężko go dotknęła.

– Przykro mi z powodu Vareka – rzekł Felix. – To był dobry krasnolud. – Borek spojrział na niego i uśmiechnął się smutno.

– To prawda, Felixie Jaegerze. Rzeczywiście taki był. Nie powinienem mu pozwolić na udział w tej wyprawie. Powinienem zostawić go w Samotnej Wieży, ale on tak bardzo chciał lecieć...

Felix przypomniał sobie odwagę Vareka w głębiach Karag Dum. Jego nawyk zapisywania wszystkiego w swojej wielkiej księdze. Jego czasami denerwującą wesołość. Jego zawstydzającą cześć wobec bohaterów, za których uważał Felixa i Gotreka. Jego cichy, odrobinę pedantyczny głos. Trudno było uwierzyć, że już nigdy nie zobaczy, ani nie usłyszy młodego krasnoluda. Felix był zaskoczony. Wiele czasu upłynęło od chwili, gdy śmierć wstrząsnęła nim tak bardzo.

– Un był dobry chopak – rzekł Makaïsson. – Pywnie, ni powinimy uczyć go latać na żyro.

– Gdybyś tego nie zrobił, mój przyjacielu, podejrzewam, że nie byłoby teraz nikogo z nas.

– Aye – masz rację. Chopak był bohaterem.

– Teraz ja jestem ostatnim z rodu – rzekł Borek. Felix zauważył dwie krople spływające po policzkach starego krasnoluda. Czy to naprawdę były łzy? Odwrócił wzrok, by zaoszczędzić uczonemu wstydu.

– Cóż, ni martwij siem! Dorwimy onego bynkarta, któren go zabił. To stanęło na szczycie mojej listy zniwag.

Borek odwrócił tylko wzrok i potrząsnął głową.

Max Schreiber stał z tyłu pokładu obserwacyjnego wyglądając przez popękane okna z kryształu.

Szyba musiała pęknąć podczas walki ze smokiem, ale nie był pewien kiedy, ani w jaki sposób to się stało. Cały statek powietrzny wyglądał źle. Popuściły wewnętrzne mocowania. Skrzynie z zapasami i skarbami miały się po ładowni uszkodzając inne pakunki i wszystko, w co uderzały. Dwóch członków załogi zostało zmiażdżonych na śmierć. Dwunastu innych wymagało leczenia za pomocą magii Maxa.

Domyślał się, że statek powietrzny jest poważnie uszkodzony choćby nasłuchując niepokojącego szumu silników i zauważając mizerny ciąg, jaki wytwarzały. W porównaniu z ich wcześniejszymi postępami, to było ślimacze tempo. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek dotrą do swojego celu. Zdawało się, że ten lot prześladowała seria wypadków. Zupełnie, jakby byli przeklęci. Być może reputacja Makaissona ściągającego na siebie katastrofy nie była zupełnie wyssana z palca.

Przyglądał się dryfującym pod nimi dolinom górskim. Lecieli wzdłuż strumienia, który kierował się ku niższym partiom terenu. Zgadywał, że zawirowania i wodospady wyglądałyby pięknie, gdyby mogli je oglądać będąc tam na dole, ale wiedział, że nigdy tego nie zobaczą. Zapewne nigdy nie ujrzy już tych miejsc. Nakazywał sobie cieszyć się widokami, dopóki może. Wykorzystać te chwile jak najlepiej. Nigdy już nie pokona tej drogi. Pogodne nauki jego mentorów w Złotym Kolegium wydawały się mało znaczące po zakończeniu bitwy ze smokiem. A jednak częściowo zgadzał się z tymi słowami. Powinien cieszyć się chwilą i być szczęśliwy. Walka pokazała mu, jak bardzo kruche jest jego życie i jak łatwo może się skończyć. Wystarczy spojrzeć na biednego Vareka i co najmniej tuzin innych ofiar walki.

Silniki zakrzuszyły się i ucichły. Przez chwilę dało się wyczuć dryfowanie „Ducha Grungniego” niczym pozbawionej wiosel łodzi na rzece. Max w modlitwach błagał Sigmara o pomoc. Prosił, by nie pozwolił, by stało się najgorsze. W głębi serca obawiał się, że bezsilny statek powietrzny może zdryfować na zbocze góry, albo wybuchnie więcej balonów gazowych i runą na ziemię. W dolinie poniżej zauważył grupkę postaci poruszających się z wielką prędkością. Nie był pewien, ale wydawało mu się, że zauważył zielony kolor tych istot.

– Orki – usłyszał w pobliżu głos Ulriki. Spojrzał na nią zaskoczony.

– Twoje oczy są lepsze niż moje – rzekł.

– Spędziłam swoje życie spoglądając na grot strzały, a nie czytając księgi przy blasku świecy – odpowiedziała. – I dawno temu nauczyłam się rozpoznawać orki z dużej odległości. Każdy, kto mieszka na równinach Kislewa musi to umieć, albo szybko umiera.

– Czy zielonoskórzy rzeczywiście są przerażający? – spytał. Znał już odpowiedź. Chciał tylko usłyszeć jej głos.

– W pewien sposób jeszcze gorsi od wojowników Chaosu. Są tak dzicy, że nie czują kiedy giną. Widziałam orka z dwoma strzałami w sercu i rozrąbanym na pół łbem, który zdążył przed śmiercią wyciąć pół tuzina wojów.

– Podobnie, jak ja – odezwał się Gotrek Gurnisson. Max spojrział na Zabójcę. Jego masywna sylwetka wypełniła właz prowadzący na pokład obserwacyjny. Poruszał się zaskakująco cicho, jak na kogoś o takiej wadze. Max nie usłyszał jego nadejścia. – Ale dobry topór zabija w końcu ich wszystkich.

Max z ulgą usłyszał silniki powracające do życia. Zaczęli znowu poruszać się naprzód.

– Dokądkolwiek zmierzamy, mam nadzieję, że dotrzemy tam niebawem – rzekł.

– Musimy poczekać do nocy i ustalić naszą pozycję według gwiazd – rzekł Gotrek. – Wtedy będziemy mieli lepsze pojęcie, gdzie jesteśmy.

Max był ciekaw, czy statek powietrzny w ogóle wytrzyma do zapadnięcia nocy. Widział kilka rozerwanych kabli. To był cud, że jeszcze lecieli.

– Jesteś bardzo milczący – powiedziała Ulrika. Felix skinął głową i mocniej otulił się płaszczem. Na szczycie torby gazowej było zimno, a wiatr kęsał okrutnie. Stali na wrędze grzbietowej statku powietrznego spoglądając na dwa księżycy wschodzące nad górami. To był widok pełen dziwnego i intensywnego piękna.

– Myślałem o Vareku. Nie znałem go zbyt dobrze, a teraz on odszedł.

– Śmierć przychodzi do wszystkich – odpowiedziała.

Felix spojrział na nią. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek przyzwyczai się do jej nieodmiennego fatalizmu. Podejrzewał, że jeśli ktoś wychowuje się na równinach Północnego Kisleva, wcześniej przyzwyczajają się do śmierci. On sam nie był tak twardy zanim postawił stopę na ścieżce awanturnika. Dorastając jako syn bogatego kupca w Altdorfie, stolicy Imperium, nie został dobrze przygotowany do trudów życia. Jedyłą śmiercią, z jaką się zetknął, było odejście jego matki, a to wydarzyło się, gdy miał dziewięć lat. Był zbyt mały, by to w pełni zrozumieć.

– Zastanawiałem się, co on zrobiłby dzisiaj, gdyby obudził się wiedząc, że to jego ostatni dzień na tym świecie. Prawdę mówiąc, myślałem, co ja uczyniłbym w takich okolicznościach.

– I do jakich wniosków doszedłeś?

– Powiedziałbym ci, że cię Kocham – Felix był zaskoczony słysząc własne słowa. Wiedział, że chciał je wypowiedzieć już wcześniej, ale bał się. Nie był pewien, dlaczego. Ona milczała przez dłuższy czas. Zastanawiał się, czy go usłyszała.

– A ja może powiedziałabym to samo – odezwała się wreszcie. Poczł dziwne kopnięcie w żołądku, gdy wyrzekła te słowa. Odwrócił się i zapatrzył w dal. Nigdy nie czuł się bliżej jakiegokolwiek innej osoby.

– Może? – spytał. Uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Może – odsunęli się odrobinę od siebie, ale ich dłonie spotkały się ze sobą, a palce splotły. Nad nimi gwiazdy lśniły niczym rozbłyski na lodzie. „Duch Grungniego” brnął przez noc.

Max patrzył przez lunetę na gwiazdy.

– Masz rację – rzekł. – To gwiazda polarna, a tam jest Kieł Wilka.

Makaïsson już dokonywał notatek w swoich tabelach. Przesunął przymiar od punktu wskazującego ich pozycję do czerwonej kropki.

– A zatem najbliższe miejsce, z którego możemy przyprzewodzić naprawy, to Twierdza Zabójców – rzekł.

– Twierdza Zabójców? – dopytywał się Max.

– Karak Kadrin. Siedziba Króla Zabójców. To ponure miejsce.

– Słyszając taką nazwę nie spodziewałem się niczego z komedii Detliefa Siercka.

– Jest równie dobre, co każde inne, winc nada siem.

– Jestem pewien, że masz rację, Malakai. Jesteś ekspertem.

– Pywnie, że jestem.

Makaïsson wykrzyczał rozkazy do tuby komunikacyjnej. Powoli, niczym umierający wieloryb „Duch Grungniego” zareagował obierając nowy kurs przez góry ku miastu Króla Zabójców.

Felix i Ulrika stali na mostku „Ducha Grungniego”. Przed nimi w jasnym świetle górskiego poranka wyłaniała się surowa i nieprzystępna Twierdza Zabójców. To była masywna forteca wykuta w żywej skale szczytu górskiego. Budynki wewnątrz niej nie zostały wzniesione, lecz wycięte ze skały. Tylko zewnętrzne mury wyglądały inaczej. Zbudowano je z masywnych kawałów kamienia obrosniętego porostami. Roboty kamieniarska wyglądała na równie starą, co same góry.

Sam szczyt Kadrin nie był najwyższym wśród otaczających go gór, ale odznaczał się, dominując nad rozległą doliną biegnącą pomiędzy dwoma łańcuchami wyższych i większych gór. Poniżej płynęła rzeka. Borek powiedział, że kiedyś dolinę wypełniał las, ale dawno temu został wycięty na opał do pieców Twierdzy Zabójców. Pod miastem znajdowały się najgłębsze, najciemniejsze i najbardziej niebezpieczne kopalnie w królestwach krasnoludów. Znajdowały się tam żyły węgla i żelaza eksploatowane jeszcze od czasów sprzed założenia Imperium. Dostarczały surowych materiałów do produkcji stali z Kadrin, sławnej w królestwach krasnoludzkich i w krainach człowieka. Z tej stali wyrabiano najlepsze ostrza do toporów. Nad miastem unosiły się ciemne chmury dymu buchającego z pieców.

Felix nie sądził, by kiedykolwiek udało mu się zobaczyć bardziej odpychające miejsce. To była ponura forteca ze zgrubnie obrobionego kamienia. Znajac dumę, z jaką krasnoludy traktują swoją robotę kamieniarską, Felix mógł tylko domyślać się, że surowość tej architektury miała coś sobą oznaczać. Karak Kadrin był symbolem twardej, prymitywnej siły. To był zamek zaprojektowany do obrony. To było miejsce, które potrafiło przyjąć oblężenie. Był to posterunek w niezwykle niebezpiecznym miejscu. Felixowi ten widok nie podobał się szczególnie.

Dostrzegał już wojowników gromadzących się na murach. Wycelowano w nich różne maszyny wojenne. Obracano w ich kierunku balisty, katapulty i inne urządzenia, których przeznaczenia mógł się tylko domyślać. Pomimo, że Borek nakazał rozwinięcie pod „Duchem Grungniego” sztandarów w krasnoludzkimi runami, mieszkańcy Twierdzy Zabójców traktowali ich jako potencjalne zagrożenie. Felix widział sens tej ostrożności. Gdyby statek powietrzny pojawił się nad dowolnym miastem Imperium, wywołałby podobną konsternację, nawet gdyby został oznaczony barwami samego Karla Franza.

Gdy Felix patrzył, ostatni żyrokopter przemknął obok statku powietrznego i popędził ku miastu. To była maszyna, którą mógł rozpoznać każdy krasnolud. Niosła wiadomość dla Ungrimma Żelaznej Pięści, samego Króla Zabójców. W tej chwili Makaïsson przełączył silniki „Ducha Grungniego” na bieg wsteczny i unosili się tuż za zasięgiem balisty, czekając na pozwolenie lądowania.

– Ponure miejsce – powiedział Felix do Ulriki. Skinęła głową zgadzając się z nim. Od rozmowy, jaką przeprowadzili ostatniej nocy stali się dziwnie nieśmiali wobec siebie. Felix nie wiedział, jak było w jej przypadku, ale dla niego to wszystko było stosunkowo nowe. Od czasu śmierci Kirsten w Forcie Von Diehl nie czuł tak silnego przywiązania emocjonalnego do nikogo.

– To prawda, Felixie Jaegerze – rzekł Borek siedzący w swoim fotelu. Spojrzał na Felixa zbolalymi, starymi oczami, w których zgasły iskry triumfu. – Gdybyś znał historię tego miejsca, zrozumiałbyś więcej. Twierdza Zabójców przetrwała więcej oblężeń niż jakakolwiek inna twierdza krasnoludzka. To także siedziba Kultu Zabójców i świątynia Grimmira, który jest najbardziej złaknionym krwi z naszych Bogów Przodków.

– Powiadasz, że Grimmir jest krwiożerczy – zagadnęła Ulrika. – Czy zatem przyjmuje żywe ofiary?

– Tylko żywota swoich Zabójców. Zabiera im życie jako zapłatę za ich grzechy. Bierze także ich włosy.

Borek musiał zauważyć wyraz twarzy zbitego z tropu Felixa, ponieważ dodał:

– Większość Zabójców składa swoje przysięgi przed wielkim ołtarzem Grimmira w tej twierdzy. To właśnie tam golą swoje głowy, a potem palą włosy w wielkim piecu. Na zewnątrz znajduje się ulica twórców malowideł naskórnych, u których tworzą pierwsze tatuaże.

– Czy Gotrek złożył w tym miejscu swoją przysięgę? – spytała Ulrika. Felix przechylił głowę. To pytanie także przyszło mu na myśl.

– Nie sędzę. O ile wiem, nigdy nie postawił swej stopy w tym mieście, chociaż nie znam wszystkich jego czynów.

– A zatem, czy on naprawdę jest Zabójcą? – pytała Ulrika. Borek uśmiechnął się.

– Nie ma znaczenia, gdzie krasnolud składa przysięgę i goli swoją głowę. Staje się Zabójcą, gdy tego dokona. Wielu postanawia złożyć przysięgę w świątyni Grimmira, aby ten czyn stał się bardziej uroczysty. Wykuwają swoje imiona na wielkiej kolumnie w Świątyni, dzięki czemu wszyscy mogą dowiedzieć się o ich odejściu od życia.

– Ale oni jeszcze nie są martwi – powiedziała Ulrika.

– Jeszcze nie. Ale dla rodziny i przyjaciół, dla klanu i plemienia, krasnolud umiera w chwili złożenia przysięgi. Być może Gotrek wybrał ciebie na spamiętywacza, Felixie Jaegerze, ponieważ jeszcze nie wyrzył swojego imienia na kolumnie Skruchy.

– Nie rozumiem – powiedział Felix.

– Nikt nie dowie się o jego uczynkach, jeśli Gotrek polegnie w odległym miejscu, gdzie żaden krasnolud nie będzie świadkiem jego śmierci. Spamiętywacz przyniesie nam wieści o jego zagładzie i zobaczy jego imię wyrzyte na kolumnie.

– Ależ on mnie o to nie prosił.

Borek uśmiechnął się gorzko.

– Syn Gurniego bywał niekonwencjonalny, jeszcze zanim stał się Zabójcą. Niegdyś wielce łaknął sławy. Myślę, że w pewien sposób nadal tak jest.

Felix miał zadać więcej pytań, gdy przerwał mu odgłos ryku z oddali.

– Co to takiego? – spytał. – Czy jesteśmy atakowani?

Gorzki uśmiech na twarzy Boreka poszerzył się.

– Rzekłbym, że Król Zabójców otrzymał wieści o sukcesie naszej misji. To, co słyszysz to powitanie.

Rzeczywiście tak było, jak stwierdził Felix, gdy poturbowany statek powietrzny na wpeł dryfując przelatował nad krasnoludzkim miastem. Na dole dostrzegał tylko niespokojny ocean krasnoludzkich twarzy, patrzących w górę. Słyszał krzyki i śpiewy. Dudniły bębny, dźwięczały potężne rogi. Z każdego okna w mieście wywieszono sztandary i flagi. Felix zastanawiał się, gdzie znajdowali miejsce dla tych wszystkich krasnoludów. Miasto forteczne wydawało się zbyt małe, by pomieścić je wszystkie. Potem przypomniał sobie, że większa część twierdzy krasnoludzkiej ukryta jest przed wzrokiem, pokazując na powierzchni tylko swój niewielki fragment na podobieństwo wielkich gór lodowych unoszących się na Morzu Szponów.

Poniżej dostrzegał ogromną budowlę, przysadzistą i masywną. Na jej dachu wyrzeźbiono dwa skrzyżowane topory. W kamieniach osadzono dziwne runy, które przypominały Felixowi te, które lśniły na toporze Gotreka. Domyślał się, że mają mistyczne znaczenie dla krasnoludów.

Spojrzał na Ulrikę i uśmiechnął się. Po raz pierwszy w życiu był witany jako bohater.

Szary Prorok Thanquol spojrzał na Lurka. Lurk odpowiedział spojrzeniem pełnym nienawiści. Dzięki magii Thanquola udało im się upolować pasącego się łosia. Lurk pożarł większość zwierzęcia, zanim Thanquol zdążył zanurzyć swój pysk w cielsku. Nie był tym zachwycony.

To prawda, że potrzebował znacznie mniej mięsa niż jego zmutowany pomagier i nie byłby w stanie zjeść choćby setnej części posiłku Lurka, ale to nie miało znaczenia. Rozgniewał go brak okazywanego szacunku. Był Szarym Prorokiem. Lurk był natomiast pomniejszym wojownikiem, nawet będąc wielkim i potężnym mutantem. Powinien poczekać do chwili, gdy Thanquol skończy

jeść, a dopiero potem rozpocząć tę odrażającą orgię konsumpcji. Powinien także poprosić Thanquola o pozwolenie, zanim zacznie jeść. W końcu był tylko zwykłym pomagierem.

Thanquol przez chwilę rozważał wyrażenie swojego oburzenia. Przez bardzo krótką chwilę. Lurk był obecnie znacznie silniejszy fizycznie od Thanquola. Cała moc magiczna Szarego Proroka jeszcze nie powróciła po bitwie i pozostał mu małeńki kawałek spaczenia potrzebny do wzmocnienia swoich sił. Chciał zachować go na czarną godzinę.

„Nie” – postanowił. Unikanie w tej chwili konfrontacji z Lurkiem było po prostu oznaką dumnej skaveńskiej ostrożności. Wiedział, że fizycznie nie może mierzyć się z wielkim brutalem. Zebrał się w garść myślą, że to nie miało większego znaczenia. Jeszcze będąc słabym i nieowłosionym szczeniciem używał swojego gigantycznego intelektu do wywierania zemsty na skavenach znacznie większych i silniejszych od niego. To samo wydarzy się w tym przypadku. Tego był pewien. Przez jego umysł przemknęła także myśl, że im więcej Lurk zje teraz, tym mniejszą będzie miał ochotę na zabicie i zjedzenie Thanquola. Szary Prorok zauważył kilka głodnych spojrzeń, jakie rzucał mu jego towarzysz. To nie był zbyt miły widok.

– Gdzie jesteście, o najmądrzejszy z nawigatorów? – spytał Lurk.

Thanquol nie był pewien, czy nie wyczuwa nuty ironii w głosie Lurka. Natychmiast odsunął tę myśl. Lurk był o wiele za głupi, by kpić sobie ze swojego mistrza.

– Zbliżamy się do naszego celu – odpowiedział dyplomatycznie Thanquol.

– A gdzie dokładnie leży ów cel, o najbystrzejszy z Proroków?

– Zaprześtań tego nieustannego zadręczania mnie swoimi pytaniami, Lurk. Gdyby w twoim najlepiej pojętym interesie było znać nasze położenie, wówczas wyjawilibym je. Pozwól mi myśleć o innych sprawach. Ty to prostu jedz jeszcze!

„Dobrze” – pomyślał Thanquol – „To nauczy Lurka”. Dzięki temu zyska trochę czasu do namysłu, co było dobre. Bowiem prawdę mówiąc, Thanquol nie miał pojęcia, gdzie się znajdują. Podczas burzy wędrowali po omacku. Zacinający deszcz zacierał wszystkie szczegóły z odległości kilku długości ogona. Thanquol domyślał się, że utrzymują właściwy kierunek, gdyż nadal widzieli przed sobą góry. Po dotarciu do nich ruszą na południe, aż dotrą do wejścia do Pod-dróg. Gdyby miało dojść do najgorszego, Thanquol wiedział, że zawsze może zużyć trochę swojej mocy do rzucenia zaklęcia wizjonerskiego. Pomyślał, że może warto byłoby powiedzieć o tym Lurkowi. To powstrzyma wielkiego głupca przed wypruciem mózgu Thanquola podczas snu.

Thanquol zastanawiał się nad ucieczką, gdy Lurk będzie wypoczywał i samodzielnie odnalezieniu drogi powrotnej. Uniemożliwiały to jednak dwie sprawy. Podejrzewał, że na równinach będzie bezpieczniejszy w towarzystwie mutantów. Kislevczycy bez wątpienia zaatakują najpierw większego z nich, błędnie zakładając, że jest bardziej niebezpieczny. Drugi powód to podejrzenie Thanquola, że Lurk jest w stanie go wytropić. Miał ostrzejsze zmysły od każdego skavena znanego Thanquolowi. Jeśli się oddali, Thanquol będzie musiał uporać się z uciążliwym zadaniem wytłumaczenia swojego czynu. Nie wiadomo, czy Lurk ze swoim nowym zuchwałym nastawieniem przyjmie takie wyjaśnienia. Dumna skaveńska ostrożność przemawiała za pozostaniem z Lurkiem, przynajmniej w tej chwili.

Thanquol przysięgał, że gdy to wszystko się skończy, sprawy potoczą się inaczej. Zemści się na Lurku, tak że przyszłe pokolenia będą o tym opowiadały przerażonym szeptem. To oduczy go obrzucania obelgami głowy Szarego Proroka.

Na „Duchu Grungniego” pozostała tylko szczątkowa załoga. Wszyscy pozostali oraz krasnoludy ocalałe z Karag Dum zostały poprowadzone do pałacu Króla Zabójców. Honorowa gwardia

wojowników uderzyła swoimi toporami o tarcze. Haragrim i pozostałe niedobitki z Karag Dum wyglądali na oszołomionych skalą tego powitania. Niegdyś uważali się za ostatnie krasnoludy pozostałe na świecie. Teraz wiedziały, że jest inaczej. Felix czuł dumę mogąc być tutaj. W jego uszach nadal dźwięczały wiwaty tłumów. Przypominał sobie krasnoludzkie dzieci biegnące przez ulicę, by dotknąć rąbka jego płaszcza po to, by móc opowiadać o tym swoim potomkom. Zanim zaczęli torować sobie drogę przez wiwatującą czeredę, Felix nie miał pojęcia o skali dokonanych przez nich uczynków, ani o tym, jak wiele znaczyło to dla krasnoludzkiego ludu.

Przebywanie w towarzystwie Gotreka można było określić jako banicję i porażkę. To w żaden sposób nie przygotowało go do obecnego przyjęcia. Czuł się jak król. Felix pomyślał, że być może to właśnie czuje Imperator Karl Franz za każdym razem, gdy przejeżdża przez Altdorf. Odwrócił się i rozpromieniał uśmiechem do Ulriki. Uśmiechnęła się do niego dumnie. Najwyraźniej ona także do tej chwili nie miała pojęcia, co osiągnął „Duch Grungniego”.

Patrząc na swoich towarzyszy Felix czuł się najszcześliwszy od długiego czasu. Oklaski wydawały się podnieść ducha Boreka i Makaissona. Od śmierci Vareka ci dwaj wyglądali na najbardziej przygnębione krasnoludy, jakie kiedykolwiek widział Felix, a to znaczyło wiele. Tylko Gotrek wyglądał ponuro. Na jego twarzy widniał grymas podobny do pojawiającego się na obliczu człowieka ssącego cytrynę. Spoglądał na tłum spod zjeżonych brwi patrząc swoim zdrowym okiem i zatrzymywał się tylko od czasu do czasu, aby splunąć na gapia, który zbliżył się, by dotknąć jego topora.

– Skąd takie ponuractwo? – zapytał Felix. Gotrek rzucił mu spojrzenie, które zniechęciłoby kogokolwiek innego. – Chcę to wiedzieć, by dla dobra opowieści o tobie – nalegał Felix.

– To nie ma związku – rzekł Gotrek. – I nie warto wspominać o tym w moim poemacie pośmiertnym.

– Powiedz mi tak czy inaczej.

Gotrek syknął przez kilka pozostałych zębów, splunął na ziemię i potarł kciukiem pusty oczodół pod opaską na oko. Felix pomyślał już, że nie doczeka się odpowiedzi, ale potem przez twarz Zabójcy przemknął wyraz wstydu.

– Myślałem, że gdybym zabił demona, to byłaby najdonioślejsza śmierć kiedykolwiek osiągnięta przez Zabójcę. Śmiechu warta próżność, człeczyno, ale to przyszło mi na myśl.

Felix nie wiedział, co powiedzieć, więc milczał. Ulrika patrzyła zdumiona na Gotreka, jakby nie mogła uwierzyć w takie wyznanie z ust krasnoluda.

– Cóż, ja cieszę się, że nadal żyjesz i sprowadziłeś z powrotem Felixa.

Ku zaskoczeniu Felixa, Zabójca roześmiał się. Wyglądało na to, że zamierza klepnąć Ulrikę po plecach, ale powstrzymał się i zmusił do ponownego przybrania ponurej miny. Utkwił wzrok w ziemi, jakby zawstydzony. W tej chwili Felix zrozumiał, jak wiele znaczył dla Zabójcy podziw, jak bardzo cenił sobie wiwaty jego ludu i jak dobrze to ukrywał.

Felix pomyślał, że cieszy się w jego imieniu. Krasnolud podczas swojego życia miał tak niewiele radości.

Król Zabójców był ponurym krasnoludem, krępy i szeroki w barach jak wszyscy członkowie jego rasy. Miał włosy przycięte na charakterystyczną modłę ulubioną przez Kult Grimmira. Rysy jego twarzy były ostre, a nos długi i zakrzywiony. Oczy lśniły maniakalną inteligencją. Odzywał się donośnym i dudniącym głosem.

– Witaj Boreku Widłobrody. Witaj Gotreku synu Gurniego. Witaj Snorri Gryzonosie. Witaj Malakai, synu Makaia.

Felix obawiał się, że Król Zabójców zamierza powitać ich wszystkich po imieniu i jego obawy spełniły się. Król tak właśnie zrobił.

– Wszyscy dokonaliście wielkiego czynu. Nie słyszałem o takim bohaterstwie przez wszystkie długie lata od czasu, gdy odziedziczyłem tron mojego ojca. Powrót młota Ognistobrodego to niewysłowione błogosławieństwo dla Królestwa Krasnoludów i cały lud Grungniego ma powody, by dziś wam dziękować. Jeśli istnieje jakakolwiek przysługa, którą możemy ofiarować, nazwijcie ją tylko, a...

– Aye, jest udna – rzekł Makaisson. Król Zabójców przerwał i zmierzył Makaissona groźnym spojrzeniem. Właśnie rozpoczynał popis oratorski i najwyraźniej nie spodziewał się w tej chwili, że ktoś się wtrąci. Felix zastanawiał się, czy wszyscy królowie krasnoludów byli podobnie wygadani.

– Wystarczy tylko, że rzekniesz w czym rzecz, a jeśli jest to w mojej mocy, wówczas...

– Chcę warsztat i usługi dwudziestu kowalów i chcę dowiedzieć siem wszystkiego o tym smoku, co mieszka jakieś pięćdziesiąt mil na północny zachód stumd...

Przez komnatę przetoczył się szmer. – To musi być Skjalandir, starożytny smok ognisty. Czemuz? – dopytywał się Król Zabójca, najwyraźniej na tyle zszokowany, że skrócił pytanie.

– Mam zamiar zabić bynkarta – rzeki Makaisson. – Zatluc go na śmirć!

– A ja zamierzam mu w tym pomóc – odezwał się Gotrek.

– Snorri Gryzonos także – dodał Snorri. Głośny ryk aplauzu rozległ się w komnacie.

– Zaprawdę, jesteście prawdziwymi przykładami dla Zabójców z całego świata – powiedział Król Zabójców. – Ledwie wróciliście po wykonaniu jednego wielkiego czynu, a już jesteście gotowi rozpocząć kolejny.

Słuchając tego szaleństwa, Felix pomyślał, że należy wspomnieć o ważniejszej sprawie. Podczas gdy krasnoludy ekscytowały się wizją ponownego zmierzenia się ze smokiem, zbliżała się potężna armia Chaosu. Był pewien, że to stanowi znacznie większe zagrożenie dla świata, niż jakikolwiek smok. Stwierdził, że nadarzyła się okazja, by coś zrobić, a także pomóc ludowi Ulriki i swojemu własnemu.

– Jest także inna kwestia warta wspomnienia – rzekł Felix. Spojrzenia wszystkich skierowały się ku niemu. Nagle poczuł przyływ pewności siebie. Był w pełni świadom, że nie wszystkie krasnoludy patrzące na niego są zadowolone, gdy człowiek ośmiela się odzywać w sali tronowej ich króla.

– A cóż to takiego, Felixie Jaegerze? – zapytał Król Zabójców.

– Z Północy nadciąga wielka armia Chaosu.

– Czy ściga was? – spytał Król Zabójców. Felix przerwał na chwilę i zastanowił się nad tym. Nie brał tego pod uwagę. Czy ich czyny w Karag Dum dały początek temu wszystkiemu, czy był to kamyczek, który rozpoczął lawinę? Wątpił w to. Ten pomysł był szyty zbyt grubymi nićmi.

– Nie. Nie sądzę, by tak było.

– A zatem, w czym problem? Gdyby rzeczywiście...

– Problem w tym, że wkrótce wejdą do Kislewa, a jeśli nie zostaną tam powstrzymani, ruszą ku krainom krasnoludów i ludzi.

– Z pewnością przyjdzie czas, by się tym zająć, nieprawdaż?

Felix zrozumiał, że to powtarza się bardzo stara historia. Siły ciemności były problemem kogoś innego. Ludzie i krasnoludy nie zjednoczą swoich sił, aż będzie za późno. Zajmą się wrogiem, tylko wtedy, gdy stanie się bezpośrednim zagrożeniem. Felix zdawał sobie sprawę, że jest niesprawiedliwy, ale czuł się trochę rozgniewany. Krasnoludy bywały nieprawdopodobnie uparte w sytuacji jakiegokolwiek konfliktu.

– Sądzę zatem, że cała chwała zmierzenia się z tym wrogiem będzie należała do ludu Kisleva i ich imperialnych sojuszników, – powiedział spokojnym głosem. W całej sali zapadła cisza i wiedział, że zdobył niepodzielną uwagę wszystkich.

– Wspominałem o tym fakcie tylko dlatego, że ta twierdza znana jest pod nazwą Twierdzy Zabójców, a gdy przybędą oddziały Chaosu, wraz z nimi pojawi się wiele potężnych potworów gotowych do zabicia, a także straszliwi wrogowie, z którymi będzie można się zmierzyć.

Po komnacie przebiegi szmer. Felix wiedział, że jego słowa szybko obiegają całe miasto. Był pewien, że nawet gdyby król nie ofiarował żadnej pomocy, wielu zabójców wyruszy do Kisleva w nadziei znalezienia swojej chwalebnej śmierci. Chciał postawić sprawę jasno.

– Polec w takiej bitwie to wielka i czcigodna śmierć. W końcu, któż nie pamięta tych herosów, którzy zginęli w obronie Praag podczas ostatniej wielkiej wojny przeciw Chaosowi?

Odpowiedź Ungrimma Żelaznej Pięści zaskoczyła Felixa.

– W pamięci krasnoludów to wydarzyło się całkiem niedawno, Felixie Jaegerze, ale masz rację. Pomyślę nad tym, co powiedziałeś.

Oczywiście, jak zauważył Felix, krasnoludy żyją dłużej niż ludzie i ich zapiski sięgają dalej w przeszłość. Dla nich dwa stulecia to nie było zbyt dawno temu. Stary Borek żył podczas ostatniej wielkiej inwazji Chaosu. Zbolałe oczy Boreka zauważyły spojrzenie Felixa. Krasnolud najwyraźniej domyślał się, o czym rozmyśla człowiek. Stary krasnolud oparł się na swojej lasce i przemówił.

– Felix Jaeger mówi o słusznej sprawie, wasza wysokość. Istotnie przypominam sobie ostatnią wojnę z Chaosem, a była to rzecz straszliwa. Jeśli w zarodku tkwi kolejny podobny konflikt, lepiej byśmy przygotowali się już teraz, stworzyli nowe przymierza i wzmocnili stare. Bowiem ci z nas, którzy właśnie powrócili z Pustkowi, widzieli na własne oczy owego wroga i wiedzą, jak straszny on jest.

Król Zabójców skinął. Borek mówił dalej.

– Możliwe, że młot Ognistobrodego powrócił do nas w tych czasach wołą Bogów-Przodków, aby wspomóc nas w zbliżającej się bitwie. Być może wszystko to jest częścią większego planu, którego staniemy się częścią.

– Poszukam wskazówek w Świątyni Grimmira – rzekł Król Zabójców. – Może, to co mówisz jest prawdą.

Felix czuł wdzięczność do starego krasnoluda za jego mądrość i zrozumienie.

– Wszystko pinknie – rzeki Makaisson. – Nadal jednak chcym utuc tego smoka. Chciałbym użyć waszech warsztatów i kuźmni. Myślem, że mam pomysł, co zrobić.

– Dostaniesz to, co zażadasz, Malakai Makaissonie, a moi osobiści inżynierowie będą do twoich usług.

Felix pomyślał, że Makaisson nie wyglądał na zbyt zachwyconego słysząc te słowa. Domyślał się, że wizja dzielenia się swymi nowymi projektami z inżynierami króla nie ucieszyła krasnoluda. Podobnie jak wielu inżynierów krasnoludzkich Makaisson wolał zatrzymać sekrety dla siebie. Z drugiej strony nie mógł odrzucić hojnej oferty króla i nadal oczekiwać wsparcia. Makaisson najwyraźniej doszedł to tych samych wniosków.

– Aye, cóż, dybrze zatem.

Felix i Ulrika przyglądali się swojej komnacie. Była urządzona w spartańskim stylu, jakiego można było spodziewać się w Karak Kadrin, ale przynajmniej łóżka i inne meble wykonano w skali człowieka. Było jasne, że to miejsce przeznaczono dla ludzkich emisariuszy i równie oczywiste, że od dłuższego czasu nie było używane. Powietrze pachniało lekko pleśnią. Łoże przykrywała masa

futer zastępujących koce.

– Myślałam, że to się nigdy nie skończy – powiedziała Ulrika. – Krasnoludy potrafią być bardzo wygadane.

Felix zgodził się z nią. – Rzeczywiście. A jednak, to dla nich ważne. Podejrzewam, że to tak jakby jeden z mieczy runicznych Imperium zaginął i został zwrócony. Zapewne, to jeszcze ważniejsze. Młot Ognistobrodego ma chyba dla nich znaczenie religijne.

– Wszystko zdaje się mieć takie znaczenie – zauważyła Ulrika. W jej głosie dało się wyczuć nutę sprzeciwu. Najwyraźniej chciała się z nim sprzeczać, a on z nią. Tak działo się od czasu ich rozmowy podczas tamtej nocy na „Duchu Grungniego”. Felix domyślał się, że oboje byli nerwowi myśląc o tym, co przyniesie im przyszłość. Wyciągnął rękę i pogładził ją po policzku. Złapała jego dłoń i obróciła ją, aby ucałować jej wnętrze.

– Co się z nami stanie, Felixie? – zapytała nagle.

Felix spojrział na nią. Sam zadawał sobie to pytanie. Przez ten cały długi dzień utrzymywało się między nimi dziwne napięcie, ślad gniewu, którego nie całkiem rozumiał. Co wywoływało taką nerwowość? Przecież przeżyli wyprawę do tego miejsca, przetrwali spotkanie ze smokiem i cudem uniknęli zniszczenia ich statku powietrznego. Dlaczego teraz zachowywali się w ten sposób?

Spojrzał na jej piękną twarz. Nigdy nie wydawała mu się tak urocza. Szukał w głębi siebie odpowiedzi na jej pytanie. Być może sam fakt, że byli bezpieczni wywoływał ten stres. Teraz, przynajmniej przez chwilę, ich uwagi nie zaprzętało żadne zewnętrzne zagrożenie. Nic nie powstrzymywało pytań, które zostały wreszcie zadane. Co miało stać się z nimi?

Ich życie było takie niepewne. Z północy zbliżała się potężna armia Chaosu. Może to był zwiastun końca świata? Gdzieś na Północy jej ojciec i jego jeźdźcy mogą nawet w tej chwili bić się z nadciągającymi hordami. Gotrek, Malakai i Snorri Gryzonos uparcie chcieli zmierzyć się ze smokiem. Ulrika otrzymała misję dotarcia do Lodowej Królowej. Prawie na pewno nie będzie miała domu, do którego mogłaby powrócić. A co on mógł jej dać?

Nie był bogaty. Został wydziedziczony przez swoją rodzinę, a potem odrzucił ich propozycję pojednania. Był zwykłym bezdomnym włóczęgą, który obiecał zapisać śmierć Zabójcy. Co gorsza, zaczął podejrzewać, że to będzie także jego własna zagłada. On i Gotrek podróżowali tak daleko i przetrwali tak wiele, że ich przeznaczenie mogło być splecione. Felix prawie uwierzył, że przeznaczeniem Zabójcy jest dokonanie jakiegoś czynu, który wstrząśnie światem, a jego obowiązkiem jest być tego świadkiem.

Felix zdał sobie sprawę z milczenia trwającego wiele uderzeń serca, podczas gdy nadal nie odpowiedział. Nie znał odpowiedzi.

– Nie wiem – powiedział cicho, – i chciałbym wiedzieć.

– Ja także – powiedziała, – ja także.

Pochyliła się i pocałowała go, a potem spleceni ciałami opadli na łożo.

Max spacerował po ulicach Karak Kadrin, wiedząc, że znalazł to, czego szukał. Budynek wokół niego były większe, a odrzwia wyższe. W wąskich alejkach słyszał ludzkie głosy mieszające się z głębszym tonem krasnoludów. Mężczyźni i kobiety z Imperium patrzyli na niego z otwartych sklepów. Siedzieli wokół swych dóbr. Niektórzy spoglądali na niego badawczo, rozpoznając kim jest. Inni wykrzykiwali zaproszenia, by zbliżył się i obejrzał ich towary. Max uśmiechnął się. Nawet w tych odległych górach, w tej cytadeli starszej rasy znalazła się dzielnica ludzka. Ludzi i krasnoludy łączyło wiele prastarych więzów zaufania i przymierza, ale żadne z nich nie było starsze niż więzy handlu. Wiedział, że nawet w tym odległym górskim mieście znajdzie kupców, a wraz z nimi sposób

na nawiązanie kontaktu ze swoim bractwem. Sięgnął do wnętrza szat i znalazł list, który napisał i zapieczętował własną runą. Uśmiechnął się czując magię, którą w nią wplótł. Nikt poza członkami jego bractwa nie będzie w stanie otworzyć tego listu nie powodując zniknięcia pisma niczym mgłą w porannym słońcu.

Na wszelki wypadek spisał jednak wiadomość kodem, który jak miał nadzieję, był czytelny tylko dla jednego z jego przyjaciół. W liście zawarł wszystko, co wiedział o podróży „Ducha Grungniego” i zbliżającej się armii Chaosu. Wspomniał o narastającej aktywności skavenów wzdłuż granicy i szczegółowo opisał swoje spotkanie z Szarym Prorokiem, oraz uwolnione przez niego zaklęcia. W ten sposób, nawet jeśli coś mu się stanie, ci którzy nadejdą po nim będą lepiej przygotowani do zajęcia się zagrożeniem ze strony szczuroludzi. Był to pewnego rodzaju testament jego życia, a także raport dla przełożonych w bractwie Złotego Młota. Wiedział, że ten raport jest pilny. Upłynęło wiele czasu odkąd jakikolwiek członek starodawnego bractwa zawędrował tak daleko na północ. Mimo tak rozległej wiedzy o potędze Chaosu zaszokowało go to, co widział i o czym usłyszał. Ramię Chaosu wyciągnęło się i zagroziło Kislevowi. A Kislev był przedmurzem Imperium chroniącym przed inwazjami Chaosu. Jeśli upadnie, hordy ciemności wedrą się głęboko na ziemie człowieka. Max nie wątpił, że wówczas objawi się wielu zdrajców, którzy im pomogą, a z lasów wylegną potwory i mutanty oraz...

Max wiedział aż za dobrze, jak kruche jest Imperium i z jaką łatwością może pograżyć się w mroku. Jego bractwo zostało utworzone, aby do tego nie dopuścić. Wiedział, że musi wysłać ostrzeżenie. Miał nadzieję, że uda mu się dostarczyć je osobiście, ale przyszłość była tak niepewna. Któż wiedział, co może się z nim stać? Ten list stanowił gwarancję na wypadek nieszczęścia. Nawet jeśli ma zginąć, miał nadzieję, że jego ostrzeżenie i wiedza dotrą do właściwych rąk.

Zatrzymał się przed tawerną pod szyldem Gryfa Imperatora. Wiedział, że musi znaleźć kupców powracających do krain ludzi, najlepiej tych, którzy zmierzali do samego Middenheim. Powiedziano mu, że może ich znaleźć w tym miejscu. Wziął głęboki oddech i zagłębił się w piwnym cieple wnętrza tawerny.

W chwili, gdy wszedł, w całym pomieszczeniu zapadła cisza. Wiedział, że został rozpoznany jako jeden z ludzi, którzy przybyli statkiem powietrznym. Rozejrzał się i uśmiechnął. Natychmiast ktoś zaproponował mu postawienie kolejki. Przyjął zaproszenie z uśmiechem i przygotował się na udzielenie odpowiedzi na tysiące pytań.

Miał nadzieję, że potem znajdzie kogoś, kto dostarczy jego wiadomość.

Felix wyjrzał przez okno komnaty. Było małe, okrągłe i wypełnione grubym, dobrze zrobionym szkłem. Patrząc przez nie oglądał wspaniałe widoki gór. Usłyszał za sobą poruszenie Ulriki na łóżku.

– Muszę zaraz iść, – powiedziała. Felix skinął głową zastanawiając się, jakie sprawy miała do załatwienia tu, w pałacu Króla Zabójców.

– Dokąd się udajesz?

– Na dwór Lodowej Królowej.

– Patrzył nadal na górę po drugiej stronie zauważając koronę chmur wokół jej szczytu. Nagle dotarło do niego znaczenie słów dziewczyny i odwrócił się w jej stronę.

– W tej chwili? – spytał. Jego serce zamarło.

– To równie dobra chwila, jak każda inna. Muszę dostarczyć wiadomość mojej królowej.

– Nie możesz – rzekł Felix. Zesztywniała. Twarz Ulriki stała się niewzruszoną maską.

– Co to ma znaczyć? Kimże jesteś, by mówić mi, co mogę, a czego nie mogę robić?

– Nie próbuję wmawiać ci, co masz robić – Felix wiedział, że miała rację. Zamierzał

powiedzieć jej, że nie może iść, że nie chce, by szła, ale jednocześnie wiedział także, że nie ma nad nią władzy. Próbował znaleźć sposób na załagodzenie tej sytuacji. – Mówiłem tylko, że nie znasz drogi.

– Ośmielam się rzec, że uda mi się ją odnaleźć. Ktoś tutaj musi znać drogę powrotną na ziemie człowieka. – W jej głosie słyszalna była niezrozumiała złość. Felix podejrzewał, że znowu próbuje wywołać sprzeczkę. – Król z pewnością ją zna i muszą tu być biblioteki z mapami. Może uda mi się zdobyć przewodnika.

– Dlaczego nie poczekaasz do naprawienia „Ducha Grungniego”? Z pewnością dostarczy cię na miejsce szybciej, niż dotrzesz tam na piechotę. I to znacznie bezpieczniej.

– Tak bezpiecznie, jak dostaliśmy się tutaj?

– Tak. Nie. Chodzi mi o to, że po dokonaniu napraw statek przemierzy te góry sto razy szybciej niż jakikolwiek wędrujący człowiek.

– Możliwe, ale ile czasu zabierze naprawa? A kto powiedział, że muszę iść na piechotę? Z pewnością w tym mieście muszą mieć jakieś konie.

– Krasnoludy nie słyną ze swojej kawalerii – powiedział.

– Nie musisz być ironiczny.

– Nie jestem ironiczny. One nie używają koni, chyba że do ciągnięcia wózków, a i to zwykle są kuce.

– Tutaj przebywają ludzcy kupcy.

– Jesteśmy w górach. Najprawdopodobniej korzystają z mułów, jeśli w ogóle mają wierzchowce.

– Masz odpowiedź na wszystko, czyż nie?

Felix nie wiedział, skąd pochodziła ta złość. Dlaczego oboje stali się tacy drażliwi? Był zmieszany. To nie przypominało historii, jakie czytał, ani obejrzanych sztuk teatralnych. Pojawiły się emocje czające się pod powierzchnią niczym kolce w stawie. Emocje, które nie miały logicznego związku z ich słowami, ani związkiem między nimi. Wiedział jednak, że w jakiś sposób stanowiły ich część. Dlaczego jest tak przywiązany do tej kobiety, troszczy się o nią, a jednak nadal tak bardzo denerwuje go jej zachowanie? Czy ona czuje to samo do niego? Felix dostrzegał przepaść między jego wizją miłości, a rzeczywistością. To nie było nic, do czego przygotowały go książki i poematy.

– Nie – powiedział wreszcie. – Nie mam. Po prostu nie chcę, by stało ci się coś złego.

Miał nadzieję, że ten wyraz troski odrobinę ją uspokoi, ale to nie nastąpiło.

– Coś złego już się stało – powiedziała. – To dotknęło cały świat.

Felix nie mógł odmówić jej racji. Sam myślał w ten sam sposób. Wyciągnął rękę, by ją przytulić, ale odsunęła się. Rozzłoszczony odwrócił się i wyszedł. Drzwi trzasnęły za nim z satysfakcjonującym hałasem, ale Felix już czuł się słaby, głupi i winny.

Max nalał kolejny puchar wina swoim nowopoznanym kompanom. Jeśli zauważyli, że sam pilniej, nie wydawali się tym przejmować. Borys Czarna Tarcza i jego brat Hef byli ostro pijącymi mężczyznami i nie wybrzydzała o to, kto płaci za kolejki. W końcu, jak szybko wskazał Borys, gdy w górach grasował Ludodzierca, a smok palił wioski, któż mógł wiedzieć, czy jutro będą żywi? Wyraźnie był dumny z faktu, że on i jego brat przehulali całą wypłatę, jaką otrzymali za ochronę karawany, zaraz po dotarciu do celu. W ich sakiewkach nie pozostało nic poza krzemieniami do rozpalania ognia. To zresztą oznaczało, że jeśli zabije ich jakiś ork, nie wzbogaci się na nich za bardzo.

Max nie dbał o to. Nadzorca ich karawany już oddalił się do swojej komnaty, ale wcześniej zgodził się dostarczyć wiadomość Maxa pod pewien adres na Ulrikstrasse w Middenheim. Zgodnie z

umową otrzyma za swój trud kilka złotych monet. Widząc błysk w oczach kupca Max nie wątpił, że list zostanie doręczony. Ulrikstrasse mieściła się ledwie dwie ulice od targu, na który zmierzał kupiec, a dwie sztuki złota były sowitą nagrodą za niewielkie nadłożenie drogi. Max wiedział, że zapewne powinien wyjść po zakończeniu negocjacji, ale potem postanowił zostać słysząc ludzi rozprawiających o drodze do krasnoludzkiego miasta. Ostatecznie może będzie musiał powędrować do domu, jeśli nie uda się naprawić „Ducha Grungniego”. Nie zaszkodzi zatem dowiedzieć się czegoś więcej o trasie marszu. Niestety, to co usłyszał byto co najmniej zniechęcające.

– Opowiedz mi jeszcze raz o owym Ludodzierycy – powiedział do Hefa.

– Wolałbyś tego nie słyszeć.

– Zaryzykuj i załóż, że chciałbym.

– To wielki herszt orków, podia bestia. Lubi obdzierać swoje ofiary żywcem i zrobił sobie namiot z ich wyprawionych skór. Powiadają, że zbiera armię zielonoskórych w górach i zamierza wypędzić krasnoludy z ich miast.

– To nie wydaje się zbyt prawdopodobne. To najsilniejsza forteca, jaką kiedykolwiek widziałem...

– Poza Middenheim – rzekł pijanym głosem Borys.

– Poza Middenheim, – zgodził się uprzejmie Max. – Z pewnością zwykły wódz orków nie da rady jej opanować.

– Z orkami nigdy nic nie wiadomo – odezwał się Hef. – To podstępne i cwane dzikusy, a mówią, że jest z nimi szaman o potężnej mocy.

Max poczuł dreszcz zawodowego zainteresowania.

– Chciałbym usłyszeć coś więcej o tym szamanie.

– Nie wiem zbyt wiele – odpowiedział Hef. – Słyszałem tylko opowieści tych, którzy ocaleli z zaatakowanych karawan.

– Zresztą nie było ich zbyt wielu – powiedział Borys. – A wszyscy potrafili bardzo szybko biegać. A kto wierzy w opowieści tchórzów?

– Po prostu powiedz mi to, co wiesz – nakłaniał Max i nalał jeszcze wina.

– Mówią, że ten szaman rozmawia ze starymi bogami orków, – rzeki Boris.

– A bogowie słuchają – dodał Hef.

– Bogowie słuchają wszystkich, którzy modlą się do nich – rzekł Max. – Nie wydaje mi się, by bogowie orków bardzo różnili się od naszych.

– Różnica jest taka, że bogowie orków odpowiadają na modły tego szamana. Podobno potrafi obalać urwiska swoim wyciem i zmiążdżyć mury fortów machnięciem dłoni.

– Może robi to z murami tego miasta – rzekł Hef.

Max wątpił w to. Krasnoludy wykuły na swoich murach runy równie potężne, jak wszelkie zaklęcia obronne znane człowiekowi, a najczęściej jeszcze silniejsze od nich. Aby je obalić potrzeba czegoś więcej niż wyjący zaklinacz. Max posiadał znaczną wiedzę na temat magii obronnej i wątpił, by był w stanie stworzyć lepszą ochronę dla miasta, nawet gdyby dysponował setką dobrych uczniów i dwudziestoma latami pracy. Wiedział, że zagrożenie nie dotyczyło takich miejsc, jak Karak Kadrin, tylko przydrożnych małych wiosek i miasteczek kupieckich.

W każdym razie, to co słyszał nie brzmiało dobrze. W górach były smoki i zbierały się bandy orków. Od północy zbliżała się horda Chaosu, a na własne oczy widział, że skaveny znowu stały się aktywne. Wyglądało na to, że wszyscy prorocy przepowiadający nadejście mrocznych czasów głosili prawdę. Świat zmierzał w złym kierunku. Max pomyślał, że może powinien napić się jeszcze trochę wina. Bracia mogli mieć rację. Powstrzymał się jednak.

- Opowiedz mi o smoku – poprosił.
- Jest wielki, zły i spalił większość wiosek od tego miejsca do wschodnich krain.
- Tylko tyle wiesz?
- To stara bestia, a przynajmniej tak słyszałem. Spała od stuleci, aż coś ją obudziło.
- Obudziło?

– *Aye*. Powiadają, że dwieście lat temu smok zamieszkał w jaskini w Górach Smoczyc, spustoszył krainę, a potem nagle zniknął. Niektórzy myśleli, że umarł. Teraz wydaje się, że tylko spał. Mówią, że smoki potrafią spać przez całe stulecia.

- Potrafią to bardzo stare smoki – powiedział Max. – Czytałem o tym.
- Potrafisz czytać? – spytał Borys.
- *Aye*. Napij się jeszcze wina.

Najmici pili i rozmawiali, ale Max nie słuchał już ich tak uważnie. Czy smok rzeczywiście spał przez ten cały czas? A jeśli tak, co go obudziło? Może właśnie nadejście Chaosu. Może był to tylko znak czasów.

A może to było coś całkiem innego. Max był pewien, że zaczyna wyłamać się jakaś prawidłowość wydarzeń. Wyczuwał działanie czegoś mrocznego i złego.

Kuźnia płonęła jasno. Żar wyciskał ostatnie poty. Felix zauważył to zaraz po wejściu do komnaty. Zatrzymał się na chwilę i wziął głęboki oddech. Złość wypaliła już się w nim i teraz czuł się bardziej winny, niż kiedykolwiek. Może powinien wrócić, porozmawiać z Ulriką i spróbować wszystko naprawić. Chciał to zrobić, ale jednocześnie walczył uparcie przeciwko temu. Zwyciężył upór. Tak czy inaczej, przybył tutaj, by się czegoś dowiedzieć, zatem równie dobrze może kontynuować.

Rozejrzał się szukając Makaissona. Wśród żaru i oparów trudno było go zauważyć. Wiele krasnoludów obsługiwało miechy, tłukło młotami rozżarzony do czerwoności metal nadając mu kształt i pracowało przy dziwnych maszynach, których przeznaczenia Felix nawet nie próbował odgadywać. Wszyscy poruszali się z pewnością siebie, którą mogą posiadać tylko krasnoludy wykonujące swoją misję.

– Gdzie jest Makaisson? – spytał łapiąc za ramię najbliższego przechodzącego krasnoluda. Mała muskularna postać *wyciągnęła kciuk w stronę jednego z pozostałych* wejść i poszła dalej.

Felix przeszedł przez warsztat i schylił głowę wchodząc do wskazanej komnaty. Makaisson był tam rzeczywiście. Nachylał się nisko nad stołem, na którym znajdowały się plany i schematy oznaczone czymś, co Felix rozpoznał jako runy używane przez Gildię Inżynierów. Uniósł wzrok na wchodzącego człowieka, syknął przez zęby i powiedział:

- *Aye*, cóż mogę dla ciebie zrobić, młody Felixie?
- Jestem ciekaw, kiedy „Duch Grungniego” będzie gotowy do odlotu? – zapytał Felix.
- Najpywniej za kylka tygodniów. Trzyba mnóstwo czasu, coby naprawić to wszystko i dać dobrom nauczkiem tymu smokowi.

– Nie mówisz poważnie – powiedział Felix, chociaż wiedział, że Zabójca-inżynier z pewnością mówił najzupełniej poważnie. Miał nadzieję, że statek powietrzny zostanie wkrótce naprawiony i zabierze Ulrikę na sam dwór Lodowej Królowej. Miał nadzieję, że będzie mógł zabrać się wraz z nią.

- Mówiem. Tyn przyklynty wielki jaszczur prawie zmiażdżył mój statek powietrzny i zabił bidnego młodego Vareka. To zniwaga, którą wkrótce zmażem, wierzaj mnie.
- Jak? Ledwo drasnęliśmy tego stwora.
- *Aye*, cóż, pomyślałem nico o tym, nie bój siem. Mam kylka małych maszyn i pomysłów

trzymanych od lat, a tyraz jezd chyba dobra chwyla, coby je zbudowac?

– Co moze wskorac jakakolwiek broń przeciw tak potężnemu stworzeniu, jak Skjalandir?

– Myślałem, że do tyj chwili nabrałeś wincej wiary w moje maszyny, Felixie Jaeger.

– Ufam twoim zdolnościom, Malakai, ale...

– Cóż, nie somdzem, bym mógł ciem winić. To była choernie wielka bystia, prawda. A jednak można jom zabić właściwom broniom. Tak jak każde żywe stworzemnie.

– Co zatem budujesz? – zapytał Felix, rzucając okiem na plany. Malakai stanął między nim, a rozwiniętymi rulonami pergaminu. Felix domyślał się, że podobnie jak wszyscy krasnoludzcy inżynierowie był nieco przewrażliwiony w kwestii dzielenia się ze światem swoimi projektami. Felix wiedział, że krasnoludy są ludem bardzo ceniącym tajemnice.

Makaisson patrzył na niego przez chwilę, a potem wyszczerzył zęby.

– Spojrznij, jeśli chcysz – rzekł ustępując, – chociaż wątpiem, cobyś mógł coś z tygo wyczytać.

Felix spojrział w dół i przekonał się, że krasnolud miał rację. Plany pokryte były zawijasami. Niektóre z linii kończyły się symbolami runicznymi, inne nie. To wyglądało na zwój spisany przez wyjątkowo szalonego astrologa.

– Masz rację. Nie mam pojęcia, co to takiego, – powiedział. – Co to jest?

Makaisson z satysfakcją zatarł swoje mięsiste dłonie.

– Wkrótce siem dowisz, nie martw siem. A teraz, idź jusz, młody Felixie. Mam mnystwo pracy do wykonynia i niezbyt wiele czasu, by to zrobić.

Tymi słowami przepędził Felixa z warsztatu na ulicę. Felix ruszył wolno ku pałacowi. Nadszedł czas, by przynieść wieści Ulrice. Przewidywał, że nie będzie zachwycona.

PRZYGOTOWANIA

Felix potoczył zmęczonym wzrokiem po wnętrzu tawerny. Nie przejmował się jej reputacją. „Żelazne Drzwi” były siedliskiem upadłych zabójców, wojowników tunelowych, inżynierów-renegatów, wygnanych najemników i tym podobnych osobników. To była najgorsza dziura w mieście Króla Zabójców, a to wiele mówiło. Felix zauważył, że ich stół otaczany był szacunkiem ponurych krasnoludów pokrytych bliznami. Felix był w tej chwili jedynym obecnym w tawernie człowiekiem i nie wątpił, że gdyby nie towarzystwo Gotreka i Snorriego, miałby poważne kłopoty.

Wiedział, że jest pijany. Zdaje się, że podczas kilku ostatnich dni robił bardzo niewiele poza piciem. Podczas gdy Ulrika studiowała mapy i przygotowywała się do drogi, Borek i Max odwiedzali biblioteki w poszukiwaniu nowych informacji o smoku, a Malakai budował swoje maszyny, Felix i Zabójcy właściwie tylko pili. A czemuż by nie? Niewiele poza tym było do roboty. Sprzeczek z Ulriką stawały się coraz gorsze, a wizja wyruszenia w Góry Smocze nie napełniała go optymizmem. Dlaczegożby zatem nie upijać się? Czemu nie bawić się?

Gdzie był Max? Czarownik znowu zniknął. Posiedział tylko na tyle długo, by wypić kilka kubków wina i powiedzieć im, czego się dowiedział. Sprawy, o których opowiadał były tak ponure, że każdy człowiek zacząłby pić. Skjalandir był stary i potężny. Obudził się kilka miesięcy temu i podczas tego czasu przepędził większość krasnoludów z wysoko położonych dolin oraz spalił większość miasteczek. Oddział najemników wynajętych przez wieśniaków nigdy nie wrócił, podobnie jak wielu Zabójców, którzy wyruszyli, by zabić potwora. Lękano się, że lada dzień smok zaatakuje Karak Kadrin. Nikt nie miał pojęcia, co się wówczas stanie, ale wszyscy wiedzieli, że to będzie straszne. Pozostawało tylko picie. Ulrice to mogło nie podobać się, ale co z tego? Jak zauważyła, on nie ma prawa mówić jej, co ma robić, a zatem dlaczego on miałby pozwolić jej na wydawanie rozkazów? Mógł się upijać kiedy tylko chciał, nie bacząc na jej dąsy.

A teraz był kompletnie pijany. Tak jak wszyscy: on sam, Gotrek i Snorri Gryzonos. Być może był odrobinę mniej napity niż pozostali, ale to nie miało znaczenia. Nie wypił nawet czwartej części tego, co Zabójcy, ale krasnoludzkie piwo *ale* było znacznie mocniejsze od ludzkiego, a Felix nie był do niego tak przyzwyczajony. Tawerna była pełna. Wszędzie wokół zasiadali najsurowiej wyglądający krasnoludzcy wojownicy, jakich Felix widział od czasu walki w salach Karag Dum. Rozmyślając o tym zdał sobie sprawę, że ktoś go obserwuje.

Nieznajomy ukrywał się w ocienionej alkwie na końcu tawerny. Jego twarz skrywał cień, ale Felix dostrzegł zarys wysoko podniesionego grzebienia włosów, co było znakiem Zabójcy. Krasnolud najwyraźniej zauważył spojrzenie Felixa i jego głowa wysunęła się z cienia. Felix zobaczył szczupłego krasnoluda o chciwych oczach i krótko przyciętej brodzie. Jego grzebień włosów był krótszy od należącego do Gotreka i ufarbowany na szaro. Nieznajomy był dość kościsty jak na krasnoluda, a jego szczęki poruszały się ustawicznie, jakby coś przeżuwał. Tatuaze pokrywały dziwnymi wzorami jego twarz i odsłonięte ramiona. Zbliżył się niedbale do ich stołu. Felix zauważył długi sztylet przywiązany do nogi krasnoluda i łom o krótkim stylisku przewieszony przez jego plecy. Bryczesy i kamizelka były czarne, a rękawy koszuli szare.

– Słyszę, że zamierzacie szukać smoka – odezwał się. Miał niski głos, a słowa wydawały się dobywać z kącika jego ust. Nieobecny wzrokiem przyglądał się trójce siedzących.

– Co z tego? – spytał Gotrek.

– Smoki mają złoto.

– Tak słyszałem. Co ci do tego?

– Skjalandir ma wielki skarb. W każdym razie powinien taki mieć. Ten stary smok ognisty terroryzował okoliczne góry przez prawie tysiąc lat.

– Nie interesuje mnie jego złoto, tylko jego życie. Zamierzam zabić stwora lub zginąć podczas tej próby – rzekł Gotrek.

– Nie, jeśli Snorri Gryzonos dotrze tam pierwszy – powiedział Snorri.

– Oczywiście, to zrozumiałe. To istotnie wspaniała śmierć dla Zabójcy. Ja także zamierzam tego spróbować.

– Nie mogę cię zatrzymać – rzekł Gotrek. – Tylko nie wchodź mi w drogę.

– Jasna sprawa. Czy pozwolicie mi przysiąc się i przez chwilę pić z wami?

– Tak długo, jak będziesz płacił za swoje piwo – zgodził się Gotrek.

– Tak uczynię, a jeszcze postawię wam wszystkim kolejkę – zaproponował przybyły. Oczy Gotreka i Snorriego rozszerzyły się. Felix domyślił się, że to nie było charakterystyczne zachowanie jak na krasnoluda. – Jestem Steg, zwany przez niektórych Lepkopalcym, do usług.

– Złodziej – stwierdził bez ogródek Gotrek.

– Niegdyś nim byłem, co przysporzyło mi wstydu – rzekł Steg. – Ale teraz jestem Zabójcą.

– Zostałeś przyłapany! – domyślał się Snorri Gryzonos.

– *Aye*, w skarbcu klanu Vorgrunda, z bursztynowym naszyjnikiem w rękach – pozostali Zabójcy spojrzeli na niego z zainteresowaniem.

– Dziwię się, że Vorgrundowie nie odrabiali ci łap.

– Zamierzali to uczynić. Najpierw jednak wrzucili mnie do swojego lochu, ale otworzyłem zamki i uciekłem. Na zewnątrz ich cytadeli prowadziło ukryte przejście. Oczywiście, ciążył na mnie wstyd, ponieważ dałem się przyłapać i zdradziłem swoje oblicze, zatem zostałem Zabójcą.

– Wstyd mu, bo dał się złapać! – wybuchnął Gotrek. Felixa nie dziwiło oburzenie Gotreka. Zawsze odnosił wrażenie, że krasnoludy mają wyższe standardy uczciwości niż ludzie. Steg wyłamywał się z tego standardu, ale Felix pomyślał, że złodziej zachowywał się w sposób dość dziwny, jak na krasnoluda. W jego głosie słychać było chępliwość, która stała w całkowitej sprzeczności z powściągliwością w mowie Gotreka i Snorriego. Felix był pewien, że przybysz nie jest całkiem rozsądny, ale z drugiej strony, to było normalne wśród zabójców.

– *Aye*. Od chwili, gdy zostałem zdemaskowany, wszyscy przestali odzywać się do mnie. Mój klan skazał mnie na wygnanie. Moja narzeczona wyrzekła się mnie, co wydawało mi się szczególnie nieuczciwie, ponieważ chciałem tylko zdobyć dla niej naszyjnik na podarunek weselny.

Gotrek spoglądał na Stega. Snorri patrzył z niekrytym zdumieniem, Steg pewnym siebie głosem bezwstydnie wyznawał najohydniejsze grzechy. Jeśli Steg zauważył te spojrzenia, nie dał po sobie znać.

– A zatem wyruszyłem do Świątyni Grimmira, by przyciąć sobie włosy i brodę.

– Nie wydajesz się specjalnie zawstydzony – rzekł Felix. Steg spojrział na niego.

– Młody człowieku, z zawodu jestem ślusarzem, a złodziejem z przymusu. Wstydzę się, bowiem sprowadziłem hańbę na swój klan, a także dlatego, że przez brak umiejętności zostałem złapany. Pragę odpokutować za moje zbrodnie śmiercią, ale zanim zginę chcę zadośćuczynić tym, których skrzywdziłem. Ponieważ wydałem zabrane złoto, zamierzam złożyć im rekompensatę moim udziałem w skarbie smoka.

Felix patrzył na niego z ukosa. Zastanawiał się, na ile szczerzy jest Steg. Może cierpiał na gorączkę złota, albo po prostu chciał znaleźć się w pobliżu skarbu. Może nie był wcale Zabójcą, a tylko chciał przyłączyć się do nich i wykraść skarb. Któż mógł to wiedzieć? Gotrek wydawał się

jednak odrobinę udobruchany wyjaśnieniami Stega. Nie wyglądał już tak, jakby chciał zatopić swój topór w czaszce złodzieja, który sam przyznał się do swojej profesji. Felix sam był zainteresowany opowieścią Stega.

– Jesteś ślusarzem? Słyszałem, że krasnoludzczy ślusarze są cudownie uzdolnieni.

– *Aye*, to prawda. Myślę, że to kolejny powód, dla którego zwróciłem się ku przestępstwu. To niosło ze sobą wyzwanie. Chciałem przewyższyć wszystkich pozostałych ślusarzy swoimi osiągnięciami.

Gotrek parsknął.

– Istnieją pewne sprawy, o których lepiej nie mówić.

– Snorri myśli, że wypije kolejne piwo.

– Felix myśli, że będzie ruszał z powrotem do pałacu – rzekł Felix.

– Uważaj na swoją sakiewkę – powiedział Steg. Felix uśmiechnął się i poklepał swój pas odkrywając brak pieniędzy.

Steg wyciągnął szeroką dłoń, w której ścisnął sakiewkę.

– Wybacz – rzekł. – Trudno pozbyć się starych nawyków.

Ulrika siedziała w bibliotece Króla Zabójców. Latarnie migotały niespokojnie oświetlając długie rzędy półek i przegródek zawierających zwoje, księgi oprawione w skórę, mapy i inne dokumenty. Biblioteka Króla Zabójców okazała się zaskakująco dobrze wyposażona. Ulrika nie była w stanie odczytać większości ksiąg, ponieważ spisano je krasnoludzkimi runami, ale znajdował się tam spory wybór woluminów napisanych przez ludzi oraz mnóstwo map gór. Narysowano je znacznie dokładniej i z większą precyzją niż ludzkie mapy. Najwyraźniej krasnoludzy z pedanterią dbali o detale.

Na niskim stole przed nią rozwinięta była mapa gór, najnowsze dzieło królewskich skrybów. Mapa pokazywała okolice wokół miasta w promieniu setki mil. Małe piktogramy oznaczały miasta i wioski i łatwo było domyślić się ich znaczenia. Żółty topór wskazywał kopalnię złota. Czerwony topór mógł znaczyć złoża węgla lub żelaza. Łódź oznaczała port, z którego tratwy lub statki mogły spływać w dół rzeki. Ważniejsze drogi oznaczono grubymi czerwonymi liniami, pomniejsze narysowano cieńszą kreską. Potencjalnie niebezpieczne trasy przewozowe prowadzące przez góry oznaczone były czerwonymi kropkami. Skrzyżowane miecze znaczyły pola bitew. Łeb orka zapewne oznaczał siedlisko jakiegoś plemienia zielonoskórych.

Spoglądając na mapę dostrzegła, że Przełęcz Pod Szczytem prowadzi na doliny wschodniego Imperium. Droga była czysta, ale stanowiła początek długiej trasy okrężnej do dworu Lodowej Królowej. Najszybsza droga na północ do Kisleva wiodła wzdłuż starej Drogi Wysokiej do Karak Ungor, a potem w dół rzeki Urskoj do miasta Kisleva. Niestety, symbol smoka leżał na trasie ważniejszej trasy kupieckiej widocznej na starszych mapach. Gruba czerwona linia wiała się wzdłuż krętej ścieżki biegnącej między szczytami i była znacznie dłuższa niż niegdyś.

Pomyślała gorzko, że Felix zapewne miał rację. Być może lepiej było poczekać na naprawienie statku powietrznego. Zakładając, że pojazd prześlizgnie się obok smoka, podróż minie znacznie szybciej, a sądząc po ilości symboli orków na mapie, najprawdopodobniej także o wiele bezpieczniej. Patrząc na mapę przekonywała się, że najszybsza droga oznacza przyłączenie się do Zabójców maszerujących wzdłuż Drogi Wysokiej do Karak Ungor.

Może po prostu chciała w to uwierzyć, po to, by móc pozostać z nimi odrobinę dłużej. To było denerwujące, frustrujące, a także zasmucające. Była to jedna ze spraw, która wywoływała takie napięcie w ich związku. Chciała być z Felixem, a to pragnienie nakazywało jej zaniedbać obowiązki

wobec ojca i narodu. Wiedziała, że musi dostarczyć wiadomość od ojca do Kisleva. A jednak był zła, że ten obowiązek odsuwa ją od Felixa, podobnie jak złościło ją, że on odrywa ją od wykonania obowiązku.

Nie była już pewna, co o nim myśleć. W czasie, gdy byli rozdzieleni, stale marzyła o jego powrocie, ale ten powrót zmienił wszystko. Felix już nie był postacią z marzeń, ale prawdziwą osobą, która czasami była dość irytująca ze swoją przemądrzałością i światowym obyciem. W końcu wychowywał się w stolicy cywilizowanego świata, a ona była córką kresowego szlachcica półbarbarzyńskiej krainy. Nie sądziła, że różnica okaże się tak wielka. Jego nawiązania do poetów, sztuk i ksiąg onieśmiały ją i czasami sprawiały, że czuła się głupia. Brakowało mu prostego kodu honorowego jej ludu, jednak zawędrował tak daleko i widział tak wiele w swoim życiu, że to było onieśmielające. Na dworze w Middenheim Ulrika czuła się obco i nie na miejscu wśród wszystkich szykownych dam. Czasami on też sprawiał, że czuła się w ten sposób.

Co więcej, odczuwała lęk przed zażyłością, która rosła między nimi tak silnie i tak gwałtownie. Podczas całego życia zachowywała kontrolę nad swoimi emocjami. Została wychowana na wojowniczkę, aby walczyć tak dobrze, jak każdy mężczyzna. Chciała być dla swojego ojca jak syn, którego tak naprawdę pragnął. To właśnie dzięki temu i swojej pozycji dziedziczki utrzymywała emocjonalny dystans między sobą, a każdym mężczyzną. Nie była pewna, czy chce, by ta przepaść zamknęła się.

Pozostawała jeszcze sprawa pijaństwa. Ulrika wyrastała wśród ostro pijących ludzi, ale w Kislevie oczekiwano z tym na festiwale i uczy. To było zbyt niebezpieczne miejsce, by ryzykować pijaństwem częściej niż kilka razy do roku. Od przybycia do miasta Felix upijał się każdego dnia. To było niepokojące.

Potrząsnęła głową. Czuła się nieswojo. Po raz pierwszy tak bardzo troszczyła się o to, co myśli o niej jakiś mężczyzna, a także, co ona myśli o nim. W przeszłości wybierała sobie kochanków zgodnie z prostym kodem szlacheckim swojego ludu. Spędzała z nimi przyjemne wieczory. Nigdy nie czuła jednak żadnego głębszego przywiązania emocjonalnego, ani niepokoju. Z drugiej strony, rozumiała tych mężczyzn, wiedziała czego po nich oczekuje, a oni od niej. Nie była pewna, czy w ogóle rozumie Felixa. Nie była też pewna, czy widzi dla nich przyszłość.

Pomyślała z przekąsem, że to i tak nie miało znaczenia. Z powodu nadchodzącej hordy Chaosu i niebezpieczeństw podczas czekającej jej drogi, najprawdopodobniej w ogóle nie będzie żadnej przyszłości dla nikogo, zatem zamartwianie się było bezcelowe. Odsunęła te myśli i wróciła do badania mapy. Szukała najlepszej trasy wiodącej do celu. Faktycznie wydawało się, że towarzyszenie Zabójcom było najlepszym rozwiązaniem.

Usłyszała otwierające się drzwi i odgłos kroków, gdy ktoś wszedł do biblioteki. To był krok człowieka, ale nie przypominał lekkiego stąpania Felixa. Odwróciła się i zobaczyła Maxa. Uśmiechnął się do niej i puścił oko.

– A zatem nie tylko ja przesiaduję po nocach – rzeki.

Skinęła głową ciekawa, co miał na myśli. Z wyrazu jego oczu domyślała się, że przyszedł, ponieważ wiedział, że ona tu jest. We dworze jej ojca zawsze wpadał na nią jakby przez przypadek. W jego oddechu wyczuwała zapach alkoholu.

– Co tutaj robisz, Max? – spytała. Uśmiechnął się szerzej.

– Wykorzystuję okazję do przeprowadzenia badań w bibliotece Krasnoludzkich Królów. Wiesz, oni przechowują wiele starych ksiąg, rzadkich w Imperium. Niektóre zostały przetłumaczone z krasnoludzkiego przez ludzkich skrybów.

– Nie wiedziałam, że są ludzie, którzy potrafią czytać po krasnoludzką.

– Czytanie, nie jest uważane za znaczący talent wśród Kislevczyków, – rzekł. Ulrika słyszała ironię w jego głosie. To przypomniało jej Felixa i poczuła krótki przyływ gniewu. Nieświadomy tego Max mówił dalej. – Wśród obywateli Imperium jest inaczej. Niektórzy potrafią nie tylko czytać, ale także odczytywać krasnoludzkie runy.

– Myślałam, że to jest sekretny język, który krasnoludy zachowują tylko dla siebie.

– Teraz tak jest. Ale nie zawsze tak było. Niegdyś ludzie i krasnoludy żyli bliżej siebie, a w czasach Sigmara Młotodzierzcy, wielu ludzi nauczyło się krasnoludzkiego języka. Krasnoludzkie runy stworzyły podstawy pierwszych ludzkich alfabetów. Zgodnie z Niedokończoną Księgą Sigmar potrafił rozmawiać z krasnoludami w ich ojczystym języku.

– Sigmar był bogiem.

– Przyjął ludzką formę, a jego pierwsi kapłani także potrafili mówić po krasnoludzku. Przekazali tę umiejętność tym, którzy przyszli po nich. Ten język nadal używany jest przez wielu uczonych kościoła.

– Powiadasz, że są ludzie, którzy potrafią mówić po krasnoludzku?

– Posługują się starożytną wersją języka, która nie różni się zbyt od współczesnego krasnoludzkiego. Starsza Rasa to bardzo konserwatywny lud i podczas ostatnich dwóch i pół tysiąca lat niewiele zmieniło się w ich języku. Jeśli potrafisz mówić językiem w starej wersji, zrozumieją cię także użytkownicy obecnego dialektu. Zapewne taka osoba potrafi także czytać po krasnoludzku.

– Skąd wiesz to wszystko?

– Jestem uczonym, a także czarodziejem. Podobnie jak wielu uczonych za młodu studiowałem w świątyniach. Co więcej, w tych czasach czarodziej musi posiadać praktyczną wiedzę o teologii i liturgii, jeśli nie chce stać się ofiarą łowców czarownic. Świątynie nadal nas nie uwielbiają. Ciągłe musimy udowadniać, że jesteśmy bogobojnymi ludźmi.

Ulrika przypomniała sobie uprzedzenia jej własnego ludu i nienawiść, z jaką wielu wyznawców Ulrica w Middenheim odnosiło się do magów. Dostrzegała sens w jego słowach. – Czy jesteś bogobojnym człowiekiem, Maxie Schreiberze? Czy może twoja dusza jest zagrożona?

– Jestem bardziej pobożny, niż się domyślasz, Ulriko Magdova. Pozostawałem wrogiem Chaosu przez całe życie, bez względu na to, co mogą o tym myśleć łowcy czarownic.

– Nie musisz mnie o tym przekonywać, Max. Widziałam, jak walczyłeś ze skavenami.

Przysunął się bliżej i usiadł naprzeciw niej. Wyraźnie wyczuwała w jego oddechu zapach wina.

– Jak widzę, rozmyślasz nad podróżą. Wyruszasz polować na smoka, nieprawdaż?

– Nie. Próbuję znaleźć drogę do Kisleva, aby przynieść ostrzeżenie ojca moim ludziom. Caryca musi dowiedzieć się o zbliżającej się inwazji.

– A zatem nie wyruszasz z krasnoludami? Felix pójdzie z nimi, prawda?

– Felix przysiągł towarzyszyć Gotrekowi. Nie poprosiłabym go o złamanie przysięgi.

Ulrika nie była pewna, co oznacza grymas, który przemknął po twarzy Maxa. W bladym świetle trudno było stwierdzić, czy był zaskoczony, uradowany, przestraszony, czy po trosze to wszystko. – Myślałem, że wy dwoje jesteście nierozłączni – powiedział wreszcie.

– Jesteśmy tylko kochankami w łóżku, nic więcej – Ulrika wiedziała, że to nie była do końca prawda, ale w tej sytuacji to było wystarczająco bliskie rzeczywistości, by nie czuła się jak kłamca. Max skrzywił się. Był zazdrosny, czy też to było coś innego?

– O co chodzi? – spytała.

– Kislevskie kobiety wydają się odrobinę bardziej bezpośrednio w sprawach sercowych, niż przywykli do tego mężczyźni z Imperium.

– Jesteśmy szczerze.

– Nie ma wątpliwości co do tego. Po prostu trochę mnie to zaskoczyło, to wszystko. W Imperium damy nie mówią o takich rzeczach.

Ulrika spojrzała na niego.

– Ale robią te same rzeczy. Spędziłam wystarczająco wiele czasu na dworze w Middenheim, by to zauważyć. Przynajmniej, my kislevskie kobiety nie jesteśmy hipokrytkami!

Ku jej zaskoczeniu Max zaśmiał się.

– Tak. To prawda. Masz rację.

– Nie musisz mówić do mnie jak do dziecka.

– Nie zamierzam tego robić. – Ton jego głosu zmienił się. – W jaki sposób zamierzasz dotrzeć do Kisleva? Na piechotę?

– Konno, jeśli znajdę jakieś wierzchowce w tym miejscu.

– Ilu was będzie? Czy najmiesz ochroniarzy?

– Mam Olega i Standę oraz mój własny, dobry miecz. Czy potrzeba mi czegoś więcej?

– Droga stąd do Kisleva jest długa, trudna i pełna niebezpieczeństw – przerwał na chwilę, jakby zastanawiał się nad czymś. – Może przydałby ci się kolejny miecz podczas drogi lub coś więcej niż miecz – czarodziej.

– Czy oferujesz swoje usługi? – Ulrika poczuła nagły niepokój. Nie była pewna, czy chce, by Max jechał wraz z nią, chociaż faktycznie był wielkim magiem.

– Tak.

– Pomyślę o tym.

– Będziesz mnie potrzebować – powiedział z pewnością siebie. – W tych górach są orki i mają wśród siebie szamana. Magię trzeba zwalczać magią.

– Powiedziałam, że pomyślę o tym – odparła i wstała ruszając do wyjścia. Max skinął jej na dobranoc. Gdy doszła do drzwi poczuła utkwione w siebie jego spojrzenie. Otworzył usta, by coś powiedzieć.

– Kocham cię – rzekł nagle.

– Jesteś pijany – odpowiedziała i otworzyła drzwi. Usłyszała jeszcze, jak mówił: – To prawda, ale to niczego nie zmienia.

Idąc korytarzem zdała sobie sprawę, że podjęła decyzję. Wyruszy w podróż z Felixem i Gotrekiem wzdłuż Drogi Wysokiej do załomu Urskoj. Zakładając, że przeżyją drogę, skieruje się na północ z Olegiem i Standą. Czowała się, jakby z jej ramion spadł ciężar. Zapragnęła zobaczyć Felixa i dzielić z nim łożę. Ostatnio odsuwali się od siebie i czuła pewną odpowiedzialność za to. Postanowiła spróbować to naprawić.

Max stał w bibliotece i czuł się jak głupiec. Skutki wina wypitego wcześniej pod „Gryfem Imperatora” jeszcze nie minęły, a to spowodowało, że rozwiązał mu się język. Po części cieszył się, że powiedział to, co powiedział, ale z drugiej strony czuł się głęboko zawstydzony odmową. Zrozumiał, że całe życie zgłębiania magii w zapleśniałych starych księgach w żaden sposób nie przygotowało go do obchodzenia się z żywą kobietą. Miał wrażenie, jakby mówił niewłaściwe rzeczy od początku rozmowy.

Pomyślał, że to było straszne. Musi wziąć się w garść. Był mistrzem magii w Złotym Kolegium i sekretnym członkiem starożytnego bractwa Złotego Młota. Nie był jakimś tam nieopierzonym studentem tajemnic. Nie mógł pozwolić sobie na utratę kontroli nad sobą w żadnych okolicznościach. Dysponował taką mocą, że to mogło doprowadzić do katastrofy. Zbyt dobrze znał opowieści o czarodziejach którzy rozpętali straszliwe piekło będąc pijanymi. Nie zamierzał do tego dopuścić. Był

na to zbyt rozważny. Nigdy nie spróbuje użyć swych mocy pozostając pod wpływem alkoholu. Pod żadnym pozorem.

A jednak w tym miejscu było ciemno. Brakowało światła do czytania. Wyrysował palcami znany zawył wzór i poczuł odpowiedź wiatrów magii. Nad jego dłonią pojawiła się sfera miętko lśniącego, żółtawego światła. Strząsnął ją i pozostawił unoszącą się w powietrzu w połowie wysokości komnaty. Światło sfery migotało niespokojnie, jakby coś zakłócało jego kontrolę nad magią. Może to były stare krasnoludzkie runy ochronne. Może coś innego. Teraz nie zamierzał się tym przejmować.

Potrząsnął głową i spojrział na mapę, którą studiowała Ulrika. Łatwo było odczytać historię, jaką ukrywał plan okolic. Przebudzenie smoka wyraźnie odcisnęło się na życiu w tej części Gór Krańca Świata. Wszędzie pojawiły się plemiona orków. Zniszczone zostały miasta. Zablokowano trasy kupieckie. Bez trudu wyobrażał sobie lawinę problemów.

Smok budzi się, zaczyna niszczyć ludzkie i krasnoludzkie miasteczka oraz pożerać ich stada. To doprowadziło do osłabienia obrony dróg kupieckich i przełęczy górskich. Orki i inne, podlejsze kreatury wykorzystały anarchię do wzmocnienia swoich sił. Trasy karawan wydłużyły się, a najmici podnieśli ceny wynajmu z powodu niebezpieczeństwa. Koszty dóbr wzrosły w tutejszych górach i w ludzkich miastach Ostermarku. Fale wybiegające od tego jednego wydarzenia przemierzały setki mil, wpływając na życie tysięcy ludzi, którzy nigdy nie widzieli smoka i mogą uważać go za zwykłą legendę.

Max zastanawiał się, jak często podobne łańcuchy wydarzeń wpływały na królestwa ludzi. Bez wątplenia znacznie częściej, ale nigdy nie dowie się o tym. Wydawało się całkiem prawdopodobne, że jeśli wystarczająco wiele z nich wydarzy się jednocześnie, może to wywołać upadek Imperium. Z pewnością, patrząc na tę mapę, trudno było stwierdzić, w jaki sposób krasnoludy przeprowadzą szybko armię przez góry, jeśli smok i orki postanowią stanąć im na drodze. Nawet gdyby zechcieli wspomóc Kislevczyków w walce z maszerującymi legionami Chaosu, może się okazać, że nie będą w stanie.

Oczywiście, zawsze pozostawał „Duch Grungniego”. Statek powietrzny umożliwi bardzo szybkie przemieszczanie wielu wojowników. Może to jest odpowiedź. Jeśli uda się naprawić potężną maszynę. Mimo to, smok już raz prawie ją zniszczył. Kto wie, czy nie spróbuje ponownie i nie uda mu się? Max potrząsnął głową. Wiedział, że stara się tylko odwrócić swoją uwagę od beznadziejnego przywiązania do Ulriki.

Czy jednak było tak beznadziejne? Najwyraźniej nie działało się zbyt dobrze między nią a Felixem. Może jeszcze nadejdzie jego szansa, zwłaszcza, jeśli ona i *Herr Jaeger* nie będą podróżowali razem, a Max będzie przy niej. Kto wie, co może się wówczas zdarzyć? Pozwolił przeminąć przyływowi nadziei. Fakt, że ona i Felix sprzeczekali się ze sobą nie oznaczało, że Ulrika zechce być z nim. Chciało mu się śmiać.

Oto był tutaj, zaprzysięgły sprzeciwić się Chaosowi, podczas gdy zbliża się największa od dwóch stuleci inwazja sił Ciemności, a on potrafi myśleć tylko o tej dziewczynie. Musi w jakiś sposób odzyskać wyczucie proporcji. Podeszedł do półek i przyjrzał się księgom.

Istotnie była tam znaczna liczba tomów, włącznie z kilkoma kopiami Księgi Krzywd z Karak Kadrin, która datowała się daleko sprzed trzech tysięcy lat. Najwcześniejsze zapiski dokonano w prawie czystym starożytnym krasnoludzkim, którego uczył się za młodu. Przekartkował strony i wkrótce zapadł w drzemkę chrapiąc w fotelu, a z jego głowy wymykały się stare opowieści o zdradzie, podstępnie i smutku.

Felix dotarł do komnaty, którą dzielił z Ulriką. Nie stał zbyt pewnie na nogach i jego próby cichego poruszania się wypadły koszmarnie źle. Przetrącił już nocnik i z głośnym metalicznym szczękiem upuścił miecz na podłogę. Wiedział, że Ulrika nie spała, chociaż nie poruszała się na łóżku. Zastanawiał się, jak długo czekała na niego.

– A zatem jak zwykle jesteś pijany – powiedziała zagniewanym głosem.

– Piłaś – odparł głupawo Felix. – Myślałem, że poszłaś do królewskiej biblioteki, aby zaplanować swoją drogę do domu.

– Nie. To Max pił.

– Piłaś z *Herr* Schreiberem – Felix nie wiedział, ile gorzkiej zazdrości wkradło się do jego głosu w tym jednym zdaniu.

– Nie. Byłam w bibliotece, gdy przyszedł pijany.

– I co potem robiliście?

– Rozmawialiśmy.

– O czym?

– O języku krasnoludów, jeśli chcesz wiedzieć.

– Nagle zainteresowałaś się krasnoludzkim?

– Większość map i ksiąg w bibliotece jest spisana w tym języku.

– To z pewnością ma jakiś sens, – rzekł Felix z mało subtelną ironią. Zaczął ściągać swoje ubranie i szycować się do łóżka.

– Potrafisz być paskudnym człowiekiem, Felixie Jaegerze.

– Najwyraźniej. A *Herr* Schreiber taki nie jest?

– Max przynajmniej zaproponował mi towarzystwo w drodze do Kislewa.

Felix poczuł ścisk na dnie żołądka. Nie mógł uwierzyć, że jej słowa dotkną go tak bardzo. Rzucił się na łożo obok niej i spojrzał na nią. W ciemności trudno było odczytać wyraz jej twarzy. Sądząc po tonie głosu była rozgniewana. Przez chwilę rozważał, co powiedzieć. Milczenie wydłużało się niczym wielka pustynia grożąca pochłonięciem wszystkiego, co mógłby powiedzieć.

– Mógłbym wyruszyć z tobą do Kislewa – powiedział wreszcie.

– A co ze smokiem?

– Po tym, jak zostanie zabity...

– Ach, pojedziesz po tym, jak zostanie zabity...

– Złożyłem przysięgę, a wiem, co wy Kislewczyacy myślicie o krzywoprzysięzczach.

Milczenie znowu przedłużało się. Ulrika niczego już nie powiedziała. Felix zastanawiał się, co teraz rzec, ale piwo krążyło po jego mózgu, a sen wywołany mackami alkoholu pociągnął go w morze snu.

Kiedy obudził się rano, Ulriki już nie było.

Max przyglądał się porannemu słońcu wstającemu nad górami z blanków ponad dziedzińcem pałacu Króla Zabójców. Czul suchość w ustach. Bolała go głowa. Żołądek był niespokojny. Nie upił się tak od czasów studenckich, wiele lat temu. Odczuwał wstyd i zażenowanie. Częściowo domyślał się, że to tylko efekty kaca. Z drugiej jednak strony wywoływała to świadomość, że rozmawiał z Ulriką o czymś, co powinien zatrzymać dla siebie. Był także rozgniewany, że pozwolił sobie na pijaństwo. To była niebezpieczna rzecz dla mistrza magii. Zadrzał, uświadamiając sobie, że używał zaklęć pod wpływem alkoholu, choćby tak prostych jak świetlne kule. Magia bywała w najlepszym razie zwodnicza i niebezpieczna, bez dodatkowych komplikacji z powodu przepicia. Przypominał sobie, co powiedział mu na ten temat jego stary nauczyciel, Jared. Pijany czarodziej to ogłupiały

czarodziej, a ogłupiały czarodziej szybko staje się martwym czarodziejem.

Rozumiał, że to nie powinno się zdarzyć, ale wiedział także, że miał swoje powody. Był magiem. Posiadał świadomość stanu swojego umysłu. Wziął głęboki oddech i wciągając powietrze odliczał w ciszy do pięciu. Wstrzymał oddech licząc do dziesięciu, a potem wypuścił powoli powietrze odliczając do dwudziestu. Gdy skończył, zaczął oczyszczać swój umysł, tak jak nauczyli go jego mistrzowie.

Najpierw nic się nie działo. Uniemożliwiały to mdłości żołądka i zawroty głowy. Pomyślał, że to kolejne niebezpieczeństwo, jakie niesie picie. Gdyby w tej chwili zaatakował go wróg, miałby kłopoty z obroną samego siebie. Przeklął, wiedząc że takie myśli były same w sobie przeszkodą w wykonaniu nawet tego elementarnego ćwiczenia magicznego. Kontynuował koncentrując się na swoim oddechu. Usiłował uspokoić się i rozluźnić, pozwalając zniknąć napięciu swoich mięśni.

Powoli, ćwiczenie zaczęło przynosić skutek. Jego myśli stały się spokojniejsze i wolniejsze. Ból zdawał się nieco ustępować. Opuszczało go napięcie. Na dnie umysłu stał się świadom przepływu prądów magii. W jego umyśle zaczęły wirować kolory, czerwienie i zielenie oraz dominująca złota barwa. Zaczął postrzegać sam siebie jako pusty pojemnik, do którego zaczęła napływać moc. Magia powoli wypłukiwała mdłości, jego umysł stawał się coraz bardziej przejrzysty i wypełniał się złotym światłem. Czuł przepelniające go wrażenie odnowy. Dotyk magii przypominał efekty pewnych narkotyków, z którymi eksperymentował pod nadzorem swoich mistrzów. Dzięki temu czuł się pełen energii i ogarniała go ograniczona euforia. Jego zmysły wyostrzyły się. Był świadomy delikatnych pieszczot wiatru na jego skórze, lekkiego łaskotania wywoływanego przez wełniane szaty, ciepła kamieni pod jego palcami. Słyszał przyciszone głosy krasnoludów w głębiach zamku, które wcześniej ledwo wychwytywał. Światło stawało się coraz jaśniejsze, a jego wzrok stawał się czystszy. Włączały się zmysły wykraczające poza pięć, z których normalnie korzysta ludzkość. Wszędzie wokół siebie dostrzegał przepływ magii i blade emanacje żywych istot. Czuł moc run, które krasnoludy wplotły w swoje budynki i sposób, w jaki kanalizowały pierwotne energie tworząc magiczne ochrony. Wiedział, że dostrzega rzeczy niewytłumaczalne dla normalnych śmiertelników i zaczął kształtować tę energię zgodnie ze swoją wolą. Przez chwilę czuł się całkowicie ożywiony i przepelniony radością, której nigdy nie zrozumie ktoś nie będący czarodziejem.

Osiągnął pustkę i utrzymywał ją przez kilka chwil, a potem wydechając powietrze zaczął znowu myśleć, postrzegając swoje życie z wnikliwością i jasnością, na jaką pozwalał jego nowy stan skupienia.

Widział teraz, że upił się w reakcji na utratę kontroli nad swoim życiem. Ostatnio doświadczył mnóstwa spraw, które były mu obce podczas jego normalnej rutyny spokojnego życia uczonego. Wziął udział w bitwie i stoczył magiczny pojedynek z magiem potężniejszym od siebie. Z łatwością mógł zginąć zarówno podczas tego pojedynku, jak i w bitwie ze skavenami. Zakochał się, z pasją i w niekontrolowany sposób. To go zaskoczyło. Może stał się bardziej wrażliwy na dzikich polach Kisleva, daleko od swojej ojczyzny i oczekując z napięciem na powrót statku powietrznego. To prawda, Ulrika była uroczą kobietą, ale znał już bardziej urocze i nie zakochał się w nich. Tak, czy inaczej, powody nie miały znaczenia. Intrygował go prosty fakt, że tak się stało. Był zazdrosny, zdesperowany i pełen gniewu, którego do tej pory nie uświadamiał sobie. To popychało go do niewłaściwego zachowania. Czuł nieznaną wcześniej pokusę. Wiedział, że to wszystko zagraża spokojowi jego umysłu, a pewien sposób także duszy. Pożądanie kobiety doprowadziło go do rozważania nad mrocznymi ścieżkami, które powinny pozostać zamknięte przed nim i zastanawiania się nad sprawami, o których nie wolno mu było myśleć. Ostatniej nocy dopuścił się nawet picia i używania swojej magii. Miał szczęście, że był zbyt pijany, by rzucić kilka znanych sobie zaklęć –

tych, które zmuszały innych do posłuszeństwa jego woli.

Zamknął oczy i rozmyślał o tajemnej wiedzy, którą uzyskał za tak wielki koszt. „Slaanesh” – pomyślał. Dla ignorantów, był to mroczny bóg niewysłowionych przyjemności, władca demonów, którego szaleni od rozkoszy wyznawcy pogrążali się w potwornie rozwiązłych orgiach. Max dobrze wiedział, że takie rzeczy zdarzały się naprawdę. Ale to nie było jedyne zagrożenie, jaki reprezentował Slaanesh. Był bogiem pokusa ciała, subtelnym i zabójczym. Potrafił zwieść nawet najmądrzejszych na drogę zniszczenia przez żądzę zaspokojenia swoich chuci. Max wiedział, że Slaanesh potrafi zrujnować człowieka na wiele sposobów, poprzez pożądanie alkoholu, narkotyków lub dziewczek. Wiedział, że to, co przytrafiło mu się ostatniej nocy musi potraktować poważnie, bowiem mogło okazać się pierwszym krokiem jaki postawił na drodze ku zgubie.

Rozumiał, że nie może sobie na to pozwolić. Przysiągł sprzeciwić się Chaosowi, a nie służyć mu. To dlatego studiował tak długo i tak ciężko. Wiedział, że musi zapomnieć o Ulrice, picciu i innych pokusach, które mogą go rozpraszać, co może wywołać straszliwe konsekwencje. Ale nawet, gdy to już ustalił, głos w głębi duszy podszeptował mu, że nie chce tego uczynić, a jego nowe wejrzenie na siebie objawiło mu coś, co mogło być ukrytą prawdą.

Być może studiował dzieła Chaosu od tak dawna z mniej czystych powodów – nie dlatego, że go nienawidził i pragnął sprzeciwić mu się, ale dlatego, że był nim zafascynowany. Może przez cały czas tylko się oszukiwał.

Nawet wmawiając sobie, że ta myśl jest także jedną z pułapek Slaanesh, był zbyt świadomy, że przynajmniej po części jest to prawda.

Felix wyszedł na ulicę. Nie miał pojęcia, gdzie znajdzie Ulrikę, ale według strażników ona, Oleg i Standa opuścili pałac wczesnym rankiem i wyruszyli w stronę jarmarku, który otwarto wokół „Ducha Grungniego” w dolinie za miastem. To miało sens. Szukała koni, by kontynuować podróż, a jarmark był miejscem, gdzie można je kupić.

Schodząc ze wzgórza zauważył, że przygląda mu się młody krasnolud o niezwykłym wyglądzie. Krasnolud był odziany w futra, jego głowę pokrywał różowawy krótki zarost, który wyglądał, jakby głowa została niedawno ogolona. Na ramieniu trzymał topór. Zauważywszy, że Felix przygląda mu się, ruszył naprzód i wyrównał z nim krok.

– Ty jesteś Felix Jaeger! – głos krasnoluda był jeszcze głębszy niż u innych krasnoludów i pohukiwał donośnie. Felix przyglądając się nieznajomemu dostrzegł pokrywające ramiona krasnoluda serie tatuaży, które przedstawiały wielkie, krwawiące monstra. Pod nimi biegł napis wykonany krasnoludzkimi runami. Widząc zaciekawienie Felixa, krasnolud zgiął dumnie ramię napinając mięśnie. Tatuaz rozciągnął się.

– Widzę, że zauważyłeś moje tatuaże! Napis brzmi „Urodzony, by umrzeć!”

– Tak. Bardzo imponujące – rzekł Felix. Wydłużył krok i wkrótce krasnolud prawie biegł, by nie pozostać w tyle. Felix nie chciał być nieuprzejmy, ale spieszył się, by znaleźć Ulrikę i przeprosić za swoje zachowanie podczas zeszłego wieczora. Młodzieniec najwyraźniej nie poczuł się zniechęcony.

– Ulli, syn Ulliego, do usług twoich i twojego klanu – rzekł krasnolud. Próbował skłonić się w marszu i omal się nie potknął.

– Miło mi cię poznać – odpowiedział Felix, mając nadzieję, że krasnolud wychwyci aluzję i zostawi go w spokoju. Nie był w zbyt towarzyskim nastroju z powodu kaca.

– Jesteś towarzyszem Gotreka Gurnissona, nieprawdaż? Trzymałeś w swojej dłoni młot Ognistobrodego? – w głosie młodego krasnoluda słychać było nutę czci. Felix nie był pewien, czy dotyczyła ona Gotreka, czy też młota. Zatrzymał się i spojrzał na Ulliego.

– Tak. I co z tego?

– Nie podoba mi się ton twojego głosu, człowiecze! Czy chcesz walczyć ze mną?

Felix przyjrzał się młodemu. Był muskularny niczym małpa, podobnie jak większość krasnoludów, ale nie wydawał się choć w przybliżeniu tak groźny jak Gotrek lub Snorri Gryzonos. A jednak nie było sensu wdawać się w walkę bez powodu, zwłaszcza z Zabójcą.

– Nie. Nie chcę z tobą walczyć – odpowiedział cierpliwie Felix.

– Dobrze! Wolałbym nie broczyć mojego topora ludzką krwią!

– Nie trzeba tak krzyczeć – powiedział cicho Felix.

– Nie mów mi, jak mam mówić! – ryknął krasnolud. Dłoń Felixa instynktownie powędrowała do rękojeści jego miecza. Młody Zabójca cofnął się nieco.

– Nie mówię ci, jak masz mówić – odpowiedział Felix tak uprzejmie, jak tylko potrafił. – Proszę tylko, byś uspokoił się odrobinę.

– Jestem Zabójcą! Nie mogę być spokojny! Urodziłem się, by zginąć w walce ze straszliwymi potworami!

Felix skrzywił się. Słyszał wcześniej takie stwierdzenia padające z ust Gotreka, ale wypowiedziane przez Ulliego Ullissona nie wydawały się zbyt przekonujące.

– Zapewne zauważyłeś, że nie jestem straszliwym potworem, – rzekł.

– Kpisz sobie ze mnie?

– Gdzieżbym śmiał.

– Dobrze! Żądam należnemu Zabójcy szacunku od twojego rodzaju!

– A cóż to za rodzaj w takim razie? – zapytał cicho Felix. W jego głosie pojawiła się niebezpieczna nuta. Czuł się lekko zmęczony od nagabywań tego chełpliwego prostaka. Ulli najwyraźniej zauważył to i znowu cofnął się.

– Ludzie! Młodsza rasa! Mieszkańcy Imperium!

Zaczął zbierać się tłum krasnoludów przyglądających się konfrontacji. Słyszał jak mamroczą do siebie po krasnoludzku. Niektórzy z gapiów tręcali się łokciami i wskazywali na niego. Kilka razy posłyszał wymieniane swoje imię. Wyglądało na to, że jest dobrze znaną postacią w mieście. – Czy mogę coś dla ciebie uczynić, Ulli Ullissonje?

– Czy to prawda, że zamierzacie zapolować na smoka Skjalandira?

– Tak. Dlaczego pytasz?

– Bowiem ja szukam chwalebnej śmierci.

– Przyłącz się do kolejki – powiedział cicho Felix.

– Co takiego? – ryknął Ulli.

– To nic nowego – rzekł Felix. – Czy zamierzasz towarzyszyć nam w naszej misji?

– Zamierzam wyruszyć na poszukiwanie smoka z wami, czy bez was! Skoro jednak prosisz o moją ochronę, udzielę jej wam!

– Nie proszę. Miłego dnia – rzucił Felix, odwrócił się i odszedł. Nie patrzył za siebie, ale usłyszał za sobą głośne okrzyki Ulliego.

– Zaginęliśmy, nieprawdaż, o najbystrzejszy z przewodników?

Szaremu Prorokowi Thanquolowi nie podobały się słowa Lurka. Słyszał w nich nutę groźby połączonej z niedowierzaniem w umiejętności Thanquola, co nie rokowało dobrze przyszłym relacjom z jego pomagierem. Thanquola bolał łeb. Dwa dni temu skończył mu się proszek ze spaczenia, a to nie było dobre. Czuł straszny głód narkotyku. Może mógłby skubnąć odrobinę zapasowego spaczenia. Nie! Widział, że musi pozostawić czysty spacjeń na czarną godzinę. W tej

chwili nie potrzebował jego mocy.

– Czy zabłądziliśmy? – Lurk spytał ponownie.

– Nie! Nie! – zapiszczał Thanquol wkładając w swój głos możliwie wiele pewności siebie. –

Dzięki moim mocom wizjonerskim jesteśmy dokładnie w miejscu, w którym powinniśmy być!

– A gdzie dokładnie jest to miejsce?

– Przepytujesz mnie, Lurku Snichtongue?

– Jedyne wyrażam zainteresowanie.

Thanquol spojrział na horyzont. Błyszczące szczyty stanowiące granicę z Pustkowiami Chaosu wydawały się znacznie bliżej. Zastanawiał się, czy zdradza go własna żądza spaczenia. Czy tajemnica pokusa tych utraconych krain wpływa na jego poczucie kierunku? A może na jego osądy wpływa to nieustanne zdręczanie przez oszalałe przepytywanie Lurka? Thanquol stwierdził, że po trosze jedno i drugie. Oczywiście, pogoda w niczym nie pomagała.

Kiedy nie padało, było mgliście. Kiedy mgła ustępowała, było tak jasno, że raniło to wrażliwe ślepie skaveńskie i zmuszało ich do zakopania się w ziemi, by nie zostali zauważeni. Thanquol, normalnie niechętnie przyznający wyższość ludzi nad skavenami pod dowolnym względem musiał zgodzić się, że człowiek na grzbiecie konia ma znacznie większą szansę zauważyć skaveny, zanim one zauważą jego. Zdawało się, że nie ma łagodnych warunków pośrednich. Deszcze były straszliwe. Zacinały bezlitośnie i redukowały widoczność niemal do zera. Powodowały nasiąkanie ich futer i uśmierzały zmysł węchu. Zdawało się, jakby same żywioły sprzysięgły się z ich wrogami, by podważyć zdolność spokojnego rozumowania Thanquola.

Faktycznie, zaskoczyło go to, że nie pomyślał o tym wcześniej. Było całkiem prawdopodobne, że ta okropna pogoda jest wynikiem zaklęcia rzuconego przez jakiegoś wroga. Thanquol bez trudu znajdował kilku kandydatów. Jedno było pewne, przysięgał sobie, że gdy wróci do cywilizacji skavenów ktoś ucierpi za niewygody, które go dotykały. A jeden z obiektów tej nieuniknionej zemsty znajdował się nie dalej niż kilka długości ogona za nim.

Lurk stawał się coraz trudniejszy do zniesienia w miarę postępów podróży. Kiedy nie był bezczelny, stawał się głodny i rzucał niepokojąco żarłoczne spojrzenia na swojego prawowitego pana. Kiedy tego nie robił, zadawał głupie pytania i najwyraźniej sugerował, że nie ufa osądom Szarego Proroka Thanquola. Thanquol przysięgał, że już wkrótce pokaże mu, czyje osądy były błędne. Nie mógł bez końca znosić bezczelności swoich pomagierów.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, o najbłyskotliwszy z proroków – powiedział Lurk. Thanquol popatrzył na niego i zauważył, że Lurk nie odwzajemnia spojrzenia lecz gapi się ponad ramieniem Thanquola. Thanquol obnażył swe kły warcząc. To była bardzo stara sztuczka. Nie odwróci się przecież i nie pozwoli, by Lurk skoczył mu na plecy. Czy Snichtongue brał go za zwykłego szczeniaka?

– Na co patrzysz? – zapytał Thanquol.

– Czemu nie skorzystasz ze swoich niesamowitych mocy wizjonerskich i sam się tego nie dowiesz? – zasugerował Lurk. – Może mógłbyś stwierdzić, co zapowiada ta potężna chmura na horyzoncie i czy ma coś wspólnego z drzeniem ziemi pod naszymi łapami?

W pierwszej chwili Thanquol podejrzewał, że Lurk kpi sobie z niego, a potem zdał sobie sprawę, że grunt rzeczywiście drżał. Zaryzykował szybkie spojrzenie przez ramię i zauważył, że wzdłuż całego horyzontu rozciągała się ciężka chmura, zasłaniająca wszystko włącznie z górskimi szczytami.

– To jakiś dziwny fenomen mistyczny – zasugerował.

– Dla mnie to wygląda raczej na maszerującą armię, o najpotężniejszy z mistrzów. I to bardzo wielką – Lurkowi nie całkiem udało się ukryć strach w jego głosie. Thanquol nie mógł go za to

winić. Gdyby ten obłok rzeczywiście został wzniesiony przez armię, to byłaby ona największa, o jakiej słyszał Thanquol.

Czarnoksiężnik zadrżał. Niewiele mogli zrobić poza ukryciem się i oczekiwaniem.

Ulrika rozglądała się po jarmarku zorganizowanym wokół statku powietrznego, w miejscu gdzie spoczywał poza murami miasta. Setki krasnoludów otaczały warsztat naprawczy i spoglądały z podziwem na potężny pojazd. Połykacze ognia i żonglerzy przeciskali się przez tłum. Sprzedawcy placków podawali swoje towary na tacach zawieszonych na szyi. Piwowarzy nieśli przez tłum masywne dzbany spienionego piwa nalewając wszystkim chętnym pozbyć się kilku miedziaków. Krasnolud na szczudłach górował nad czeredą i wykrzykiwał dowcipy. Śpiewacy ballad dzielili się wspaniałymi opowieściami o podróży wielkiego statku powietrznego, śpiewając we wspólnym języku.

Była rozczarowana. Rynek koński nie zasługiwał na swoją nazwę. Sprzedawano tam tylko kucyki, muły i małe koniki, których nie dosiadłby żaden prawdziwy Kislevczyk. To były zwierzęta, które nie przetrwałyby długiej podróży na północ. Złościł ją także fakt, że Felix po raz kolejny miał rację. Krasnoludy nie słynęły ze swojej kawalerii, ani ze znajomości hodowli koni. Zacisnęła zęby. Nie chciała pozwolić, by myśli o mężczyźnie zepsuły jej dzień. Nie chciała poddać się gniewowi. Zeszłej nocy była gotowa pogodzić się z nim, ale pojawił się pijany jak bela. Teraz musi ją przeprosić.

Nigdy nie widziała z bliska tak wielu krasnoludów. Musiały być ich setki, może tysiące, a większość z nich była przynajmniej trochę podpita. Wszyscy świętowali na swój surowy sposób. Zapewne powrót młota Ognistobrodego był wydarzeniem o wielkim znaczeniu dla nich. Zresztą i tak nie potrzebowali wielkiej wymówki, by się upić. Pod tym względem przypominali kislevskich mężczyzn. Sprzedawcy *ale* dobrze dziś zarabiali, podobnie jak kowale i płatnerze. Najwyraźniej krasnoludy lubiły targować się, kupować i sprzedawać niemal tak bardzo, jak pić.

– Ładna jesteś – odezwał się głęboki, huczący głos w pobliżu łokcia Ulriki. Spojrzała w dół i zobaczyła krasnoluda. Był przysadzisty, muskularny i odpychająco brzydki. Miał rozbity nos, na którego końcu tkwiła wielka włochata brodawka. Miał ogoloną głowę, nad którą sterczał czub farbowanych włosów. W jego uszach wisały wielkie złote pierścienie.

– A ty jesteś Zabójcą.

– Widzę, żeś równie bystra, co ładna. Co powiesz na szybki numer w krzakach? – krasnolud wskazał znacząco na najbliższą kępę zieleni. Ulrice kilka chwil zabrało zrozumienie, co miał na myśli. Nie wiedziała, czy ma być zła, czy zdumiona. Oleg i Standa sięgnęli do mieczy. Uspokoila ich spojrzeniem. Świetnie poradzi sobie sama w tej sytuacji.

– Nie wydaje mi się.

– Szybko zmieniałabyś zdanie, gdybyś spróbowała. Żadna dziewczyna nie żałowała ujeżdżania Bjorni Bjornissona.

Tym razem Ulrika zaśmiała się. Jeśli obraziło to Zabójcę, nie okazał tego.

– Gdybyś zmieniła zdanie, daj mi znać.

– Z pewnością tak zrobię – powiedziała i odwróciła się chcąc odejść.

– Znasz Gotreka Gurnissona – rzekł zabójca. – I Felixa Jaegera?

To ją zatrzymało.

– Tak.

– Słyszałem, że zamierzają zapolować na smoki.

– Dobrze słyszałeś.

– Myślę, że się do nich przyłączę. Będziemy się częściej widywali, ładniutka.

Zabójca odwrócił się i odszedł. Zdumiona Ulrika odprowadzała go wzrokiem. Gdy traciła go z

oczu, znikał w tłumie ramie w ramie z dwoma wymalowanymi i niezbyt młodo wyglądającymi ludzkimi dziewczkami.

– Nigdy nie widziałem czegoś podobnego – powiedział Standa. Na jego okrągłej twarzy pojawił się wyraz obrzydzenia. Oleg szarpał swoje długie opadające wąsy wyrażając zgodę.

– Zobaczycie o wiele dziwniejsze rzeczy zanim skończy się ta podróż, gwarantuję to – rzekła Ulrika. – A teraz ruszajmy. Równie dobrze możemy wrócić do pałacu. Tutaj nie znajdziemy koni.

Nie mogła do końca uwierzyć w to, co właśnie zobaczyła. To był z pewnością najdziwniejszy Zabójca, jakiego spotkała.

„Duch Grungniego” spoczywał na ziemi. Nawet dla zmęczonych kacem oczu Felixa to był imponujący widok. Masywny statek powietrzny leżał na otwartym polu za Karak Kadrin. Teren został odgradzony liną, by nie dopuścić w pobliże tłumy i otoczony krasnoludzkimi strażnikami, którzy trzymali z dala intruzów. Gondola opierała się o ziemię zacumowana linami przywiązanymi do haków wbitych głęboko w podłoże niczym kołki do namiotu. Kolejne liny oplatały torbę gazową i opadały z drugiej strony. Nawet wśród głosów tłumy gapiów Felix słyszał skrzypienie lin, gdy statek powietrzny poruszał się nieznacznie. Spektakl przypominał Felixowi przeczytaną kiedyś starą opowieść o olbrzymie, który został uwięziony podczas drzemki, splątany siecią lin i przybity to ziemi, by nie mógł się poruszać.

Felix szukał Ulriki, ale podobnie jak u wszystkich wokół, jego uwagę przyciągnął cyrk otaczający okręt. Uśmiechnął się do siebie. Tak bardzo przyzwyczał się do „Ducha Grungniego” podczas misji do Karag Dum, że zapomniał, jak imponujący był masywny statek powietrzny. Gapie jeszcze nie przywykli do tego widoku. Przychodzili przyglądać się pojazdowi jakby był schwytanym smokiem.

Strażnicy rozpoznali Felixa przeciskającego się w stronę oddzielonego linami warsztatu i przepuścili go. Usłyszał swoje imię wypowiedane przez widzów, gdy zbliżał się do „Ducha Grungniego”. Dziwnie było być rozpoznawanym.

Krasnoludy roili się wokół kadłuba statku powietrznego pokrywając torbę gazową smołową substancją, która zasklepiąta rozdarcia i pęknięcia. Felix wiedział, że wykonano ją według jakiejś formuły alchemicznej znanej tylko Makaissonowi i jego uczniom. Kowale i majstrowie pracowali przy silnikach i powyginanej gondoli, tłukąc młotami i przykręcając nity wielkimi kluczami. Łomot był ogłuszający. Felix zaglądając przez iluminatory dostrzegał więcej krasnoludów we wnętrzu pojazdu. Wyglądało na to, że naprawy szły w szybkim tempie. Borek Widłobrody pochylał się na swojej lasce i przyglądał się postępowi prac. Wyglądał bardziej staro i smutnie niż wcześniej, ale na jego twarzy pojawił się uśmiech, gdy zauważył zbliżającego się Felixa.

– Czy widziałeś Ulrikę? – zapytał Felix.

– Wydawało mi się, że dostrzegłem ją i jej strażników kierujących się z powrotem do miasta.

Felix czuł narastające rozczarowanie. Nie miał zamiaru wracać do pałacu w tej chwili. Może powinien łyknąć nieco *ale*. To pomoże na jego kaca. Rozmyślał nad tym przez chwilę i postanowił, że tego nie robi. To zapewne nie pomoże, a musi mieć jasną głowę, gdy znowu zobaczy Ulrikę.

– Jak idzie? – spytał Felix. Borek skinął głową. W zębach zaciskał wygaszoną fajkę. Felix wiedział, że to było skutkiem siły nawyku. Nie można było palić tak blisko torby gazowej.

– Powoli. Makaisson był tu wczoraj i powiedział, że może upłynąć kilka tygodni zanim statek powietrzny będzie gotowy.

– Dlaczego nie ma go tu na miejscu? Z pewnością powinien tego nadzorować.

– Jego czeladnicy wiedzą wszystko, co trzeba, a przynajmniej on tak twierdzi. Załoga została dobrze przeszkolona zanim wyruszyliśmy. Wiedzieliśmy, że on może nie dożyć chwili, gdy mógł być

potrzebny do nadzorowania koniecznych napraw.

Patrząc na wyraz twarzy krasnoluda Felix domyślał się, że starzec myśli o kimś innym, kto nie może być świadkiem tej sceny – o swoim siostrzeńcu. Uczony kontynuował.

– Makaissona ogarnęła obsesja zabicia smoka. Tak to już z nim bywa. Zamknął się w swoim warsztacie i buduje broń do zabicia bestii. Odmawia przyjmowania posiłków i picia, a wczoraj przyszedł zobaczyć postępy napraw tylko dlatego, że tłukłem w jego drzwi przez godzinę.

Felix spojrział na niego, – Czy sadzisz, że nawet Makaisson może wymyślić coś, co zniszczy Skjalandira?

Borek wzruszył ramionami.

– Jeśli ktoś jest do tego zdolny, to tylko on. To geniusz. Od tuzina stuleci Królestwa Krasnoludów nie zrodziły równie błyskotliwego inżyniera, co on.

– Zatem szkoda, że stał się Zabójcą.

– *Aye*, w innym przypadku mógłby zmienić świat. Gdyby jego teorie zostały przyjęte. Gdyby Gildia Inżynierów nie wygnała go. Tak czy inaczej, jego imię przejdzie do historii. Stworzenie tego statku powietrznego było czynem godnym Przodków. Poprowadzenie go do Karag Dum oznacza, że jego imię będzie żyło wiecznie, nawet gdy on sam zginie.

– Czy ten czyn był rzeczywiście tak ważny?

– Bardziej, niż to sobie wyobrażasz. Twoje imię również przetrwa tak długo, jak góry, Felixie Jaegerze. Zapewnił to twój udział w zabiciu demona i odzyskaniu młota Ognistobrodego.

To była dziwna myśl dla Felixa. Nie był pewien, co oznaczała dla niego świadomość, że jego imię będzie zapamiętane przez nadchodzące stulecia, na długo po jego śmierci. Nie chciał jeszcze myśleć o umieraniu. Takie rozważania nie były przyjemne.

– Gdzie jest teraz Młot?

– Jest w świątyni Grimmira. Haragrim pozostawił go tam na razie.

Felixowi przyszła do głowy pewna myśl. Ogarnęła go ciekawość.

– Chciałbym pewnego dnia zobaczyć wewnątrz świątyni.

– Zazwyczaj ludzie nie są wpuszczani do wnętrza sanktuarium Grimmira – Borek przerwał na chwilę. – Ale ty jesteś Młotodzierzcą, a bogowie spojrzeli na ciebie łaskawie, a zatem sądzę, że można zrobić dla ciebie wyjątek.

– Bardzo bym się cieszył – powiedział Felix. To może być ważne, jeśli ma kiedykolwiek spisać opowieść o przygodach Gotreka. Może ujrzenie wnętrza świątyni pozwoli mu uzyskać nowe spojrzenie na osobowość krasnoludów.

– Dziękuję ci – rzekł Felix. – Teraz odejdę.

– Niechaj Bogowie-Przodkowie zważają na ciebie, Felixie Jaegerze.

– I nad tobą – odpowiedział Felix odchodząc.

Szary Prorok Thanquol patrzył na zbliżającą się chmurę pyłu. Unosiła się ku niebu. Wyglądało *to* tak, jakby trawę na równinach ogarnął pożar posyłając kłęby dymu w górę. Ziemia drżała. Thanquol wyczuwał grzmot setek kopyt bijących o ziemię. Swędział go nos. Czuł małe ilości spaczenia, zimną stal i zapach ciała – podobnego do ludzkiego, ale nie należącego do człowieka. Jego mistyczne zmysły mówiły mu o obecności potężnej magii. Wymienił trwożliwe spojrzenia z Lurkiem. Ich wzajemna wrogość chwilowo ustąpiła w konfrontacji z zagrożeniem życia ich obu.

Niezupełnie. Thanquol szybko rozważał ucieczkę i pozostawienie Lurka, by zmierzył się z tym, co pędziło w ich stronę. Na miejscu zatrzymała go świadomość, że prawdopodobnie jest to bezcelowe. Instynkt mówił mu, że zbliża się ku nim wielu wrogów. Garstka z nich wystarczy, by pokonać Lurka,

a inni nadal będą mieli dość czasu, aby znaleźć Thanquola. Pozostanie z Lurkiem dawało przynajmniej nadzieję na jakąś ochronę. W chwilach napięcia, takich jak ta, gdy ogarniało go pragnienie wypuszczenia pizma strachu, zapach innego szczuroczłeka uspokajał nawet równie niezależnego skavena, jak Szary Prorok Thanquol.

– Wojownicy na koniach, o najbardziej spostrzegawczy z potentatów? – zahuczał Lurk.

Thanquol potrząsnął rogatym łbem i obnażył swoje kły. Poczłł suchość w ustach. W jego piersi kołatało serce. Powstrzymał pragnienie wepchnięcia do ust ostatniego kawałka sproszkowanego spaczenia.

– Nie. Inni. Nie ludzie.

– Z Północy? Z Pustkowi?

– Tak! Tak! Wojownicy w czarnych zbrojach. Zmienione bestie. I inne stwory.

– Widziałeś to? Czy Rogaty Szczur zesłał ci wizję?

Thanquol pomyślał, że nie w ścisłym sensie, ale tego Lurk nie musiał wiedzieć, a zatem zachował znaczące milczenie spoglądając w stronę chmury. Kłęb pyłu wyciskał łzy z jego różowych ślepi i łaskotał go w nos. Człł zaciśnięte gruczoły pizmowe i wymachiwał ogonem próbując rozładować napięcie. Lurk wydał z siebie niskie, groźne mruknięcie. Thanquol wpatrywał się w zbliżającą się chmurę pyłu, próbując przekonać, się czy jego domysły były słuszne.

We wnętrzu chmury poruszały się kształty. Wielkie, mroczne sylwetki wyłoniły się powoli z ciemności i przybrały postać jeźdźców. Thanquol służąc Radzie Trzynastu w Bretonii widział wielu konnych wojowników, których głupi ludzie nazywali rycerzami. Jeźdźcy przypominali ich nieco, poza tym, że ich pancerze wykonano z czarnego żelaza i miały wykończenia z brązu. Były bardziej ozdobne niż ludzkie zbroje, jakie widział wcześniej Thanquol. Demoniczne twarze, runy chaosu, tajemnicze symbole wydawały się być wykute w stali za pomocą jakiejś czarodziejskiej techniki.

Napierśnik jednego z wojowników zdobiła rozwarta paszcza demona. Jego hełm powtarzał demoniczne rysy oblicza, a za wyziernikami lśniły czerwone oczy. Inny nosił pancerz pokryty potwornymi kolcami, a w opancerzonej pięści zaciskał kolczastą maczugę uformowaną w kształt krzyżującej głowy ludzkiej. Pancerz trzeciego lśnił dziwnym żółtym światłem, pulsującym powoli, jakby w rytm bicia serca. Za nimi nadciągali inni jeźdźcy odziani w równie fantastycznie zdobne pancerze.

Ich broń także została wykonana z czarnej stali, w której wykuto ogniste runy. Unosili miecze, maczugi, lance i morgenszterny. Na tarczach widniały symbole Tzeentcha, Wielkiego Mutatora, jednego z czterech potęg Chaosu. Konie były wielkie, znacznie większe niż normalne ludzkie wierzchowce. Musiały unosić swoich ciężko opancerzonych jeźdźców i ciężar nieprawdopodobnie zdobnych końskich puklerzy. Oczy wierzchowców, podobnie jak jeźdźców, lśniły złowrogim wewnętrznym ogniem. Sprawiało to wrażenie, jakby otwały się bramy piekła, z którego wyjechały te straszliwe upiory.

Wojownicy Chaosu stanowili przerażający widok. Jeszcze bardziej przerażający był fakt, że jak domyślał się Thanquol, byli to tylko harcownicy wielkiej hordy. Thanquol zastanawiał się, co też takiego uczynili jego wrogowie, Felix Jaeger i Gotrek Gurnisson? Nie wątpił ani przez chwilę, że nadejście tej monstrualnej armii było w jakiś sposób związane z ich misją na Pustkowiach Chaosu. To było typowe dla nich – wzburzyli gniazdo szerszeni pełne złowróźbnych oddziałów, a potem uciekli pozostawiając innych na drodze nadciągającej armii. Thanquol zaklinał, by Rogaty Szczur pożarł ich dusze.

Z przerażonym wyciem Lurk rzucił się naprzód i rozciągnął na ziemi. Thanquol przeklinał także jego i zwalczył pragnienie, by samemu powtórzyć reakcję Lurka. Pierwszy koń stanął dęba, ale jego

jeździec zachował nad nim kontrolę i opuścił swoją broń w pozycji do ataku. Thanquol desperacko walczył o opanowanie swoich gruczołów piżmowych, które chciały się opróżnić. Uniósł wysoko pysk i pozwolił im dostrzec swój rogaty łeb, białe futro i wspaniałe, chłoszczące ziemię ogon. Czuł krążącą w nim moc i wiedział, że jeśli dojdzie do najgorszego, zabierze ze sobą kilku z tych wyznawców Tzeentcha, by powitać Rogatego Szczura na Trzynastym Poziomie Otchłani.

– Stać! – zakrzyknął we wspólnym języku ludzi swoim najbardziej imponującym głosem. – Przynoszę wam pozdrowienia od Rady Trzynastu, Wysokich Władców Całego Plemienia Skavenów.

Jeśli wywołało to wrażenie na Wojownikach Chaosu, nie okazali żadnego znaku. Zamiast tego, jeden z nich dotknął ostrogami boków swojego wierzchowca, opuścił lancę i pomknął naprzód, najwyraźniej zamierzając nadzieć Szarego Proroka.

Czas wydawał się zwalniać, w miarę zbliżania się opancerzonego wojownika. Ostrze włóczni wyglądało na bardzo ostre. Thanquol był pewien, że nadeszły jego ostatnie chwile.

– Czekaj! Czekaj! – zapiszczał Szary Prorok Thanquol. – Nie zabijaj mnie. Popelniasz śmiertelny błąd. Sprowadzam wieści od Rady Trzynastu. Rada pragnie złożyć pokłon waszej niepokonanej armii!

Thanquol pomyślał, że dosięgła go zagłada. Wezwał swoją moc, by spróbować rzucić zaklęcie ucieczki, które porwie go z tego miejsca. Nie był pewien, czy ma dość czasu i energii, ale to wydawało się jego jedyną, choć mizerną szansą. Błyszczące ostrze lancy zbliżyło się jeszcze bardziej. Wyglądało na równie ostre, jak miecz Felixa Jaegera i dziesięć razy bardziej zabójcze. Na chwilę zanim mogło przebić jego ciało, lansjer uniósł swoją broń i wydał z siebie donośny, złowroźny i kpiący śmiech.

– Chcesz się sprzymierzyć z nami?

– Tak! Tak!

– A może chcesz się nam poddać?

– Tak! Tak!

– Zatem co zamierzasz? Może jedno i drugie?

– Jedno i drugie! – Thanquol popuścił piżmo strachu, ale w tej chwili to nie miało znaczenia. Najważniejsze było zachowanie jego życia i geniuszu dla dobra narodu skavenów. Jeśli przetrwa kilka następnych trudnych chwil, zyska czas, by zająć się ukaraniem tych aroganckich durniów. W tej jednak chwili najważniejsze było zachowanie własnej skóry.

– Dlaczego mielibyśmy cię oszczędzić?

– Mamy potężne armie! Możemy wam pomóc w zmiżdżeniu ludzkości! Posiadamy wiedzę o ludzkich miastach i obozach! Wiemy wiele rzeczy!

– Może mógłbyś oszczędzić życie tego mutantu i zatrzymać go jako błazna! – ryknął stwór z twarzą demona na napierśniku. Thanquol zmusił się do skłonienia łba w uniżony sposób, chociaż w głębi duszy czuł wściekłość i przysiągł zemstę, którą w odpowiednim czasie wyrze na tym, kto wymówił te słowa. Jeśli w pobliżu jest tyle spaczenia, ile domyślał się, wówczas ten moment wkrótce nadejdzie.

– A może powinniśmy nadzieć go na nasze sztandary jako przestrożę dla reszty jego rodzaju. Spotkałem już skaveny. Walczyłem z nimi. To paskudne zdradzieckie gnidy.

– Bez wątpienia to byli renegaci – rzekł Thanquol myśląc szybko. – Prawdziwe skaveny zawsze pozostają wierne swoim sprzymierzeńcom.

– To dobry żart, – odezwała się demoniczna twarz. – Zostaniesz naszym błaznem!

– Ten tutaj, to Szary Prorok – odezwał się Wojownik Chaosu unoszący potężną chorągiew przedstawiającą odartego ze skóry człowieka trzymającego miecz. – To możliwe, że przemawia w

imieniu Trzynastu.

– Więc?

– Może powinniśmy go oszczędzić! Może powinien przesłuchać go wódz lub jego czarownicy!

„Słuchajcie go”, modlił się Thanquol. „On okazuje zdrowy rozsądek”. Niewątpliwie przywódca hordy jest na tyle mądry, by negocjować z Szarym Prorokiem.

– Potem zawsze możemy ofiarować jego duszę Tzeentchowi. Prorocy są podobno magikami i nasz potężny pan doceni tak smakowity kąsek!

„W co ja się wplątałem?” – zapytywał sam siebie Szary Prorok Thanquol. Może powinien spróbować zaklęcia ucieczki, ale zanim zdążył się zorientować, lansjer zatrzymał się, chwycił go i rzucił w poprzek siodła niczym worek zboża. Pozostali otoczyli Lurka i popędzali go swoją bronią.

Po kilku uderzeniach serca zmierzali do samego centrum nadchodzącej hordy Chaosu. Serce Thanquol łomotało ze strachu, a jego puste gruczoły piźmowe bolały od wysiłku dalszych prób wypróżnienia się. To nie było uspokajające wrażenie.

Felix wszedł do wewnętrznego sanktuarium świątyni Grimmira. Jego sława najwyraźniej go wyprzedzała. Kapłani nie stawiali oporu przed wpuszczeniem go. Wydawali się tylko zaskoczeni, że jakiś człowiek pragnie tu wejść. W środku było ciemno i ponuro w porównaniu z wielkim ogniem płonącym jasno w sali wejściowej. Przystosowanie się do mroku zabrało jego oczom kilka chwil.

Niezwykle grube kamienne mury tłumiły wszelkie dźwięki. Powietrze pachniało kadzidłem i duszącym odorem palonych włosów. To wewnętrzne sanktuarium było puste nie licząc kilku starych krasnoludów odzianych w proste czerwone szaty. Nie miały ze sobą żadnej broni, ich brody były długie i spięte kłaniami, na których widniał znak dwóch skrzyżowanych toporów. Wydawało się, że nie robiły prawie nic poza modleniem się i doglądaniem olbrzymiego ognia, który stałe płonął w zagłębieniu przedsionka.

Felix rozejrzał się. Sufit mógł być uznany za niski w porównaniu z ludzkimi świątyniami, ale i tak jego wysokość dziesięciokrotnie przewyższała wzrost Felixa. Wzdłuż ścian spoczywały potężne kamienne sarkofagi. Każdy z nich miał wysokość człowieka i był wyrzeźbiony na podobieństwo krasnoluda leżącego na plecach z bronią przyciśniętą do piersi. Felix wiedział, że to były groby Królów Zabójców. Od wielu pokoleń chowano tutaj królewską rodzinę Karak Kadrin.

Na środku pokoju dominował masywny ołtarz, nad którym wznosił się posąg potężnego krasnoludzkiego wojownika z toporem w każdej dłoni. Stopę opierał na karku smoka. Przedstawiona postać przypominała Zabójcę. Miała krótką brodę. Nad jej głową wznosił się wielki grzebień włosów. Przed ołtarzem klęczał krasnolud szepczący ciche modlitwy.

Na ołtarzu spoczywał młot Ognistobrodego. Od samego widoku oręza Felix poczuł spazm bólu przenikający jego palce. Nadal pamiętał moment uniesienia broni do bitwy z wielkim krwiopijcem w Karag Dum. Ta broń nie była przeznaczona dla śmiertelnych ludzi i zapłacił za to straszliwym bólem. Czasami, podczas długich godzin w nocy, zastanawiał się nad tym. Dlaczego ze wszystkich ludzi na świecie młot pozwolił unieść się właśnie jemu? Nie był bohaterem. Nawet nie chciał znaleźć się w Karag Dum i z ochotą przeżyłby całe życie nigdy nie ujrzawszy wielkiego demona Chaosu, nie mówiąc o walce z nim.

Zabójca podniósł się na nogi i gwałtownie odwrócił się od ołtarza, w sposób nie przypominający człowieka opuszczającego świątynię swego boga, lecz jak wojownik, który otrzymał rozkaz od swojego generała i natychmiast rusza, by go wykonać. Przechodząc spojrzał na Felixa. Jego twarz nie okazywała zaskoczenia na widok człowieka w jednym z najświętszych miejsc jego ludu. Patrząc na niego, Felix pomyślał, że ten krasnolud miał najbardziej ponure oczy, jakie dotąd widział. Jego

oblicze mogło być wyrzeźbione z granitu, a rysy twarzy przypominały prymitywną masywność, jaką Felix czasami dostrzegał w pradawnych posągach druidycznych. Głowa krasnoluda została niedawno ogolona za wyjątkiem niewielkiego pasa włosów, które wyrosną w grzebień. Broda została przycięta do krótkiej szczeciny.

Felix uczynił znak miota i zbliżył się do ołtarza. Nie wyczuwał szczególnych znaków obecności krasnoludzkiego boga. Ołtarz był masywną strukturą wykutą w litej skale. Młot wydawał się być potężnym młotem bojowym, na którego głowicy znajdowały się te same runy krasnoludzkie, co na samym ołtarzu. Gdyby Felix nie unosił młota i nie czuł jego mocy, pomyślałby, że to tylko imponująca broń, a nie święty relikwiarz.

Jeszcze raz zapytywał sam siebie, dlaczego jest tutaj? Co miał nadzieję uzyskać odwiedzając tę świątynię? Może chciał odnaleźć nowe spojrzenie na krasnoludy? Zrozumieć choć trochę osobliwą psychikę, która zmuszała tak wielu z nich, by golić swoje głowy i wyruszać na poszukiwanie własnej zagłady. Trudno mu było to zrozumieć i nie mógł wyobrazić sobie, ani innego człowieka robiącego coś podobnego.

A może jednak potrafił to zrobić. Ludzie przez cały czas dokonywali dzieł samozniszczenia. Pili w nadmiarze i wykonywali czyny pełne głupiej brawury. Uzależniali się od wiedźmiego zieleńca i błędnego korzenia. Przyłączali się do kultów mrocznych bogów Chaosu. Toczyli pojedynki z najdrobniejszych i najbardziej bezsensownych powodów. Felix czasami dostrzegał w sobie samym perwersyjne dążenie do samozniszczenia. Może krasnoludy odczuwały to w większym stopniu i sformalizowały je w typowy krasnoludzki sposób. Może tutaj uda mu się zobaczyć ich boga i zrozumieć, dlaczego tak czyniły?

Podszedł do frontu ołtarza i uklęknął u stóp statuy. Posąg prezentował cały krasnoludzki geniusz roboty kamiennej. Poziom wyrzeźbionych szczegółów przewyższał cierpliwość i umiejętności dowolnego ludzkiego rzeźbiarza. Borek powiedział mu, że ta statua była tworzona przez pięć generacji mistrzów rzemiosła. Zabrało to prawie tysiąc lat.

Felix przyglądał się jej uważnie próbując odnaleźć klucz do jakiejś większej tajemnicy, jakby badając ją mógł zrozumieć, co popychało Zabójców do ich czynów. Nawet jeśli statua znała odpowiedź na jego pytania, zachowywała uparte milczenie. Felix uśmiechnął się smutno, myśląc, że nie ma tu nic poza starymi rzeźbami w kamieniu. Jeśli te mury przenikała esencja milenium poświęceń, jak twierdziły krasnoludy, Felix nie potrafił tego wyczuć. Czego się spodziewał? Był człowiekiem, a krasnoludcy bogowie okazywali niewiele zainteresowania swojej własnej rasie, zatem dlaczego miałby zwracać jakąkolwiek uwagę na niego?

A jednak pomyślał, że skoro znajduje się w świętym miejscu, nie zaszkodzi zaryzykować modlitwy. Nie potrafił wymyślić żadnej innej intencji, zatem poprosił, by stary bóg dał Gotrekowi chwalebny koniec, którego szukał i zachował Felixa, by mógł o niej napisać. Przez chwilę, gdy jego dłonie instynktownie wykonały znak młota, Felixowi wydawało się, że coś wyczuwa. To było pogłębienie się ciszy tego miejsca. Jego zmysły wyostrzyły się. Poczł wrazenie obecności czegoś starożytnego, wielkiego i potężnego. Spojrzał jeszcze raz na pustą twarz Grimmira, ale nic się nie zmieniło. Surowe, puste oczodoły pod hełmem nadal spoglądały na świat bez miłosierdzia lub zrozumienia.

Felix potrząsnął głową. Może wyobraził sobie to wszystko. Najlepiej nie wspominać o tym nikomu. Podniósł się na nogi i wyciągnął rękę, by dotknąć Młota po raz ostatni, ale gdy to uczynił poczuł mrowienie palców i przypomniał sobie żywo ból, jaki wycierpiał po uniesieniu relikwiarza. Pomyślał gorzko, że może to był znak, na który czekał. A może po prostu takiemu człowiekowi jak on dane było dotykać podobnej broni raz w życiu i tylko w najszczytniejszym celu. Nie wiedział tego.

To zmusiło go do rozmyślenia o dziwnych doświadczeniach z mieczem i smokiem. Chciał porozmawiać z Maxem na ten temat, ale ostatnio kontakty między nim a magikiem były drażliwe. Podejrzewał, że obaj byli zazdrośni o Ulrikę. Felix postanowił, że podyskutuje na ten temat, gdy pojawi się okazja. Nie patrzył za siebie opuszczając świątynię i wyszedł na ulicę. Nadszedł czas powrotu do pałacu. Wiedział, że wkrótce opuszczą miasto.

W GÓRACH

Felix z trudem maszerował górską ścieżką. Czuł ciężar koszulki kolczej. To było dziwne wrażenie, od którego odzwyczaił się po tylu dniach. Cieszył się jednak, że ma ją na sobie. W tych górach czaiły się orki, a Felix chciał zapewnić sobie wszelką dostępną ochronę.

Przed nim szli Oleg i Standa. Otaczali Ulrikę, która podejrzanie go ignorowała. Przyjęła przeprosiny za jego pijaństwo, ale teraz znowu dąsała się. Cóż, przynajmniej postanowiła iść z nimi aż do rozstajów pod Urskoj. Wszyscy Kislczycy ubrani byli w skórzane pancerze i nieśli łuki. Uważnie omiatali wzrokiem górskie zbocza, chociaż Przełęcz Pod Szczytem podobno była terytorium bezpiecznym. Felix domyślał się, że są podenerwowani samym przebywaniem w górach. Ostatecznie ich dom stanowiły otwarte równiny Kisleva i przyzwyczaili się raczej do podróży na końskim grzbiecie, niż piechotą.

Tuż za nimi szedł Max Schreiber podpierający się ciężką dębową laską. Max wyglądał sztywnie w nowych szatach ze złotego i żółtego brokatu, które kazał uszyć sobie w mieście. Tutaj czuł się nieswojo i wpatrywał się w ścieżkę, jakby spodziewając się zasadzki. Felix doskonale rozumiał powody tego strachu. Plotki w Karak Kadrin mówiły nie tylko o smoku, ale także o orkach i goblinach w górach. Felix walczył już z zielonoskórymi i nie cieszyła go wizja kolejnego spotkania z nimi.

Nerwowo zerknął w tył przez ramię. Zdumiewali go towarzysze, których zebrali po opuszczeniu miasta. Do drużyny przyłączyło się czterech nowych Zabójców. Steg przystał do nich zgodnie ze swoją zapowiedzią w gospodzie „Pod Żelaznymi Drzwiami”. Gdy wychodzili z Kadrin, ukradkiem popatrywał na główną bramę twierdzy. Ulli, chełpliwy młody Zabójca dogonił ich na drodze, po kilkuset krokach. Odpychając brzydki krasnolud zwany Bjorni Bjornissonem powitał Ulrikę znaczącym spojrzeniem z ukosa i zaczął błagać o pozwolenie, by go przyjąć. Gdy nikt mu nie odpowiedział, uznał to za zgodę i ruszył z nimi. Pół mili dalej minęli niosącego młot krasnoluda, którego Felix widział w świątyni Grimmira. Najwyraźniej wiedział, kim byli i wydłużył swój krok, by ich dogonić.

Gotrek maszerował z boku rzucając groźne spojrzenia. Przewiesił topór przez ramię i robił wszystko, by ignorować swoich towarzyszy. Snorri Gryzonos chichotał, gdy Bjorni Bjornisson wyrzaskiwał dziewięćdziesiątą siódmą zwrotkę jakiejś sprośnej piosenki, w której występowali Zabójca, troll i klasztor pełen zakonnicy Shallyi – między innymi. Bjorni śpiewał we wspólnej mowie, tak by wszystkich uraczyć swoim poczuciem humoru. Felixa zdumiewała wyobraźnia krasnoluda. Wątpił, by choćby połowa z tego, o czym wyśpiewywał Zabójca była możliwa.

Za nimi jechał Malakai. Prowadził wóz pełen tajemniczego ekwipunku, którego nie pozwalał nikomu zobaczyć. Gdy wóz podskakiwał na wyboistej drodze, Felix słyszał łomotanie metalu o metal, a zatem domyślał się, że dni spędzone przez Inżyniera w kuźni przyniosły jakieś rezultaty, chociaż nie miał pojęcia, czym mogą być. Co pewien czas Malakai szarpał lejcami i dwa małe kuce ciągnęły ciężki wóz z jeszcze większym wysiłkiem.

Felix uśmiechał się gorzko. Jego sugestia, by Kislevczycy spróbowali dosiąść kuców, jedynych koni dostępnych w Mieście Króla Zabójców sprawiła, że znowu popadł w niełaskę Ulriki. Nie potrafiła zrozumieć żartu. Podejrzewał, że czuła się wystarczająco zawstydzona towarzysząc Zabójcom, a jego komentarz przepełnił czarę goryczy. Niestety, ta myśl przyszła mu do głowy zbyt późno.

Za wozem szedł Steg. Felix czasami zauważał krasnoluda zerkającego na wóz, gdy zatrzymywali się. Tylko obecność ostatnich dwóch Zabójców, Ulliego i milczącego nieznanego powstrzymywała go przed zbadaniem zawartości ładunku. Felix nie wiedział, co było gorsze – śpiew Bjorniego, czy nieustające przechwałki Ulliego. Przynajmniej ostatni, bezimienny krasnolud był cicho. Było za co dziękować losowi.

Felix sądził, że ma także inne powody do wdzięczności. To był piękny dzień. Górskie powietrze było świeże i czyste. Na przejrzystym niebieskim niebie nie unosiła się ani jedna chmura. Wzdłuż brzegów przełęczy kwitły górskie kwiaty. Gdyby nie świadomość ostatecznego celu wyprawy, Felix cieszyłby się z tej wędrowki. Podczas swojej kariery towarzysza Gotreka, odwiedzał znacznie mniej przyjemne miejsca.

Tu, na Przełęczy Pod Szczytem droga była szeroka i wędrowało się łatwo. Szlak opadał ku równinom wschodniego Imperium i łączył z traktem kupieckim przecinającym prowincję Osterland. Szeroka ścieżka była wybrukowana popękkanymi płytami kamiennymi stanowiąc świadectwo znacznego upływu czasu, od jakiego krasnoludy używały tej drogi. Felix z chęcią skierowałby się tą drogą ku krainom ludzi, ale nie pozwalały mu na to jego przysięga podążania za Gotrekiem i pragnienie przebywania z Ulriką.

Wkrótce dotrą do zakrętu wiodącego na północ, aby wyruszyć Starą Wysoką Drogą prowadzącą do Karak Ungor, w doliny nawiedzane przez smoka i nienawidzące ludzi orki. Felix z całych sił starał się zapomnieć o tym i skoncentrować na otoczeniu. Tu i tam na górskie zbocza wdzierały się zagajniki drzew iglastych. Dym unosił się z pieców na węgiel drzewny, przy których pracowały krasnoludy. Gdzieś tam, na wyżej położonych połoninach krasnoludzcy pasterze pilnowali stad kóz i owiec. Felix zdumiewał się widząc członków Starszej Rasy zajętych tak przyziemnymi pracami.

Zawsze postrzegał ich jako Zabójców, inżynierów i kopaczy tuneli. Dla niego, podobnie jak dla większości ludzi, krasnoludy były górnikami, mieszkańcami głębokich tuneli, wytwórcami wspaniałych broni. Teraz trudno było, pomimo naocznego dowodu, porzucić tę wizję. Rozumiał jednak, że tak jak wszyscy inni, Starsza Rasa musiała jeść i z pewnością istnieli krasnoludzcy piwowarzy, rzeźnicy i piekarze. Widział ich na własne oczy w Karak Kadrin. Domyślał się, że jego dotychczasowe doświadczenia zetknęły go z bardziej egzotycznymi przedstawicielami górskiego ludu: z Zabójcami, uczonymi, inżynierami, kapłanami. Nigdy nie odwiedził w pełni funkcjonującego krasnoludzkiego miasta – tylko niewielką kolonię utrzymującą się pośród ruin Karaku Osiem Szczytów i wielkie opuszczone labirynty Karag Dum. Wiedział, że ogromny kompleks przemysłowy pod Samotną Wieżą, gdzie zbudowano „Ducha Grungniego”, nie był czymś typowym. To miejsce utrzymywano w tajemnicy nawet przed większością członków Starszej Rasy.

Felix rozprostował ramiona, by wygodniej ułożyć plecak. Zastanawiał się, czy nie poprosić Malakaia, by pozwolił mu zostawić bagaż na wozie, ale zrezygnował z tego pomysłu z dwóch powodów. Zabójca-Inżynier był w tej chwili zbyt drażliwy, a poza tym Felix wołał zachować przy sobie swoje rzeczy, na wypadek, gdyby coś oddzieliło go od reszty drużyny. Podczas lat wędrowek nauczył się być przygotowanym na najgorsze.

Potrząsnął głową rozumiejąc, że po prostu stara się odwrócić uwagę od myślenia o Ulrice. Wiedział, że zachowywała się nierozsądnie, podobnie jak on sam. Nie znajdował żadnego wyjaśnienia, dlaczego tak się działo. Zdawał się nazbyt przewrażliwiony jej zachowaniem. Wydawało się, że wszystko, co ona robi wywiera na nim wzmocniony efekt. Coś, co dla każdego innego człowieka wydawałoby się jej słabostką, dla niego urastało do miary poważnej wady. Słowa, które dla kogokolwiek innego brzmiałyby jak zwykły żart, stawały się subtelными zniewagami i oskarżeniami, którym pozwalał dojrzywać w siebie i analizował je do głębi. Fakt, że Max szedł bliżej

niej, stał się zagrożeniem i sprawił, że Felix poczuł się niezmiernie zazdrosny. W głębi duszy domyślał się, że jego nadmierna wrażliwość wynika z faktu, że jest zakochany, a być może jej dziwne zachowanie miało podobny powód. Z drugiej strony, pragnął ruszyć naprzód i dać upust swoim instynktownym impulsom. To było coś, o czym romantyczni poeci nigdy nie wspominali. To złościło go. Może po prostu, tak naprawdę nie był w niej zakochany?

A może poeci upraszczali całą sprawę, by ułatwić sobie tworzenie zgrabnych pieśni i obracanie prawdy w piękne opowieści. Może wcale nie postępowali nieuczciwie. Pamięć płata figle. Felix wspominał z rozrzewnieniem swoją pierwszą miłość – Kirsten. Zapomniał o większości złych stron ich związku, natomiast idealizował te dobre. A jednak zdawał sobie sprawę, że on i Kirsten miewali złe dni, czasami kłócili się lub po prostu nie chcieli odzywać się do siebie. To było ludzkie. A on troszczył się o nią pomimo złych rzeczy, które czasami wydarzały się między nimi. Felix czasami wyobrażał sobie, że łatwiej i przyjemniej żyć wspomnieniami minionej miłości niż wplątywać się w nową. W końcu potrafił ukształtować swoje wspomnienia w taki sam sposób, w jaki niegdyś kształtował swoje poematy, wybierając dobre fragmenty i polerując je do błysku. Rzeczywistość nigdy nie była doskonała. Nawet kochających się ludzi bolał brzuch. Słowa, które należy wypowiedzieć, czasami nigdy nie padają. Prawdziwi ludzie stanowią sprzeczność, bywają denerwujący, a czasami samolubni. Przypominał sobie, że sam taki jest.

Wiedział, że Ulrika zachowuje się nierozsądnie. Wiedział, że to on ma rację. Uważał, że powinien czekać, by przyszła i przeprosiła go. Domagała się tego jego duma, podobnie jak ów dziwny, niemal nieuchwytny gniew. A jednak znalazł siłę w nogach, by uniosły go naprzód, jego usta wymruczały przeprosiny, a dłonie wyciągnęły się w kierunku jej dłoni i ścisnęły palce.

Równie dziwne, jak wszystko inne było uczucie zadowolenia, jeśli nie szczęścia, które przyszło zaraz potem.

Ognisko płonęło rażno. Felix poczęstował się kolejną pajdą razowca i pieprznej krasnoludzkiej kielbasy. Spojrzał na Ulrikę i uśmiechnął się. Odwzajemniła uśmiech. Tego dnia zawarli pokój, przynajmniej na jakiś czas. Max Schreiber stanowił sylwetkę z cienia, po drugiej stronie płomieni. Siedział na ziemi, ze skrzyżowanymi nogami. Oddychał głęboko i wydawał się pogrążony w jakimś tajemniczym ćwiczeniu. Felix nie wiedział dlaczego, ale był pewien, że pozornie śpiący Max pozostaje w pełni świadomy wszystkiego, co dzieje się wokół niego. Oleg i Standa trzymali straż kilka kroków dalej, wpatrując się w ciemność, by nie zakłócić swego widzenia blaskiem ognia. Felix poczuł wypite wino przepelniające jego pęcherz i odszedł, by wypróżnić się.

W drodze powrotnej przystanął na chwilę, by przyjrzeć się krasnoludom. Makaïsson siedział gapiąc się w płomienie. Palcami bawił się bezwiednie wnętrzościami jakiegoś małego mechanizmu. Obok inżyniera siedzieli Bjorni, Ulli i milczący krasnolud, o którym Felix wiedział tylko tyle, że nazywa się Grimme. Bjorni wreszcie zebrał w sobie odwagę, by dokonać tego, czego Felix nie śmiał przez cały dzień.

– Jak masz na imię? – zapytał nieznajomego.

– Grimme – odpowiedział przybysz, a brzmienie jego głosu i wygląd twarzy wystarczyły, by zniechęcić do zadawania dalszych pytań. Bjorni uznał jednak, że właśnie zdobył kolejnego wdzięcznego słuchacza.

– Cóż, Grimme, być może słyszałeś opowieści o mnie i trzech elfich panienkach? To nieprawda. Cóż, nie całkiem prawda. Były dwie i tylko jedna z nich miała jedenaście lat. Właściwie, to była półelfką i dowiedziałem się tego później, chociaż spiczaste uszy powinny być dobrą wskazówką. Ale widzisz, ona nosiła opaskę na głowie. A ja byłem pijany, a w ciemności wszystkie koty są szare,

więc...

Jeśli Grimme słuchał, nie dawał żadnego znaku. Po prostu wpatrywał się przygnębiony w ogień. Bjorni i Ulli wydawali się stworzeni dla siebie. Zapewniali sobie nawzajem audiencję dla swoich bezustannych przechwałek. Bjorni był niewyczerpanym źródłem anegdot o swoim życiu miłosnym. Ulli opowiadał wyłącznie o walkach, w których brał udział oraz o bitwach, w których zwycięży.

– ... a wtedy powiedziałem, by przyprowadzili mi osła – powiedział Bjorni. – Powinieneś zobaczyć zdumienie na ich twarzach...

Felix usiłował ignorować głos Bjorniego. Spojrzał na pozostałych Zabójców, by przekonać się, jak to znoszą. Grimme dalej wpatrywał się ponuro w ogień, najwyraźniej pogrążony w jakimś wewnętrznym świecie żalu i udręki. Felix pragnął odezwać się do niego, ale wiedział, że jego zainteresowanie nie zostanie przyjęte z wdzięcznością.

Steg siedział pod wagonem, strugając swoim nożem kawałek drewna. Sprawiał wrażenie niepomnego badawczych spojrzeń, jakie co i rusz kierował ku niemu Makaisson. Za wagonem wartę sprawowali Snorri Gryzonos i Gotrek. Felix podszedł do nich, by zobaczyć, jak sobie radzą.

– Zbliży się obcy, – rzekł Snorri Gryzonos. – Snorri czuje go.

Gotrek warknął.

– Wiem o tym od pięciu minut. Nadchodzi krasnolud, z którym zaraz sobie pogadamy.

Felix wiedział, że nie należy kwestionować słów Gotreka, ani pytać go, skąd to wie. Z upływem lat wypracował w sobie ogromny respekt dla czułości zmysłów Zabójcy. W ciemnościach i w dzikich miejscach krasnolud czuł się jak u siebie w domu. Żaden człowiek nie dorównywał mu pod tym względem.

Felix spojrzał w kierunku wskazywanym przez wyciągnięty kciuk Gotreka. Coś tam poruszało się. W świetle dwóch księżyców Felix dostrzegał dwie ciemne sylwetki. Gdy zbliżyły się, usłyszał stukanie kopyt na kamieniach.

– To dość niezwykły ork, skoro jeździ na mule – rzekł Felix.

– Nie sądzę, by właściciel muła podziękował ci za to porównanie, człeczyno.

Felix zrozumiał, gdy nieznajomy zbliżył się. Przybysz był krasnoludem. Felix nie miał co do tego żadnych wątpliwości widząc rozmiary obcego i słysząc basowe dudnienie jego głosu.

– Witajcie, nieznajomi – odezwał się przybły. – Czy podzielicie się ogniem ze starym poszukiwaczem rudy?

– Aye, czemu nie – odpowiedział Gotrek, – jeśli zdradzisz nam swe imię.

– Jestem Malgrim, syn Hurniego z klanu Magrest. Kimże jesteście?

– Jestem Gotrek, syn Gurniego.

– Snorri Gryzonos.

Poszukiwacz znalazł się już w zasięgu miecza. Felix widział, że był to typowy krasnolud, niski i szeroki. Nosił pewnego rodzaju skórzaną kurtkę z kapturem okrywającym głowę, a długa broda sięgała mu prawie do kolan. W jednej dłoni trzymał kilof, a sposób, w jaki go nosił zdradzał Felixowi, że jego właściciel skutecznie potrafi używać go jako broni. Przez grzbiet muła przewieszona była szufla oraz różne sita używane przez poszukiwaczy rud do odfiltrowywania złota z wody rzecznej. Twarz krasnoluda skrywała emocje, a jego oczy rozglądały się uważnie. Rozszerzyły się odrobinę, gdy dostrzegły, że Gotrek i Snorri są Zabójcami, a jeszcze bardziej, gdy krasnolud zauważył, że Felix jest człowiekiem.

– Dwóch Zabójców wędrujących w towarzystwie człeka z Imperium – zdziwił się. – Jestem pewien, że tu ukrywa się jakaś powieść.

Felix odprowadził krasnoludów do ogniska. Malgrim spojrzał na pięciu Zabójców, a potem na

Gotreka i Snorriego.

– Nie słyszałem, by krewniacy szykowali się do wojny – rzekł. – Do górskich klanów nie dotarły żadne sztandary bojowe.

– Nie szykują się do wojny – powiedział Gotrek i usiadł przy ogniu.

Felix zrozumiał, że Malgrimowi przychodził na myśl tylko jeden powód, dla którego mogło zebrać się tak wielu Zabójców – była to odpowiedź na zew bitewny.

– Szkoda – zmartwił się Malgrim, – bowiem jest wielka potrzeba. Orki z gór gromadzą się do bitwy. Ugrek Ludodzierca skupił wszystkie szczepy pod swoim sztandarem.

Felix zadrżał. Nawet w odległym Altdorfie słyszał opowieści o Ludodziery. Jego imieniem straszono niegrzeczne dzieci. Podobno był ogromnym orkiem, który żywcem obdzierał ofiary ze skóry, a potem wyrabiał z niej swoje odzienie. Felix zawsze uważał tę opowieść za zwykłą legendę, ale słowa poszukiwacza brzmiały bardzo przekonująco, a on sam nie wydawał się krasnoludem, który sypie podobnymi opowieściami dla samego posłuchu.

Ku zaskoczeniu Felixa następny odezwał się Max Schreiber. – Krążą opowieści o zielonoskórym szamanie w górach. Powiadają, że władą potężną magią. Słyszałem, że on także podąża za Ludodziercą.

– Cóż, jeśli wejdą nam w drogę, pokażemy im ich własne bebechy! – ryknął Ulli. – A wędrujemy, by zabić smoka Skjalandira.

Poszukiwacz spojrział na niego i powoli pokiwał głową, jakby zaczynał coś rozumieć.

– Zastanawiałem się, co może sprowadzić siedmiu Zabójców w góry, gdy nie łopoczą sztandary bitewne. Zaiste szukacie głośnej śmierci, a smok taką wam zapewni. Od swojego przebudzenia oczyścił Wysokie Doliny i spustoszył Człeczko Kotliny. A jednak, zastanawiam się, czy w ogóle go zobaczycie, bowiem zielonoskórzy są liczebni, a na wzgórzach czają się także ludzcy bandyci.

– Sprawy w górach wyglądają niewesoło – stwierdził Felix. Jeśli Malgrim usłyszał ironię w jego głosie, nie dał znaku.

– *Aye*. Zawsze byli dzicy ludzie ze wzgórz, ale teraz dołączyli do nich desperaci uciekający ze swych farm przed rabunkiem orczych hord i ognistym smokiem. Życie na wzgórzach jest teraz krótkie i tanie. Nawet bardziej niż zwykle.

– Dlaczego Ungrim Żelazna Pięść nie zbierze swojej armii, by przywrócić pokój? – spytał Felix.

Do śmiechu Malgrima zawtórowały inne krasnoludy. – Obowiązkiem Ungrimma jest utrzymanie przejezdności Przełęcz Pod Szczytem i niedopuszczenie orczych hord ze Wschodu przed wtargnięciem na ziemie człowieka. Gdyby opuścił tę dolinę ze swoimi oddziałami, a zielonoskórzy dowiedzieliby się o tym, wówczas orcza horda wkrótce plądrowałaby wschodnie prowincje Imperium.

– Dlaczego to tak ważne dla krasnoludów? Dlaczego troszczą się, by nie dopuścić do inwazji Osterlandu?

Malgrim wyglądał na zszokowanego.

– Wiążą nas przysięgi i sojusze przyjaźni między naszymi ludami. Czynimy tak, jak przysięgli nasi przodkowie.

– *Aye*, tak jest! – huknął Ulli.

– A poza tym – dodał Malgrim, – ta przełęcz należy do nas. Nie pozwolimy, by zielonoskórzy swobodnie ją przekraczali.

Felix rozumiał, że w ten zawiły sposób Malgrim zapewniał, iż krasnoludy nie wyślą oddziałów do oczyszczenia Drogi pod Wysokim Szczytem. Gdy rozważał słowa poszukiwacza, uderzyła go inna

myśl. Skoro Starsza Rasa rozumowała w ten sposób, zatem czemu w ogóle rozmawiali o wysłaniu wojowników z pomocą dla Kislevczyków? Po chwili namysłu znalazł odpowiedź. Zagrożenie Chaosem było o rząd wielkości znaczniejsze niż groźba najazdu ziem ludzi i krasnoludów przez zwykłe plemiona zielonoskórych. Jeśli północne krainy padną pod naporem hordy, wówczas wszystkie ziemie południa wkrótce pójdą w ich ślady. Felix miał nadzieję, że krasnoludy myślą w ten sam sposób. Jeśli tak nie jest – nadzieja na pomoc była nikła.

– Powiadam, byśmy zatrzymali się po drodze do smoka i wy tłukli paru zielonoskórych! – rzucił Ulli.

– Jeśli chcesz, to możesz – powiedział Makaïsson. – Ja mym robotem z tom wielkom bestiom i ni będę jej odkładyc.

– Zielonoskórzy nadal tu będą, gdy skończymy ze smokiem. To jest, o ile ktokolwiek z nas to przeżyje – rzekł Bjorni.

– Jeśli jakieś orki wejdą nam w drogę, zabijemy je – powiedział Gotrek. – A jeśli nie, to pójdziemy zabić smoka.

– Snorri myśli, że to dobry plan – rzekł Snorri Gryzonos, a potem dodał zadumany: – A jednak, Snorri nie miałby nic przeciwko posiekaniu paru zielenków.

– Już późno – stwierdził Gotrek. – Kto nie ma warty, powinien trochę się przespać.

Poszukiwacz skinął głową i położył się przy ogniu. Felix wrócił do miejsca, gdzie siedziała Ulrika i pozostali ludzie.

– O co w tym wszystkim chodziło?

– Zabójcy nie mogą zdecydować się, czy powinni uwolnić góry najpierw od orków, czy od smoka.

– Dlaczego nie wezmą się za jedno i drugie? – spytał kpiąco Oleg.

– Psyt! – rzucił Felix. – Mogą cię usłyszeć.

Wokół płonęły wielkie ogniska. Thanquol słyszał w pobliżu niespokojne zwierzczenie porykiwania i grzmot wielkich bębnow. Czuł silny zapach dziesiątek tysięcy zwierzoludzi i tysięcy wojowników Chaosu zakutych w czarne pancerze. Zrozumiał, że znajduje się w obozowisku największej armii, jaką spotkał od czasu, gdy sam dowodził potężnym oddziałem skavenów, który zaatakował Nuln. Podejrzewał też, że ta potworna armia zdecydowanie przeważała liczebnie nawet tamtą ogromną skaveńską hordę. Wystarczająco dobrze znał wyznawców Chaosu, by wiedzieć, że z dowolnym z nich ledwo mogą równać się tylko najsilniejsze ze skavenów.

Dookoła czuł spaczeń, a jego magiczne zmysły mówiły mu o wiatrach magii wiejących z siłą wokół armii. To było przerażające, bowiem wiedział, że ta armia dysponuje nie tylko zwykłą potęgą fizyczną, ale także straszliwym potencjałem magicznym. Wiedział, że nawet u szczytu swych mocy miałyby wielkie trudności z pokonaniem zgromadzonych tu czarnoksiężników, a w tej chwili daleki był od niedosiężnych granic swoich niesamowitych możliwości.

Przeptywający wokół niego strumień energii zdradzał, że zbliżają się do serca hordy, węzła skupiającego całą tę energię. Gdy podeszli, poczuł obecność potężnych istnień – stworzeń o mocy, jakiej nie spotkał nawet stojąc przed Radą Trzynastu.

W sercu obozowiska znajdowało się wielkie zgromadzenie opancerzonych wojowników Chaosu. Rumaki czekały w pobliżu, gdy ich panowie siedzieli wokół ognisk płonących na żółto i zielono oraz w innych kolorach, które zdradzały magiczne pochodzenie ognia. Rozmawiali ze sobą swoim dudniącym językiem, a Thanquol słuchając jego brzmienia domyślał się, że wojownicy przechwalają się przyszłymi podbojami. Samo patrzenie na nich przepełniało jego serce strachem i wywoływało

ścisk gruczołów piżmowych. Rozejrzał się, nagle uradowany, że Lurk jest obok. Obecność innego skavena w centrum tej potwornej armii była uspokajająca nawet dla Szarego Proroka Thanquola.

Był pewien, że przed nimi znajdzie wodzów hordy. Wyczuł obecność przywódców zanim ich zobaczył, a potem przekonał się o słuszności swoich przeczuć.

Wielka, masywna postać w zbroi zasiadała na tronie z kryształu, który pulsował przyćmioną żółcią i zielenią. Tron unosił się w powietrzu o grubość palca nad ziemią. Używając swych czarodziejskich zmysłów Thanquol dostrzegał, że zarówno mężczyzna, jak i jego siedzisko byli przesyleni energiami Chaosu. Na kolanach siedzącego spoczywał potężny oburęczny miecz pokryty lśniącymi żółtawo runami. Thanquol nie miał wątpliwości, że ta broń została nasączona najstraszliwszą magią śmierci. Dostrzegał to wyraźnie, podobnie jak fakt, że zbroja wojownika została stworzona nie tylko dla zwykłej ochrony przed ciosami, ale także przeciw czarodziejstwu. Pancerz wojownika pokrywał złoto, a zielonkawe guzy zdobiły runy, które Thanquol rozpoznawał jako poświęcone Tzeentchowi.

Po obu stronach tronu stały dwie postacie. Były chude, wręcz kościste. Nie nosiły pancerzy, ale okrywały je długie płaszcze, których fałdy nadawały im wygląd skrzydeł. Ich skóra miała biały odcień charakterystyczny dla albinosów i bardzo przypominała karnację samego Szarego Proroka. Przyglądając się uważniej ostrym, wygłodniałym rysom twarzy tych postaci oraz ich piekielnie lśniącym oczom, Thanquol zauważył, że byli bliźniakami, identycznymi pod każdym względem, za wyjątkiem jednego. Ten po prawej stronie generała trzymał w swej prawicy laskę okutą złotem. Stojący po lewej trzymał w lewicy laskę z hebanu i srebra. Dłoń dzierżąca okutą w złoto laskę miała długie pazury jakby ze złota. Szpony czarnoksiężnika trzymającego laskę w lewej dłoni były powleczone srebrem. Thanquol natychmiast nabrał przekonania, że ci dwaj są potężnymi czarownikami. Z niechęcią przyznawał, że ktokolwiek spoza Rady Trzynastu może władać potężniejszą magią niż on, wiedział jednak, że musiałyby pochłonąć niebywałe ilości spaczenia, by pokonać w czarodziejskiej bitwie któregośkolwiek z tych dwóch. Thanquol z lękiem myślał o mocach, nad jakimi obaj mogli zapanować współpracując ze sobą.

Wódz Chaosu spoglądał groźnym wzrokiem na Thanquola. Szary Prorok natychmiast wyprężył się i powiedział:

– Przynoszę potężnemu wodzowi pozdrowienia od Rady Trzynastu.

– A zatem, twoi panowie wiedzieli o naszym nadejściu, Szary Proroku? – spytał wódz.

Thanquol pomyślał, że lepiej będzie skłamać niż wyjawić prawdę. Wyczuł macki mistycznej energii płynące od jednego z czarowników towarzyszących wodzowi. Natychmiast zamaskował swoje myśli najlepiej jak umiał. Ponieważ był Szarym Prorokiem, spodziewał się, że udaje mu się to znakomicie.

– Rozpoznali potężne zgromadzenie mocy i posłali mnie na Północ, na zwiady.

Thanquol pomyślał, że jest to bliskie prawdy.

– Samego, bez kompanów? To nader niezwykle – zdziwił się mag ze złotą laską.

– Towarzyszy mi mój ochroniarz, Lurk Snitchtongue. Chroni mnie moja własna, potężna magia. Na cóż mi jakiegokolwiek inne zabezpieczenia? – rzekł Thanquol z nutą powracającej starej arogancji.

– Istotnie, na cóż? – odpowiedział czarownik z hebanową laską. Thanquol zauważył kpinę w jego głosie i przysiągł, że pewnego dnia magik zapłaci za to. Jak ta bezwłosa małpa śmie naśmiewać się z największego czarownika ludu skavenów?

– Zaiste, twój ochroniarz okazuje znaki błogosławieństwa naszego pana Tzeentcha. Wielki Mutator dotknął go. Spoczywa na nim łaska Zmieniającego.

Thanquol zerknął na Lurka, wyraźnie polectanego tymi słowami. We wnętrzości Szarego

Proroka w gryzała się czarna furia. Thanquol zastanawiał się, czy Lurk nie zadawał się z wyznawcami starych potęg Chaosu, gdy przebywał na Pustkowiach. To z pewnością tłumaczyłoby zmiany, jakie w nim zaszły. Jeśli to prawda, wówczas zapłaci za swoją obrazę Rogatego Szczura. Thanquol zapamiętał to jako kolejną sprawkę wymagającą ukarania. Zakładając, że przetrwa to spotkanie, co w tej chwili wcale nie wyglądało na pewne.

– Ty władasz tą wielką armią? – zapytał Thanquol, byle powiedzieć cokolwiek.

– Jestem Arek Serce Demona – odpowiedział wojownik Chaosu. – Wybraniec Tzeentcha. A to Kelmain Czarna Laska i Loigor Złoty Kij, moi zaklinacze.

– Dziękuję ci za tę informację, o potężny – odrzekł dyplomatycznie Thanquol. – Ja jestem Szary Prorok Thanquol i upadam przed tobą po tysiackroć oraz ofiarowuję przymierze z Radą Trzynastu.

Thanquol wiedział, że w tym przypadku nieco wyprzedza wydarzenia, ale był dość zdesperowany, by mówić cokolwiek, co pomoże mu wyrwać się z tej pułapki.

– Nie potrzebujemy przymierzy, Szary Proroku Thanquolu. To, co tu widzisz to jedynie przednia straż większej armii. Potęgi maszerują naprzód, by raz jeszcze zawładnąć ziemiami Chaosu. Ci, którzy nie ukorzą się przed Potęgami Chaosu, a szczególnie przed moim panem, Tzeentchem, będą usunięci. Ten świat zostanie oczyszczony i przetworzony według obrazu, jakiego pożądamy, a wszyscy fałszywi bogowie i ich wyznawcy zostaną zgładzeni.

W głosie Areka brzmiało coś, co wymuszało wiarę w te słowa. Jego przemowa niemal przekonała nawet Thanquola, ale Szary Prorok był zbyt przebiegłym czarownikiem, a ponadto zbyt dobrze wyszkolonym w sztukach magii, by nie rozpoznać silnego zaklęcia. Siłą woli odegnał hipnotyczny przymus niesiony głosem wojownika. Rzut oka na Lurka przekonał go, że jego pomagier nie podejmuje takiego wysiłku. Spoglądał na Areka w pełni oczarowany.

Thanquol rozumiał to. Lurk został opętany Darem Tzeentcha używanym przez wodza, a jego słaby umysł dał się pogrążyć w mrocznych wizjach podboju, ukrytych za słowami wojownika Chaosu. Lurk nawet podniósł swój łeb z ziemi, by lepiej słyszeć. Obaj czarownicy spoglądali na niego z kpiącym zainteresowaniem. Thanquol skoncentrował się na sprawach bieżących, postanawiając, że najlepiej będzie dowiedzieć się, o co chodzi. Póki co, jego wrogowie wydawali się w nastroju do odpowiadania na pytania.

– A zatem, maszerują wszystkie cztery Potęgi?

– *Aye*. Tak jest. Gdy jedna z nich czyni ruch, pozostałe muszą odpowiedzieć, albo inni zyskają przewagę.

To miało sens dla tak bystrego skavena, jakim był Thanquol. Dokładnie w ten sam sposób manewrowały klany jego rasy w Skavenblight. Wydawało mu się, że zaczyna rozumieć zastaną sytuację, a może nawet będzie w stanie wykorzystać to dla siebie. Może nawet uda mu się domyśleć, dlaczego ci wyznawcy Chaosu oszczędzili go.

– Przymierze niesie ze sobą korzyści – powiedział. – Mój bóg jest potężny i włada wielkimi mocami. Mój lud posiada ogromne armie.

– Twój bóg jest mniejszy od naszego, Szary Proroku Thanquolu, ale jego pomoc może okazać się przydatna. Wasze armie mogą przyłączyć się do nas w swoim czasie. Zapewne jesteśmy jedynymi, którzy złożą taką ofertę. Wyznawcy Khorna są zbyt brutalni. Wyznawcy Nurgła dbają tylko o rozprzestrzenianie swoich nikczemnych plag, a wyznawcy Slaaneshy są zbyt pochłonięci poszukiwaniem rozkoszy, by myśleć o czymkolwiek innym.

– Przekażę twoje słowa Radzie Trzynastu i wyjaśnię wszystko, co im powiedziałeś – Thanquol z wprawą szafował pustymi zapewnieniami nadal niepokojąc się o to, co uczyniono Lurkowi.

– Zadbaj, by tak się stało, Szary Proroku Thanquolu, a nasza nagroda będzie wielka.

– Dziękuję ci, potężny wodzu. – Nagłą myśl uderzyła Thanquola. Wątpił, by jego prośba została wysłuchana, ale nie sądził, by jej wypowiedzenie mogłoby mu zaszkodzić. – Wyczuwam, że twoja armia przenosi substancję znaną jako spaczeń.

– To jeden z największych darów naszego pana i jest stosowany w czarodziejstwie, a także do wyrobu broni.

– My także używamy go do podobnych celów, co uważam za dowód naszego wspólnego przeznaczenia – rzekł Thanquol zadowolony z własnej elokwencji.

– Czy chcesz trochę spaczenia? – spytał czarownik ze złotą laską. Thanquol nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Chciwie oblizwał usta.

– Tak-tak! – rzucił.

– A zatem, dostaniesz. – Czarownik rozprostował swoje palce i powietrze przed nim załśniło. Cząsteczki zielonkawego pyłu wydawały się zlewać w jedno, formując kulę o rozmiarach pięści Thanquola. Następnym gestem mag posiał ją ruchem wirowym ku Szaremu Prorokowi. Thanquol instynktownie rozpoznał, co to jest i złapał kulę w powietrzu. Jego pazury świerzbiły, gdy zaciskał je wokół sfery najczystszej spaczenia, jaki kiedykolwiek spotkał. Prędko wcisnął to do swojej torby. Nie mógł uwierzyć, że ci głupcy właśnie wręczyli mu klucz do tak wielkiej mocy. Wewnętrzny instynkt, któremu dawno nauczył się ufać, podpowiadał mu, by zachować czujność. Może to wszystko było tylko pułapką. A jednak nie mógł domyślić się, co mogli na tym zyskać wyznawcy Chaosu. Był już przecież w ich mocy.

– Enklawa twojego ludu znajduje się w pobliżu – rzekł Arek. – To miejsce zwane Piekielną Jamą. Nakazę eskortować cię tam moim jeźdźcom. Dopilnuj, by nasze słowa dotarły do twoich władców, Szary Proroku Thanquolu i mów o nas dobrze.

– Zapewniam, że tak się stanie, – odpowiedział Thanquol ofiarowując cichą modlitwę Rogatemu Szczurowi za swoje wybawienie. Wyglądało na to, że on i Lurk opuszczą tę horde z życiem.

Podejrzliwa część jego natury – ta, która jak dotąd podtrzymywała go przy życiu, mówiła mu, że to nie będzie takie proste.

Felix przyglądał się jak Malgrim zwijają swoje kocy i umieszcza je w sakwach na grzbiecie muła. Krasnolud spojrział na nich, a potem potrząsnął głową.

– Powiedziałbym, byście byli ostrożni, ale głupio byłoby to mówić siedmiu Zabójcom i spamiętywaczowi, a zatem po prostu dziękuję wam za użyczenie ognia, jedzenia i wasze towarzystwo.

– Czy znasz jakieś wieści o drodze przed nami? – spytał Felix.

– *Aye*, owszem – odpowiedział poszukiwacz. – Mniej więcej dzień drogi stąd znajdziecie wioskę Gelt. To dziwne miejsce – punkt spotkań poszukiwaczy i stacja kupiecka dla ludzi z gór. Nadal istnieje tam głęboka kopalnia. A także gospoda. Sugeruję, byście to wykorzystali, bowiem nieprędko po raz kolejny zobaczycie przyjazne twarze.

Malgrim przerwał i rozważył swoje następne słowa.

– To jest, o ile orki nie złupiły tego miejsca do gołej ziemi.

– Miejmy nadzieję, że nie – odpowiedział Felix.

SPOTKANIE Z ORKAMI

Felix schodził ścieżką prowadzącą w głąb małej doliny. Z radością stwierdził, że wioska Gelt nadal istnieje. Osada wyglądała dość zachęcająco, jeśli nie brało się pod uwagę wysokich kamiennych murów zakończonych drewnianą palisadą i strażnic, które wyrastały ponad ścianami. Gelt zostało wybudowane na występie skały wznoszącej się pośrodku doliny. Ze swojego miejsca na ścieżce nad wioską, Felix dostrzegał dym unoszący się przez otwory wycięte w torfowych dachach kamiennych chat. Znajdowała się tam duża centralna budowla, którą brał za gospodę. Na skalnej półce powyżej wioski widniało coś, co w pierwszej chwili uznał za następną wieżę strażniczą, ale w końcu zorientował się, że to było ufortyfikowane wejście do kopalni. Pokryta żwirem droga biegła wzdłuż całego zbocza, aż do bram wioski.

Sądząc po rozmiarach osady, mieszkało tu kilkaset istnień, a wygląd umocnień zapewniał, że niełatwo byłoby wziąć to miejsce szturmem. Felix dostrzegał zbliżoną ilość ludzi i krasnoludów spacerujących po kamiennych ulicach.

– Wygląda na całkiem bezpieczną osadę – powiedział głośno, jakby dodając sobie pewności, a także dla przerwania milczenia.

– *Aye*, człeczyno. Zakładając, że napastnicy nie mają machin oblężniczych – powiedział Gotrek.

– Albo nie władają potężnym czarodziejstwem – rzekł Max Schreiber.

– Ani nie dosiadają latających potworów – dodała Ulrika.

Felix rozejrzał się po swoich kompanach.

– Wybaczcie, że się odzywałem – rzucił wreszcie. – Z przykrością psuję wasz radosny nastrój.

– Snorri nie może się doczekać łyeczku *ale* – powiedział Snorri Gryzonos. – Stary Hurgrum powiedział, że pod „Złamanym Kilofem” rozlewają najlepsze *ale* w górach.

– No to, na co czekamy? – spytał Gotrek. – Ruszajmy tam.

– Nie lękaj się, Felixie Jaegerze – powiedział Ulli. – Żaden ork nie ośmielił się zaatakować Gelt, gdy ja tam jestem.

– Ciekawe, czy mają jakieś dziewczki przy barze – zastanawiał się Bjorni. – Przydałoby mi się nieco towarzystwa.

– Może grają tam w kości? – dopytywał się Steg. – Mam ze sobą swoją specjalną kostkę.

Grimme tylko potrząsnął głową, zacisnął zęby i zaczął obojętnie maszerować w dół wzgórza. Z tyłu, Standa i Oleg zerkali za ramiona. W rękach trzymali napięte łuki, ale nie dało się wyczuć żadnego niebezpieczeństwa.

– Dalej – zachęcił Felix. – Powinniśmy być bezpieczni przynajmniej podczas tego wieczora.

– O ile nie przybędzie po nas smok – rzekł Oleg.

– Zawsze patrz na jasną stronę życia – powiedział Felix. Wszyscy wyglądali odrobinę radośniej, gdy porzuciwszy wszelkie niepokoje i przewidywania minęli krasnoludzkie warty u bram.

„Złamany Kilof” miał dużą salę karczemną. Trzaskający ogień odstraszał chłód górskiej nocy. Felix przyjrzał się gościom. Ich drużyna przyciągała wiele uwagi, w czym nie było nic dziwnego. Jak często ci ludzie widywali siedmiu Zabójców podróżujących w towarzystwie pięciorga ludzi?

Goście zajazdu również wyglądali nietypowo. Była to niemal równomierna mieszanina ludzi i krasnoludów. Większość krasnoludów miała blade oblicza i wyszorowane do czysta twarze górników po pracy. Ludzie stanowili bardziej różnorodny tłum. Ci, którzy wyglądali na silniejszych,

nosili ciepłe, skórzane ubrania ulubione przez wysokogórskich poszukiwaczy rud. Inni wyglądali na kupców i przekupniów. Nikt nie sprawiał wrażenia szczególnie bogatego, ale najwyraźniej nikt też nie przymierał głodem.

Gdy Zabójcy zajęli jeden długi stół, w sali zapanowała cisza. Tak blisko Karak Kadrin nikt nie był na tyle głupi, by protestować. Wszyscy doskonale wiedzieli, kim są Zabójcy i do czego bywają zdolni, gdy się ich rozżość. Felix przyłączył się do Ulriki, Maxa i dwóch ochroniarzy zasiadających przy stole obok ławy Zabójców. Pewne wrażenie normalności powróciło, gdy Gotrek zawołał o *ale*. Szybko zawtórowali mu Snorri Gryzonos i Malakai Makaïsson.

Gruby, wyglądający na dobrze radzącego sobie w interesach krasnolud o łysiejącej głowie, czerstwych policzkach i długiej, szarzejącej brodzie sam przyniósł *ale*. Sądząc po pewnym sobie spojrzeniu, jakim omiatał salę, najwyraźniej był właścicielem gospody.

– Życzycie sobie pokoje na noc? – zapytał.

– Zabójcy będą spali we wspólnej izbie – odpowiedział Gotrek. – Ludzie mogą chcieć swoje komnaty.

– Chcemy – powiedziała Ulrika, spoglądając na Felixa. Max zauważył to spojrzenie i odwrócił wzrok, dodając: – Ja wezmę pokój dla siebie.

– Ja i Standa zostaniemy w tej izbie – rzekł Oleg szarpiąc niewesoło za swój wąs. Standa kiwnął głową zgadzając się z decyzją kompana. Ulrika kiwnęła głową.

– Dopilnuję, by przewietrzono najlepsze pokoje i zmieniono pościel. Powietrze jest chłodnawe, zatem bez wątpienia chcecie, by napalić w piecach?

Felix wyobrażał sobie rachunek rosnący z każdym słowem, ale nie dbał o to. To może być ostatnia okazja w jego życiu wyspania się w wygodnym łóżku, po co więc skąpić?

– Czemu nie?

– Bez wątpienia chcecie także jedzenie?

– *Aye*. Przynieś nam gulasz, którego zapach czujemy, chleb i ser, – rzekł UHL – I więcej *ale*, – dodał Snorri. – Snorri ma pragnienie.

– A za pokoje i jedzenie zapłacicie teraz, prawda?

Gospodarz najwyraźniej wolał nie ryzykować ich ucieczki bez płacenia, nawet jeśli są Zabójcami. Możliwe, że właśnie dlatego, iż byli Zabójcami. W końcu oznaczało to, że są krasnoludami, którzy w jakiś sposób pogwałcili normalny krasnoludzki kodeks honorowy. Malakai Makaïsson sięgnął do swojej sakiewki i złoto przeszło z ręki do ręki. Felix nie zauważył, ile tego było, ale oczy gospodarza rozszerzyły się, a on sam stał się wyjątkowo jowialny. Wyglądało na to, że Malakai myślał o postoju w gospodzie podobnie, jak Felix.

– I niech pywo płynie przez calom noc – rzekł Malakai. – A ja bedem spał na wozie, winc ni trzyba dla mni mniejsca w izbie.

Steg wyglądał na dość niezadowolonego słysząc te słowa, ale po łyku *ale* na jego twarzy pojawiła się odrobina zadowolenia.

– Tak będzie – rzekł gospodarz i wykrzyknął polecenia do swoich ludzi. Oczy Bjorniego rozszerzyły się, gdy zbliżyła się cycata barmanka. Po kilku sekundach klepał ja po tyłku i szeptał do ucha. Nic nie wskazywało, by dziewczka poczuła się urażona.

Felix pociągnął łyk *ale* i skinął głową.

– Malgrim miał rację – powiedział. – To dobre *ale*.

– Nie jest złe – zgodził się Gotrek, co w ustach Zabójcy zaiste było znaczącą pochwałą.

Oplacony gospodarz postanowił być towarzyski.

– A zatem zmierzacie Wysoką Drogą do Radasdorp?

– Jeśli leży na drodze do Smoczej Góry, to owszem – zawołał Ulli, najwyraźniej czerpiący wiele przyjemności ze szmeru, jaki wywołała ta konwersacja.

– A zatem, wybieracie się na smoka – domyślił się gospodarz.

– *Aye* – potwierdził Malakai. – Zamierzamy zabić tu wielkom łuskowatym bestiem!

– Już tego próbowano – powiedział gospodarz. Felix odwrócił się z rosnącym zainteresowaniem.

– Kto tego próbował? – spytał.

– W ciągu ostatnich kilku lat przechodziło tędy pół tuzina Zabójców, oczywiście nie wszyscy na raz – odrzekł gospodarz. – Żaden z nich nigdy nie wrócił.

– Pewnie zjedli ich orcy – ryknął któryś z ludzi.

– Albo obdarli ze skóry – dodał złowieszczo inny.

– *Aye* – odezwał się sędziwy górnik. – To najpewniejsze. Jednego z Zabójców znaleziono obdartego żywcem ze skóry i przybitego do drzewa na uboczu drogi. Podobno Ludodzierca używa jego skóry jako nowej pary butów.

– Głowę innego znaleźli nabitą na włócznię, w pobliżu Przełęczy Mirnek. Kruki wydziobały jego oczy.

– Był też jeden z tych ludzkich rycerzy, na wielkim czarnym rumaku – powiedział gospodarz. – Mówił, że ma magiczny miecz i lancę na smoki.

– Też nigdy nie wrócił – powiedział ponuro jeden z krasnoludów.

– Najpewniej orcy dorwali i jego – podsumował ten, który odezwał się pierwszy.

– Albo ludzcy bandyci. Henrik Richter to kawał bydlaka – rzekł gospodarz. Widząc pytające spojrzenie Felixa, kontynuował. – To teraz szef miejscowych bandytów. Zebrał ludzkie bandy w małą armię. Od czasu nadejścia Ludodziercy, ludzie musieli jakoś przetrwać. Mówią, że wkrótce między tymi dwoma wybuchnie wojna o kontrolę nad wyżynami. Sądzę, że tak się to skończy.

– Wygląda na to, że Wysoka Droga stała się bardzo niebezpieczna – rzekł Felix.

– To nigdy nie było najbezpieczniejsze miejsce do zamieszkania – powiedział gospodarz. – Ale od czasu przybycia smoka jest po prostu groźne. Podejrzewam, że atak na Gelt to tylko kwestia czasu. Podobno zniszczył już wszystkie pozostałe osady wzdłuż Wysokiej Drogi.

– Chcesz przez to powiedzieć, że moglibyśmy po prostu poczekać, a smok przyleci do nas? – spytał z nadzieją w głosie Felix.

– *Aye*. Zapewne.

– Ni mam czasu do strycenia. Chcym widzie tom bestiem martwom i to wkrytce.

– Więcej chwały czeka na tych, którzy jej poszukują! – zawołał Ulli. – A jeśli jakiś zielonoskóry lub człowiek spróbuje nas zatrzymać, oberwą moim toporem.

– Och, jeśli ktuś z niech sprybuje nas zaczyniać, mam małom, paskudnom nispodzinkę dla niech – rzekł Malakai. Felix nie wątpił w to. Widział wystarczające dowody geniuszu inżyniera, jeśli chodzi o wytwarzanie broni. Oczywiście, większość uzbrojenia Malakaia była eksperymentalna i mogła ulegać awariom. Niektóre z tych wynalazków mogły okazać się równie niebezpieczne dla obsługującego, jak dla jego wrogów.

– A cóż to może być takiego? – zapytał duży, krępy mężczyzna, wyglądający raczej na najemnika niż na poszukiwacza.

– Kto jezd ciekaw, tyn może nas zaatykować i sym siem przykonać – odrzekł Malakai z nutą satysfakcji w głosie. Felix naprawdę był ciekaw, co inżynier chowa w swoim rękawie.

– W górach jest pełno takich, którzy zechcą to sprawdzić – odpowiedział z parsknięciem mężczyzna. Felix zastanawiał się, czy ten głupiec ma dość życia. Nie było zbyt mądre parskanie na Zabójcę, nawet tak stosunkowo opanowanego, jak Malakai.

– Zatem, nich siem czujom zapryszeni – to była cała odpowiedź inżyniera, który powrócił do sączenia swojego piwa.

Gospodarz odezwał się:

– Nie zwracajcie uwagi na Petera. To gbur nawet w dobrych czasach, a teraz nie mamy najlepszych. Zarabiał na życie handlując wzdłuż Wysokiej Drogi. A obecnie nie ma komu sprzedawać towaru. Zadbał o to smok.

– Zmienimy to! – ryknął Ulli. Jego przechwałka wywołała śmiech przy innych stolach. Z jakiegoś powodu, obecne krasnoludy nie brały młodego Zabójcę tak poważnie, jak pozostałych. Ulli nie przejmował się tym, dopóki pozostawał w centrum zainteresowania.

– Możecie się śmiać, ale zobaczycie. Nie będziecie kpili, gdy smok padnie martwy.

– Ty także będziesz martwy – ktoś krzyknął i inni zaśmiali się.

– Cóż z tego – zawołał Ulli. – Wszyscy umierają.

– Niektórzy wcześniej od innych – odpowiedział Peter.

Bjorni trzymał już barmankę na kolanie. Przebierała palcami w jego brodzie, gdy on patrzył na nią z lubieżnym uśmiechem. Chwilę później kobieta została zrzuciona z jego kolana przez wielkiego mężczyznę z blizną na twarzy i potężnymi dłońmi. Bez wątplenia był jednym z wykidajłów.

– Zostaw Essie w spokoju – powiedział groźnym i bezbarwnym głosem.

– Daj spokój Otto – rzekł gospodarz. – Wiesz, że zawsze tak bywa.

– A co ty masz do niej? – spytał niewinnie Bjorni.

– Ona jest moją żoną.

– Felix jęknął. Widywał kobiety takie jak Essie, gdy razem z Gotrekiem pracowali w tawernach Nuln. Kobiety poślubione dużym gwałtownym mężczyznom, którzy popisywali się swoją zazdrosną opiekuńczością. Felix nie mógł zrozumieć, dlaczego to robili, ale tak już było. Wykidajło spojrzał na niego.

– Czego jęczysz, chłopaczku? – zapytał. Felix podniósł wzrok. Mężczyzna był duży. Może wyższy o głowę od niego i odpowiednio szerszy. Jego ramiona wyglądały na równie wielkie, jak Gotreka.

– Trochę *ale* wpadło nie tam, gdzie trzeba.

– Uważaj, albo wezmę ten kufel i wepchnę ci go do...

Felix spojrzał na niego i zaczął podnosić się z siedzenia, ale było już za późno. Bjorni machnął pięścią i rąbnął Ottona między nogi, gdy wykidajło nie patrzył w jego stronę. Wielki mężczyzna zakwilił i zgiął się wpół, a w tym czasie Bjorni podniósł swój kufel i mocno walnął nim w głowę nieszczęśnika. Spojrzenie Ottona skrzyżowało się na czubku nosa i mężczyzna osunął się naprzód nieprzytomny.

– Nie pierwszy zazdrosny mąż, z którym mam do czynienia, – rzekł Bjorni pociągając lubieżnie za brodawkę na swym nosie. – A teraz, kochanie, co ty na to, byśmy znaleźli cichy zakątek i...

Dziewczyna nachylała się nad Ottonem i wrzeszczała:

– Otto, co ten brutal ci zrobił? !

– Wróci do siebie nad ranem, – rzekł Bjorni. – A teraz, może pójdziemy za szopę. Mam dla ciebie dużą zfotą monetę, jeśli...

– Idź do diabła – rzuciła Essie. Bjorni wzruszył ramionami i usiadł z powrotem.

– Następne *ale*, gospodarzu. Mój kubek nagle opustoszał.

Gospodarz znowu spoglądał trwożliwie na Zabójców, jednak widząc, że jego największy wykidajło leży nieprzytomny, a przybysze najwyraźniej nie zamierzają wszczynać burdy, postanowił ich zadowolić.

– Więcej *ale*, tak jest – rzekł.

– Pomogę ci zanieść go na górę – powiedział Steg do Essie, przyskakując do powalonego i nachylając się nad nim, jakby chciał go unieść.

– Nie trzeba – odpowiedziała dziewczyna. – Nie potrzebuję waszej pomocy.

Steg wzruszył ramionami i wypuścił bezwładne ciało. Felix był ciekaw, czy tylko on zauważył, że z pasa wykidają nagle znikła sakiewka.

– Myślę, że wyjdę na spacer – rzekł Steg.

– Myślem, że pójdę z tybom – powiedział Malakai. – I tyk na mni kolei.

Steg nie okazał po sobie niezadowolenia z umykającej okazji przeszukania wozu Makaissona.

– Czas iść spać – stwierdził Felix, spoglądając na Ulrikę, by upewnić się, czy się zgadza. Skinęła głową i ruszyli po schodach na górę.

Grund Wielkinos z plemienia Złamanego Nosa spoglądał na wioskę. Jego orcze ślepia były znacznie czulsze niż ludzkie i nawet w przyćmionym świetle dwóch księżyców widział wszystko, co trzeba. Ze swojego podwyższenia dostrzegał wóz na dziedzińcu. To sugerowało, że ktoś niedługo będzie wyjeżdżał z małej ufortyfikowanej osady. Oznaczało to ludzkie mięso, stalową broń, a może złoto i samogon. Zsunął się z powrotem z krawędzi urwiska i ruszył w górę ścieżki.

Stwierdził, że nie ma potrzeby wspomnienia o tym Ludodziercy. To była mała grupa i łupy ledwo wystarczą dla niego i jego chłopaków. Zbierze do kupy swoją bandę i dopilnuje, by ładunek wagonu należał do niego, zanim zabłyszczą gwiazdy podczas następnej nocy.

Felixa obudził łoskot metalu uderzającego o metal, gdzieś na zewnątrz gospody. Otworzył okiennice i wyjrzał, by sprawdzić, co się dzieje. Sądząc po odgłosie, spodziewał się zobaczyć na dziedzińcu pół tuzina orków walczących na miecze z rycerzami, ale nie udało mu się dostrzec źródła dźwięku. Po kilku chwilach wypatrywania zauważył, że tył wozu Malakai Makaissona podskakuje w górę i w dół, a łomot dochodzi spod jego osłony.

– Co to takiego, Felixie? – spytała Ulrika.

– Nie wiem – odpowiedział, – ale wygląda na to, że Malakai coś buduje.

– Jeśli to ważne, wkrótce dowiemy się o tym. A teraz wracaj do łóżka – powiedziała. Felix spojrzał na jej nagą sylwetkę i nie musiała prosić po raz drugi.

Felixa bolały nogi od wysiłku ciągłej wspinaczki. Jego stopy były otarte na twardych kamieniach Wysokiej Drogi. Ramiona dokładnie okrył swoim czerwonym płaszczem z sudenlandzkiej wełny, ciesząc się, że ma go ze sobą. Pomimo jasnego słońca, w górach było coraz zimniej. Chłodny powiew przychodził z doliny i targał jego włosy niewidzialnymi palcami.

Uśmiechnął się do Ulriki. Tego dnia było między nimi lepiej – jak zwykle po nocy spędzonej razem. Odpowiedziała ciepłym uśmiechem. Felix widział, że jest równie zmęczona, jeśli nie bardziej, ale starała się tego nie okazywać. Felix współczuł jej. Wyrosła na płaskich równinach Kisleva i miała jeszcze mniej doświadczeń w chodzeniu po górach od niego. Felix przynajmniej wędrował po szczytach od czasu wyruszenia z Gotrekiem. Oleg i Standa w wyraźny sposób tracili siły. Oddychali sapiąc, a co pewien czas któryś z nich zginał się wpół z szeroko rozstawionymi nogami i rękami spoczywającymi na udach oraz kołysał głową próbując złapać oddech.

Wśród wszystkich ludzi, Max Schreiber okazywał najmniejsze oznaki zmęczenia, co nieskończenie zdumiewało Felixa. Przyzwyczał się uważać czarodzieja za zasiedziałego uczonego, a jednak on wspinał się na wzgórze, jakby urodził się tutaj. Oparł się na swojej wysokiej lasce i przemówił zachęcająco do Olega, a potem położył dłoń na ramieniu Kislevczyka. Felix mógłby

przysiąc, że zauważył iskrę energii przeskakującą między mężczyznami, a potem Oleg wyprostował się i zaczął maszerować z nową werwą. Felix domyślał się, że na tym polega sekret Maxa. Może używał swojej magii, by dodać sobie sił podczas marszu i użyczyć nieco tej siły Olegowi.

Tak, czy inaczej, Felix widział, że to było skuteczne. Max wydawał się czuć, jak u siebie w domu, niczym krasnoludy. Aż do tego dnia Felix sądził, że to było zupełnie niemożliwe dla jakiegokolwiek człowieka. Krasnoludy pozostawały niewiarygodnie radosne, biorąc pod uwagę, że byli Zabójcami idącymi na misję, która najprawdopodobniej oznacza ich śmierć. Szli naprzód niezmordowani, bez wysiłku pokonując najbardziej strome pochyłości, czasami schodząc ze ścieżki i z łatwością wchodząc na niemal pionowe wzniesienia – dla samej przyjemności.

Tylko Malakai tego nie robił. Cały czas pozostawał na swoim wozie popędzając kuce, gdy pokonywały stromizny. Trzymał czujne oko na ich otoczenie, a zwłaszcza na Stega, za każdym razem, gdy niedoszły złodziej zbliżał się do wozu. Gotrek i Snorri prowadzili. Felix dostrzegał ich na przedzie kolumny wspinających się na najbliższy grzbiet górski, skąd ścieżka zaczynała więc się jeszcze wyżej i dalej w górę stoku.

– Jest pięknie, prawda? – rzekła Ulrika(. Felix rozejrzał się, wiedząc, co chciała powiedzieć. Góry emanowały dziwnym surowym spokojem, który wydawał się nagrodą za wysiłek wędrowania wśród nich. Po jednej stronie majaczyły wielkie szare zbocza gór, upstrzone tu i ówdzie zielenią lasów i porostów. Wysoko nad nimi lśniły pasma śniegu i sterczały zimne, dumne szczyty. Na zboczach wyrastały głazy, które czasami blokowały drogę. Felix domyślał się, że w tych miejscach kamienie osunęły się i stoczyły ze wzgórza.

Daleko pod nimi widział Gelt. Ponad przełęczą między dwoma pobliskimi górami dostrzegał, że ścieżka biegnie do zimnego, czystego jeziora.

– Tak, to prawda – odpowiedział. – Chociaż to ani trochę tak piękne, jak ty.

Potrząsnęła głową.

– Jesteś bezwstydnym pochlebcą, Felixie Jaegerze.

– To nie pochlebstwo. To po prostu prawda.

Odwróciła się i patrzyła przez chwilę w inną stronę, a jej uśmiech stał się jakby smutny.

– Co ja bez ciebie zrobię? – spytała.

– Co masz na myśli?

– Nigdy nie spotkałam mężczyzny, przy którym czułabym się tak, jak przy tobie...

Felix uznał to za ukryty komplement, ale i tak był zawstydzony.

– Czy to dobrze, czy źle?

– Nie wiem – odparła. – Wiem jednak, że to niepokojące.

Ociągał się z odpowiedzią i nie mógł znaleźć właściwych słów, by wyrazić to, *co* czuje. Niemal ucieszył się, gdy usłyszał wołanie Gotreka.

– Patrzcie, przed nami kłopoty!

Felix i Ulrika wspięli się na grzbiet górski. Ścieżka biegła dalej opadając do małej doliny, a potem ponownie przebiegała serię grzbietów, które wznosiły się niczym olbrzymie znieruchomiałe fale, aż do horyzontu. Gotrek i Snorri stali na wzniesieniu. Ich sylwetki odcinały się na tle nieba.

Szybki rzut oka wyjawiał Felixowi, o czym ostrzegał Gotrek. Wzdłuż drogi szła w ich stronę grupa zielonoskórych wojowników. Felix usiłował ich policzyć, ale byli zbyt liczni i za bardzo stoczeni, by udało mu się otrzymać sensowny wynik. Poddał się przekroczywszy dwudziestu naliczonych.

– Jest ich pięćdziesięciu czterech – powiedziała Ulrika.

– Masz lepszy wzrok ode mnie.

– Albo lepiej liczę – wiedział, że próbuje żartować, ale w jej głosie słyszał napięcie.

Oleg i Standa zajęli pozycje za nimi. Już napięli swoje łuki. Ulrika zaczęła szykować swój. Max stanął z tyłu, oboma rękami opierając się na swojej lasce.

– Zdaje się, że mają przewagę liczebną, – odezwał się wreszcie.

– To tylko zielonoskórzy – powiedział Snorri. – Nie ma się czym przejmować.

– Przewyższają nas liczebnie, jak cztery do jednego – rzekł Max. – To mnie trochę niepokoi.

– Jeden krasnolud wart jest dziesięciu orków! – huknął Ulli.

– Szczególnie w łóżku, – rzekł Bjorni szczerząc zęby.

– Nie myślisz czasami o czymś innym? – spytał Felix.

– Czasami myślę o walce – rzekł Bjorni. – I wydaje mi się, że teraz jest na to dobra pora.

– *Aye* – rzucił Gotrek. – Tak jest. Poczekamy na nich tutaj i pozwolimy podejść do nas. Normalnie, sam ruszyłbym do nich, ale szkoda byłoby paść od orczej szabli, gdy w tych górach jest smok.

– Rozsądne rozumowanie – rzekł ironicznie Felix. Za sobą słyszał wóz Malakaia Makaissona powoli podjeżdżający pod wzgórze. Felix miał szczerą nadzieję, że Malakai miał broń, którą obiecał i ta broń działa.

– Snorri myśli, że powinniśmy na nich natrzeć już teraz – rzekł Snorri Gryzonos.

– Uważam, że plan Gotreka jest lepszy – powiedział Ulli. Felix nie był pewien, czy w głosie chełpliwego krasnoluda nie usłyszał nuty strachu. To by go nie zdziwiło. Puste dzbanki zawsze dudnią najgłośniej, jak mawiał jego ojciec. A Felix pomyślał, że to prawda, bowiem ojciec był bardzo głośnym człowiekiem.

– Ciekawe, czy mają jakieś złoto – odezwał się Steg. – Nigdy nie wiadomo. To możliwe, jeśli obrabowali jakiegoś poszukiwacza.

Zauważył spojrzenia, jakimi obdarzyli go pozostali i z uśmiechem wzruszył ramionami.

– Nigdy nie wiadomo. Tylko tyle powiedziałem.

– Bardziej ciekawi mnie, czy mają jakieś łuki – rzekł Gotrek. – Zostać nafaszerowanym przez strzały zielonoskórych, to nie jest śmierć dla Zabójcy.

– Może będę w stanie coś z tym zrobić – rzekł Max Schreiber. – Jeśli wiatry magii są dość silne, a na dole nie ma szamana.

– Nie wygląda na to – stwierdził Gotrek. – Gdyby był, to tańczyłby wkoło i wyśpiewywał bzdury do swoich bogów.

Orki znajdowały się już jakieś czterysta kroków pod nimi. Tuż poza zasięgiem strzał, ale zbliżali się szybko. Felix słyszał ich dzikie, gardłowe okrzyki bojowe. Groźnie wymachiwały swoją bronią.

– Może moglibyśmy wrócić – zaproponował Ulli. Felix zerknął na niego. Krasnolud był blady i wyglądał na lekko roztrzęsionego.

– Być może to nienajgorszy pomysł – odpowiedział Gotrek. Felix spojrzał zdumiony. Podczas całej ich długiej znajomości, to był pierwszy raz, gdy usłyszał Zabójcę wyrażającego chęć podjęcia odwrotu.

– Czemu? – spytał.

– Ponieważ tam jest więcej zielonoskórych do zabicia.

Felix spojrzał w kierunku, z którego przybyli. Orki i inne mniejsze stworzenia pędziły na wielkich potworach przypominających pająki. Poczł dreszcz na skórze na sam widok tych strasznych wierzchowców. Nadjeżdżali ze straszliwą prędkością. Felix zaczął myśleć, że może Zabójcy okazali zbyt wielką pewność siebie wyruszając w góry z tak żałośnie małą drużyną.

– Na nich, człeczyno – rzekł Gotrek. – Na nich.

- Chciałbym podzielać twoją pewność siebie – odpowiedział Felix.
- Zajmym siem tom hałastrom – rzucił Malakai. – Wy zabierzcie siem za tych przyd warny.
- Jesteś pewien, że dasz sobie radę? – spytał Felix.

– Możysz siem załyżyć – odparł Malakai. Jedną ręką pociągnął za dźwignię i płótno okrywające wóz opadło. Odkryło spoczywające na trójnogu dziwnie wyglądające działo o wielu lufach. Felix widział już mniejsze wersje tej broni i wiedział, do czego jest zdolna. Malakai szarpnął wajchę hamulca wozu.

Z tyłu, pajęczy jeźdźcy zaczęli wspinać się na wzgórze. Felix przyglądał się, gdy Malakai wycelował lufy swojej broni i mocno złapał za spust. Felix zaryzykował rzut oka na drugą stronę. Orki zaczęły wspinać się, odważnie wykrzykując. Felix wiedział, że gdyby ich przeciwnicy mieli jakieś pojęcie, co czeka na nich na szczycie wzgórza, nie byłiby tak pewni siebie. A jednak, zastanawiał się, czy to by wystarczyło.

Ulrika, Standa i Oleg zaczęli strzelać ze swoich krótkich łuków kompozytowych. Strzały ze świstem poleciały w dół wzgórza i przebiły trzech z najbliższych orków. Dwóch padło, jeden ze strzałą w oku, drugi ze strzałą w gardle. Trzeci szedł dalej mimo pierzastego bełta zanurzonego w jego piersi.

W odpowiedzi na ostrzał, zielonoskórzy zaczęli rozpraszać się, by zmniejszyć ścisk i nie wystawiać się na dobry cel. Felix pomyślał, że jakkolwiek dzicy, nie są głupi. W tej chwili żałował, że nie nauczył się używać łuku. W młodości ćwiczył trochę z pistoletami pojedynkowymi, ale nie w łucznictwie. To nie przystawało dzentelmenowi, na którego chciał wychować go ojciec. W tej chwili jednak, taka umiejętność byłaby niezwykle przydatna. Najwyraźniej orki zgadzały się z tym. Kilka z nich odpięło łuki z pleców i zaczęło je naciągać. Wyglądało na to, że rozpęta się pojedynek łuczniczy. Wszędzie wokół niego Zabójcy wykrzykiwali zniewagi do zielonoskórych, szydząc z nich i potrząsając bronią.

Gotrek wzniósł swój topór nad głowę i krzyknął:

- Chodźcie tu i zdychajcie!
- Snorri chce walczyć! – huknął Snorri Gryzonos.

– Spałem z waszymi matkami! – zawołał Bjorni, a potem zamilkł pod spojrzeniem wszystkich pozostałych krasnoludów. – Cóż, potrzeba zmusza do wszystkiego, – bąknął w końcu. Gdy krasnoludy rzucały wyzwiskami, Ulrika i Kislevczycy wystrzelili nieprzerwany strumień strzał. Padły trzy następne stwory, ale reszta zawyła gniewne okrzyki bojowe i nacierała nadal.

Nagle za nimi rozległ się odgłos gromu. Felix spojrzał w tył, by zobaczyć, że Malakai Makaïsson uruchomił swoje działo. Płomienie migotały, gdy iglica uderzała w spłonkę. Lufy obracały się, a broń siata śmierć. Felix zauważył jednego z pajaków trafionego w środek ciała. Jego korpus został rozerwany, a odnóża zadygotały bezsilnie. Malakai obrócił nieznacznie broń na trójnogu i łuk ognia przesunął się. Drugi pajak padł, a za nim trzeci.

Niestety, ryk dział przestraszył kuce. A może spowodował to widok nienaturalnie wielkich pajaków pędzących w ich stronę. Zaczęły cofać się, wierzgać i kopać tylnymi nogami, uderzając w wóz i mocując się z uprzężą w desperackiej próbie oswobodzenia. Jeden z kopniaków zmiażdżył dźwignię hamulca, zwalniając blokadę i rozbijając mechanizm na kawałki. Kolejna burza ciosów pchnęła wóz w dół zbocza. Nabierał prędkości najpierw powoli, a potem coraz szybciej. Felix chciał popędzić za nim i spróbować go zatrzymać, ale szybko zrozumiał, że to byłoby daremne. Człowiek o normalnej sile w żaden sposób nie byłby w stanie powstrzymać rozpędzonego pojazdu.

Malakai Makaïsson nie okazywał niepokoju. Wykrzyknął krasnoludzki okrzyk bojowy i strzelał dalej, ściągając na ziemię kolejnego pajęczego jeźdźca. Ostatnich dwóch bieгло w jego stronę.

– Uważaj, człeczyno.

Felix usłyszał okrzyk Gotreka i obrócił głowę, by ponownie skupić uwagę na zbliżających się orkach. Połowie tuzina z nich udało się wyciągnąć łuki i odpowiadały ogniem na szczyt wzgórze. Felix przysiadł, gdy strzały pomknęły obok niego, a potem nagle Max Schreiber podniósł ręce i zakończył zaklęcie, które wypowiadał cichym głosem. Wokół wzgórze rozwinęła się lśniąca sfera złotego światła. Strzały uderzały w jej migoczącą, przezroczystą powierzchnię i zapalały się znikając w deszczu iskier, nie wyrządźwszy żadnej szkody.

Nadciągające orki zatrzymały się zdumione i przestraszone tym pokazem czarodziejskiej mocy. Kislewczyki podtrzymywali strumień strzał zabijając dwa następne orków. Felix sądził, że wyłączyli już z walki być może dziesięciu przeciwników. A jednak pozostawało ich wystarczająco wiele, by mogli wdrzeć się na wzgórze. Trzask, który rozległ się za nim znowu przyciągnął jego uwagę. Spojrzał w tył.

Przez migoczącą mgłę zobaczył, że jeden z pajęczych jeźdźców wszedł w drogę wozu i został zmiażdżony pod jego ciężkimi kołami okutymi żelazem. Ostatniego jeźdźca rozerwał na strzępy ogień z działa organowego. Malakai nadal staczał się ze wzgórze prosto w hordę goblinów wojowników. Felix widział, jak rozszerzonymi od paniki ślepiami spoglądali na zbliżającego się Zabójcę. Malakai cały czas ryczał i miotał wyzwiska pędząc ku małym zielonoskórom.

Krzyk z przodu ponownie przywołał uwagę Felixa. Orki szybko otrząsnęły się ze zdumienia i nadal nacierały. Zielonoskórzy łucznicy zdając sobie sprawę z daremności swoich wysiłków odłożyli łuki, wyciągnęli ciężkie szable z czarnego żelaza i pędzili, by dołączyć do swoich kamratów. Felix pośpiesznie ocenił odległość do nich i przygotował swój miecz o smoczjej głowicy.

– Myślę, że masz czas na jeszcze jeden strzał, a potem lepiej doładuj swojego miecza – powiedział Ulrice.

Na jej ustach pojawił się lekki uśmiech, gdy przyciągnęła cięciwę do policzka i zwolniła ją.

– Co ty powiesz – odparła, gdy padł kolejny ork.

Za nimi słyhać było eksplozje. Felix był ciekaw, co robi Malakai. Nie ośmielił się odwracać widząc, że pierwsze z nacierających orków znalazły się już w odległości ciosu. Ulrika strzeliła jeszcze raz prawie z bezpośredniej bliskości do celu, a potem szybko odrzuciła łuk i wyciągnęła miecz. Felix dał krok naprzód, gotów bronić jej przed każdym napastnikiem, zanim nie przygotuje swojej broni.

Odgłos śpiewu Maxa zmienił się, a sfera złotego światła zapadła się. Macki energii złączyły się w znacznie mniejszą sferą, mniej więcej wielkości ludzkiej głowy i zawisły tuż przed Maxem. Kolejny gest rozbił sferę i posłał deszcz odłamków złotego światła w kierunku orków. W ułamku sekundy cały przedni szereg napastników został powalony uderzeniem magicznej energii. Felix zauważył jednego orka opadającego na kolana. Cała przednia część jego klatki piersiowej była wyrwana – przez dymiącą dziurę w jego pancerzu widać było żebra.

– Dobra, chłopaki! – krzyknął Gotrek. – Uderzamy!

Zabójcom niepotrzebne były następne zachęty. Wszystkich sześciu ruszyło na przerażone orki które stały gapiąc się na nich, wytrącone z rozpędu przez magiczną rzeź Maxa. Felix widział Gotreka wdzierającego się między nieprzyjaciół. Jego topór unosił się, a potem opadał krwawym łukiem, przebijając jednego orka i zanurzając się w klatce innego. Zabójca oswobodził broń brutalnym szarpnięciem i ciął wokół siebie. Potężne mistyczne ostrze w jego dłoniach zamieniło się w wir śmierci.

Snorri biegł za nim z gotowym toporem i młotem. Uderzał wokół siebie z ogromną siłą, nie dbając o własne życie. Każdy z jego ciosów powalał orki, natychmiast redukując je do

pozbawionych życia truchel. Pozostali Zabójcy dołączyli do nich formując klin, który wbijał się w orki, niczym okręt żeglujący przez morze zielonej krwi. Felix patrzył z podziwem na zniszczenie rozpętane przez krasnoludy. Wątpił, by kompania rycerzy byłaby w stanie zadać więcej strat, niż uczynili to Zabójcy w ciągu kilku krótkich chwil.

Bjorni rąbnął głową orka, a gdy ten cofnął się, uderzył swoim toporem rozbijając łeb napastnika. Śmiejąc się jak maniak, stanął na stopie innego, kopnął go kolanem w krocze, a potem wbił swój topór w jego klatkę piersiową, zanim ork zdążył zareagować. Pobladły Ulli szedł obok niego używając oburącz swojego topora. Ciął swoich przeciwników niczym drwał rąbiący pień. Felix dostrzegł, że Ulli był znacznie mniej wprawny niż pozostałe krasnoludy, ale jego ciosy były wystarczająco skuteczne poruszane siłą potężnych mięśni krasnoluda.

Steg czuwał z tyłu, uderzając swoim łodem każdego orka, który próbował zejść towarzyszy od tyłu. Jego oczy zerkwały we wszystkie strony, jakby szukając czegoś do złupienia, ale nawet chciwość nie była w stanie zapanować nad nim podczas kłębiącej się wokół walki. Grimme walczył po prawej nieco z boku, a rzeź jaką urządził była zatrważająca.

Używał swojego wielkiego młota oburącz, ale z szybkością, która dorównywała tempu Gotreka. Jeden potężny cios zredukował czaszkę orka do galarety. Drugi wymach zerwał łeb zielonoskórego, posyłając ją na odległość kilkuset stóp w dół wzgórza.

Oddział ludzi zostałby natychmiast rozproszony pod furją ataku zabójców, ale te orki były zrobione z twardszej gliny. Tylko przez chwilę zachwiały się, a potem rzuciły do walki z odwagą berserkerów, która niemal dorównywała brawurze ich przeciwników. Rzucali się tłumnie na krasnoludy pragnąc przygnieść je samą masą stłoczonych ciał. Kilku z nich zauważając ludzi, którzy stali wyczekująco na szczycie wzgórza, przemknęło obok Zabójców i natarto. Felix w ułamku chwili ocenił swoje położenie. Musiał zdecydować, czy lepiej czekać, czy szarżować. W tym miejscu mieli przewagę wynikającą z podwyższonej pozycji. Jeśli uderzą, zyskają przewagę rozpedu.

Rzut oka przekonał go, że bieg pod górę nie spowalniał zbytnio orków. Natychmiast podjął decyzję.

– Ruszajmy! – krzyknął i pobiegł naprzód. Ulrika i jej ochroniarze popędzili za nim.

– Trzymajcie się blisko. Pilnujcie nawzajem swoich pleców! – krzyknęła Ulrika. Felix cieszył się, że pomyślała o tym. To mogła być jedyna przewaga, jaką utrzymają pośród otaczającego ich chaosu.

Bieg w dół stoku zwiększał ich prędkość. Felix wybrał jako cel największego z nacierających orków i wysoko podniósł swój miecz. W ostatniej sekundzie opuścił ostrze, uniknął uderzenia orka i wstecznym cięciem przeciął jego kręgosłup. Poczul pękającą kość i skórę ustępującą pod naporem jego ostrego jak brzytwa miecza, a potem ork upadł, gdy nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Standa mijając go kopnął go w łeb, a ork jęknął i legł bez ruchu.

Felix zagubił się w szaleństwie bitwy. Unikał i odskakiwał, parował i uderzał, pchając swe ostrze w ciasno upakowaną masę ciał. Pot oślepił go, krew ochlapywała mu twarz i ramiona. Ryki i okrzyki jego wrogów były ogłuszające. Wstrząs po każdym sparowaniu niemal wytrącał miecz z jego zdrętwiałych palców.

Siekl na lewo i prawo, starając się nie spuszczać oka z Ulriki, by nikt nie mógł jej zaatakować zniecka. Widział, jak walczy swoim długim kislevskim mieczem. Poruszała się pośród walczących niczym wojownicza bogini. Nie dorównując orkom siłą nadrabiała prędkością. Ogarnął ją szal bitwy. Felix walczył z nią kiedyś dla zabawy, ale nigdy nie był świadkiem, jak bije się naprawdę. Przepelniał ją jakiś pierwotny szal i zmieniał w maszynę zniszczenia. Tańczyła w bitwie niczym płomień, wirując, tnąc i zostawiając za sobą ślad śmierci. Za nią, Oleg i Standa walczyli jak opętani

strzegąc jej boków. Brakowało im umiejętności i szybkości dziewczyny, ale pracowali z zabójczą skutecznością weteranów.

Kątem oka Felix zauważył mignięcie złotego światła. Dostrzegł Maxa przedzierającego się między orkami. Całe jego ciało otaczało migotanie żółtawego światła, które wydawało się odbijać ciosy. Gdy jego laska uderzała orka, następował błysk o niesamowitej jasności i powietrze wypełniał smród palącego się mięsa. Felix zrozumiał, że zakłeta broń maga przepalała wszystko, czego dotknie. Minęła chwila. Zaatakował kolejny ork i Felix musiał bronić się. Cofał się w górę wzgórza, rozpaczliwie usiłując utrzymać równowagę i parować ciosy. Miał desperacką nadzieję, że nie potknie się o żadną niewidoczną przeszkodę, taką jak kamień lub zwłoki. Jego przeciwnik był masywnym orkiem. Przewyższał go o głowę i był dwukrotnie szerszy w pasie. Jego długie małpie łapy zapewniały mu większy zasięg. Czerwone ślepia przepęłniała nienawiść i żądza krwi, a ślina i piana buchała z jego ust opływając przypominające kły zęby, wystające z dolnej szczęki. Stwór wyglądał, jakby miał zamiar zabić Felixa, a potem go zjeść. Był bardzo silny i szybki. Felix przez krótką przerażającą chwilę wątpił, czy jest w stanie go zatrzymać.

Z ciemnych głębin jego umysłu nadeszło oświecenie. Jeśli padnie tutaj, nie będzie miał okazji zmierzyć się ze smokiem. Jakby w odpowiedzi poczuł nową siłę przepływającą do niego z miecza. Fala energii odepchnęła zmęczenie i strach. Z łatwością zablokował cios i przytrzymał w zwarciu jego ostrze, nie bacząc na orka przytłaczającego Felixa swoją wagą. Zobaczył wyraz zdumienia wykrzywiający oblicze stwora, który uznawał swojego przeciwnika za niezbyt groźnego.

A potem czas zaczął biec wolniej dla Felixa. Poruszał się z normalną prędkością, ale wszystko wokół zdawało się biec z połową normalnej szybkości. Oderwał swój miecz od broni orka i zanim ten zdążył odpowiedzieć, oddzielił jego łeb od ramion, a potem znowu ruszył do walki zabijając w drodze.

Orki nareszcie zrozumiały, że przeciwnicy je przewyższają. Jeden z nich rzucił się do ucieczki i po upływie jednego uderzenia serca, wszyscy z otaczających go kompanów podjęli tę samą decyzję. Za biegnącymi ruszyli Zabójcy i ich ludzcy towarzysze. Krótkonogie krasnoludy wkrótce zostały w tyle, ale ludziom udało się dogonić i ciąć kilka orków od tyłu.

A jednak nadal było ich zbyt wiele, by udało się opanować i zabić wszystkie. Felix zdał sobie sprawę, że jeśli będą biec dalej, orki mogą przegrupować się i otoczyć ludzi. Krzyknął do Ulriki i jej ochroniarzy, by zatrzymali się. Niechętnie posłuchali. Orki biegły dalej.

Zza krawędzi górskiego grzbietu dobiegł odgłos kolejnej eksplozji. Felix zobaczył kłęb czarnego dymu wznoszącego się ku niebu. Natychmiast uderzyła go myśl, że Malakai Makaisson jest gdzieś tam i samotnie walczy z hordą goblinów.

– Musimy wrócić i pomóc Malakaiowi – rzucił i zobaczył zrozumienie pojawiające się na twarzy Ulriki. Skinęła głową i natychmiast odwróciła się, a za nią Standa i Oleg. Felix przeklął pod nosem, gdy poczuł w nogach wysiłek biegu pod górę. Jego ubranie przesiąknięte było potem i mokre od krwi. Mięśnie bolały go od napięcia podczas walki. A jednak zmusił się do dotrzymania kroku Kislevczyków.

Widział zabójców, którzy już zawrócili i biegli wzdłuż grzbietu w kierunku drugiej potyczki. Popędził naprzód, gdy znikli z pola widzenia, czując przekonanie, że skoro rozbili dzikie orki, gobliny powinny okazać się znacznie mniejszym zagrożeniem. A potem w jego umyśle pojawiła się wizja tych olbrzymich pajaków i jego poczucie pewności siebie znikło.

Widoczny na tle nieba Max Schreiber, stojący na grzbiecie wzgórza uniósł wysoko swoją laskę. Wokół niego zamigotał nimb żółtawego światła, ale było znacznie mniej jasne niż wcześniej i Felix instynktownie rozumiał, że Max wyczerpał znaczną część swojej mocy. A jednak, obracał laską

wokół głowy, a gdy to czynił, zakończenie laski rozpalało się. Gniewne złote światło płonęło coraz jaśniej z każdym obrotem, jak żagiew zapalająca się w powietrzu. Wreszcie, gdy światłość zgromadziła dość mocy, Max wypuścił ją posyłając ulewę energii w dół zbocza. W odpowiedzi na zakłęcie rozległy się wysokie, piskliwe wrzaski umierających goblinów.

Felix wspiał się na krawędź wyprzedzając Ulrikę i jej ochroniarzy, po czym spojrzał w dół na scenę przerażającej rzezi. Wóz inżyniera wyciął krwawą ścieżkę w szeregach goblinów. Wielkie pająki zostały zmiażdżone lub rozerwane. Wiele małych ciał goblinów leżało bez ruchu na ziemi, jako dowód straszliwej potęgi działa organowego. Sam Malakai stał niedbale na szczycie wozu, który rozbił się zatrzymując w rowie z boku drogi. Inżynier miotał czarne bomby w stłoczone gobliny.

Zielonoskórzy kłębili się powstrzymywani mocą ładunków wybuchowych, próbując zebrać się na odwagę i zaatakować wynalazcę. Wyglądało na to, że zakłęcie Maxa i nagłe nadejście sześciu zabójców wystarczyło, by kompletnie ich przerazić. Odwrócili się i uciekli tą samą drogą, jaką przybyli. Widząc ich ucieczkę Felix stwierdził, że na jeden dzień ma dość walki i zwolnił zamieniając bieg w marsz. Ulrika i Kislevczycy przemknęli obok niego i popędzili, by dołączyć do Zabójców biegnących poniżej.

Felix nie gonił ich. Wiedział, że teraz nie uda się im dogonić zielonoskórych.

Grund biegł tak szybko, jak nigdy w swoim życiu. Lubił walkę tak samo, jak każdy inny ork, ale te karzełki to już było zbyt wiele. Nigdy nie widział, by ktoś walczył tak, jak ten krasnolud z magicznym toporem, za wyjątkiem samego Ugreka. Wiedział, że jeśli pragnie zemsty, musi donieść o tym Ludodziocy. Ugrek zbierze wtedy chłopaków i wszyscy przyjdą zdeptać tych karzełek. Grund miał nadzieję, że szef nadal tkwi w obozie na pagórku Krwawej Pięści. To było mniej niż dzień drogi stąd. Będzie znacznie krócej, jeśli Grund utrzyma obecne tempo. Myśląc o karzełku z toporem, stwierdził, że to nie jest zły pomysł.

Felix minął ciało goblina. Ze zwłok unosił się dym wraz ze smrodem spalonego mięsa. Zielonoskóry musiał zginąć od zakłęcia Maxa. Na ciele nie było żadnych śladów, żadnego otworu, który znaczyłby trafienie pocisku działa organowego lub szrapnela bomby. Gdy Felix przyjrzał mu się dokładnie, zobaczył, że ślepa małego humanoida eksplodowały w oczodołach rozpryskując galaretę po całym pysku. To nie był przyjemny widok, ale Felix pomyślał, że niewiele zwłok wyglądało pięknie.

Podszedł do następnego stworzenia, które leżało rozciągnięte twarzą w piachu i obrócił je butem. Nie było zbyt duże. Jego ciało nie przekraczało rozmiarów dziesięcioletniego dziecka. Miał bardzo krótkie nogi w proporcji do długości korpusu i bardzo długie ramiona. Łeb był stosunkowo duży. Stwór nosił pewnego rodzaju skórzaną koszulę z kapturem, barwioną na jasną żółć i niezdrową zieleń. W chwili śmierci kaptur opadł odsłaniając oblicze.

Wykrzywione rysy twarzy zdradzały złośliwość i przebiegłość. Nos był długi i cienki jak marchewka, a usta wypełniały ostre, szczurze zęby. Najbardziej zdumiały Felixa dłonie stwora. Były sękaty i silne, o wielkich knykciach i bardzo długich palcach wyglądających na niezwykle zręczne. Coś w ich wyglądzie przypominało Felixowi dusicieli i wiedział, że wolałby nigdy nie poczuć tych dłoni zaciśniętych wokół swojego gardła.

Po swojej śmierci, stworzenie wyglądało zadziwiająco żałośnie. Było coś nieskończenie smutnego w jego małym, zeszywniałym ciałku. Felix powiedział o tym Ulrice, która przyglądając mu się stała obok. Spojrzała na niego z całkowitym brakiem zrozumienia.

– Jest martwy – rzekła. – I dobrze. Inaczej zabiłby nas, gdyby miał okazję.

– Masz rację – odpowiedział Felix, ale nadal spoglądając na małe zwłoki czuł coś w rodzaju wstydu.

Felix podszedł do Malakaia Makaissona stojącego na swoim wozie. Inżynier spoglądał gniewnie na dół i Felix za chwilę zrozumiał. Jedno z kół wozu odpadło, a klapa otworzyła się rozsypując na ziemi narzędzia i wyposażenie. Felix pomyślał, że przynajmniej sam Malakai nie wygląda na poważnie rannego, chociaż jego palce były czarne, a twarz osmalona od sadzy lub oleju.

– Wszystko w porządku z tobą? – spytał Felix.

– *Aye*. Nigdy ni było lypiej! Na mni trzyba wincej niż te małe, żałysne potwyрки, nie bój siem. Martwim mni mój sprzynt. Mam nadzieję, co ta stłyczka niczygo ni zypsuła.

– Pomogę ci to zebrać – zaproponował Felix.

– Ni trzyba. Muszem to zybrać w odpowiednim porzyndku. Sam to zbirę.

– Jak sobie chcesz – odpowiedział Felix.

Podszedł do stojących obok siebie Gotreka i Snorriego, który przyglądali się wzgórzom, między które uciekły gobliny.

– Snorri myśli, że widzieliśmy ich po raz ostatni – rzekł Snorri Gryzonos.

Gotrek splunął na ziemię i wojowniczo potrząsnął głową.

– A zatem, lepiej zostaw myślenie innym, Snorri Gryzonosie. Wróć, jak tylko odnajdą swoich kumpli. A następnym razem będzie ich więcej. Możesz postawić na to swoje złoto.

Felix zmuszony był zgodzić się. Jakiś instynkt mówił mu, że nie po raz ostatni widzą zielonoskórych, to było pewne... Za nimi rozległ się odgłos uderzeń młotka, gdy Malakai Makaisson rozpoczął naprawianie swojego wozu.

– Wobec tego, zabijemy ich wszystkich – rzekł Ulli. Felix widział, że jego twarz nadal była blada, a palce drżały zaciśnięte na toporze. A jednak, Felix stwierdził, że młody krasnolud poradził sobie całkiem nieźle.

– W burdelu w Nuln mieli podobno goblinińskie dziewczyny, – odezwał się w porę Bjorni. – Ale to nieprawda. To były tylko ludzkie dziewczki o twarzach pomalowanych na zielono i ze spiłowanymi zębami.

– Z radością przeżyłbym całe moje życie nigdy nie dowiadując się o tym – powiedział Felix.

– Wobec tego, coś by ci umknęło – odpowiedział Bjorni ze swoim odpychającym uśmiechem.

Felix odwrócił się i odszedł.

SPOTKANIA NA DRODZE

Świtało. Ognisko wygasło, zredukowane do postaci czarnej kupki popiołu i niedopalonych resztek. Wpychając sobie w usta kawał gumowatego sera, pogryzając suchym krasnoludzkim razowcem i splukując to wszystko słabym *ale*, Felix przyglądał się krasnoludom i Kislevczykom zwijającym obóz.

Ulrika uśmiechnęła się do niego. Wyciągnął rękę i uściśnął jej dłoń, z radością czując jej dotyk. Ponad ramieniem Ulriki widział Bjorniego, który puścił do niego oko. Uśmiechał się odpychająco, a potem ścisnął swój lewy biceps prawą dłonią i wykonywał nią ruchy w górę i w dół. Felix odwrócił wzrok.

Malakai naprawił swój wóz, zapakował niektóre części do drewnianych skrzyń, pozostawiając na wierzchu kilka rzeczy, które podejrzenie przypominały uzbrojenie. Kuce poprzedniego wieczora powróciły po kilku godzinach wałęsania się po okolicy i teraz stały spokojnie w uprzęży.

Inni Zabójcy trzymali swoją broń przy sobie, a pakunki zarzucili na plecy. Wyglądali na gotowych do następnych kłopotów. Oleg i Standa trzymali w gotowości łuki. Tylko Max Schreiber nie przypominał siebie. Był blady, wyciszony i wyglądał na bardzo zmęczonego. Na jego twarzy malował się wyraz głębokiego zamyślenia. Stał wyprostowany i wydawał się nieco wyższy. Zmienił się w jakiś subtelny sposób, ale Felix nie całkiem wiedział, w jaki.

– Ruszajmy – krzyknął Gotrek. – Nadal jesteśmy daleko od Smoczej Doliny.

Malakai szarpnął lejcami. Zabójcy ruszyli marszem. W oddali Felix dostrzegł niewielkie chmury.

Max Schreiber był zmęczony. Wczorajszego dnia zużył mnóstwo mocy podczas bitwy z zielonoskórymi.

Nie spał zbyt dobrze. Żarła go zazdrość, gdy Felix i Ulrika leżeli razem pod kocami po drugiej stronie ogniska. To, w połączeniu z chrapaniem krasnoludów nie pozwoliło mu dobrze wypocząć tej nocy. W końcu, po godzinach wpatrywania się w zimne migotanie gwiazd, udało mu się zasnąć. Miał wrażenie, że minęło tylko kilka chwil, gdy obudził go Snorri. Czuł się, jakby w ogóle nie spał. Wydawało mu się, że oczy pokryte są klejem i bolało go całe ciało. A jednak, biorąc pod uwagę okoliczności, nie czuł się tak źle, jak się tego spodziewał. Zastanawiał się, z czego to wynikało.

Wziął głęboki oddech i sprawdził wiatry magii. Tego dnia wiały słabo, potrafił to wyczuć, ale pomimo tego, gdy ich dotknął, poczuł mrowienie energii w żyłach i powrót sił. Zamknął oczy i zgłębił swoje jestestwo. Czuł się wyczerpany, ale jednocześnie dziwnie podniecony.

Zdawał sobie sprawę także z tego, że zużycie mocy podczas wczorajszej bitwy wyszło mu na dobre, choć trudno było określić, w jaki sposób. Wiedział, że czasami jedyna droga do rozwoju umiejętności wiedzie przez ich stosowanie. Nie uzyskał pełniejszego wglądu w wydarzenia wczorajszej bitwy, ale wiedział, że coś osiągnął. Udało mu się zapanować nad przepływem magicznych wiatrów z większą subtelnością, niż kiedykolwiek wcześniej i zanurzył się najgłębiej jak dotąd w studni swojej duszy. Wiedział, że jego moc wzrasta.

Podczas kilku ostatnich tygodni zmuszony był używać swych mocy częściej, niż w przeszłości. Podczas walki ze skavenami, ze smokiem i wczoraj, z orkami. Używał mocy w sytuacjach pełnych napięcia i pod presją, co rzadko zdarzało się podczas jego życia uczonego. Najwyraźniej, wywierało to na niego znaczny wpływ.

Wcześniej nie był tak bardzo świadom pulsowania niesamowitej energii w runach topora Gotreka

oraz mniej silnej, a jednak potężnej magii, która przenikała miecz niesiony przez Felixa. Wyczuwał, że obie bronie zostały wykute w ściśle określonym celu i wydawało mu się, że jest bliski rozpoznania ich przeznaczenia. „Wiedział, że topór Gotreka został wykuty na zgubę Chaosowi.

A wczoraj, gdy Felix dobył swojego miecza, Max przez chwilę odczuwał, że broń posiada coś w rodzaju świadomości. Zastanawiał się, czy Felix wie o tym. Najprawdopodobniej, tak. Używanie podobnej broni przez tak długi czas byłoby chyba niemożliwie bez znajomości jej tajemnicy. O ile, oczywiście, sama broń nie ukrywała swej mocy i przeznaczenia. Max stwierdził, że powinien przy okazji porozmawiać o tym z Felixem.

To było coś, o czym należało przestrzec młodego człowieka.

Grund padł na twarz przed Ugrem Ludodziercą. Ściśle mówiąc, padł przed namiotem Ugreka Ludodziercy. Rzucanie się na ziemię przed czymkolwiek i kimkolwiek urągało orczej dumie Grundu, ale w przypadku Ludodziercy opłacało się być ostrożnym. Był bardzo nerwowy, a jego temperament wywoływał strach nawet wśród orków. To, a także nawyk obdzierania ze skóry wrogów i pożerania ich po kawałku, gdy jeszcze żyli.

Ochroniarze Ugreka warknęli z kiepsko ukrywaną niechęcią wobec konieczności niepokojenia herszta na Złamanym Nosie. Ugrek pozwolił im na to. Widział wystarczająco wiele razy, jak byli poniżani przez swojego szefa. Natychmiast uciszyli się, gdy odsunęła się płachta zasłaniająca wejście i Ugrek wyszedł ze swojego namiotu z ludzkiej skóry. Grund zadrżał. Szaman Ixix był obok wielkiego szefa, a to nigdy nie wróżyło niczego dobrego. Kurdupel był jeszcze bardziej szalony niż Ugrek i twierdził, że we snach rozmawia z bogami. Grund podejrzewał, że to może być prawda. Z jakiego innego powodu potężny Ludodziercą słuchałby przemądrzałego kurdupla, takiego jak ten goblin?

– Co jest? – zapytał. Grund spojrzał na niego. Ugrek był największym orkiem na świecie. Grund był tego pewien. Szef przewyższał o głowę prawie każdego orka w górach i był znacznie silniejszy od dowolnego z nich. W jednej ręce trzymał swój magiczny tasak. W drugiej ścisnął wielki topór. Jego pancerz musiał zostać wykonany specjalnie dla niego przez pochwyconego ludzkiego kowala, którego Ugrek trzymał przykutego kajdanami do słupka swojego namiotu. Z hełmu wodza wystawały dwa wielkie rogi. Jego ślepia lśniły głęboką czerwienią.

Grund pośpiesznie wyjaśnił, co się mu wydarzyło. Ku jego zaskoczeniu, Ugrek spojrzał na szamana, a potem roześmiał się. Ixix także zaczął chichotać. Śmiał się tak mocno, że musiał wytrzeć nos w swój płaszcz pokryty zeskorupiałymi smarkami. Grund nie widział niczego śmiesznego w tej sytuacji, ale także śmiał się – na wszelki wypadek. Nigdy nie zaszkodziło rozweselić wielkiego szefa. Wkrótce dołączyli ochroniarze. Gdy wszyscy ryczeli już z radości, Ugrek uciszył ich machnięciem pięści. Spojrzał na szamana.

– To na pewno sen – powiedział Ixix. – Bogowie rzekli prawdę. Oni idą zabić smoka, a więc musisz ich zabić. Twój magiczny tasak będzie musiał zmierzyć się z magicznym toporem, a ty zdobędziesz cały skarb smoka.

– Będę największym wodzem orków na świecie? – spytał Ugrek.

– Będziesz największym wodzem orków na świecie.

– Posłać wici! – ryknął Ugrek. – Wezwać plemiona. Ruszamy do Smoczej Doliny. Musimy pozabijać paru karzełków.

Gdy wszyscy popędzili, by wykonać jego rozkazy, Ugrek znowu ich zatrzymał. To było w jego stylu. – I powiedzcie wszystkim chłopakom, by zostawili karzełków, zanim tam nie dotrą. Są moi. Zabiję ich i powyżeram im serca.

Ulrika maszerowała wśród gór. Nie była nieszczęśliwa, ale nie odczuwała szczęścia. Myślała o tym, co dzieje się między nią a Felixem. Czasami była pewna, że go kocha, a potem następowały chwile, gdy była równie pewna, że nic do niego nie czuje. Pasja w dziwny sposób nadchodziła i odpływała. Czasem, jak w tej chwili podczas ostatniej nocy, gdy siedzieli przy ognisku i trzymali się za ręce, czuła że są mocno związani, jakby przez silną magię. Ale bywały chwile, tak jak tego ranka, gdy maszerowali pod zbierającymi się chmurami, że jego najkrótsze spojrzenie było w stanie doprowadzić ją do furii, a widząc głupie oddanie malujące się na twarzy Felixa, chciała go w nią uderzyć. W takich chwilach wydawał się jej innym człowiekiem niż ten, który nocą leżał obok niej. Zdawał się obcym, który w jakiś sposób przedarł się do jej życia.

Myślała o tym przez chwilę i poprawiła się. Nie. Czasami, czuła się, jakby to ona była inną osobą. Jakby coś zmieniło się w niej samej, w sposób, którego nie rozumiała. On był źródłem całego spektrum emocji, które zarówno fascynowały ją, jak i przerażały wciąż na nowo. Obawiała się stracić go i chciała uciec od niego. Udało się mu zdobyć władzę nad jej życiem, a ona zarówno nienawidziła tego, jak i zachwycała się tym.

Spojrzała na kłębiące się chmury i miała wrażenie, że w pewien sposób odbijają jej własny, wewnętrzny niepokój.

– Szykujcie się – rzeki Gotrek. – Wygląda na to, że będzie ulewa.

Szary Prorok Thanquol spojrział na wrota Piekielnej Jamy. Nad nim wznosiły się ściany monstrualnego krateru. Chropowatą skalę pokrywały trujące porosty. Przed nim znajdowało się wejście do nory Klanu Moulder wykute na kształt potwornego szczurzego łba z rozwartym pyskiem. Jego zęby stanowiły pręty opuszczonej kraty z czarnego żelaza. Z oczodołów wychylały się skaweńskie łebki. W oddali Thanquol słyszał porykiwania licznych bestii i wyczuwał obecność oszałamiającej ilości spaczenia. Niebo powyżej migotało dziwnymi kolorami, gdy opary tajemniczych chemikaliów wznosiły się z kominów wewnątrz krateru i zanieczyszczały powietrze w okolicy.

Dobiegający z tyłu grzmot uderzeń kopyt oznajmił Thanquolowi, że jeźdźcy Chaosu oddalili się. Mrowienie ciała mówiło, że zakłęcie, jakie ich spowijało, oddaliło się wraz z nimi. Thanquol był pewien, że było to proste zakłęcie zakrzywiające upływ czasu i zwiększające ich szybkość, co pozwalało im pokonać odległość między Hordą a Piekielną Jamą w jedną czwartą czasu, jaki zabrałoby to normalnie. W każdym razie, miał nadzieję, że to prawda. Nie wyczuwał w sobie ubocznych efektów magii, ani nie stwierdzał, by dotknęła go w nieodwracalny sposób.

Wymruczał modlitwę do Rogatego Szczura, niemal z wdzięcznością za swoje wybawienie. Wyznawcy Tzeentcha dotrzykali swojego słowa i dostarczyli ich nietkniętych do tej cytadeli ludu skavenów. Thanquol tylko przez chwilę zastanawiał się, dlaczego tak się stało. Wyznawcy Pana Zmian znani byli ze swojej przebiegłości, a nie z łaskawości. A jednak, powiadał sobie, zapewne urzekła ich jego niewiarygodna elokwencja. Thanquol wiedział, że bez względu na to, jak są przebiegli, nie mogą mierzyć się z rozumem Szarego Proroka. Jeszcze raz powtórzył sobie, że pokonał swoich wrogów za pomocą czystej mocy swojej inteligencji.

Odczuwał niepokój. Żałował, że przywiedli go właśnie cło tego miejsca. Wolałby dowolną inną twierdzę od Piekielnej Jamy. Thanquol pomyślał jednak, że w czasie sztormu, każdy port jest dobry. Przynajmniej teraz miał do dostarczenia wielkie nowiny. Z pewnością, w obliczu zagrożenia Chaosem, starsi klanu Moulder uznają za sensowne podjęcie współpracy z Thanquolem.

Kopnął Lurka w zadek.

– Wstawaj-wstawaj! Na nogi, ty leniwa bestio! Teraz nie czas na odpoczynek!

Lurk spojrział na niego ślepiami przepelnionymi nienawiścią. Wokół jego ust widoczna była piana. Piersź wznosiła się i opadała niczym miech. Z najwyższym trudem nadażał za Rumakami Chaosu, które unosiły jego pana, ale podejrzewał, że pozostanie w tyle oznacza śmierć i jakoś udało mu się zmusić swoje umęczone ciało do wysiłku. Zaklęcie rzucone przez czarnoksiężników Chaosu ogarnęło także jego. Nie pozostawał w tyle za jeźdźcami pomimo ich nadnaturalnej prędkości.

Teraz Thanquol uświadamiał sobie czerwone skaveńskie ślepia spoglądające na niego sponad wielkiej rzeźbionej bramy. Wiedział, że wycelowano w nich broń i pośpiesznie wzywano posiłki, by wzmocnić strażę. Z wysoka dobiegło piszczenie skaveńskiego głosu.

– Kto tam jest? Czego chcesz od klanu Moulder?

Thanquol wyprostował się i odchylił swój łeb, by w pełni zaprezentować swoje rogi. Wiedział, że strażę rozpoznają znak łaski Rogatego Szczura. Wyczekał kilka uderzeń serca, by mogli się natrzeć, po czym huknął swoim najbardziej imponującym głosem:

– Tu Szary Prorok Thanquol przynoszący ważne wieści dla waszych panów.

– Jesteś Thanquolem, czy duchem Thanquola? Szary Prorok Thanquol jest martwy. Zabiły go krasnoludy i ich ludzcy sojusznicy podczas bitwy pod norą konnych wojowników.

„Zawsze, zawsze trzeba zmagać się z tymi idiotami”, pomyślał rozzalony Thanquol.

– Czy wyglądam na martwego, głupi szkodniku? Otwieraj te wrota i zabierz mnie do swoich władców, albo rzucę straszliwie zabójcze zaklęcie, które pochłonie twoje głupie kości!

Wytworzył wokół swojej łapy poświatę bladego ognia spaczenia, by pokazać, że mówi poważnie. Po prawdzie, był pewien, że magia ochronna wpleciona w ściany krateru będzie w stanie powstrzymać nawet jego najpotężniejsze czarodziejstwo, ale czy zwykły strażnik mógł o tym wiedzieć?

– Muszę skonsultować się z moimi władcami. Czekać! Czekać! – Thanquol nie był pewien, czy skavenowi na warcie chodziło o powstrzymanie jego zaklęcia, czy po prostu prosił o poczekanie pod bramą. To nie miało znaczenia. Wiedział, że po wezwaniu kogoś z dowódców zostanie wpuszczony.

Teraz musiał tylko zastanowić się, co powie? Musiał wymyślić, co najlepiej powiedzieć Moulderom, a co należy przed nimi zataić. Mówił sobie, że takie sprawy mogą poczekać. Nagle powróciła pewność siebie. Wiedział, że skaven o tak wielkim intelekcie nie będzie miał kłopotów z wykpieniem cymbałów z Moulder. Zupełnie tak, jak łatwe było wymanewrowanie wyznawców Tzeentcha.

A jednak, był zaniepokojony. Nawet dla skavena o jego nadzwyczajnych umiejętnościach, ucieczka z łap Hordy wydawała się odrobinę zbyt łatwa.

Felix wpatrywał się w dolinę. Zdumiewało go tempo zmian zachodzących w górach. Tego ranka było jasno i słonecznie, ładnie jak podczas letniego dnia na równinach Kisleva. Teraz zrobiło się posepnie i zimno, a chłód wiatru przypominał mu śnieg i zimę. Ciemne chmury wisiały nisko nad ziemię. W oddali dostrzegał migotanie uderzających piorunów i słyszał odległy huk grzmotów.

Same góry równie dramatycznie zmieniały swój wygląd. Świtem przypominały świetlistych tytanów; były niemal gościnne. Teraz w ponurym świetle wyrastały wielkie i mroczne. Dalsze szczyty zasłaniały chmury. Felix czuł, że jego nastrój także pogrąża się w mroku. Zmiana pogody pogłębiła złowieszczą, ciężką atmosferę wywołaną świadomością, że są coraz bliżej smoczej jamy.

Ulrika przesunęła się naprzód kolumny i obserwowała poboczne razem ze Standą i Olegiem. To było sensowne działanie. Miała najlepszy wzrok i była w stanie zauważyć zagrożenie, zanim udałoby się to pozostałym członkom drużyny. Przynajmniej tak rozumowała. Felix miał wrażenie, że w ten

sposób stara się oddalić od niego. Znowu zaczęła trzymać się z daleka i ignorowała jego próby nawiązania rozmowy. Felix nabierał przekonania, że nigdy nie zrozumie kobiet, a na pewno nie zrozumie jej. Zauważył, że Max Schreiber zrównał z nim krok.

Wyraz twarzy maga był zastanawiający. Wyrażał jednocześnie podniecenie i skrytość. Felix pomyślał, że jego pierwsze wrażenie z ranka było słuszne. Max zmienił się jakoś. Nigdy dotąd nie przypominał tak bardzo prawdziwego czarodzieja. Felix tłumaczył to sobie, że po prostu stał się bardziej świadom mocy, którą władał mag, ale wiedział, że to było coś więcej. Subtelna zmiana zachodziła w magiku od kilku ostatnich dni. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, wyglądał na człowieka obdarzonego mocą.

– Felix, czy mogę zadać ci kilka pytań na temat miecza, który nosisz?

– A czemuż?

– Jestem nim zainteresowany. Mniemam, że jest to artefakt o znacznej mocy i zdaje się, że... on się budzi.

– Co to znaczy?

– Wyczuwam w nim zmiany. Ta broń skrywa pewnego rodzaju świadomość, która nabiera sił.

Felix pomyślał o dawce energii, jaką otrzymał podczas wczorajszej bitwy i o tym, jak broń ochroniła go przed smoczym ogniem na „Duchu Grungniego”. Od dawna wiedział, że miecz posiada magiczne zdolności, ale aż do niedawna oręż nie okazywał ich. Wcześniej po prostu był to miecz, który nigdy nie tępił się, oręż pokryty runami, które lśniły tajemniczo w niektórych okolicznościach.

– Czy myślisz, że to może być niebezpieczne? – zapytał nerwowo. Max wzruszył ramionami. Zmarszczył brwi.

– Nie wiem. Każda magiczna broń jest w jakiś sposób niebezpieczna. Są magazynami mocy, która czasami w nieprzewidywalny sposób wpływa na właścicieli. Świadome bronie są najbardziej niebezpieczne, bowiem potrafią naginać umysły i dusze tych, którzy je noszą.

Felix słysząc słowa magika poczuł mrowienie całego ciała. Nie wątpił, że to prawda. Zwalczył instynktowne pragnienie wyciągnięcia broni i wyrzucenia jej.

– Czy chcesz powiedzieć, że miecz może mną kontrolować?

– To mało prawdopodobne, o ile nie jest szczególnie potężny, a właściciel nie jest szczególnie słaby umysłowo, a śpieszę dodać, że ty nie wydajesz się takim. Może jest w stanie nieznacznie wpływać na twoje myśli, albo przejmować częściową kontrolę w chwilach napięcia. Broń tego typu, do którego jak mniemam należy ten miecz, nie może zdobyć kontroli nad tobą, jeśli nie pozwolisz jej na to. Przynajmniej, mam taką nadzieję.

– Zaczynasz mnie niepokoić, Max.

– Nie miałem takiego zamiaru. Czy mogę spytać, w jaki sposób wszedłeś w posiadanie tej broni?

Felix zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

– Należała do rycerza Albrechta z Zakonu Płonącego Serca. Zabrałem miecz po jego śmierci.

Mówiąc te słowa Felix zdał sobie sprawę, że były one zarówno prawdą, jak i nieprawdą. Miecz należał do Albrechta tylko przez kilka chwil, gdy wydobył go ze skarbu trolla chaosu w Karaku Osiem Szczytów. Rycerz przybył w poszukiwaniu ostrza, które nie należało do niego. A jednak, w pewnym sensie tak było, a przynajmniej wydawało się, że artefakt należy do jego zakonu. Felix wielokrotnie uznawał się ledwie za tymczasowego powiernika broni i miał szczery zamiar zwrócić ją w dogodnym czasie. Podzielił się tymi myślami z Maxem. Magik zamyślił się.

– Zdaje się, że miecz wpływał na twoje myśli od dłuższego czasu, chociaż subtelnie. Wygląda także na to, że podświadomie opierałeś się jego wpływowi, co jest zarówno normalne i instynktowne, jeśli chodzi o magię.

– Dłaczego ten miecz próbuje na mnie wpływać?

– Może wpisane jest w niego takie zaklęcie. A może to jedna z tych broni, które mają ściśle określone przeznaczenie. Może został wykuty w celu zniszczenia konkretnego przeciwnika lub jego rodzaju. Czy kiedykolwiek pomyślałeś, że tak może być w istocie?

– Sądzę, że już znasz odpowiedź.

– W istocie, rzekłbym, że kształt głowicy miecza niesie wyraźną wskazówkę. Domyślam się, że ostrze zaczęło okazywać przemianę po spotkaniu ze smokiem.

– Masz rację – Felix opowiedział magowi o tym, jak miecz ochronił go przed smoczym ogniem i jak interweniował podczas bitwy poprzedniego dnia, gdy Felix obawiał się, że nie przeżyje konfrontacji z bestią. Max słuchał uważnie czekając, aż Felix skończy, po czym powiedział:

– Myślę, że twój miecz został wykuty na zgubę smokom.

– Czy sądzisz, że da mi moc zabicia Skjalandira?

– Nie wiem. Myślę, że potrafiłby zranić Skjalandira w taki sposób, jakiego nie potrafiłoby normalne ostrze, ale nie sądzę, by to gwarantowało, że możesz go zabić. W historii istnieje mnóstwo przykładów bohaterów uzbrojonych w najpotężniejszą magiczną broń, którym nie powiodło się zabicie wielkich smokowców. Nawet Sigmar zaledwie zranił Wielkiego Żmija Abraxasa.

– To nie zabrzmiało zbyt uspokajająco, Max – powiedział Felix. – Przez chwilę myślałem, że stanę się bohaterem jakiejś głośnej opowieści.

– Po prawdzie, Felixie, sądząc po waszych dokonaniach, ty i Gotrek już nimi jesteście. Ja jestem czarodziejem, a nie prorokiem, ani wizjonerem, ale nie sądzę, by twój miecz, topór Gotreka, broń Malakaia, a nawet moja własna laska znalazły się tu przez przypadek. Podejrzewam, że zadziałało przeznaczenie. Gdybym był bardziej próżnym i pobożniejszym człowiekiem, rzekłbym, że to ręce bogów.

– Trudno mi to sobie wyobrazić – odpowiedział Felix. – Łatwiej uwierzyć mi w to, że Gotrek i ja żyjemy obłożeni klątwą bogów.

– Jesteś zbyt cyniczny, *Herr Jaeger*.

– Gdybyś zobaczył to, co ja widziałem, także stałbyś się cyniczny, – rzekł Felix.

Max spojrzał na Felixa, jakby starając się ocenić, na ile poważnie to powiedział. Po chwili, odwrócił wzrok.

– Gotrek miał rację – stwierdził. – Będzie ulewa. Ciężka.

Ścieżka opadała w długą dolinę, która przypominała niziny we wschodniej części Imperium. Drzewa pokrywały pochyłości zboczy doliny. Kamienne murki zamieniały wzgórza w mozaikę zarośniętych pól. Tu i tam wyrastały skupiska dzikich roślin. Felix wyczuwał wyraźny zapach dzikiej jagody i róż. Między murkami widoczne były domy i w pierwszej chwili przybysz mógł stwierdzić, że to miejsce jest zamieszkane.

Po bliższym przyjrzeniu się, Felix stwierdził, że jest inaczej. Szare, nie pokryte tynkiem ściany zbudowane równie solidnie, jak zaporą na rzece, były osmalone i poczerniałe od ognia. Wiele dachów z darni zapadło się. Kuchenne ogródki pozarastały chwasty. Nigdzie nie było śladu zwierząt domowych. Tylko zabłąkany, zdziczały pies spojrzał na nich głodnymi oczami, a potem czmychnął.

– Robota smoka – rzeki Ulli.

– Albo robota rozbójników – powiedział Gotrek, wskazując na białe kości blaknące w wysokiej trawie. Felix podszedł w to miejsce i zobaczył trawę wyrastającą przez oczodoły ludzkiej czaszki. W pobliżu leżał zardzewiały miecz, a po rozgarnięciu trawy pojawiły się gnijące szczątki skózanego pancerza. Wyglądały na obgryzione, być może przez dzikie psy.

Felix oglądając szczątki poczuł zimną wilgoć na swoich włosach i twarzy. Ciemne chmury

wreszcie spełniły swoją obietnicę zesłania deszczu.

– Możemy schować się w tych ruinach – rzekł Max. – Część dachu nadal jest nietknięta, a na reszcie możemy rozłożyć brezent.

– Czemu po prostu nie skryjemy się w wozie – zaproponował Steg z błyskiem w oku.

– Po mojem trypie! – odpowiedział Malakai. Coś w wyglądzie Stega sugerowało, że być może nie jest daleki od tego pomysłu.

– Nie sądzę, by te ruiny były nawiedzane – huknął Ulli. Znowu był pobladły i nerwowy.

– Chyba nie boisz się duchów? – spytał Bjorni. – Prawda?

– Niczego się nie boję! – krzyknął Ulli. – Ale tylko głupiec wzbudza gniew duchów umarłych.

– To znaczy, że powinniśmy tam posłać Snorriego – odrzekł Bjorni z wrednym uśmiechem.

– Snorri myśli, że to dobry pomysł – powiedział Snorri, nieświadom zniewagi. – Snorri nie lęka się duchów.

– W tym miejscu nie ma żadnych duchów, a jeśli są, to tylko duchy kwilących ludzi, a czemuż mielibyśmy bać się ich? – odezwał się Gotrek i ruszył za Snorrim.

– Tak czy inaczej, musimy schować się tam przed deszczem, – rzekł Felix rozglądając się, by sprawdzić, czy Kislevczycy zgadzają się z nim.

– Ja zostanem w mojem wozie – powiedział Malakai Makaïsson spoglądając na Stega spod swoich krzaczastych brwi.

Steg potrząsnął głową i zniknął w środku. Uśmiechał się nieznacznie do siebie. Po raz pierwszy Felixowi przyszło na myśl, że Steg faktycznie czerpie radość z dręczenia inżyniera, a w perwersyjny sposób, Malakai cieszy się z bycia dręczonym. Wzruszył ramionami. Jeśli Zabójcy mieli ochotę zajmować się drobnymi złośliwościami, nie było to jego sprawą.

Deszcz bębnił o dach chatki. Felix stwierdził, że była to typowa chłopska siedziba. Jedna duża izba, niegdyś zamieszkiwana przez ludzi, ich psy i bydło. Deszcz zbierał się w kałuży pośrodku podłogi z ubitej ziemi, tuż pod dziurą w suficie. Szczury harcowały wśród pozostałości mebli. Pomimo wilgoci, Snorriemu udało się rozpałić ogień w palenisku i izbę wypełnił wcale przyjemny zapach drewna. Kłęby dymu unosiły się po całym pomieszczeniu, mieszając się z aromatycznymi oparami z fajek Zabójców. Dobyli ich wszyscy Zabójcy, za wyjątkiem Ulliego i pykali w ponurym milczeniu, które pośród krasnoludów uchodziło za niezwykle towarzyskie.

Nasłuchując deszczu Felix cieszył się, że gobliny nie zaatakowały ich w połowie burzy. Zastanawiał się, jak wówczas działałaby broń na proch używana przez Malakaia. Podejrzewał, że nienajlepiej. Modlił się o piękny dzień, gdy przyjdzie zmierzyć się ze smokiem. To przypominało mu o mieczu. Wyciągnął go z pochwy i zaczął badać ostrze, wpatrując się w nie z niespotykaną wnikliwością.

Stwierdził, że to była dobrze wykonana broń. Od smoczego łba na głowicy do runów na ostrzu – wszystko wskazywało na wysoką jakość rzemiosła. Stał ostrza lśniła. Krawędzie były ostre jak brzytwa, mimo że Felix nigdy nie używał osetki. Runy odbijały światło ognia, ale w tej chwili wydawały się tylko ozdobą. Felix nie dostrzegał żadnego śladu drzemiących w mieczu mocy czarodziejskich i spoglądając na broń nie mógł uwierzyć, by rzeczywiście w nim tkwiły. Miecz wydawał się tak zwykły, że gdyby nie wspomnienia o jego potędze, uznałby go po prostu za oręż jakiegoś bogacza, a nie za mistyczną broń pełną mocy. A jednak, młot Ognistobrodego w Świątyni Grimmira wyglądał podobnie, a Felix doskonale wiedział, jak bardzo okazał się potężny.

– Wyglądasz na zamyślonego – powiedziała Ulrika. Felix spojrział na nią. Kilka chwil wcześniej stała w drzwiach wpatrując się w deszcz.

– A ty wyglądasz ślicznie – odpowiedział.

– Zawsze gotów do pochlebstw – rzekła, ale w jej głosie nie było wrogości. – O czym rozmyślałeś?

– Myślałem o tym mieczu i o tym, jak go znalazłem, a także o smoku. – Chwilę później opowiadał o wyprawie do Karaku Osiem Szczytów, o walce jego, Gotreka i Albrechta w drodze przez mroczne tunele pod górami i o tym, w jaki sposób zabili trolla. Opowiedział jej o duchach krasnoludzkich królów, które pojawiły się przed nimi i o tym, jak pozostawili skarby zaginionego miasta w grobowcu. Mówił o niezwyklej rozmiarach starożytnego krasnoludzkiego miasta. Dopiero w tej chwili zauważył, że w izbie zapadło milczenie i zdał sobie sprawę, że słuchają go wszystkie krasnoludy. Nagle zawstydzony przerwał opowieść, ale Snorri spojrział na niego i powiedział:

– Mów dalej, młody Felixie. Snorri lubi opowieści tak samo, jak każdy inny krasnolud, a twoja opowieść jest dobra.

Pozostałe krasnoludy kiwały głowami zgadzając się z tym i Felix mówił dalej. Opowiadał o bitwach z wojownikami Chaosu w lasach Imperium, o spotkaniach z nikczemnymi kultystami w miastach człowieka. Mówił o bitwie ze skavenami pośród płonących budynków Nuln i o długiej wyprawie przez Pustkowia Chaosu w poszukiwaniu zaginionej krasnoludzkiej twierdzy Karag Dum. Gdy skończył, było już ciemno, a cisza w izbie stała się jeszcze głębsza. Stwierdził, że podczas jego opowieści deszcz przestał padać.

Spojrzał w górę, a w tej chwili kłęb dymu wypełniający izbę uniósł się uderzony nocną bryzą, tą samą, która rozproszyła chmury burzowe. Przez dziurę dostrzegał migotanie zimnego nieba. Unosiły się na nim dwa księżycy. Większy lśnił zimnym srebrem posyłając na ziemię chłodne światło. Mniejszy księżyc lśnił zielonkawo, a otaczająca go aura przesłaniała gwiazdy. Felix był pewien, że wcześniej nie widział tak jasnego lśnienia księżyca, nawet podczas przeklętej Geheimnisnacht, gdy wraz z Gotrekiem walczyli z wyznawcami Slaanasha. Wtedy zrozumiał, w najgłębszej otchłani swej duszy, że moc Chaosu wzrasta w proporcji do lśnienia księżyca. Wiedział, że przez jego całe życie ten księżyc będzie lśnił coraz jaśniej, aż przyćmi większego sąsiada. Felix nagle poczuł się niezwykle przestraszony.

Żaden z krasnoludów nie wydawał się tego zauważać. Wreszcie, odezwał się Bjorni:

– Na Grungniego, Grimmira i Valayę, Felixie Jaegerze, widziałeś więcej pradawnych, świętych miejsc krasnoludów, niż wielu z naszej rasy. Nie wiem, czy zostałeś błogosławiony, czy też przeklęty, ale wierzę, że bogowie spoglądają na ciebie z łaskawością. Czy w innym razie zostałbyś wybrany, by unieść młot Ognistobrodego ?

Wszystkie pozostałe krasnoludy, z wyjątkiem Gotreka, skinęły głowami zgadzając się z tym. Felix przypomniał sobie, że w pewnej chwili podczas jego opowieści, Gotrek zniknął na zewnątrz. Gdy przestał mówić, usłyszał go rozmawiającego z Malakaiem Makaissonem. Bjorni rozejrzył się. Jego brzydka twarz pałała, jak od gorączki. Splunął w ogień, zatarł ręce i przemówił:

– To noc opowieści, więc dam wam historyjkę. Niektórzy z was mogli słyszeć okropne plotki o nocy, gdy spotkałem dwie elfie dziewczki w tawernie w Marienbergu. Chcę wam powiedzieć, że ta historia nie jest prawdziwa. Cóż, nie całkiem prawdziwa. A było to tak...

Jęki i drwiny pozostałych krasnoludów przez chwilę go zagłuszyły, ale on kontynuował nie zmieszany. Felix odwrócił się do Ulriki.

– Wyjdziemy na spacer? – spytał.

Skinęła głową.

Nozdrza Felixa zaatakował zapach wilgoci i ziemi nasiąkniętej deszczem. Rozejrzył się uważnie.

Odeszli dość daleko od chatki i ognia. Może zbyt daleko, biorąc pod uwagę te niebezpieczne góry. A jednak wyczuwał, że oboje chcą zostać sami, by móc swobodnie porozmawiać z dala od krasnoludów. Tylko w ten sposób mogli zdobyć odrobinę prywatności. Felix gotów był zaryzykować niebezpieczeństwo, choćby na kilka minut.

Dłoń Ulriki spoczywająca w jego dłoni była ciepła. Zauważył, że miała palce stwardniałe od miecza. Jej włosy lekko pachniały potem. Podobnie, jak ubranie. To nie był romantyczny zapach, ale należał do niej i to podobało mu się. Spojrzał na jej twarz podziwiając profil dziewczyny. Z pewnością była piękna, a w tej chwili wyglądała na zamyśloną.

– Felix, co stanie się z nami? – spytała.

Zastanawiał się przez chwilę nad tym pytaniem, wiedząc, że nie znalazł lepszej odpowiedzi, niż w Karaku Kadrin. Po chwili, odpowiedział.

– Pójdę z Zabójcami zmierzyć się ze smokiem. Ty pojedziesz do Kisleva i dostarczysz ostrzeżenie twojego ojca Lodowej Królowej. Jeśli przeżyję, wyruszę, by cię odnaleźć.

– A potem co?

– Najprawdopodobniej wyruszymy do Praag, albo w inne miejsce, w którym zbierają się armie, by walczyć z Hordami Chaosu. – Popatrzył na lśniący zielonkawo księżyc i zadrżał – A potem, być może, zginiemy.

– Nie wydaje mi się, bym chciała umierać – powiedziała cicho. Wyglądało na to, że odebrała to jako coś nieuniknione go. Być może, tak było. Wiedział, że urodziła się i wychowała na równinach Północnego Kisleva, gdzie uczono dzieci o obowiązku i śmierci, gdy stawały się dość duże, by zrozumieć ich znaczenie.

– Nikt nie chce.

– Złożyłam świętą obietnicę mojemu ojcu. Muszę powtórzyć jego słowa naszej władczyni. A jednak, przyłapuję się na myśli o... porzuceniu mojego obowiązku i ucieczce. Pragnę znaleźć miejsce, w którym mogłabym schować się na chwilę, by śmiać się, kochać i żyć. Przyłapuję się na takich myślach i jestem przerażona. Co pomyślałby o tym mój ojciec? Co pomyślałyby duchy moich przodków?

– A co ty o tym myślisz?

– Gdybym miała uciekać, czy poszedłbyś ze mną?

Felix spojrzał na nią. Natychmiast zapomniał o swojej przysiędze złożonej Gotrekowi, o przeznaczeniu, o którym opowiadał Max Schreiber, o swoich marzeniach i iluzjach heroizmu.

– Tak. Czy chcesz odejść?

Przez długą chwilę milczała i na jej twarzy dostrzegał wewnętrzne zmaganie. Łza stoczyła się po jej policzku i chciał już wyciągnąć dłoń, by ją wytrzeć. Coś powstrzymało go. Poczuł, że w tej chwili życie ich obojga balansuje na równoważni i jedno słowo może zmienić przeznaczenie. Spojrzał w jej oczy i zobaczył ducha wojny. Pomyślał, że naprawdę go kocha. Chciał się odezwać, ale w tym momencie odwróciła się. Nie poruszył dłonią. Milczenie przedłużało się.

– Nie wiem – powiedziała. – Nie znam cię i już nie znam samej siebie. Jesteś głupcem, Felixie Jaegerze i czynisz głupca ze mnie. Pójdę z tobą, by zmierzyć się ze smokiem.

Odwróciła się ponownie i uciekła w stronę zrujnowanej chaty, biegnąc jakby deptały jej po piętach bestie Chaosu. Felix zastanawiał się, co się tutaj wydarzyło i zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia.

Felix wrócił i stwierdził, że przy ognisku pojawił się nieznajomy. Był to wysoki mężczyzna z bliznami, odziany w skórę. Jego twarz ocieniał skórzany kapelusz o szerokim rondzie. Obok

spoczywał długi miecz schowany w pochwie. Tobiłek z materiału przywiązany na końcu laski wepchniętej w ziemię stanowiącą podłogę i lutnia szarpana delikatnie palcami wskazywały na to, że przybysz jest wędrownym minstrelem uboższego rodzaju.

Nikt nie okazywał najmniejszego zainteresowania, ale nieznajomy nie wydawał się zbyt tym przejmować. Spoglądał tylko z wdzięcznością w ogień i na towarzyszy, z którymi go dzielił. Felix wcale nie był go ciekaw. Chciał porozmawiać z Ulriką, ale już położyła się po drugiej stronie ognia, pomiędzy swoimi ochroniarzami, najwyraźniej postanowiwszy udawać, że Felixa tu nie ma. Felix czuł się dotknięty. Jego duma została zraniona. Pomyślał, że jeśli tego właśnie chce, to niech jej będzie. Tak czy inaczej, potrzebował nieco czasu, by rozważyć jej słowa.

– Ktoś ty? – niezbyt uprzejmie spytał nieznajomego. Obcy odpowiedział mu grzecznie.

– Moje imię to Johan Gatz, przyjacielu. A jak brzmi twoje?

– Felix Jaeger.

– Jesteś kompanem Zabójców?

– Tak.

– W tych górach dość często widuje się podróżujących razem ludzi i krasnoludy. Rzadziej widzi się troje Kislevczyków, czarodzieja, człowieka z Imperium i gang Zabójców, podróżujących w grupie. Czy zebraliście się dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa na drodze, czy też skrywa się za tym historia, o której mógłbym śpiewać.

– To zależy, jakiego rodzaju pieśni śpiewasz – rzekł Felix.

– Wszelkiego rodzaju – odrzekł Johan.

– Jak powiedziałem ci wcześniej, zamierzamy zabić smoka – ryknął chełpliwie Ulli. Johan Gatz zamrugał oczami i podniósł brew. – A ty towarzyszysz tym Zabójcom w ich śmiertelnej misji. Twoi przyjaciele opowiedzieli mi mnóstwo opowieści o tobie i Gotreku. Wiedziecie interesujące życie.

– Najwyraźniej. – Felix nie wiedział, dlaczego czuje się urażony ciekawością tego człowieka, ale tak właśnie było. Ciekawość okazywana przez minstreli była czymś zwykłym. Równie często mieli do zaoferowania wieści i plotki, jak pieśni i muzykę. Krasnoludy nie dbały zbyt o niego, ale Felixowi coś nie podobało się w tym obcym. Próbował wmawiać sobie, że jest niesprawiedliwy, że zdenerwowała go rozmowa z Ulriką, ale coś w tym mężczyźnie wzbudzało jego podejrzliwość.

– Co kazało ci wędrować przez te góry? – spytał Felix. – Myślałem, że to niebezpieczny obszar na samotne wędrowki.

– Minstrel może wędrować, dokąd tylko zechce. Nawet najdzikszy bandyta nie zabije uboższego grajka, gdy może otrzymać piosenkę za darmo.

– Nie słyszałem, by orki i gobliny doceniały w ten sposób wędrownych grajków.

– Potrafię szybko biegać – powiedział Johan Gatz z niewymuszonym uśmiechem. – Chociaż, po prawdzie, muszę wyznać, że jestem dość zaniepokojony tym, co tu znalazłem.

– Doprawdy?

– Tak. Ostatnio przechodziłem tędy kilka lat temu. Wysoka droga łączyła się wówczas z osadami i wioskami, w których dało się zarobić chleb i kilka monet. Okolica nie była tak dzika i pogrążona w bezprawiu. Nie było wówczas żadnych orków, ani bandytów. Gdybym wiedział to, co wiem teraz, nie wróciłbym, lecz pozostał w Ostmarku bez względu na panoszącą się tam konkurencję.

– To byłoby rozsądniejsze.

– *Aye*, byłoby. A jednak, w przeszłość spogląda zawsze mądrzejszy człowiek, jak mawiała moja droga, stara matka.

– Powiadasz, że nawet najbardziej zdesperowani bandyci pozostawiają minstrela w spokoju. Czy spotkałeś jakiś zbójów?

– Spotkałem kilku, którzy mogli nimi być, ale przepuścili mnie.

– Słyszałeś opowieści o Henriku Richterze? Powiada się, że jest tutejszym królem bandytów.

Johan Gatz zaśmiał się głośno.

– A zatem, jak widzę widać dosyć biednym królestwem. Nie widziałem żadnych wielkich armii bandytów, ani nie słyszałem o tym bandyckim królu, chociaż muszę przyznać, skoro o nim wspomniałeś, że to świetny pomysł na pieśń.

– Nigdy nie spotkałem zbójów tak romantycznych, jak ci, o których słuchamy w pieśniach minstreli – rzekł Felix. – Żaden z tych, których spotkałem nie zabierał bogatym, by rozdawać biednym, ani nie walczył z niesprawiedliwymi władcami o prawa dla pospólstwa. Spotkani przeze mnie chcieli wyłącznie oddzielić moją głowę od ramion i moją sakiewkę od pasa.

– A zatem spotkałeś wielu bandytów, *Herr Jaeger*? – zapytał Johan Gatz z dziwnym błyskiem w oku.

– Kilku – odparł Felix.

– Zatem musisz być twardszym człowiekiem, niż na jakiego wyglądasz, skoro nadal żyjesz. Nie wydajesz się być najemnikiem, ani szermierzem, jeśli wolno mi to powiedzieć.

– Rzeczywiście, nie wydaję się – rzekł Felix wyczuwając subtelną zniewagę w słowach mężczyzny.

– Felix Jaeger to jeden z najmocniejszych ludzi, jakiego kiedykolwiek znał Snorri Gryzonos – odezwał się Snorri z drugiej strony ogniska. Felix spojrział na niego zaskoczony. Nigdy nie podejrzewał, że wywarł tak dobre wrażenie na Zabójcy. Nie zdawał sobie także sprawy, że Zabójca dość uważnie przysłuchuje się rozmowie. – Oczywiście, to nie znaczy, że znał ich zbyt wielu – szybko dodał Snorri wśród śmiechu pozostałych krasnoludów.

Felix wzruszył ramionami i ponownie skupił swoją uwagę na minstreli.

– Idziemy zabić smoka – powiedział. – Kryje się w tym materiał na pieśń, jeśli zechcesz nam towarzyszyć.

– Cenię sobie życie – odrzekł minstrel. – Ale jeśli przetrwacie to doświadczenie, znajdźcie mnie, a ułożę pieśń do tej opowieści. Zapewne to uczyni mnie sławnym.

Przerwał na chwilę i zastanawiał się nad swoimi słowami.

– Czy naprawdę myślicie, że macie szansę na przetrwanie? Czy w ogóle dotrzecie do góry, jeśli to, co opowiadasz mi o orkach, goblinach i ludzkich bandytach jest prawdą?

– Już zmusiliśmy do ucieczki bandę zielonoskórych – rzekł Felix, wiedząc, że przechwała się, ale podjudził go do tego ton głosu minstrela. Johan Gatz po raz kolejny uniósł brew.

– Udało się to wam dwunastu?

– Jeden z nas jest czarodziejem. Zabójcy są silni. Malakai Makaïsson jest doskonałym inżynierem od uzbrojenia.

– A zatem używacie krasnoludzkiego oręża, takiego jak działa obrotowe i podobne?

Felix skinął głową. Minstrel zaśmiał się radośnie.

– Najwyraźniej nie zamierzacie zabrać się za zabijanie smoka w tradycyjny sposób. Żadnych białych rumaków, żadnych lancy, ani magicznych broni.

– Mamy i takie – powiedział Snorri. – Topór Gotreka jest magiczny. Zabił nim przekłętą demona. Snorri widział to. A miecz Felixa też jest magiczny. Widać to po runach, jeśli dobrze im się przyjrzeć.

Felix był ciekaw, czy Snorri podsłuchiwał jego konwersację z Maxem Schreiberem, czy też rzeczywiście potrafi rozpoznać to po runach. W każdym razie, Felix wolałby, żeby krasnolud nie wspominał o broni w obecności tego dociekliwego przybysza. Sam miał wrażenie, że powiedział już

zbyt wiele. Nie wiedział dlaczego, ale zaczynał coraz mniej ufać Johanowi Gatzowi, a od samego początku nie ufał mu zbyt bardzo.

– Zdaje się, że was nie doceniłem – powiedział minstrel. – Wasza wyprawa wydaje się wyjątkowo dobrze przygotowana. Prawie współczuję wszelkim bandytom, na których wpadniecie.

– Jest późno – rzekł Felix. – Muszę się trochę przespać.

– To mądra decyzja – odpowiedział kpiąco nieznajomy. – W końcu, czeka przed wami kilka ciężkich dni.

Felix położył się po drugiej stronie ognia. Po raz ostatni rzucił okiem na minstrela i nie był zaskoczony, gdy dostrzegł, że mężczyzna przygląda się mu uważnie. Zaskoczyło go natomiast to, że Max Schreiber spoglądał podejrzliwie na Gatza. Najwyraźniej obaj podjęli podejrzenia do tego człowieka.

Felix zastanawiał się, czy może obudzić się w nocy z podciętym gardłem, ale stwierdził, że to mało prawdopodobne. Każdy, kto chciałby tego spróbować wśród wszystkich Zabójców bardzo szybko skończyłby życie.

Co zresztą nie byłoby wielkim pocieszeniem dla zabitego, jak pomyślał Felix zapadając w niespokojną drzemkę.

Johan Gatz przeklinał. Bogowie znowu na niego splunęli. Gdy zauważył wóz, miał nadzieję znaleźć małą karawanę kupiecką w towarzystwie najwyżej kilku ochroniarzy. Nie spodziewał się gangu Zabójców z tą gromadą ciężko uzbrojonych ludzi. Szczególnie drażniła go obecność czarownika. Nie było sensu próbować wymknąć się, by dać sygnał, który ściągnie z gór Henrika i jego chłopaków. Czarodziej przyglądał się mu zbyt uważnie, a krasnoludy były równie podejrzliwe, co gburowate.

Należało spodziewać się tego. Ostatnio szczęście nie sprzyjało gangowi Henrika Richtera. Sprawy nie szły dobrze od pojawienia się smoka, a orki poruszyły się wzdłuż Wysokiej Drogi. Kiedyś tą ścieżką przechodzili bogaci podróżni, przynajmniej dość bogaci dla małej bandy byłych najemników i rzezimieszków. Teraz, z tyloma nowymi gębami do wyżywienia, nie było łatwo. Johan przeklinał konieczność przygarnięcia ludzkich uchodźców ze zniszczonych wiosek, ale nie było innego sposobu. Potrzebowali dodatkowych mieczy, choćby po to, by utrzymać własną cytadelę przed orkami.

Sądził jednak, że powinien podziękować Sigmarowi za jego drobne łaski. Przynajmniej żaden z podróżników nie poddał w wątpliwość jego przebrania za wędrownego minstrela, chociaż ten człowiek o hardym spojrzeniu, Jaeger, wydawał się podejrzliwy. Pokonanie tej grupy nie będzie łatwym zadaniem, tego był pewien. W tym przypadku nie wystarczy podać niczego nie podejrzewającemu strażnikowi napitek zaprawiony narkotykami, podciąć mu gardło, a potem wezwać chłopaków za pomocą latarni. Ci osobnicy byli twardzi i nie miał zamiaru próbować żadnych sztuczek pod okiem czarodzieja. Zresztą, zawsze słyszał, że krasnoludy wyczuwają zapach trucizny, a potwierdzało to jego własne doświadczenie.

Był pewien, że bez względu na siłę tej drużyny, Henrik Richter i jego bandycka gromada jest w stanie ich pokonać. Przynajmniej mogliby, gdyby Henrik zebrał całą swoją armię w jednym miejscu. Być może dokonałaby tego pięćdziesiątka ludzi Henrika czekających na wzgórzu powyżej. Być może – to kluczowe stwierdzenie. Ta banda wyglądała na twardą, a nawet jeśli Henrikowi i chłopakom udałoby się ich pokonać, zapewne napadnięci zabraliby ze sobą do piekła niedopuszczalnie wielu z jego ludzi. Podsumowując, zapewne lepiej byłoby zostawić ich w spokoju.

Johan wiedział, że jego nocna wyprawa nie przyniesie żadnych korzyści. Z drugiej strony

pojawiwały się pewne możliwości alternatywne. Może mógłby zaproponować Zabójcom sojusz przeciw orkom. Wiedział, że karzełki nienawidzą zielonoskórych jeszcze bardziej, niż on sam. Pomyślał, że zapewne nic by to nie dało. To byli Zabójcy w drodze do walki ze smokiem, a Johan wystarczająco dobrze znał zwyczaje krasnoludów, by wiedzieć, że stanięcie pomiędzy karzełkiem, a furą złota było pewnym sposobem na zdobycie na piersi odcisków od ciężkich buciorów.

Właśnie w tej chwili wpadł na pomysł. To była dobrze wyposażona wyprawa. Może Zabójcom uda się zabić smoka. A może nie. Ale zawsze istniała możliwość, że to uda się im, albo zranią go na tyle poważnie, by bestię zdołała zatłuc armia ludzi. W takim przypadku...

Skjalandir miał wielkie skarby, to było pewne. Smoki zawsze je miały. Jeśli tak, można było zdobyć skarb śledząc tych maniaków i obserwując przebieg wydarzeń. Nawet jeśli zwyciężą, zapewne będą wystarczająco osłabieni, by Henrikowi i jego chłopakom udało się pokonać ich w bitwie. A jeśli przegrają, może wcześniej uda się im osłabić smoka. Jutro wyjawি ten pomysł Henrikowi. Był pewien, że jego kuzyn natychmiast doceni jego znaczenie.

Johan oblizał usta na myśl o smoczym skarbie. Był pewien, że jego część łupu wystarczy do wykupienia małej gospody w Nuln i pozwoli na porzucenie niebezpiecznego zawodu bandyty. Wmawiał sobie, że sprawy przybiorą dobry obrót i pogrążył się w marzeniach o górach złota.

Szary Prorok Thanquol rozglądał się po wielkim przedsionku Wieży Moulder. Był wściekły i przepełniony strachem. Od czasu swojego przybycia do Piekielnej Jamy stale czekał. Wojownicy klanowi w barwach swoich panów wprowadzili go i Lurka do tej wielkiej sali, a potem tam pozostawili. Zastanawiał się, dlaczego przyprowadzono ich tutaj. Nigdy wcześniej nie znalazł się wewnątrz cytadeli Moulderów. Poprzednio wszelkie interesy z nimi przeprowadzał w jaskiniach w ścianach krateru, których klan używał podczas swoich transakcji. Thanquol nie był pewien, czy przyprowadzenie go tutaj było dobrym, czy też złym znakiem. Przebywanie w samym sercu miasta sprawiało, że czuł się niezwykle podenerwowany. Wypróbował wiatry magii, by uspokoić się. Zauważył, że moc mrocznej magii była tutaj silna. Nie było to zaskoczeniem, biorąc pod uwagę, jak blisko znajdowały się pustkowia Chaosu i jak wiele pyłu spaczenia unosiło się w powietrzu. A jednak to go nie uspokajało.

Jeszcze raz rozejrzał się po otoczeniu, szukając ukrytych otworów w ścianach, których istnienia był pewien. Było zupełnie nieprawdopodobne, by dowolny klan skavenów pozwolił nieznanemu stać bez nadzoru w sercu swojej fortecy, a Klan Moulder należał do najbardziej przebiegłych i podejrzliwych ze wszystkich klanów szcziroludzi.

Thanquol podszedł do okna i spoglądał ponuro na pogrążone w mroku miasto. Szyba nie była wykonana ze szkła, tylko z jakiejś przezroczystej, skórzastej substancji, której zapach przypominał mu mięso. To było niepokojące przypomnienie, że materiałem, na którym opierała się potęga i fortuna klanu Moulder była sama materia życia.

Thanquol spojrzał w dół na dziwaczne zarysy miasta. Wnętrze krateru zdominowały wielkie wieże, które przypominały kły jakiegoś ogromnego potwora. Z ich wysokich wierzchołków wydostawały się kłęby świecącego dymu: sinej zieleni, rubinu, kobaltowego błękitu i wszelkiego rodzaju innych toksycznych odcieni. Kolumny dymu wznosiły się zasilając wielką chmurę zanieczyszczeń, która wiecznie unosiła się nad kraterem, a czasami opadała tworząc gęstą, nieprzenikalną dla wzroku mgłę. Thanquol widząc słabe, osobliwe lśnienie domyślał się, że dym zawiera uwiecznione cząsteczki spaczenia. Po części czuł się rozgniewany tak jawnym marnotrawstwem, po części zaś był zdumiony widząc dowody takiego bogactwa. Nie miał pojęcia, co dzieje się w tych wieżach, ale kakofonia krzyków, wycia i zwierzęcych ryków wskazywała, że nie

jest to nic przyjemnego.

Między wieżami widniały inne budynki skonstruowane na modłę obcą skavenom. Thanquol patrząc na nie stwierdzał, że były to wielkie namioty rozpadającego się, skórzastego ciała, narzuconego na potężne szkielety z powykrzywianych kości. Miały dziwny wygląd wielkich pajaków, albo żuków zastygłych w miejscu przez osobliwą magię. To były koszary, w których mieszkali niewolnicy i wojownicy klanu. Ulice poniżej kłębiły się od skavenów i Thanquol zdał sobie sprawę, że być może Piekielna Jama była miastem szczuroludzi, które ustępowało liczebnością populacji tylko Skavenblight.

Tu i tam, wśród szerokich ulic widniały lśniąco zielonkawo jeziora zanieczyszczonej wody, rzekomo nadal zawierającej cząstki spaczenia, którego upadek wytworzył ten wielki krater. W oddali, dostrzegał migotanie tysięcy świateł – okien w ścianach krateru. Podobno cała ściana zagłębiała się w nieskończone labirynty tuneli i sztucznych jaskiń, które zapewniały miejsce dla nor i laboratoriów klanu. Thanquol obserwował, jak otworzyły się wielkie wrota w zboczu krateru i pojawił się wielki stwór. Z tej odległości, w ciemnościach Thanquol nie widział wszystkich szczegółów, ale sylwetka kreatury sugerowała, że jest to jaskiniowy szczur, który osiągnął rozmiary mastodonta. Na jego grzbiecie spoczywała lektyka.

Na tle nocnego nieba zamigotały kształty, które w pierwszej chwili Thanquol uznał za nietoperze, ale szybko zdał sobie sprawę, że były zbyt duże. Najprostsze wytłumaczenie mówiło, że były to zmutowane nietoperze, które wyrosły do ogromnych rozmiarów, ale jeden z nich zbliżył się do wieży i Thanquol spostrzegł, że to skaven z nietoperzowatymi błonami pod ramionami. To błuznierstwo wstrząsnęło Thanquolem. Czyż Rogaty Szczur nie stworzył skavenów na swoje podobieństwo? Czyż ta ingerencja w formę najlepszego ze stworzeń nie była największym świętokradztwem? Thanquol zawsze wiedział, że Moulderzy są dość szaleni. Nigdy jednak nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo.

A jednak, na swój sposób to było błyskotliwe szaleństwo. Nawet on musiał to przyznać. W tym jałowym miejscu z dala od prawdziwego centrum cywilizacji skavenów, klan Moulder dokonał rzeczy, o których nie śnił nawet Thanquol. Zastanawiał się, czy Rada Trzynastu zdaje sobie sprawę z osiągnięć klanu. Thanquol pomyślał, że z pewnością musi jakoś wykorzystać tę wiedzę.

Ponownie rozejrzał się po komnacie. Tutaj także widoczne były dowody szalonego geniuszu Moulderów. Pokryte skórą trony i siedziska wydawały się niesamowitymi, uspiętymi żywymi stworzeniami. Za każdym razem, gdy Thanquol odwracał wzrok, sprzęty odrobinę zmieniały położenie, w sposób zarówno doprowadzający do szaleństwa, jak nieco złowieszczy. Szary Prorok Thanquol podejrzewał, że cała sala została zaprojektowana, by zaniepokoić gości i wytrącić ich z równowagi przed konfrontacją z budowniczymi. Wreszcie, Thanquol znalazł to, czego szukał. Wysoko pod sufitem, pośród zasilanych spaczeniem kul żyrandola zauważył zbiorowisko ślepi. Poruszyły się nieznacznie, gdy je obserwował, a potem, w odpowiedzi na fakt, że je zauważył, wycofały się w głąb sufitu znikając z pola widzenia.

Jakby na ten sygnał otworzyły się przypominające wielkie szczęki drzwi do komory i wkroczyła niezwykle tłusta postać Izaka Grottle'a. Za nim szedł żywy stół nakryty kościanymi misami i przezroczystymi, mięsnymi talerzami.

– Witaj, w imieniu klanu Moulder, Szary Proroku Thanquolu – zahuczał Grottle swoim nienaturalnie głębokim głosem. – Witaj serdecznie. Dobrze widzieć cię ponownie.

Thanquol wątpił, by jego stary rywal był choć trochę zadowolony z jego widoku. Grottle wielokrotnie próbował zdradzić Thanquola, gdy Szary Prorok wiódł armię na Nuln. Między nimi jątrzyła się nieprzyjaźń, a Thanquol przysiągł pewnego dnia dokonać zemsty na Grottle'u. Nie wątpił, że w dogodnych okolicznościach, Moulder spróbuje pozbyć się go. Wiedział, że musi być ostrożny.

Grottle opadł na jeden z tronów. Skórzasta tapicerka dostosowała się do jego kształtu, rozszerzając się, by stworzyć miejsce dla wielkiego tłustego zadu, a potem w nienaturalny sposób otuliła go. Nogi siedziska ugięły się nieznacznie, jakby z wysiłku, a Thanquol mógłby przysiąc, że usłyszał ciche jęknięcie. Po chwili, oparcie fotela zaczęły przebiegać fale, które zaczęły masować siedzącego. Grottle pochylił się i poczęstował małym, gotowanym szczurem ze stołu, który sam ustawił się przed nim.

– A zatem, Szary Prorok Thanquol powrócił przynosząc łupy po ataku na norę konnych ludzi, które obiecał moim władcom klanowym. Przybyłeś opowiedzieć o udanym przechwyceniu krasnoludzkiego statku powietrznego i sprowadziłeś tajemnice jego konstrukcji, by podzielić się nimi z moimi panami. Przynosisz wieści o miejscu pobytu wojowników klanu Moulder, którzy towarzyszyli ci podczas tej misji.

Grottle wpełchnął całego szczura w gardło, a potem uśmiechnął się nikczemnie. Wiedział, że Thanquol nie przynosi tak miłych wieści. Szary Prorok zdał sobie sprawę, że to cieszy Grottle'a.

– Niezupełnie – odpowiedział Thanquol, niespokojnie wymachując ogonem. Grottle połknął kolejny kęs.

– Niezupełnie – mruknął do siebie głosem, w którym kryło się zadowolenie. – Niezupełnie. To nie są dobre wieści, Szary Proroku Thanquolu. Nader niedobre. Klan Moulder użył ci usług kilkuset ze swoich najlepszych wojowników oraz wiele, wiele z naszych najbardziej zabójczych bestii, ufając, że otrzymamy swój udział w łupach, po twoim sukcesie. W ostateczności, zakładaliśmy, że potem zwrócisz nam naszych wojowników i nasze bestie.

Thanquol wiedział, że Grottle ma świadomość niemożliwości wypełnienia tych obietnic. Gruby potwór po prostu bawił się z nim, mając Szarego Proroka w swojej mocy. Zastanawiał się, czy Grottle ośmieli się go pozbyć. Thanquol był w końcu jednym z wybrańców Rogatego Szczura i ulubionym wysłannikiem Rady Trzynastu. Z pewnością, nawet ta żarłoczna bestia nie ośmieli się go skrzywdzić. Po krótkim namyśle Thanquol stwierdził, że niestety, prawda wygląda inaczej.

W tej chwili, o miejscu jego pobytu wiedzieli tylko Moulderzy i Lurk. Wyruszył na wyprawę w największej tajemnicy, mając nadzieję na zdobycie statku powietrznego dla siebie i triumfalny powrót do Rady. Jeśli coś stanie mu się teraz, będzie to wyglądało, jakby po prostu zniknął z powierzchni ziemi. Sierść Thanquola nastroszyła się w odpowiedzi na tę niesprawiedliwość. Przybył tu w dobrej wierze, by ostrzec Moulderów o niebezpieczeństwie zbliżającej się hordy chaosu, a oni gotowi byli zamordować go za jakiś drobny dług, który według nich był im winien. Spojrzał na Grottle'a przysięgając, że jeśli cokolwiek mu się stanie, ten gruby głupiec zapłaci za swoją bezczelność. Nadal potrafił rozbijać swoich wrogów na składowe atomy. Grottle wkroczył do tej sali na własne ryzyko. Jakby wyczuwając zmianę w nastroju Thanquola, Grottle podniósł na niego wzrok i warknął. To był groźny odgłos, a Thanquol przypomniał sobie, że mimo swojej ogromnej masy, Moulder potrafi być niesamowicie szybki i przerażająco silny w bitwie. Pozwolił odrobinę ułagodzić się swojemu gniewowi, ale pozostał gotowy do natychmiastowego przywołania swoich mocy w obronie własnej.

– Wojownicy nie wrócili? – spytał Thanquol udając zaskoczenie.

– Bardzo niewiele – przyznał Grottle, nabijając kolejny kęs na jeden z pazurów, przenosząc go do ust i połykając jedzenie. – Przynieśli nieskładne opowieści o bitwie, czarodziejstwie i masakrze skavenów. Pojawiły się sugestie o niekompetentnym dowództwie, Szary Proroku Thanquolu. Bardzo niekompetentnym dowództwie.

– Pozostawiłem kierownictwo nad stroną militarną tej misji w rękach Moulderów – szybko odparł Thanquol, wiedząc, że w pewnym sensie to była prawda. To nie jego wina, że dowódcy

Moulderów nie byli w stanie wprowadzić w życie jego błyskotliwych planów. – Nie przesadzałbym w ocenie ich skuteczności.

Grottle potrząsnął łbem, jakby Thanquol był wyjątkowo tępym szczeniakiem, który nie potrafi zrozumieć jego słów.

– Jak sądzę, to do ciebie należało nadrzędne przywództwo, Szary Proroku Thanquolu. Byłeś odpowiedzialny za powodzenie misji. Złożyłeś liczne zapewnienia wodzom klanowym Moulderów. Są... rozczarowani. W istocie, nadzwyczaj rozczarowani.

Ogon Thanquol zeszytywniał ze wściekłości. Szary Prorok gniewnie obnażył swoje kły. Nimb światła błysnął wokół jego palców, jakby czarnoksiężnik szykował się do uwolnienia swojego najbardziej niszczycielskiego zaklęcia.

– Zanim zbyt pośpiesznie uczynisz cokolwiek, Szary Proroku Thanquolu, proszę, rozważ me słowa – rzekł Grottle. – Po klęsce w Nuln nie stoję tak wysoko w hierarchii mego klanu, jak niegdyś. Można powiedzieć, że popadłem w niełaskę. Można także powiedzieć, że moi władcy klanu uważają mnie za zbędnego, toteż właśnie dlatego wysłali na rozmowę z tobą. Możesz także zauważyć, że znajdujesz się w sercu największej cytadeli klanu Moulder. Wokół oczekują tysiące tysięcy wojowników klanbraci. Nie wspominając o praktycznie nieograniczonej liczbie odmienionych bestii. Każdy, kto będzie dość głupi, by zaatakować członka klanu, a potem spróbuje uciec z tego miejsca, nie ujdzie dalej niż sto kroków. Wspominam o tym wiedząc, że jesteś zbyt mądry, by próbować czegoś równie głupiego. O wiele zbyt mądry.

Thanquol zagryzł zęby we frustracji. Groźba Grottle'a była czytelna. Jego przemowa wskazywała także fakt, że nikt nie przejmie się, jeśli uczyni z Grottle'a swojego zakładnika i będzie próbował wynegocjować ucieczkę. Niemal ze wstydem przyznawał, że nawet nie brał pod uwagę takiej możliwości. Grottle mówił dalej. Jego głęboki głos brzmiał łagodnie, niemal przyjemnie.

– Prawdę mówiąc, jestem zaskoczony, że przybyłeś tutaj. Nie spodziewałem się tego po... wstydzie związanym z okrętem powietrznym. Dlaczego przyszedłeś?

– Przynoszę przerażające wieści, a także ostrzeżenie dla władców klanu Moulder.

– A cóż to za wieści? – zapytał Grottle bez zainteresowania. Wyssał coś ze swojego wysuniętego pazura. Thanquol zauważył, że jego szpony wyglądały na niepokojąco ostre.

– Horda Chaosu, nieograniczona liczebnie i przepotężna kieruje się na południe. Zdaje się, że słudzy czterech Potęg opuszczają Pustkowiec i ruszają na południe, jak to uczynili pokolenia wcześniej.

– To straszliwe wieści. Jeśli to prawda. ;

– To prawda. Przysięgam na Trzyńście Tajemnych Imion Rogatego Szczura. Widziałem tę armię na własne oczy, weszłem wśród niej własnym pyskiem. Lurk i ja ledwie uciekliśmy z życiem. Thanquol stwierdził, że lepiej nie wspominać o tym, że wyznawcy Tzeentcha wypuścili go. Nie chciał dawać Grottle'owi okazji do uznania go za szpiega lub zdrajcy sprawy skavenów. Wiedział, że istniało wielu zazdrosnych szczuroludzi, którzy z wielką ochotą przyjęliby taką interpretację wydarzeń, pomimo oczywistej śmieszności podobnego pomysłu. Chociaż imię Thanquola stanowiło synonim oddania sprawie skavenów, on sam był dość mądry, by wiedzieć, że miał wrogów, którzy pochwyć pokrętną interpretację jego najbardziej niewinnych działań. Modlił się, by Lurk także o tym pamiętał.

– A zatem to straszne nowiny, czyż nie? Co według ciebie powinniśmy uczynić?

– Powinniście zebrać wasze armie i szykować się do obrony Piekielnej Jamy przed inwazją sił Chaosu. To może nastąpić niebawem.

– A jeśli nie nastąpi?

– Tak czy inaczej, zbierzcie swoje armie. Z pewnością horda wywoła przerażenie i podniesie alarm. Podczas nadchodzącej wojny będzie wiele korzystnych okazji dla sprawy skavenów.

Mimo, że dał ponieść się słowom, Thanquol dostrzegł, że były prawdziwe. Horda Chaosu zamierzała zaatakować ludzkie królestwo. Bez względu na wynik, wojna z pewnością osłabi także stronę zwycięzcy. Skavenom pozostawało czekać, a nowe możliwości bez wątpienia same wpadną w ich wyciągniętą łapę.

– Rada Trzynastu musi natychmiast zostać powiadomiona, Grottle ziewnął i podniósł się ze swojego siedziska.

– Masz rację, Szary Proroku Thanquolu. Złożę raport z twych słów moim panom. Oni postanowią, co uczynić dalej.

Thanquol nie mógł w to uwierzyć. Właśnie przekazał temu grubemu głupcowi informację o największym znaczeniu, a on nie dostrzegł, jak bardzo jest pilna w obliczu tej sytuacji. Thanquol miał ochotę rozerwać go z czystej frustracji. Powstrzymał się wiedząc, że Grottle przekaze wieści Radzie. Trzeba będzie zebrać armie i opracować plany. Wiedział, że nikt nie jest lepiej przygotowany do pokierowania taką siłą, niż on sam. W tym podnieceniu prawie zapomniał o statku powietrznym. Podczas zbliżającej się wojny znajdzie bez liku okazji, by okryć się chwałą i poprawić swoją pozycję w oczach Trzynastu. Rogaty Szczur z pewnością ponownie go pobłogosławił. Jeszcze raz znalazł się we właściwym miejscu, o właściwym czasie.

Grottle zatrzymał się u wejścia do komnaty.

– Przy okazji, Szary Proroku Thanquolu, dopóki nie zapadnie decyzja, pozostajesz gościem mojego klanu. Zadbamy o twoje bezpieczeństwo. Dopilnujemy, by zaspokoić twoje potrzeby. Jesteś w końcu bardzo specjalnym gościem. Jestem pewien, że rozumiesz, co mam na myśli.

Serce Thanquola zamarło. Doskonale wiedział, co Izak Grottle chciał przez to powiedzieć. Teraz wiedział bez cienia wątpliwości, że został więźniem klanu Moulder.

W DOLINIE ŚMIERCI

Felix spoglądał w dół na wejście do Smoczej Doliny. Nie widział równie przygnębiającego widoku od czasu opuszczenia Pustkowi Chaosu. Wokół brzegów małego jeziora leżało skupisko wypalonych ruin, jakie niegdyś stanowiły miasto. Wszystkie domy, wieże strażnicze i farmy, które kiedyś otaczały osadę, zostały całkowicie zdewastowane. Pola pozarastały, a tu i tam pośród wysokiej trawy błyskało bielą coś, co mogło być tylko kośćmi. Na swój sposób to było jeszcze gorsze od pustkowi, ponieważ ziemie poniżej były kiedyś równie tętniące życiem i rozwijające się, jak teraz opustoszałe.

Po drugiej stronie doliny wznosił się wielki, nagi szczyt wyrastający wysoko ponad zbocza wzgórz. Ta góra miała w sobie coś szczególnie przerażającego. Wywoływała wrażenie czyjeś obecności i zagrożenia. Patrząc na jej szarawe boki można było wyczuć, że tam czai się coś straszliwego. Felix próbował sobie wmówić, że to tylko jego wyobraźnia. Wiedział, że znajdowali się w bliskości smoczej jamy i jego wyobraźnia wyrabiała nadgodziny, czemu sprzyjała atmosfera smutku i zniszczenia.

Próbował wziąć się w garść, ale znał prawdę. W tym miejscu stało się coś koszmarnego. Nie słyhać było śpiewu ptaków. Wiatr wiejący w dół doliny niósł żałobne zawodzenie. Chmury na niebie zwisały nisko i ciężkavo. Felix obawiał się, że w każdej chwili może podnieść wzrok i dostrzec wielki skrzydlaty kształt opadający prosto na nich.

To był długi marsz. Minęły prawie trzy dni od ich spotkania z Johanem Gatzem, a podczas tego czasu jego podejrzenia względem samozwańczego minstrela wzrosły. Bywały momenty, gdy Ulrice wydawało się, że zauważa ludzi obserwujących ich ze wzgórz. Chwilami on sam dostrzegał zielonoskórego poruszającego się równoległe do nich wzdłuż wysokich zboczy. Wyglądało na to, że podczas wędrówki przez góry śledzą ich co najmniej dwie grupy.

Obserwatorzy zachowali jednak dystans. Trzymali się daleko poza zasięgiem strzał i znikali na pierwszy znak pościgu Zabójców. Jak dotąd, zielonoskórzy pamiętali lekcję udzieloną orkom. Najwyraźniej los wcześniejszych napastników nauczył czegoś niedoszłych organizatorów zasadzki. A może chodziło o coś innego? Felix nie wiedział tego. Może teraz, gdy wkroczyli do Smoczej Doliny, pozostaną w niej sami? Felix pomyślał, że *może* zielonoskórzy po prostu czekają, by smok zabił intruzów, po czym zejdą i obrabują zwłoki. O ile smok pozostawi cokolwiek do zrabowania. Felix nie czuł się zbyt pewnie, co do wyniku ich misji. Zbyt łatwo było uwierzyć, że wszyscy zginą w tym miejscu.

Rozprostował ramiona i uśmiechnął się na próbę mając nadzieję, że w ten sposób zmieni swój nastrój. Mówił sobie, że w najgorszym przypadku, przynajmniej Gotrek odnajdzie swoją, od tak dawna poszukiwaną zagładę. Spojrzał na Ulrikę i wszelkie radosne myśli znikły. Prawie ze sobą nie rozmawiali podczas wyprawy w to miejsce. Właściwie, odzywała się częściej do Maxa Schreibera, niż do Felixa. Było oczywiste, że unika go celowo.

W każdym razie, nie winił jej. Jaką przyszłość mieli przed sobą? Zapewne zginą w ciągu następnych dwóch dni. A nawet, jeśli jakimś cudem przeżyją spotkanie ze smokiem, wkrótce będą musieli zmierzyć się z hordą Chaosu wdzierającą się do Kislewa. Felix nie był pewien swoich własnych odczuć. Ranił go sposób, w jaki go traktowała oraz czuł się absurdalnie i przesadnie przewrażliwiony jej zachowaniem. Chwilami, podczas marszu bardziej niepokoił go fakt, że ona unika jego wzroku, albo jej rozmowy z Maxem, niż możliwość, że wkrótce zostanie zabity przez

smoka.

Przynajmniej Max wyglądał radośnie. Uśmiechał się dowcipkując z Ulriką. Felixa skręcał żołądek, gdy widział jej wdzięczny uśmiech. Był zazdrosny, czuł się winny i nie mógł nic z tym zrobić.

Oleg i Standa także starali się na niego nie patrzeć. Był pewien, że to nic osobistego. Po prostu stali po stronie Ulriki, co było ich obowiązkiem. Nie mogli stanąć za nim, nawet gdyby tego chcieli. Felix przeklinał pod nosem. Nawet wobec bolesnych standardów podróży, jakie wycierpiał z Gotrekiem, ta wyprawa była żalosna.

– Gdzieś tutaj jest smok! – ryknął Ulli. – Czuję go.

Pozostali Zabójcy spojrzeli na młodzieńca z mieszaniną pogardy, zdumienia i irytacji.

– Czy twój czuły nos mówi ci, jak szybko go spotkamy? – spytał Gotrek z sarkazmem. Ulli zamilkł.

– Sądzę, że zawitamy u smoka za niecały dzień – rzekł Bjorni. – Zobaczymy go przed zachodem.

– Ciekawe, jak wiele ma skarbów? – zastanawiał się Steg. Felix spojrzał na niego z niepokojem. W oczach krasnoluda dostrzegął lśnienie gorączki złota. To nie był kojący widok. Najwyraźniej nie tylko on to zauważył.

– Ni myrtw siem o złyto smoka – powiedział Malakai. – Lypij wypatruj samyj bystii.

Grimme utkwił spojrzenie w Stegn. Zabójca zaczął gapić się na swoje stopy. Wydawał się zawstydzony.

– Tam na dole jest coś jeszcze – odezwał się Gotrek. – Czuję to i to nie jest smok.

Felix miał więcej zaufania dla nosa Gotreka niż Ulliego.

– Co to takiego? – spytał.

– Nie wiem – odpowiedział Gotrek. – Ale cokolwiek to jest, możesz się założyć, że nie będzie przyjazne.

– A to dopiero nowina – mruknął Felix.

– Kimże jesteście? – spytała szalona kobieta, gdy weszli do zrujnowanego miasta. Stała na zewnątrz szczątek gospody. Podobnie, jak wszystkie budynki w mieście, gospoda została wybudowana z kamienia. Teraz stanowiła jedynie dowód smoczych zdolności niszczycielskich. Jej ściany zostały osmalone i spieczone zarem płonącego drewna bali. Miejscami kamienie stopiły się i opadły potraktowane oddechem smoka.

Felix patrzył na nieznajomą. Miała brudną twarz i osmalone odzienie. Okrywały ją obdarte szmaty. Poczerniała przepaska podtrzymywała nad oczami jej zmatowiałe włosy. Inne szmaty okręciła sobie wokół stóp. Wielki pazur, przypominający szpon, wystawał z zawoju wokół lewej stopy. Spoglądając w oczy kobiety, Felix zrozumiał, że zdrowy rozsądek opuścił ją dawno temu.

Krasnoludy przyglądały się jej ostrożnie. Gotrek ostrzegł ich kilka minut temu, że są obserwowani i wszyscy przygotowali broń. Trudno było powiedzieć, jakie zagrożenie dla tej ciężko uzbrojonej drużyny stanowiła nieznajoma, chyba że była wiedźmą. Felix zerknął na Maxa. Jakby odczytując jego myśli, czarownik spojrzał na kobietę i potrząsnął głową.

– Jesteśmy podróżnymi i przechodziliśmy tą okolicą – rzekł Felix. – Kim jesteś?

– Kiedyś miałam imię. Miałam mężczyznę. Miałam dzieciątka. To był mój dom – dzikim gestem wskazała wypaloną skorupę gospody. – To minęło. Teraz czekam. Teraz wy idziecie. Idziecie, by spotkać śmierć.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Śmierć czai się na waszej drodze. Mieszka w jaskini w górach. Śmierć przyszła tutaj i pożarła

moją rodzinę, moich przyjaciół, moje dzieci. Śmierć wkrótce znowu przyjdzie, po mnie.

Felix czuł szczere współczucie dla starej kobiety. Widziała, jak smok niszczy całe jej życie i uciekła w szaleństwo. To była kolejna ofiara potwora, podobnie jak biedny Varek.

– To smok zabił twoich ukochanych – powiedział wreszcie.

– Śmierć jest smokiem. Smok jest śmiercią – odrzekła i wydała z siebie wysoki, rechoczący śmiech. – A śmierć ma tutaj wiele sług i wielu wyznawców. Wkrótce przekonacie się o tym. Tak, jak to stało się z innymi.

– Jakimi innymi?

– Innymi krasnoludami z wielkimi toporami i okropnymi grzywami. Potężnymi ludźmi dosiadającymi rumaków i uzbrojonych w lance. Gwałtownych ludzi, którzy przybyli szukać skarbu śmierci. Wszyscy są teraz kośćmi rozrzuconymi wzdłuż drogi do jaskini śmierci.

Felix zrozumiał, że mówiła o Zabójcach, którzy przyszli przed nimi. Myślał jednak o rycerzach i tym oddziale najemników, którzy najwyraźniej poszukiwali smoczego skarbu. „Wydawało się, że Skjalandir zniszczył ich wszystkich.

– Opowiedz mi o tych najemnikach – poprosił Felix. – Kim byli?

– Przybyli szukać złota śmierci. Mieli miecze, tarcze i topory. Mieli wielkie maszyny zniszczenia i czarowników do rzucania zaklęć. Wspięli się na górę śmierci. Śmierć zabrała ich. Śmierć połknęła ich ciała i wypluła kości. Pozwoliła kilku z nich uciec, a potem polowała na nich, latając za nimi na swych skórzastych skrzydłach. Słuchała ich krzyków, gdy padał na nich cień potężnych skrzydeł. W końcu, śmierć zabrała ich wszystkich, ale wcześniej kazała im cierpieć.

– Smok bawił się z nimi – powiedział złowieszczo Max Schreiber.

– Śmierć nie jest łagodna – rzekła kobieta. – Śmierć przyjdzie po nas wszystkich. Niektórym pozwala żyć, by mogli ją wychwalać. Niektórych karze za nieposłuszeństwo swej woli. Śmierć jest straszliwym, gniewnym bóstwem. Lepiej zawróćcie, nieznajomi, póki jeszcze możecie.

– Chcesz powiedzieć, że niektórzy z ocalałych mieszkańców czczą smoka? Ty też?

– Niektórzy, co tu mieszkają zabijają przybyszów i składają ich jako ofiarę dla śmierci. Powiadają, to głupcy. Na cóż śmierci ich ofiary? Śmierć zabiera to, co chce i pewnego dnia zabierze także ich żywota.

„Cudownie” – pomyślał Felix. Musieli obawiać się nie tylko smoka, zielonoskórych i bandytów, ale także kilku oszalałych straceńców, którzy czcili bestię jak boga.

– Dzięki ci za *twoje* słowa. Czy czegoś potrzebujesz? – spytał Felix. – Jedzenia? Wody? Pieniądzy?

Szalona kobieta potrząsnęła głową, a potem odwróciła się i kuśtykając znikła wśród ruin. Felix czuł, że powinien coś zrobić. Może zawoła ją z powrotem i zaproponuje jej ochronę, a potem zdał sobie sprawę, jak śmieszna jest taka propozycja. Równie dobrze mogą nie być w stanie ochronić samych siebie, a najbezpieczniejsze miejsce dla niej znajdowało się jak najdalej od nich.

– Zostaw ją – powiedział Max Schreiber.

Felix patrzył na odchodzącą. W głębi duszy czuł, że byłby bezpieczniejszy, gdyby zrobił to samo.

Droga wiła się wzdłuż brzegów jeziora. Woda była spokojna i nieruchoma. Otaczające ich góry odbijały się w niej, jak w lustrze. Czasami, wiatr wzburzał kilka fal i rozbijał je na piasku. To był jedyny dźwięk, jaki słyszał Felix, nie licząc zawrota wiatru i trzeszczenia kół wozu Malakaia. Wszędzie wokół, krajobraz pozostawał ponury i opuszczony. Widoczne były liczne ślady ludzkich osad, domków, chat, szałasów pasterskich – ale wszystkie wyglądały na opuszczone lub zniszczone. Felix próbował wyobrazić sobie, jak wyglądała dolina, gdy była zamieszkiwana. Na tych wzgórzach musiały paść się owce. Drwale pracowali wśród jodłowych zagajników. Kochankowie

spacerowali ze splecionymi dłońmi wzdłuż brzegów wody.

Bez wątpienia, łodzie rybackie ciągnęły swoje sieci przez jezioro. Felix dostrzegał kamienne pylony, które kiedyś podtrzymywały obecnie wypalony pomost biegnący do miasteczka. Widział pocerniałe wraki łodzi przewróconych w wodzie, osmalonych przez smoczy ogień i podziurawionych smoczymi pazurami.

Było zimno. Opatulił się szczelniej w swój czerwony płaszcz z sudenlandzkiej wełny, by odegnać chłód. Bjorni wyśpiewywał hałaśliwą i sprośną balladę o trollu i córkach gospodarza tawerny. Felix wiedział, że Bjorni śpiewa, by poprawić ich ponury nastrój, ale mimo to, wolałby, żeby krasnolud nie zaczął śpiewać. Wyzywanie otaczającej ich ciszy wydawało się nierozważne. Nie było mądre zwracanie na siebie uwagi w jakikolwiek sposób. Czyniąc to zapraszali zagładę, by spadła na nich, jak uczyniła to z mieszkańcami Doliny.

Felix pomyślał, że może tego pragnął Bjorni. W końcu był Zabójcą, a jego celem, którego przysiągł szukać, była heroiczna śmierć. Jakby w odpowiedzi na piosenkę Bjorniego rozległ się odległy ryk, niski, zwierzęcy i pełen groźby. Odbijał się echem wśród gór niczym grzmot. Był nienaturalnie głośny i przerażający, a słysząc to Bjorni zamilkł. Felix wpatrywał się w horyzont, przekonany, że za kilka chwil smok znajdzie się przy nich. Jego dłoń powędrowała do rękojeści miecza i natychmiast przeniknęło go ciepłe mrowienie. Rozejrzał się, ale nie było śladu smoka, poza echem jego zewu.

Spojrzał na Ulrikę, a potem na Gotreka i zobaczył niepokój wypisany na twarzach obojga. Był odbiciem jego własnych obaw. Wymienił spojrzenia z pozostałymi towarzyszami i zauważył, że wszyscy są bladzi i wyciszeni. Cisza ciągnęła się przez długie chwile. Po upływie jakiejś minuty, Bjorni znowu zaczął śpiewać, początkowo bardzo cicho, ale jego głos nabierał mocy z każdym słowem. Tym razem nie wyśpiewywał sprośniej opowieści, ale coś innego, jakiś stary krasnoludzie hymn lub pieśń bitewną, która odbijała się echem w dolinie. Wkrótce przyłączył się Malakai, a potem Ulli, następnie Steg. Jeden po drugim swoje glosy dołączały wszystkie pozostałe krasnoludy, za wyjątkiem Gotreka i Grimmeo, a potem uczynił to także Max Schreiber. Chwilę później Felix sam zaczął nucić.

Śpiewanie uspokajało ich trochę, jakby w ten sposób wyzywali smoka i umacniali w sobie odwagę. Felix maszerując z innymi czuł powracającą pewność siebie, a potem szedł naprzód z sercem lżejszym, niż bywało od wielu dni.

Przed sobą dostrzegał miejsce, skąd od drogi odchodziła ścieżka i wiała się po zboczu Smoczej Góry.

Chmury zniżyły się. Przedzierały się przełęczami pomiędzy okolicznymi szczytami i rozpościerały mgliste macki, którymi obejmowały Smoczą Górę. Widoczność pogorszyła się. Powietrze stało się jeszcze zimniejsze. Napięcie pogłębiło się.

We mgle zamajaczył mały dworek. Najwyraźniej niegdyś należał do majątnej rodziny, być może jakiegoś górskiego szlachcica. Felix zdał sobie sprawę, że to musiało być jedno z pierwszych miejsc zniszczonych, gdy smok przebudził się ze swojego długiego snu. Połowa ścian zawałiła się. Felix z łatwością wyobrażał sobie, jak padają miażdżone ciężarem potężnego cielska smoka, które przewalało się po nich.

Przed oczami duszy natychmiast pojawił się obraz wydarzeń, jakie musiały rozegrać się we wnętrzu budynku, gdy na zewnątrz szalała wielka bestia. Felix niemal czuł zapach płonącego dachu z darni, żar uderzający w jego twarz, dym wyciskający łzy z oczu. W tym śnie na jawie słyszał rozzwierające uszy wołania, trzask łap uderzających o kamień, wrzaski umierających, modlitwy o miłosierdzie, które nie doczekały się odpowiedzi. A potem, wyobraził sobie nienaturalny widok

ścian zapadających się do środka, pękające kamienie, spadające, ustępujące pod naciskiem i w ostatniej chwili przed ognistą śmiercią, obraz ohydneho smoczego pyska i płomienia w jego wielkich ślepiach.

Ta wizja była tak intensywna i tak przerażająca, że zaczął zastanawiać się, czy sama obecność smoka podtrzymuje jakieś nikczemne zaklęcie rzucone na to miejsce i przeklinające każdego przechodnia, karząc mu doświadczać ostatnich chwil ofiar skazanych na zagładę. Próbował zebrać się w garść myślą, że to tylko mgła, wspomnienie smoczego ryku i jego własny, podatny na sugestię umysł kreują ten obraz. A może, wizja została stworzona przez miecz w odpowiedzi na bliskość smoka. Rzeczywiście, Felix poczuł mrowienie energii przenikającej z ostrza do jego ciała. To jednak nie uspokoiło go.

Bolały go nogi od długiego marszu pod górę. Czuł się zziębnięty, samotny i bardzo przygnębiony. W sercu miał pewność zbliżającej się śmierci. Jedyłą ulgę dawało magiczne ciepło emanujące z jego miecza. Poranne spotkanie z szaloną kobietą pozostało w jego pamięci, a jej słowa nadal go niepokoiły. Faktycznie, w tym momencie czuł bliskość śmierci i zdał sobie sprawę, że ucieka w głąb samego siebie próbując uniknąć konfrontacji z nieuniknionym. Pozostali zachowywali się podobnie. Śpiew zamilkł w chwili, gdy postawili stopy na ścieżce wiodącej do jamy smoka. Wszyscy awanturnicy w grupie chcieli pozostać w spokoju ze swoimi myślami i modlitwami.

Felix rozmyślał o swoim życiu. Bardzo prawdopodobne było, że okaże się znacznie krótsze, niż by tego sobie życzył. Nie uważał je jednak za zmarnowane. Podczas swoich podróży z Gotrekiem widział wiele rzeczy, spotkał wielu ludzi, a nawet być może, uczynił trochę dobrego walcząc z siłami ciemności. Dokonał kilku niezwykłych wyczynów, takich jak przelot w okręcie powietrznym i zobaczył Pustkowiec Chaosu. Walczył z demonami i potworami oraz rozmawiał z magami i szlachcicami. Był świadkiem rytuałów pełnych magii i deprawacji, a także bohaterских czynów. Poznał kilka dobrych kobiet. Walczył w pojedynkach.

A jednak, nadal pozostawały rzeczy, których nie zrobił, a które chciał zrobić. Nie ukończył opowieści o czynach Gotreka, a nawet dobrze jej nie zaczął. Nie pogodził się z ojcem i rodziną. Nie uporządkował spraw między nim a Ulriką. Pomyślał, że z tego wszystkiego, możliwe w tej chwili wydawało się to ostatnie.

Wobec wiszącego nad nimi cienia nieuniknionej śmierci bezcelowe było pozostawanie zazdrosnym, albo martwienie się, o czym śmieją się z Maxem, a nawet, czy kiedykolwiek znowu staną się prawdziwymi kochankami. W tej chwili chciał po prostu okazać jej trochę uczucia, wykonać ludzki gest zaufania i zrozumienia łączący ich być może po raz ostatni. Nawet jeśli odrzuci go lub nie odezwie się, chciał przynajmniej podjąć ostatnią próbę.

Wydłużył krok i ruszył ścieżką w jej kierunku. Znalazł się za nią, wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej ramienia, by zwrócić na siebie uwagę.

– Co takiego? – spytała. Ton jej głosu nie był zbyt przyjazny, ale nie był wrogi. Nagle, znowu opanowały go wcześniejsze emocje, połączenie gniewu, podniecenia, żalu i czegoś jeszcze. Dokładnie wiedział, co chce wyrazić i doskonale znał słowa, które trzeba było powiedzieć, a jednak tak trudno było je wymówić.

– To może być ostatnia okazja, byśmy porozmawiali ze sobą – powiedział wreszcie.

– Tak. A więc?

– Dlaczego tak bardzo to utrudniasz?

– To ty chciałeś do mnie mówić.

Wziął oddech i opanował się. Próbował przypomnieć sobie swoje dobre intencje sprzed kilku minut. Wreszcie zmusił swoje usta do ruchu.

– Chciałem tylko powiedzieć, że cię kocham.

Spojrzała na niego, ale nie odpowiedziała. Czekał przez chwilę na reakcję, czując powoli gromadzące się wewnątrz niego uczucie ciężaru bólu i odrzucenia. Nadal niczego nie powiedziała.

A potem, nagle powietrze wypełnił straszliwy ryk smoka. Ziemia pod ich stopami zdawała się drżeć do wtóru.

– Myślę, że się zbliżamy – zauważył Ulli.

Ścieżka prowadziła ponad grzbietem wzgórza, a potem opadała na prawo. Felix zobaczył, że wkroczyli do wielkiej, jałowej doliny. Powietrze śmierdziało paskudnie, a ostry, chemiczny odór mieszał się z mgłą. Woń przypominała raczej wnętrze garbarni, niż górską dolinę. Nawet trawa na okolicznych zboczach wyglądała na pożółkłą, jak od ognia. Wydawało się, że sama złowieszczą obecność smoka w jakiś sposób przelewa się do ziemi, psując ją.

Felix zdał sobie sprawę, że widział już coś podobnego. Na Pustkowiach Chaosu. To przypominało efekty spaczenia. Malakai zatrzymał swój wóz i zaczął szukać czegoś w jego wnętrzu. Wyciągał jedno po drugim różne urządzenia, które następnie mocował do swojej piersi. Felix rozpoznawał niektóre z nich. Jednym było przenośne działko obrotowe, podobne do tego, które Varek zabrał do Karag Dum. Pozostałe były wielkimi bombami przyczepionymi do pewnego rodzaju uprząży. Ostatnim była długa, pusta tuba, którą inżynier załadował wielkim pociskiem, a potem przewiesił ją przez ramię.

– Teryz jezdem gotowy złyżyć tyj bystii małom wizytem – rzekł ruszając w dół zbocza. Gotrek skinął głową i przesunął kciukiem wzdłuż ostrza swojego topora uwalniając kroplę krwi.

– Wyłaż smoku! – ryknął. – Mój topór łaknie.

– Wołałbym, byś tego nie robił – mruknął cicho Felix.

Gotrek schodził ścieżką, ramię w ramię z Malakaiem.

– Snorri myśli, że to będzie dobra walka – rzekł Snorri Gryzonos i wymachując swoją bronią ruszył za nimi.

– Ciekawe, czy w okolicy są jakieś owce? Ulżył bym sobie nieco – odezwał się Bjorni, a potem wzruszył ramionami i ruszył w dół. Grimme poszedł z nim. Na szczycie wzgórza pozostali tylko ludzie oraz Steg i Ulli.

– Sądzę, że ktoś musi popilnować tego wozu – rzekł Ulli. Wyglądał na zawstydzonego. Felix nie winił go zresztą. Sam nie miał wielkiej ochoty na spotkanie ze smokiem.

– Myślałem o tym samym – powiedział Steg. – Tam musi być mnóstwo cennych rzeczy.

Ulli i Steg popatrzyli po sobie. Obaj wyglądali na coraz bardziej zmieszanych.

– Sądziłem, że Zabójcy powinni poszukiwać heroicznej śmierci – zdziwił się Felix.

– Ja także – zgodziła się Ulrika.

Ulli patrzył na swoje stopy. Steg gapił się w niebo. Obaj wyglądali na bardzo przestraszonych. Felix spojrzał na nich i potrząsnął głową, a potem ruszył ku smoczej dolinie. Ulrika i jej ochroniarze poszli za nim trzymając łuki w gotowości. Max rzucił Ulliemu i Stegowi spojrzenie łączące zrozumienie i pogardę, a potem skierował się ku dolinie.

Felix z przerażeniem stwierdził, że coś chrupie pod jego stopami. Spoglądając w dół zobaczył, że kroczy po kawałkach czegoś kruchej i czarnego. Kilka chwil zabrało mu domyślenie się, że to były spalone kości.

– Cóż, sądzą, że teraz wiemy, co przydarzyło się innym podróżnikom, którzy tu przybyli – wyszeptał. Chciał to powiedzieć głośno i odważnie, ale w powietrzu było coś, co zmuszało do wyciszenia się.

– Owszem – powiedziała Ulrika, a potem dodała: – Myślę, że i tak to wiedzieliśmy.

Zabrzmiało to tak, jakby uważała jego komentarz za idiotyczny. Felix rozumiał, że rzeczywiście, taki był. Wziął głęboki oddech i usiłował zachować spokój. Jego palce zacisnęły się na rękojeści miecza i wpłynęła do niego nowa siła i determinacja. Felix czuł, że powinien opierać się uzurpacji swojego ciała i woli poddających się przeznaczeniu miecza, ale faktycznie był za to wdzięczny. Zastanawiał się, czy byłby w stanie zbliżyć się do wielkiej bestii, gdyby nie niósł broni. Zdumiewała go odwaga Ulriki i jej pomagierów, którzy nawet nie musieli tu być i których odwagi nie wspierała moc magicznego miecza.

Felix pomyślał, że jego odwaga została wypróbowana podczas wcześniejszego spotkania z krwio pijcem pod Karag Dum, ale to było pod pewnymi względami gorsze. W starożytnym krasnoludzkim mieście nie było możliwości ucieczki. Był uwięziony razem z krasnoludami. Nie pozostawało nic, poza staniem w miejscu i walką. Tutaj nie musiał pozostawać.

Nic nie powstrzymywało go przed rzuceniem się do ucieczki, albo powrotem do Ulliego i Stega. Armia wojowników Chaosu nie blokowała drogi powrotnej, jak to miało miejsce pod Karag Dum. Nie tkwił pogrzebany głęboko pod ziemią. Wiedział, że w pewnym sensie nie wiązała go już przysięga nakazująca podążanie za Gotrekiem. Nie dalej, jak zeszłej nocy deklarował chęć ucieczki z Ulriką, pomimo przysięgi. A jednak, oto nadal szedł naprzód we mgle, maszerując ku smoczemu jamie, najwyraźniej z własnej, nieprzymuszonej woli.

To jednak nie było łatwe. Nadal wiązał go misterny splot wydarzeń, zależności i emocji. Nadal odczuwał pewną lojalność wobec Gotreka. Nie chciał wyjść na tchórza przed Ulriką i innymi. Nie chciał zniszczyć swojego własnego wizerunku, w który sam wierzył. Wiedział, że gardził Ullim i Stegiem za ich tchórzostwo, pomimo, że aż nazbyt dobrze rozumiał ich emocje. Nie chciał być, jak oni. Nie chciał, by Ulrika, Max i pozostali myśleli o nim w ten sam sposób.

Zresztą, nie było łatwej drogi odwrotu. Wzgórza nadal były pełne orków i bandytów. Nie było powrotu dla samotnego człowieka, nawet w towarzystwie dwóch tchórzliwych krasnoludów. Zastanawiał się, czy Ulli i Steg to zauważyli. A jednak, podejrzewał, że poza wszystkimi grającymi w nim uczuciami, moc miecza, który trzymał, wpływała na niego, popychając w stronę, w którą chciał go skierować.

Felix był ciekaw, czy pozostali doświadczają podobnych wątpliwości. Czy odczuwają podobną skomplikowaną mieszaninę emocji. Trudno było to stwierdzić, sądząc po ich ponurych obliczach. Każda twarz stanowiła maskę samokontroli. Żadna dłoń nie drżała.

Nie chcąc, a jednak w pewien sposób zmuszając się do tego, Felix nadal stawiał krok za krokiem, pewien, że każdy z nich zbliża go do śmierci.

Max wyczuwał przed sobą smoka równie pewnie, jak czuł wiatry magii. Ta złowieszczą obecność czegoś potężnego sprawiała, że drżał ze strachu. Czytał o aurze smoków, o tym, jak wzbudzają strach nawet w najbardziej męźnych sercach i doświadczywszy już tego miał nadzieję, że jest na to przygotowany. Mylił się.

Miał wrażenie, że lada chwila wyskoczy wielka bestia i zakończy jego życie kłapięciem szczęk. Pomyślał, że w ten sposób musi czuć się ptak, który wyczuwa bliskość kota. Dla odwrócenia uwagi sięgnął w głąb wiatrów magii, szukając się do rzucenia zaklęcia przy najmniejszej oznace zagrożenia. Utkał już wokół siebie i towarzyszy najsłabiej i najpotężniejsze zaklęcia obronne, jakie znał. Ciekaw był, czy w ogóle to zauważyli.

Był także świadom działania innych sił w tym miejscu. Złowieszcze ostrze niesione przez Felixa

Jaegera lśniło mocą. Dla oczu czarodzieja Maxa, miecz jaśniał niczym ognisty sygnał. Max wyczuwał, że tkwiąca w nim świadomość zaczyna uaktywniać swoje własne zaklęcia. Gdyby Max nie był absolutnie pewien, że ostrze jest równie zdeterminowane, by skończyć ze smokiem, zaczęłyby tkać kontrzaklęcia.

Rozważając to Max zastanawiał się, skąd płynęło jego przekonanie o przeznaczeniu miecza. Czy było możliwe, że ostrze wpływało także na jego umysł, zmuszając go, by uwierzył? Wątpił w to. Sądził, że jest w stanie wyczuć takie wtargnięcie do swojego umysłu. Sprawdził swoje zabezpieczenia mentalne, szukając śladów przełamania, tak na wszelki wypadek, ale nie znalazł żadnych. Z drugiej strony, wystarczająco subtelne zaklęcie, które mogło wpłynąć na jego umysł zapewne potrafiło sprawić, by tak właśnie myślał.

Powstrzymał się od śmiechu. Martwił się o stosunkowo nikłej możliwości, podczas gdy przed sobą wyczuwał smoka, łącznie ze smoczą magią i niesamowitą, smoczą mocą. Jakie miało znaczenie, co zamierza miecz? To nie była jedyna magiczna broń w tym miejscu. Mieli niesamowity topór Gotreka, artefakt, którzy nosił w sobie moc o rząd wielkości silniejszą, niż miecz Felixa. To była broń zdolna przepędzać większe demony.

Im więcej Max myślał o tych wydarzeniach, tym bardziej zaczynał wierzyć, że nic nie zdarzyło się przypadkiem. Malakai Makaïsson także był uzbrojony w najbardziej zabójcze urządzenia, jakie można wybudować z krasnoludzkiej stali. Max też był tutaj, a podczas podróży jego magia dosięgła nowych szczytów. Z pewnością takie rzeczy nie mogły być przypadkiem. Może zbawienne moce, które strzegły świata przyprowadziły ich w to miejsce z rozmysłem.

Max uśmiechał się do siebie. To był niebezpieczny tok rozumowania. Wojownicy i czarownicy, którzy uważali siebie za szczególnie chronionych przez bogów, zazwyczaj szybko kończyli w grobie. Może umierali służyć sprawie bogów, a może nie. Wyższe potęgi rzadko otwierały się na swoich ludzkich wyznawców, a nawet wówczas niekoniecznie bywały dla nich łaskawe.

Przyznawał szczerze, że jest tutaj z powodu obecności Ulriki. Chciał ją chronić. To głupie i romantyczne zachowanie, jak na czarodzieja, ale taka była prawda. Jeśli ma to doprowadzić do jego śmierci, niech tak będzie...

Wziął kolejny oddech. Wraz z wiatrami magii wyczuł zgniliznę i zepsucie. To nie był zwykły smród zła. To przypominało odór zdjętego gangreną ciała, który czasami wyczuwał w hospicjach podczas swojego studiowania magii leczniczej. Zatliła się w nim nikła nadzieja.

Może smok podczas ataku na statek powietrzny został ranny poważniej, niż sądzili. Przez chwilę, poczuł lekkość w sercu, a potem powróciło poczucie realizmu. Nawet jeśli stwór był ciężko ranny, to nie musiał być dobry znak.

Smoki, podobnie jak większość bestii, zawsze bywały najniebezpieczniejsze, gdy zostały ranne.

Ulrika trzymała łuk w gotowości. Nie była pewna, co może zrobić strzała tak potężnemu potworowi jak smok, ale była zdecydowana spróbować. Wydała już polecenia Standzie i Olegowi, by robili to samo, co zamierzała uczynić – celować w ślepią. Bez względu na to, jak dobrze opancerzone jest cielsko stwora, jego ślepią powinny być wrażliwe. Przynajmniej, miała taką nadzieję. Nie wyobrażała sobie, by oczy mogły być osłonięte jakimś pancerzem.

Trzymała się tej myśli dla dodania sobie otuchy. To było przerażające miejsce. Cuchnęło śmiercią i chorobą. Wszędzie walały się kości poprzednich ofiar smoka, okryte rdzewiejącymi kolczugami i gnijącą skórą. Ich puste oczodoły wpatrywały się w niebiosa. Zdawało się, że przed nimi setki śmiazków próbowało zabić bestię, a żadnemu to się nie udało.

Po raz setny zastanawiała się, dlaczego jest tutaj. Mogła zostawić Zabójców i próbować dotrzeć

samodzielnie na Północ wzdłuż Wysokiej Drogi. Mogła nawet opuścić Karak Kadrin kierując się długą drogą na zachód. Nie uczyniła tego i czasami tego żałowała. Wybór innej trasy oznaczałby, że musi pozostawić Felixa, a nie była na to przygotowana. Cóż z niej za głupiec...

Czuła się, jakby dla nieznanego porzuciła swój obowiązek wobec ojca i swojego ludu. I za co? Myślała, że go kocha, ale jeśli to była miłość, to nie przypominała niczego, o czym śpiewają bardowie. To była furia, irytacja i szalona wrażliwość na najdrobniejsze sprawy. To był strach przed utratą i przed posiadaniem. To było wrażenie przestania bycia sobą i stawania się obcą osobą wobec siebie. Ta potężna, brutalna siła zmuszała do myślenia o mężczyźnie, nawet gdy nie rozmawia się z nim i idzie do smoczey jamy.

Żałowała, że zeszłej nocy zgodził się pójść z nią i cieszyła się, że to zrobił, nawet jeśli to uczyni go wiarołomcą. Zastanawiała się, czy powinni wymknąć się i uciec przez góry w ciche miejsce, gdzie mogliby przeżyć życie razem. Wiedziała, że to tylko iluzja. Nie należeli to tego rodzaju ludzi, którzy mogliby coś podobnego zrobić. Nie potrafiłaby porzucić rodziny i obowiązku.

Spojrzała przez ramię i zobaczyła, że Max uśmiecha się. Zastanawiała się, z czego magik może cieszyć się w takim miejscu. To był dziwny mężczyzna, ale zapewne dobry człowiek. Mógł ich nie wspomagać dziwnymi mocami darowanymi mu przez bogów. Zdawało się, że robi wszystko, by wykorzystać je dla ich dobra i był prawdziwym przyjacielem dla niej i całej reszty. Była pewna, że jedynym powodem, dla którego on jest tutaj, była ona sama. To ją rozczulało, chociaż uważała za głupotę z jego strony podjęcie w imię miłości drogi, która najpewniej doprowadzi go do śmierci. Z drugiej strony, zapewne nie był większym głupcem, niż ona.

Zobaczyła, że Zabójcy przed nią zatrzymali się. Stali przez wylotem wielkiej jaskini. Smród zgnilizny i rozkładu był tutaj silniejszy, jakby zbliżyli się do jego źródła. Oto stali u wejścia do jamy Skjalandira. Zadawała sobie pytanie, gdzie jest smok?

Ulli obserwował Stega grzebiącego z tyłu wozu Malakaia Makaissona. Przez jego twarz przemknął wyraz wstydu i konsternacji. Szarpnął za swoją brodę. Kopnął kamień. Czuł się okropnie. Zawsze wiedział, że jest tchórzem. Uciekł podczas swojej pierwszej bitwy i został wygnany z własnego klanu. Pragnął odpokutować za to zostając Zabójcą. Myślał, że Grimnir uśmiechnie się do niego i doda mu odwagi w poszukiwaniu śmierci. Bóg nie uczynił tego. Faktycznie, wyglądało na to, że jego wstyd jeszcze się powiększy. Któż słyszał o Zabójcy, który okazał się tchórzem?

– Znalazłeś tam coś interesującego? – spytał, by powiedzieć cokolwiek.

– Mnóstwo sprzętu. Mnóstwo narzędzi – odpowiedział Steg. – Zapewne to broń. Nie wiem, jak je złożyć do kupy. To musi być warte fortunę, ale nie wiem, jak tego użyć.

W jego głosie dało się słyszeć gniew i rozczarowanie. Ulli zastanawiał się, czy Steg rzeczywiście liczył na zdobycie fortuny na kradzieży urządzeń inżyniera. Myślał o tym od rozpoczęcia podróży. To zresztą nie miało teraz znaczenia. Broń inżyniera istotnie rozniosła te gobliny. Dzięki niej miałby sporą szansę na powrót. Bez niej, zapewne żadnej. Spojrzał w dół stoku. Ku jego zaskoczeniu, mgła zaczęła się podnosić. Wydawało mu się, że widzi w niej humanoidalne sylwetki zbliżających się zielonoskórych. Jego serce zamarło. Wiedział, że nie ma ucieczki.

Poczuł, że wewnątrz niego coś tężeje. To było beznadziejne. Nie było powrotu. W którą stronę nie spojrzał, dostrzegał tylko śmierć. Może Grimnir odpowiedział jednak na jego modlitwy. Ulli podjął decyzję i wspiał się na tył wozu. Zobaczył, że w skrzyniach, w których szperał Steg znajdował się zbiór czarnych sferycznych bomb, z których Malakai był tak dumny. Wystarczą. Podniósł koc i używając go jako sakwy, szybko wypełnił bombami. W międzyczasie, Steg zauważył orki.

– Wygląda na to, że mamy towarzystwo – powiedział.

– *Aye* – odparł Ulli. – Zostałbym i zabił ich, ale smok jest większy. To lepszy koniec dla Zabójcy.

Steg wzruszył ramionami.

– *Aye*, masz rację. Zapewne ma też złoto.

– Ruszajmy więc.

Razem popędzili w dół Smoczej Doliny. Ulli miał nadzieję, że jeśli się pospieszą, dogonią pozostałych. Nie był pewien dlaczego, ale wydawało mu się, że lepiej umierać w towarzystwie.

Wejście do smoczej jamy czekało na nich. Felix zgadywał, że strop musi znajdować się na wysokości niemal pięciokrotnie przekraczającej jego wzrost. Zajrzał do środka spodziewając się dostrzec wielki gadzi łeb na uderzenie serca, zanim spopieli go ognisty oddech. Nie zobaczył nic poza tym, że jaskinia ciągnie się głęboko pod ziemię. W cienistym mroku zauważał stalaktyty i stalagmity. Przez chwilę, sama jaskinia wydawała się pyskiem olbrzymiego potwora, ale potem powrócił zdrowy rozsądek.

– Nie widzę żadnego smoka – powiedział.

– Jest tam. Czuję go – odrzekł Gotrek. – Ukrywa się na dole, w ciemności. Musimy tam zejść i dorwać go.

Podany przez Gotreka opis zachowania smoka wydał się Felixowi nierealistyczny. Wątpił, by smok odczuwał najmniejszy strach przed nimi. Najprawdopodobniej jeszcze ich nie zauważył.

– Potrzebujemy światła – powiedział. – Tam, na dole jest za ciemno.

Max skinął dłonią i w powietrzu przed nim zawisła sfera złotego ognia. Ponownie poruszył dłonią i sfera rozszczepiła się na pięć mniejszych. Każda z nich zatrzymała się nad jednym z ludzi. Felix domyślił się, że Max wie już, iż krasnoludy nie potrzebują tyle światła, by widzieć równie dobrze.

– Sadzę, że i tak nie zamierzamy podkraść się do smoka, – rzekł Felix. Spojrzał na pozostałych. – Skończmy z tym.

Schodzili w ciemność. Felix cieszył się z magicznego światła. Unosiło się tuż nad jego głową i zapewniało wystarczającą iluminację otoczenia. W tym miejscu to było absolutnie konieczne. Podłoga jaskini była nierówna i stromo opadała w mrok. Miejscami wystawały z niej kawałki skal. Felix nie wątpił, że gdyby próbował wymacywać sobie drogę w ciemnościach, szybko upadłby i złamał kark.

Od ścieżki oddzielało się wiele odnóg, ale zawsze można było odnaleźć główną drogę, dzięki zapachowi i śladowi śluzowatej krwi prowadzących ich do smoka. Felix cieszył się z istnienia tego śladu. Zdał sobie sprawę, że to nie była pojedyncza jaskinia, lecz wielki podziemny labirynt, w którym bardzo łatwo było się zgubić.

Potężny ryk odbił się echem w jaskiniach. Kręte korytarze wzmacniały ten odgłos, aż stał się ogłuszający. Felix słyszał dzwonienie w uszach. Nie miał pojęcia, gdzie może być smok. Chwilowo, sądząc po natężeniu dźwięku, wydawało mu się, że jest blisko, ale jego doświadczenie nabyte w tunelach krasnoludzkiego miasta nauczyło go, że takie odgłosy mogą być zwodnicze. W pewien sposób ta wiedza była jeszcze gorsza. Niepewność nappełniała go trwogą.

Wszyscy wokół niego wyglądali jak cienie. Ludzie stanowili sylwetki podświetlone czarodziejskimi sferami. Krasnoludy były niemal niewidoczne, ponieważ maszerowały w ciemnościach. Dostrzegał ich zarysy i słyszał głosy, ale nic więcej. Smród zepsucia stawał się coraz gorszy. Felix zakrył dłonią usta i nos, by uchronić się od mdłości.

Usłyszał dobiegający z tyłu hałas biegnących stóp. Obrócił się, by zobaczyć Ulliego i Stega zbliżających się korytarzem. Zauważył, że Ulli trzyma wielką torbę przerzuconą przez ramię.

– Cieszę się, że w końcu do nas dołączyliście – powiedział z sarkazmem Felix. – Nie spóźniliście się na zabawę.

– Nie mieliśmy wielkiego wyboru – odparł Ulli, wyglądający na bardzo zawstydzonego. – Na zewnątrz pojawiło się całe plemię zielonoskórych.

– Droga powrotna jest odcięta – rzekł Steg.

– Cudownie – powiedział Felix. – Właśnie to chciałem usłyszeć.

– Nie martw się – odezwał się Snorri. – Dorwiemy ich wychodząc.

Jaskinia zmieniła się w długi, wysoki tunel. Cienie tańcząc uciekały przed lśniącymi kulami. Ścieżka prowadziła głębiej pod ziemię. Gdzieś w oddali usłyszeli płynącą wodę. Ściany były wilgotne i pokryte oślizgłym, zielonkawym mchem. Nagle ryk zamilkł.

– Och, bystia myślała nas wywenszyć – powiedział Malakai. – Tyraz wi, co jesteście tutaj.

– Snorri myśli, że to dobrze – rzekł Snorri. – Snorri nie chciałby wykorzystywać niesprawiedliwej przewagi.

– Stwór musi zginąć – rzucił Gotrek. – Lud krasnoludów ma wobec niego wielką urazę.

– *Aye* – potwierdził Grimme. – To prawda. Ja też ją mam.

Wszyscy spojrzeli na niego zaskoczeni. Po raz pierwszy przemówił do nich. Jego głos był cichy, smutny i pełen żalu. Popatrzył na nich. Na jego twarzy wyryta była nienawiść i żal.

– Bestia zabiła cały mój klan. Handlowałem na ziemiach człowieka, zamiast być na miejscu i zginąć z nimi. Powróciłem niosąc tę krzywdę. Albo zabiję bestię, albo zginę zmazując hańbę, jaką jest uniknięcie śmierci z własnym klanem.

– Bystia zginie – zapewnił Malakai. – Jezd mni to winna za to, co zrybiła mojemu ukochnemu okryntowi powietrznemu.

– Smok musi zapłacić za śmierć Vareka – rzekł Snorri.

– Sprawimy, że zapłacą za to – powiedział Bjorni.

– Będziecie tu stali i chełpili się przez cały dzień? – rzucił Gotrek. – Mam lepsze rzeczy do zrobienia.

– Ruszajmy – rzekł Malakai.

Przed sobą słyszeli ryk wody i widzieli jakiś błysk.

– Złoto – powiedział Steg wydłużając krok, najwyraźniej niepomny już własnego bezpieczeństwa.

– Albo lśnienie smoczyc łusek – rzekł Max. – Bądźcie gotowi do walki.

Gdy zbliżyli się, Felix dostrzegł przed nimi wielką jaskinię. To była potężna pieczara, równie wielka, jak wnętrze świątyni Sigmara w Altdorfie. Na jej końcu znajdował się wodospad, który spadał w wielkie jezioro. Mokre rozpryski padały na twarz Felixa nawet z tej odległości. Powietrze cuchnęło gnijącym ciałem.

Wokół komory biegło kilka półek skalnych, dość szerokich, by pomieścić człowieka. Tunel, którym szli wbiegał na toporną rampę, wygładzoną przez lata przesuwaniem się masywnego cielska smoka. Tu i tam leżały kości ludzi, zwierząt i potworów. W jaskini rzeczywiście błyszcząły skarby, złożone w wielkie kupy pomieszanego ze sobą srebra, miedzi, złota i biżuterii. Przyciągały na kilka chwil wzrok, zanim wracała świadomość obecności kreatury, która wypełniała całą wielką przestrzeń.

W centrum jaskini leżał smok – największa żywa istota, jaką widział Felix i miał nadzieję, że większej już nie zobaczy.

Miała rozmiary małego wzgórza. To była ogromna masa mięśni, ścięgien i łusek. Skórzaste

skrzydła okrywały ciało. Długi ogon zakończony był czymś, co przypominało pióro wiośła z cielska, o krawędziach ostrych jak brzytwa. Wzdłuż kręgosłupa biegły dwa rzędy ząbkowanych wypustek rogowych, każde o wielkości wysokiego mężczyzny. Felix patrzył, jak potworna, węzowata szyja rozwinęła się, gdy smok podniósł swój łeb, by zobaczyć, kto zakłóca jego drzemkę. Spojrzał na nich złowrogimi ślepiami wypełnionymi nienawiścią. Felix dostrzegał w tym spojrzeniu ból i szaleństwo. Chciał uciec, ale poczuł przyptyw sił, spokoju i odwagi płynących z miecza.

Felix był pewien, że te złe spojrzenie onieśmieliło nawet krasnoludy. Słyszał za sobą stęknienia Ulliego, Bjorniego i Stega. Nawet Snorri wydał jęk rozpacz. Tylko Gotrek, Malakai i Grimme stali twardo na ziemi nie okazując strachu. Felix wyczuwał, że Max i Kislevczycy są gotowi wziąć nogi za pas przy najmniejszej okazji. Nie winił ich za to. Smok był równie wielki, jak „Duch Grungniego”. Jego pysk stanowił potężną, wypełnioną zębami komorę, która z łatwością mogła połknąć całego człowieka. Z nozdrzy potwora wyskakiwały płomienie wraz z kłębamii żrącego, chemicznego dymu.

– Trzymajcie się – powiedział Felix, zaskoczony spokojem własnego głosu. Jeszcze raz poczuł działanie mocy miecza. – Ulrika, Oleg, Standa, idźcie na półkę i zacznijcie strzelać w ślepia, gardło i inne wrażliwe miejsca, jakie znajdziecie. Max, czy twoja magia ochroni nas przed ogniem?

– *Aye*. Mam nadzieję. Przynajmniej przez chwilę.

– A zatem, zrobmy to! – w głosie Felixa pojawiła się przywódcza nuta i ku swojemu zaskoczeniu zobaczył, że popędzili wykonać jego polecenia. Uderzyło go coś innego. Smok wydawał się poruszać powoli i ciągnął swój lewy bok. Felixowi wróciła nadzieja. Pomyślał, że nie docenił tego, co się stało.

– Jest ranny – powiedział. – Nadal nie wydobrzeł od zderzenia z żyrokopterem Vareka.

Smok podnosił się niepewnie, rozprostowując swoje skrzydła dla zachowania równowagi. Jego wielki cień zamigotał na ścianie z tyłu, ale nie to przykuło uwagę Felixa. Teraz widział, że miał rację. W boku bestii widniała ogromna rana, która ropiała na zielono. To było źródło smrodu unoszącego się w powietrzu. Varek zranił kreaturę poważniej, niż to wydawało się możliwe.

– Spróbujcie trafiać strzałami w ranę na jego boku – krzyknął Felix. – Łuski odpadły w tym miejscu.

Ulrika i dwóch kislevickich łuczników już biegli wzdłuż skalnej półki, rozdzielali się i znajdowali osłonę za stalagmitami. Max wznosił swoją laskę i pojawiła się przed nim fala mocy, od której zadrzało powietrze.

– Do ataku! – ryknął Gotrek. Wszyscy Zabójcy, poza Malakaiem, popędzili naprzód. Felix uczynił to samo, nie do końca rozumiejąc, co robi. Smok ruszył na ich spotkanie. Ziemia trzęsła się pod jego ciężkim krokiem. Ryk bestii był ogłuszający. Łeb kołysał się na szyi i zionął ścianą płomieni. Felix podniósł swój miecz, by odbić ogień, jak uczynił to na statku powietrznym, ale to nie było potrzebne. Migoczące pole ochronne rzucone przez Maxa powstrzymywało płomienie.

Kątem oka Felix zauważył, że Steg nie biegnie w stronę smoka, lecz ku największej górze skarbów. Zanurkował w nich jak pływak wbijający się w wodę i krzyczał:

– Moje! Wszystko moje!

Za Felixem rozległ się dziwny syczący odgłos. Coś mignęło nad jego głową ciągnąc za sobą ogień. Wybuchło w rannym boku smoka, wyrывая wielkie kawały mięsa i obnażając kości oraz organy wewnętrzne. Smok wydał z siebie ryk, w którym było coś między wściekłością, a krzykiem bólu. Felix zbliżając się do stwora słyszał powietrze uciekające z sykiem z płuc smoka przez dziurę w jego piersi.

Potężny stwór podniósł się rozprostowując skrzydła. To poruszenie posłało ku jego napastnikom falę obezwładniającego odoru gnijącego mięsa. Felix opanował mdłości i patrzył zdumiony. Nigdy

nie wyobrażał sobie równie wielkiego żywego stworzenia. Wznosiło się nad nim niczym krocząca wieża. Było w tym widoku coś nienaturalnego, jakby jakiemuś gmachowi wyrosły nogi i zaczął chodzić. Bestia była tak wysoka, że jej łeb prawie dotykał sklepienia jaskini, a ten znajdował się na wysokości niemal dwudziestokrotnie przekraczającej wzrost człowieka.

Felix zastanawiał się, w jaki sposób mogą pokonać coś takiego i zaczęło go paraliżować przerażenie. Wydawało się niemożliwe, by ludzkie lub krasnoludzkie możliwości wystarczyły do pokonania takiej istoty. Stwór był po prostu zbyt duży. Oni przypominali myszy próbujące obalić dorosłego człowieka. Gdy te myśli przemykały przez umysł Felixa, Gotrek dotarł do łapy smoka.

Otępiały umysł Felixa zauważył, że pazur łapy stwora miał niemal rozmiary Zabójcy. Gotrek nie wydawał się tym zastraszony. Jego topór błysnął zataczając łuk i wbił się w smoczą nogę w miejscu, gdzie u człowieka znajduje się kostka. Wielkie ostrze rozdzieliło łuski i ciało. Zielonkawa krew parując buchnęła z nowej rany. Smok ryknął gniewnie jeszcze raz, a potem pochylił się naprzód. Jego łeb opadał z prędkością uderzającego węża, a wielkie szczęki rozwarły się chcąc jednym kłapinięciem połknąć Gotreka.

Felix był pewien, że za chwilę nadejdzie zagłada Zabójcy.

Ulrika desperacko starała się wycelować w smocze ślepie. Mówiła sobie, że to nie powinno być trudne. Oko było większe niż cele, których od czasów dziecięcych używała do ćwiczeń łuczniczych. Oczywiście, te cele nie poruszały się z ogromną prędkością, ani nie były połączone z czymś równie przerażającym, jak smok. Podświadomie sprzeciwiała się strzelaniu z obawy o przyciągnięcie uwagi stwora. Podczas ćwiczeń łuczniczych nie było także rozpraszających czynników, takich jak Felix i Zabójcy walczący z celem.

Zmuszała się do zachowania spokoju. Próbowwała oddychać swobodnie. Nie miało znaczenia, jak wielka jest bestia. Nie miało znaczenia, co robi. To był tylko kolejny cel. Z łatwością go trafi. Strącała ptaki w locie. To nie powinno być tak trudne.

Czas wydawał się spowalniać. Jej umysł opróżnił się i uspokoił. Naciągnęła strzałę. Łeb smoka zaczął obniżać się z niewiarygodną powolnością. Przez chwilę obliczała poprawkę, wycelowała w miejsce, gdzie powinno znaleźć się oko, gdy dosięgnie go strzała, a potem zwolniła cięciwę.

Strzała poleciała prosto i pewnie. Ulrika modliła się do Taala, by znalazła swój cel.

Strzała mignęła znikąd i trafiła w oko smoka, na chwilę, zanim łeb dotarł do Gotreka. Zabójca rzucił się w bok i smocze szczęki zatrzasnęły się w pustym powietrzu. Własne poruszenie smoka i cios Gotreka, który podciął ścięgno, wytrąciły stwora z równowagi. Runął łbem naprzód. Felix zaklął widząc, że cielsko opadnie na niego. Krzyki Ulliego i Stega powiedziały mu, że oni także znaleźli się na drodze padającego ciała.

Smok instynktownie łopotał skrzydłami spowalniając swój upadek. Felix poczuł podmuch szarpiący jego płaszczem i rzucił się w bok. Ulli zrobił to samo. Steg z jakiegoś powodu nie poruszał się.

– Nie możesz dostać mojego złota! – wrzasnął, uderzając swym łodem w smoka, gdy przygniotło go wielkie cielsko. Felix usłyszał chrupnięcie w chwili, gdy udało mu się odtoczyć w bezpieczne miejsce.

Felix zauważył, że Malakai ponownie wpycha coś w metalową tubę, którą nosił. Gdy smok zaczął się podnosić, zakończył operację i jeszcze raz ułożył cylinder na swoim ramieniu. Smok wyciągnął ku niemu swoją szyję, a w tym momencie Malakai pociągnął za cyngiel pod tubą. Z tyłu tuby sypnęły iskry i kolejny pocisk pomknął naprzód prosto w paszczę smoka. To przypomniało

Felixowi fajerwerki, jakie widział wypuszczane w Altdorfie dla uczczenia urodzin Imperatora. Żaden jednak fajerwerk nie eksplodował z taką gwałtownością. Siła wybuchu poluzowała kilka ze smoczych kłów o wielkości człowieka i wyrwała dziurę w szczycie paszczy stwora. Felix był zdumiony, że cokolwiek może wytrzymać takie uderzenie.

Bestia miała straszliwą ropiejącą ranę. Wielka dziura ziała wyrwana w piersi stwora. Z jego oka wystawała strzała. Krew wyciekała z kostki, gdzie podciął ją Gotrek. A jednak smok nadal nie chciał zdechnąć. Miotał się z furją. Jego ogon chłostał powietrze niczym bicz. Skrzydła łomotały z grzmotem. Uderzył pazurem, który rozpląszczyłby Malakaia jak muchę trafioną packą, gdyby inżynier nie padł unikając trafienia. Gdy smok zamierzał się do kolejnego ciosu, Felix zauważył, że do jego piersi nadal przylegało rozgniecione ciało Stega. Kilof wbił się między łuski stwora, a dłoń krasnoluda nawet po jego śmierci zaciskała się na trzonku broni. Siła uderzenia wbiła kawałki złota w jego skórę i pancerz. W chwili śmierci błyszczał.

Rozległ się okrzyk bojowy Gotreka i Felix zobaczył, że Zabójca znajduje się z tyłu smoka, rąbiąc jego ogon toporem. Każdy cios wyrywał wielkie ochłapy smoczego mięsa. Snorri przyłączył się do walki i uderzał swoim toporem i młotem. Felix nie mógł dostrzec, by jego ciosy wywierały jakikolwiek efekt.

Mignięcie złotego światła powiedziało Felixowi, że Max rzucił zaklęcie. Pocisk o niesamowitej mocy uderzył w drugie oko smoka. Gałka oczna zaskwierczała i wypadła, a smok został oślepiiony. Grimme popędził naprzód z nisko pochyloną głową i niemal wbiegł w paszczę stwora. Jego miot wykonał szeroki luk i rozbił łuski wraz z ciałem pod nimi.

Smok zionął, a Felix poczuł żar nawet w miejscu, gdzie stał. Grimme był zbyt blisko źródła płomienia, by zadziałało jakiegokolwiek zaklęcie ochronne. Jego pancerz i włosy zapaliły się. Grzebień włosów stał się skwierczącym płomieniem. Ciało poczerniało, a potem spłynęło na ziemię stopione potwornym gorącem. Krasnolud nie zdążył nawet krzyknąć i przepadł. Smok rozkraczył się ponownie na wszystkich czterech łapach plując ognistym strumieniem w swoich dręczycieli.

W umyśle Felixa zapaliła się wściekłość na widok tej straszliwej śmierci. Płomienie nadal rzucały się naprzód, omiatając półki skalne, na których stali Kislevczycy. Magiczna bariera Maxa zamigotała, ale wytrzymała, chociaż Felix zauważył, że zaczęła się zapadać. Nie miał pojęcia, jak długo jeszcze uda się ją utrzymać czarodziejowi. Wiedział, że jeśli migocząca tarcza zaklęcia zniknie, wówczas Ulrika, Max i łucznicy padną ofiarami tego samego losu, co Grimme. Ta myśl poruszyła coś w mózgu Felixa. Moc nadpłynęła z miecza. Nie zdając sobie sprawy z tego co robi, pobiegł naprzód ku potężnej bestii. Na jego drodze znalazła się sterta skarbów i przebiegł po niej wskakując prosto na szczyt czaszki smoka.

Smok nie wydawał się zauważać jego obecności. Felix stał wyprostowany na wierzchołku jego łba. Runy na mieczu lśniły jasno zabójczą magią. Zebrał całą swoją siłę i pchnął ostrze w dół czując, że smok pod nim zaczyna się unosić.

Śmiercionośne zaklęcie wplecione w miecz przez jego pradawnych twórców pozwoliło ostrzu przeniknąć łuski i ciało. Nastąpił opór, gdy zaklęta stal zetknęła się z kością czaszki. Felix napał całym ciężarem. Ostrze obracało się w jego dłoniach wspierając jego wysiłek. W chwilę później, broń przebiła się i jej zabójcze runy utknęły w mózgu smoka.

Smok wydal ostatni, śmiertelny ryk i jego całym ciałem szarpnął gwałtowny spazm. Felix poczuł obezwładniające przyspieszenie, gdy szyja potwora odwinęła się, a ziemia pod nim zaczęła się zbliżać. Miał wrażenie, że coś wyrywa go w górę. Wiedząc, że upadek go zabije, Felix uchwycił wystający miecz z całej siły. A potem smok zaczął opadać w tył.

Felix pomyślał, że jego pomysł nie był taki dobry, gdy ziemia znowu zaczęła pędzić ku niemu.

BITWA

Felix spadał. Wiedział, że pozostało mu kilka chwil życia. W jego umyśle nie było nic poza strachem i zawrotem głowy. Żadnych podniosłych myśli. Żadnych ostatnich wspomnień z życia. Tylko myśl, że popełnił błąd. W jego mózgu wypalił się jeden dziwny obraz. Czarodziejska sfera nadal podążała za nim, bez trudu utrzymując tempo. Felix pomyślał, że może uda mu się jej dosięgnąć i złapać. Może magia, która umożliwiała lot kuli, spowolni jego upadek?

Rozpaczliwie sięgnął do latającej kuli, ale pozostawała poza jego zasięgiem. Miecz wypadł mu z rąk. Obracał się, desperacko wysilając każde swoje włókno mięśniowe, by uchwycić umykające światło. Przeklął, a potem nastąpiło uderzenie.

Śmierć nie przypominała tego, czego się spodziewał. Był ból. Była ciemność. Uczucie powietrza wyrywającego się z płuc. Wrażenie wciągania w dół przez potężną siłę. Felix nie był jednak pewien, czy powinien czuć się tak mokry. Pomyślał irracjonalnie o krwi. Jego ciało musiało pęknąć od uderzenia. To powodowało wilgoć, którą odczuwał. A potem, coś mokrego wypełniło jego usta i zaczęło drażnić przełyk. Nie mógł oddychać.

Zrozumiał, że wobec tego nie jest jeszcze martwy. Może płuca wypełniła krew, jak to stało się w przypadku tych żalonych diabłów, które zginęły od trującego gazu w Nuln? Opanowała go panika. To było gorsze od koszmaru. Strasznie było wiedzieć, że to kilka ostatnich sekund życia i nic nie może z tym zrobić.

Następnie zauważył bąble wokół siebie. Światło nadal unosiło się nad nim. Zastanawiał się, czy ma halucynacje. Instynktownie uczeplił się myśli, że dzieje się coś ważnego. Czegoś nie zauważył. A potem, nadeszło objawienie. Nie był martwy. Znajdował się w wodzie. Siła ostatniego spazmu smoka musiała wyrzucić go do jeziora po drugiej stronie pieczary. Nadal istniała szansa przeżycia. Wypchnął wodę z ust, rozpaczliwie usiłując nie nabrać jej ponownie więcej.

Zdał sobie jednak sprawę, że to nic nie da. Ściągająca go siła nie była wytworem jego wyobraźni. Powodowały to tony wody spadającej do stawu. Woda ciągnęła go w dół ze straszliwą mocą. Próbował szarpnięciem nóg wyrwać się w górę, ale na próżno. Nic nie mógł działać przeciw takiej mocy.

Przez chwilę czuł rozpacz. Zamienił jeden rodzaj śmierci na inny. Nie zostanie zabity przez potwora, ani na skutek upadku, lecz utonie. Jego płuca były już prawie puste. Zdesperowane ciało było bliskie odmówienia mu posłuszeństwa z pragnienia powietrza. Z najwyższym wysiłkiem powstrzymywał się od zaczerpnięcia haustu wody.

Zawładnął nim zacięty opór. Nie po to przeżył tak długą drogę i przetrwał spotkanie ze smokiem, by dać się zabić w wodospadzie. Musiało być coś, co może zrobić. Odprężył się i pozwolił ciśnieniu ciągnąć się w dół. Jego twarz uderzyła w kamień. Całą siłą woli powstrzymał się od instynktownego otwarcia ust do krzyku. Miał wrażenie, że płuca zaraz wybuchną.

Zmuszał się do zachowania spokoju i myślenia. Zauważył, że zaczyna dryfować w jedną stronę. Prąd wody uderzał w kamieniste dno jeziora i załamywał się. Felix pozwolił mu się unosić, a nacisk z góry powoli słabł.

Na krawędzi jego wzroku zamajaczyła ciemność. Był bliski omdlenia. Nakazywał sobie parcie naprzód. Nie chciał się poddać. Najgorsze minęło. Skierował się ku powierzchni i zauważył, że lśniąca sfera nadal podąża za nim. To było dobre, bowiem dzięki temu światłu mógł cokolwiek widzieć.

Koszulka kolecza wydawała się być zrobiona z ołowiu. Jej ciężar spowalniał go i ściągał na dno. Felix przez chwilę rozważał, czy nie zatrzymać się i spróbować zdjąć pancerz, ale wiedział, że to byłoby tylko marnotrawstwo cennego czasu i powietrza. Musiał płynąć dalej.

Jednym żmudnym pchnięciem za drugim, z wysiłkiem człowieka wspinającego się na górę, Felix płynął ku powierzchni. Jego kończyny były jak z ołowiu. Ledwo cokolwiek widział. Wydawało się, że płuca za chwilę eksplodują. A jednak, płynął naprzód i w górę. Aż w końcu, gdy był pewien, że nie wytrzyma dłużej, jego głowa przebiła się na powierzchnię i pełną piersią odetchnął świeżym powietrzem.

Z pewnością, nigdy nie smakował czegoś równie słodkiego.

Podciągnął się przez brzeg stawu. Woda chlupotała pod jego stopami. Ubranie było mokre. Widział biegnących w jego stronę krasnoludów i Ulrikę. Pomimo całego wieku, jaki dla niego upłynął pod wodą, zrozumiał, że od zabicia smoka minęło kilka krótkich chwil. Wielkie cielsko bestii leżało w pobliżu na ziemi wiotczając i podrygując. Jego poruszenia rozsypywały wszędzie złote monety.

Ulrika biegła naprzód. Łzy płynęły po jej twarzy.

– Myślałam, że już nie żyjesz – powiedziała obejmując go.

– Czuję się, jakby rzeczywiście tak się stało – mruknął, przyciskając ją do siebie i czując ciepło jej ciała.

Wokół zebrały się krasnoludy, by mu pogratulować.

– *Aye*, cóż, jesteście bogaci – rzekł Malakai, spoglądając na smoczy skarb.

– Z tym, że nie możemy unieść więcej niż tylko małej części tego skarbu – zauważył Max.

– A na zewnątrz jest mała armia zielonoskórych – powiedział Ulli. – Co zrobimy z nimi?

– Zabijemy ich – odparł Gotrek. – Albo zginiemy próbując. Nie udało nam się odnaleźć naszej zagłady tutaj. Bogowie podsunęli nam następną szansę.

– Mam dość poszukiwania śmierci na jeden dzień, – powiedział Felix.

– Teraz jesteś Zabójcą Smoków, – rzekł Bjorni. – Z pewnością nie boisz się kilku zielonoskórych.

– Chciałbym przeżyć, by móc cieszyć się moim triumfem – odpowiedział gorzko Felix.

Rozejrzał się. Oleg i Standa nadal byli z nimi, bez większych śladów obrażeń. Gotrek i Snorri wydawali się nienaruszeni. Ulli wyglądał na uradowanego przetrwaniem spotkania ze Skjalandirem. Bjorni z zachwytem kontemplował smoczy skarb. Ich straty okazały się zaskakująco niewielkie. Felix zrozumiał, że mieli ogromne szczęście. Varek wspomógł ich bardziej, niż spodziewali się tego, oddając swoje życie, by odpędzić smoka. Rana, jaką otworzył, osłabiła potwora wystarczająco, by mogli go zabić. Jeśli ktokolwiek zasługiwał na miano Zabójcy Smoków, to właśnie Varek.

Felix podszedł i podniósł swój miecz. Nie wydawał się już szczególnie magiczny. Najwyraźniej uszła z niego cała moc. Znowu było to po prostu piękne ostrze. Nie pozostały żadne ślady jego wypełnionego przeznaczenia. A jednak, Felix wiedział, że to dobra broń i był do niej przyzwyczajony. Wsunął miecz z powrotem do pochwy.

Zastanawiał się, czy powinien zaproponować pozostałym pochowanie zmarłych, ale Steg znowu zniknął pod cielskiem padłego smoka. A Grimme był usmażony na popiół. To było bezcelowe. Szczególnie, że wkrótce mogły nadejść orki. Powiedział o tym innym.

– Może uda nam się znaleźć inną drogę wyjścia – zasugerował Max. – Te tunele muszą dokądś prowadzić.

– To może być niekończący się labirynt – powiedziała Ulrika. – Możemy zabłądzić i błąkać się aż do śmierci.

– Żaden krasnolud nigdy nie zgubił się pod ziemią – powiedział Bjorni. Pozostałe krasnoludy pokiwały głowami zgadzając się.

– Tak czy inaczej – odezwał się Felix. – Być może nie ma innego wyjścia.

– Człeczyna słusznie mówi – rzekł Gotrek. – A co więcej, żaden Zabójca nie uciekł przed masą goblinów.

Felix nie był pewien, czy to prawda, myśląc o niektórych nie w pełni odważnych przedstawicielach tej drużyny. Teraz jednak nie uznał za rozsądne dzielenie się tymi wątpliwościami. Zamiast tego spytał:

– Co zrobimy?

– Snorri myśli, że powinniśmy wyjść na zewnątrz i zabić ich – powiedział Snorri Gryzonos. Felix zastanawiał się, czy ci maniacy naprawdę mają zamiar namówić ich wszystkich na wyjście z pieczary i pozwolić się zabić. To wydawało się bardzo prawdopodobne.

– A jeśli zabiją nas wszystkich? – spytał Max. – Czy naprawdę porzucimy cały ten skarb na ich łup?

Felix dziękował w myślach Maxowi. Właśnie wspomniął o jedynej rzeczy, która w podobnej sytuacji mogła wpłynąć na gang krasnoludzkich Zabójców.

– Nie przejdą przez nas – rzekł Snorri. – Staniemy na barykadzie z ciał i odepchniemy ich!

– Założmy, że to się nie uda – powiedział Max. – Orki wzbogacą się o cały ten skarb. Zużyją go na zakup broni i zaatakują ziemie krasnoludów.

– Żaden krasnolud nigdy nie sprzeda im broni.

– Jednakże niektórzy ludzie mogą to uczynić – rzekł Max. Krasnolud pokiwały ponuro głowami na myśl takiej ludzkiej zdradzie.

– Masz rację – odparł Malakai. – Gdybym miał trochę prochu szczelniczego, mógłbym zawalić tyn sufit. Ale ni mam!

– Przyniosłem torbę twoich bomb z wozu – rzekł Ulli.

– Dobry chopak! – ucieszył się Malakai uśmiechając się szeroko. Uśmiech zniknął, gdy pojawiła się myśl o tym, że ktoś gmerał w jego skarbach. Felix odczytał to wypisane na jego twarzy.

– Trochę za wcześnie myśleć o takich rzeczach – rzekł Bjorni. – Z pewnością powinniśmy skierować się do wyjścia z pieczary i wyrzeć na zewnątrz.

– Zatem lepiej bądźmy ostrożni – powiedział Max. – Dopóki myślamy, że smok jest nadal żywy, wątpię, by weszli do środka. Jeśli zobaczą nas tam, pomyślą, że zabiliśmy go i przyjdą po nas.

– Ale my naprawdę zabiliśmy smoka – zdziwił się Snorri, wyraźnie skonfundowany.

– Pójdziemy wszyscy – rzucił Gotrek. – Z wyjątkiem Malakaia i Ulliego. Możecie tu zostać i wykopać tunel do wysadzenia.

– Masz rację – wesoło odpowiedział Malakai.

Felix zastanawiał się, skąd bierze się w nim pewność, że to wszystko nie skończy się katastrofą i ruszył z powrotem do tunelu drżąc w swoim przemokniętym ubraniu.

Felix wspiął się na nadproże wejścia do jaskini. Ulrika podczołgała się do niego. Wybrano ich oboje, ponieważ mieli najlepszy wzrok. Max wygasił swoje zakłęcie świetlne, by nie ściągało na nich uwagi.

Skała pod jego dłońmi była mokra i zimna. Żałował, że nie mógł przebrać się w coś suchego. Jedno spojrzenie powiedziało mu, że stało się najgorsze. Mgła rozwiała się i jasne słońce świeciło

radośnie. Ostrożnie wychylił głowę i spojrział w dolinę. Ledwo powstrzymał okrzyk zdumienia.

Zamiast jednej armii, były tam dwie. Po jednej stronie doliny stała horda orków i goblinów. Ustawiły się w zgrubnej formacji bitewnej. Masywne orki stały w centrum, uzbrojone w toporne szable i okrągłe, najeżone kolcami tarcze. Masy goblinów kręciły się między szeregami. Z boku, kilku orczych jeźdźców sadowiło się na wielkie dziki bojowe. Ich pochrząkiwania i kwiki dało się słyszeć w całej dolinie. Na szczycie wzgórza ustawiono dziwne urządzenie. Przypominało katapulty, których Felix używał jako chłopiec, tylko, że te były dość duże, by wyrzucać głązy zamiast małych kamyków. Z tyłu stało kilkanaście dziwnie odzianych goblinów, noszących szpiczaste hełmy zakończone kolcem i łopoczących dziwnymi nietoperzowymi skrzydłami przyłączonymi do ich ramion. Pajęczy jeźdźcy zbierali się na stokach wzgórza. Na grzbiecie jednego ze stworów usadowił się najprawdopodobniej szaman. Wymachiwał w powietrzu kijem zakończonym czaszką i wykrzykiwał zachęty dla swoich oddziałów. Felix oceniał, że armia zielonoskórych musi liczyć prawie tysiąc wojowników. Cieszył się, że zabójcy nie popędzili po prostu na ich spotkanie. Na dole było zbyt wiele zielonoskórych, by mogli ich pokonać.

Po drugiej stronie doliny czekały setki uzbrojonych ludzi. Były wśród nich szeregi halabardników i liczne rzędy kuszników. Kilku dowódców dosiadało koni. Byli tam dzicy górale noszący masywne dwuręczne miecze. Żaden z ludzi nie był dobrze opancerzony, ale byli o wiele lepiej zdyscyplinowani niż orki. Nawet przytłoczeni liczebnością przeciwnika mieli jakąś szansę. Zwłaszcza, jeśli utrzymają wyższe położenie, jak zauważył Felix i pozwolą zielonoskórym wspinać się do nich.

Felix zrozumiał, że to musi być bandycka armia Henrika Richtera. Co ich tu sprowadziło? Jaki dziwny traf sprawił, że te dwie armie spotkały się przed smoczą jamą?

Usłyszał westchnięcie Ulriki.

– Spójrz tam! Na prawo od ludzkiej armii – szepnęła. Felix instynktownie wiedział, czego się spodziewać. Rozpoznał postać Johana Gatza, minstrela. Felix przekonał się, że jego podejrzenia były usprawiedliwione. Ten człowiek był szpiegiem bandytów. Musiał śledzić drużynę. Obie armie musiały to zrobić. Orki zapewne pragnęły zemsty za rzeź, którą rozpętali śmiałkowie. Ludzie prawdopodobnie przyszli sprawdzić, czy nie uda im się przejąć skarbu, jeśli grupa zabiła smoka.

Ale dlaczego teraz szykowali się do bitwy? I na co czekali?

Johan Gatz przeklinał. Wydarzenia nie szły zgodnie z planem. Henrik zebrał armię i sprowadził ją w to miejsce przez przełęcz w wysokich górach, zgodnie z jego prośbą. Zwiadowcy, którzy stale wypatrywali oznak poruszenia smoka niczego nie zobaczyli od czasu, gdy przyleciał z północy dobry tydzień wcześniej. Jeden ze świadków przybycia bestii twierdził nawet, że smok wyglądał na rannego. To zgadzało się z opowieścią, jaką usłyszał od krasnoludów. Ci sami ludzie tego ranka widzieli krasnoludy wchodzące do jaskiń – jak dotąd nie wyszły. Ciekawe, czy rzeczywiście udało im się zabić bestię? To wydawało się nieprawdopodobne. Ta dolina zaśmiecona była kośćmi tych, którzy tego próbowali, ale w tej grupie było coś, co zmuszało do uwierzenia, że mogą tego dokonać.

Albo byli najbardziej przekonującymi blagierami, o jakich słyszał Johan, albo byli wyjątkowi. Johan uważał siebie za dobrego sędziego charakterów, a oni go przekonali. Co więcej, imiona Gotreka Gurnissona i Felixa Jaegera nie były mu obce. Podczas swoich podróży słyszał opowieści o parze, której opis im odpowiadał, a jeśli nawet dziesiąta część owych opowieści była prawdziwa, tych osobników nie należało lekceważyć. Kilku chłopaków widziało także okręt powietrzny przelatujący nad dolinami, a zatem potwierdzało to opowieści o „Duchu Grungniego”. Wszystko razem oznaczało, że warto było zaryzykować sprowadzenie tu całego gangu, by obrabować ich ze

skarbu, jeśli faktycznie zabili Skjalandira. Henrik także uznał to za wartę ryzyka.

Nie wzięli jednak pod uwagę, że orki podejmą taki sam plan i także pojawią się tutaj. Cały pomysł polegał na zaczajeniu się i oczekiwaniu, czy krasnoludy wyjdą z pieczary. To poszło w diabły, gdy zauważono zielonoskórych. Trzeba było rozstawić oddziały na otwartym widoku. Między ludźmi i orkami było zbyt wiele złej krwi, by uczynić cokolwiek innego. Johan stwierdził, że to musiała być czysta głupota i pech.

Gdyby wiedzieli, że orki zamierzają to zrobić, pozwoliliby orkom zaatakować Zabójców, a potem napadliby zielonoskórych. Ale wszystko, co zyskali, to raporty o zielonoskórych śledzących zabójców w drodze do smoka, a czynili to w przypadku każdej karawany odkrytej w górach. Kto mógłby zgadnąć, że zbiorą całą swoją armię? Teraz wszyscy stali na widoku jak idioci, a żadna ze stron nie miała ochoty cofnąć się przed drugą. Johan zadrżał na myśl, co mogłoby się wydarzyć, jeśli krasnoludy nie zabiły smoka i bestia wyłoni się z jaskini. Pomyślał, że być może jednak w tym miejscu zgromadziło się wystarczająco wielu wojowników, by zabić bestię. Nawet, jeśli to było prawdą, straty będą zastraszające. Johan myślał o ucieczce, ale w tej chwili nie dało się wymknąć nie będąc zauważonym.

Zastanawiało go, co mogło tak bardzo podburzyć zielonoskórych?

Ugrek Ludodzierca spoglądał na znieawidzonych ludzi. Po raz setny rozważał wydanie swoim wojownikom rozkazu do ataku. Dobrze byłoby poczuć płynącą ludzką krew i ludzkie ciało ustępujące pod jego ostrzem. Dobrze byłoby łamać kości i miażdżyć czaszki. Dobrze byłoby zabijać. Potrzeba poddania się gwałtownej naturze była niemal niemożliwa do opanowania. Niemal.

Ugrek nie stał się szefem wszystkich orczych plemion w Wysokich Górach poddając się swoim impulsom. Jak na orcze standardy posiadał wiele cierpliwości i tyle sprytu, że niektórzy podejrzewali, że ma trochę goblinńskiej krwi. Gdyby jednak ktokolwiek wyraził podobne wątpliwości, Ugrek nie poprzestałby na warknięciu, lecz zabiłby i pożarł wszystkich, którzy mruknęli coś podobnego. Odsunął od siebie rozprasające myśli. Musiał myśleć. Zawsze istniała możliwość, że sny szamana były błędne, a krasnoludom nie uda się zabić bestii. Wiedział, że jeśli smok wyłoni się ze swojej jamy, zgromadzenie jego chłopaków i różowoskórych niczego nie pomoże. To uczyni ich łatwym posiłkiem dla potwora, a Ugrek nie miał zamiaru jeszcze długo stawać się niczym posiłkiem.

A jeśli szaman miał rację, wówczas krasnolud z wielkim toporem zaraz wyjdzie. Od czasu, gdy usłyszał opowieść Granda o rzezi, jaką rozpętał krasnolud swoją bronią, Ugrek wiedział, że musi należeć do niego. Z taką bronią i ze smoczym skarbem mógłby zebrać hordę, która przetoczy się przez ludzkie ziemie niczym lawina. Orki z całej krainy zebrałyby się, by iść za nim, zabijać i plądrować w jego imieniu.

Rozwścieczało go, że ci ludzie stanęli na drodze jego przeznaczenia. Drażniło go to tak bardzo, że był bliski wydania rozkazu ataku. Pomyślał, że to pech sprawił, że ludzie znaleźli się tutaj. Ich pech, a więcej mięsa dla orczych oddziałów. Zastanawiał się, jak smakuje smocze mięso. Domyślał się, że już wkrótce przekona się o tym. Jeśli sny szamana były prawdziwe.

W przeszłości, zawsze okazywało się, że miał rację. Dlaczego tym razem miałoby być inaczej?

– Co zrobimy? – spytał Felix. Jego opis sytuacji na zewnątrz nie został dobrze przyjęty. Zabójcy zamilkli. Max wyglądał na zamyślonego. Kislevczycy wyglądali na zaniepokojonych.

– Jeśli poczekamy tutaj, dojdzie do bitwy – rzekł Max. – Nie sądzę, by dało się tego uniknąć.

– Może wyślą zwiadowców, aby zbadali jaskinie – zasugerowała Ulrika. – To tylko kwestia

czasu, zanim jedna ze stron zbierze się na odwagę, by dokonać zwiadu.

– W każdym razie, nasz los jest przesądzony – rzeki Felix. – Nie sądzę, by istniała inna droga wyjścia, o ile nie poczekamy na bitwę i wówczas spróbujemy się wymknąć.

– Ja nie będę się wymykał, człeczyno – powiedział Gotrek.

– Jeśli będzie bitwa, Snorri chce wziąć w niej udział – dodał Snorri Gryzonos.

– Podejrzewam, że wasze życzenia spełnią się, – rzekł Felix.

– Każdy musi kiedyś umrzeć – stwierdził Ulli. Wydawało się, że od walki ze smokiem nabrał właściwej dla Zabójcy postawy pełnej brutalnego, głupiego uporu. Tak czy inaczej, Felix był zaszokowany.

– Miałem nadzieję umrzeć w dalekiej przyszłości we własnym łóżku – powiedział Felix.

– Ja też kiedyś chciałem umrzeć w łóżku. To były identyczne bliźniaczki – obwieścił Bjorni. – Myślałem, że nic nie może się z tym równać.

Pozostałe krasnoludy spojrzały na niego z odrazą.

– Jesteście po prostu zazdrośni – powiedział wreszcie.

– Starczy tego – rzucił Gotrek. – Czas na zakończenie.

Ruszył do otworu wejściowego jaskini i wzniosł swój topór nad głowę, trzymając trzonek oboma rękami.

– Zabiliśmy smoka! – krzyknął. – Jeśli chcecie jego skarb, musicie przejść po moim trupie.

Przez chwilę panowała tylko cisza. Potem nastąpił ryk wielu głosów. Chwilę później Gotrek uskoczył przed gradem strzał, które spadły w miejsce, gdzie stał. Felix zauważył, że niektóre z pocisków miały czarne lotki, a pozostałe białe. Był ciekaw, które wystrzelili ludzie, a które orki.

– Sądzę, że bycie nadzianym przez strzały to nie jest śmierć dla Zabójcy – powiedział Felix. Gotrek zerknął na niego.

– Wkrótce ujrzysz odpowiednią śmierć dla Zabójcy, człeczyno.

– Obawiam się, że masz rację – powiedział Felix i wy dobył swój miecz.

– A niech to diabli – mruknął Johan Gatz sadowiąc się na jednym z głazów rozrzuconych na zboczu wzgórza. Pojawienie się krasnoluda wywołało zamęt wśród orków. Przednie rzędy najwyraźniej nie zrozumiały ani słowa, z tego, co powiedział Gotrek, ale słusznie założyły, że ich zaprzysięgły wróg kpi sobie z nich. Nie byłyby orkami, gdyby pozwoliły na to. Najbliżsi łucznicy orków otworzyli ogień do Zabójcy. Pierwsza jednostka orków zaczęła wspinać się na wzgórze.

Najbardziej zaskoczyło Johana, że niektórzy z ludzi również wystrzelili. To było marnotrawstwo strzał. Podejrzewał, że chłopaki nie wytrzymują napięcia oczekiwania. Krzyk dobiegający z przednich oddziałów ludzi potwierdził te przypuszczenia. Grupa halabardników ruszyła naprzód, by uderzyć z flanki w orki biegnące ku jaskini.

To był kamyczek, który poruszył lawinę. Jeźdźcy dzików natarli prosto w najbliższy oddział ludzi. Kopyta tłukły luźną górską glebę. Wielkie bryły odchodów wypadały z zadów podnieconych stworów. Klan górskich ludzi nigdy nie składał się z najbardziej zdyscyplinowanych wojowników i pragnąc dowieść swojej odwagi, ruszyli w dół zbocza. Gdy to uczynili, jakiś odurzony narkotykami goblin używający łańcucha, by rozkręcić nad głową potężną żelazną kulę niemal dorównującą mu rozmiarami, wyrwał się z szeregów zielonoskórych i wbił się w górali. W niespełną minutę wszystko zmieniło się w chaos rąbiących, siekących i wyjących wojowników.

Johan Gatz patrzył na nich, postanawiając, że zniknie stąd, gdy tylko nadarzy się okazja.

Felix słyszał łomot broni uderzającej o broń, wrzaski ginących ludzi, gardłowe zaśpiewy orków,

okrzyki bojowe ludzi.

– Co się tam dzieje, w imię Sigmara? – spytał.

– Brzmi jak odgłosy bitwy – powiedział z sarkazmem Max.

– Zdumiewają mnie twoje zdolności obserwacyjne. – Felix podpełzł ostrożnie, by wyrzeć, pamiętając o strzałach, którymi wcześniej Gotrek niemal nie został nafaszerowany. Spojrzał w dół i zobaczył, że dolina zamieniła się w wir walki. W bitwie zderzyli się ludzie i orki. Większości ludzkich jednostek udało się powstrzymać od ataku i utrzymywali pozycje na miejscach powyżej bardziej licznych orków i goblinów. Felix widział szereg halabardników powstrzymujących szarżę gangu wielkich zielonoskórych wojowników. Obie strony doznały straszliwych strat. Ludzie ścigali uciekające orki i sami zostali zaatakowani z obu flanek przez bandę oszalałych goblinów wojowników. Ludzie zniknęli pod falą małych humanoidów mających połowę ich wzrostu.

Dziwny rezonujący dźwięk przykuł uwagę Felixa, który dostrzegł jednego z dziwnie odzianych goblinów gramolącego się na olbrzymią katapultę. Grupa spoconych pomocników naciągnęła linę, a potem nagle ją puściła. Goblin wyleciał w powietrze i zaczął spadać ku pozycjom ludzi. Machał swoimi ramionami wyposażonymi w niby-skrzydła, jakby wierzył, że jest w stanie kontrolować swój lot i lecąc wrzeszczał w ekstazie. Być może rzeczywiście udało mu się opanować kierunek lotu, bowiem spadł prosto na jednego z ludzkich dowódców przebijając go kolcem na swym hełmie. Felix pomyślał, że uderzenie musiało złamać kark goblina, który nie podniósł się po tej akcji. To był zdumiewający pokaz fanatyzmu albo głupoty, skoro oddał swoje życie w taki sposób.

Nagle uwagę Felixa przykuły pilniejsze sprawy. Jedna grupa orków wyrwała się z ogólnej zawieruchy i wspinała się na wzgórze w ich stronę. Felix podniósł się z kucek i wycofał do pieczary.

– Nadchodzą! – krzyknął.

Ugrek splunął na zwłoki swego przeciwnika. Skończyło się wyczekiwanie. Skończyła się cierpliwość. Skończyło się planowanie. Jeden krzyk tego przeklętego krasnoluda i te głupie bękarty Złamanego Nosa natarły niczym orcze chłopaczki podczas swojej pierwszej bitwy. Po zakończeniu bitwy rozbije kilka łbów i wyżre parę mózgów za to wszystko. Na wielkich zielonoskórych bogów, uczyni to! Rozejrzał się. Widoki nie były wcale takie złe. Pomyślał, że jego chłopaki powinni z łatwością rozpedzić tych ludzi. A potem zdobędzie topór i skarb smoka. Ostatecznie, to nie będzie taki zły dzień. Krzyknął do swoich ochroniarzy i skierował się przez pole bitwy w stronę wejścia do smoczej jamy.

Zamierzał wyrwać topór z zimnych rąk trupa kurdupla. A potem, zje jego palce.

Johan widział, że bitwa osiągnęła równowagę. Zielonoskórzy byli liczniejsi, a ich dziwna broń i taktyka zbierały żniwo. Ci oszalali od narkotyków fanatycy z kulami zostawiali za sobą ścieżkę czerwonej ruiny, aż padali z wycieńczenia lub zaplątywali się we własne łańcuchy. Lotnicy zabili wielu dzielnych jeźdźców. Zobaczył jednego z fanatyków, którego trzeba było dosłownie posiekać na strzępy, zanim przestał walczyć. Wydawało się, że zielonoskórzy nie odczuwają bólu, tak jak ludzie.

Z drugiej strony, ludzie zachowywali lepszą dyscyplinę. W większości, udało im się utrzymać szeregi i pozycję na podwyższeniu. Kusznicy zbierali śmiertelne żniwo wśród lekko opancerzonych orków i goblinów. Nawet kilka z tych strasznych wielkich pajaków padło pod nawałą pocisków. Johan żałował, że nie mają kilku dział, albo chociaż jednego z tych dział organowych. Albo oddziału ciężkiej kawalerii. Jedną szarżą przełamałoby szeregi orków. Johan stwierdził, że równie dobrze mógłby przybyć Sigmar ze oddziałem sprawiedliwych umarłych. Nie mieli żadnych rycerzy. Musieli po prostu wygrać z tym, *co* jest na miejscu.

Nie był pewien, czy to możliwe. Przynajmniej kilka orków próbowało dotrzeć do krasnoludów w jaskini. Wyglądało na to, że herszt orków, sam wielki Ugrek, usiłuje dostać się do nich. Johan stwierdził, że wołałby tam nie być, gdy przybędzie Ludodzierca. Za żadne skarby smoka.

Felix usiekł ostatniego orka. Oddychał ciężko, a krew mieszała się z wodą, która nasączyła jego ubranie. Część z tej krwi należała do niego. Rozejrzał się po wejściu do pieczary. Wszędzie wałały się martwe orki. Gotrek i Snorri wykonali jak zwykle swoją śmiertcioną robotę. Między nimi musiało paść co najmniej dziesięciu zielonoskórych. Pięciu leżało dymiąc jako wspomnienie po zabójczej magii Maxa Schreibera. Trzech kolejnych leżało ze strzałami wystającymi z ich piersi. Sam Felix naliczył trzech pokonanych. Domyślał się, że reszta zabiła około tuzina.

Sami doznali strat. Standa nie żył. Jego czaszkę rozbiła szabla orka. Bjorni odniósł paskudną ranę. Felix widział Maxa mruczącego jakieś zakłęcie uzdrawiające, które połączyło rozerwane ciało, a potem owinał ranę kawałkiem wyrwanym ze swojego płaszcza. Bjorni wyglądał blado jak trup. Stracił mnóstwo krwi. Ulrika i Oleg chodzili wśród ciał zbierając strzały, by uzupełnić swoje kołczany.

Felix oceniał, że zginęło około trzydziestu orków. To nie wystarczało. Na zewnątrz były kolejne setki zielonoskórych i prawie tylu zdesperowanych ludzi. Bez wątpienia wszyscy chcieli swój udział w smoczym skarbie. Może to było rozwiązanie. Może powinni zaproponować podział skarbu z ludźmi w zamian za ich wsparcie. Felix pomyślał, że to dobry pomysł. Teraz wystarczyło dotrzeć do przywódcy ludzi. A potem czekać za nieuniknioną zdradę, gdy przeżyją walkę.

Za nimi rozległy się kroki. Zobaczył Malakaia i Ulliego przybywających korytarzem. Inżynier był zgięty wpół. W jednej dłoni trzymał czarną bombę. Wysypywał z niej proch na ziemię. Felix wiedział, po co to robi. Iskra zapalił proch. Ścieżka prochu zadziałała jak lont. Lont zdetonuje materiały wybuchowe, które tam zostawili.

– Zrobine – rzekł Malakai. – Czarny proch jezd na mniejszu. Jeśli byndzie wyglundało na to, że orcy nas dorwom, podpałem tyn proch i bum, cały tunel spydnie. A potym zobaczymy, czy dostyną smoczy skarb z całom góróm skały na niem.

Felix wzdrygnął się. Miał nadzieję, że nie dojdzie do tego. Jeśli tak się stanie, to będzie oznaczało, że on i Ulrika zginą razem z całą resztą. To nie była miła myśl. Podeszedł do kobiety. Stwierdził, że nadszedł czas na rozmowę.

Ugrek powalił kolejnego człowieka, rąbnął pięścią jednego ze swoich ochroniarzy, który przypadkowo wpadł na niego i nadal wyrąbywał sobie drogę na wzgórze. Jego potężne ostrze ociekało krwią. Topór pokrywała posoka. Wyrzykiwał instrukcje i ponaglenia do swoich wojów, pewien, że wkrótce osiągnie zwycięstwo. Pokrzepiony obecnością chłopaków, walczył dalej ze zdwojoną furją, wycinając różowoskórych całymi tuzinami. Ugrek czuł zapach zwycięstwa.

Johan uchylił się za swoją skałą. Zabłąkana strzała była bliska zakończenia jego żywota i w tej chwili nie miał zamiaru wystawiać się na śmierć. Wyrzwał i ku swojemu zdumieniu zobaczył frunącego nad nim maleńkiego goblina. Jego ślepie lśniły w jakimś transie. Do ramion miał przypięte sztuczne nietoperzowe skrzydła. Na głowie tkwił hełm zakończony ostrym kolcem. Johan mógłby przysiąc, że latający goblin wykrzykiwał z radości.

To było szaleństwo. Orki były szalone, gobliny były szalone, jego towarzysze byli szaleni i on sam był szalony pozostając w tym miejscu, skoro mógł uciec. Niestety, ta scena była tak niesamowicie fascynująca.

Przed wejściem do jaskini zderzyły się dwa oddziały orków pragnących dostać się do ludzi. Teraz walczyli ze sobą z taką samą zażartą dzikością, z jaką chcieli dorwać swoich ludzkich przeciwników. Johan podejrzewał, że pochodzą z różnych plemion lub klanów. A może prawdą było to, o czym kiedyś słyszał. Gdy w orkach wzbierze żądza walki, zaczynają walczyć ze wszystkimi.

Na polu walki coś się zmieniło. Johan wyczuł falę mocy, która przebiegła nad polem bitewnym. Włosy stanęły mu dęba. Coś skierowało jego wzrok na goblinieckiego szamana, tak jak żelazne opiłki przyciągane przez magnes.

Płaszcz szamana łopotał, jak na wietrze. Jego pajak zaparł się tylnymi kończynami wznosząc dwie przednie nogi jakby w salucie. Żółty błysk płonął w goblinieckich ślepiach. Na końcu kija zamigotało wirujące zielone światło. Z jego końcówki odwijają się strumienie zielonkawej ektoplazmy. Gdy dotykały orka lub goblina, oczy dotkniętych rozjarzały się na czerwono, ich mięśnie napinały się jak wielkie liny, piana wybuchała z ich ust i ruszali do walki w szale berserkerów. W każdym miejscu, gdzie do tego dochodziło, bitwa zaczynała obracać się przeciw ludziom.

Johan pomyślał, że niesamowite moce czarownika mogą obrócić szalę zwycięstwa.

– Na polu bitwy uwolniono magię – powiedział Max. – Myślę, że szaman wezwał moc orczych bogów.

– Chciałbym, żeby bogowie wsparli nas – mruknął Felix, badając rozdarcie w swojej kolczudze i bolesną, czerwoną ranę w swoim boku, którą leczył czarodziej. Żółte światło przepłynęło z dłoni maga i w miejscu, gdzie dotknęło skóry, Felix czuł najpierw niesamowite gorąco, a potem odrętwiające zimno. Całą siłą woli powstrzymywał się od krzyku. Po chwili, chłód zniknął, a ból stawał się bardzo przytępiony. Spojrzał na ranę i zobaczył, że kawałek skóry oddartej ciosem orczej szabli znowu przywierał do ciała. Nadal pamiętał przeszywający ból i wyraz satysfakcji na pysku orka, który go trafił. Odwrócił się w ostatniej chwili, by sparować uderzenie. Jego własny cios pozbawił łba napastnika. Felix czuł pewnego rodzaju zadowolenie, wiedząc, że zabił brutala, który był pewien, że udało mu się zabić przeciwnika. A jednak Felix nie zginął, chociaż był to cud. Udało mu się walczyć dalej, aż do chwili odepchnięcia orków, gdy Max mógł go uzdrowić.

– Bogowie dali nam odwagę, by stać w miejscu, człeczyno, a także broń, by rąbać naszych wrogów. Czego jeszcze nam trzeba?

– Armia sigmaryckich rycerzy nie byłaby zła – rzekł Felix. – Wolę, by boska pomoc dla mnie przybierała bardziej namacalne formy.

Gotrek warknął tylko i skupił swoją uwagę na wejściu do jaskini. Snorri stał na jej brzegu gapiąc się w dół.

– Zbliży się dobra walka – powiedział. – Jakieś duże orki i szaman na pajaku. Pajak jest Snorriego.

– Możesz go mieć – rzekł Gotrek. – Wódz jest mój.

Bjorni potrząsnął głową.

– Kiedyś słyszałem, że pajęczyce zjadają swoich partnerów podczas kopulacji. Spotkałem kilka kobiet, które też tak czyniły.

– Czy nigdy nie myślisz o czymś innym? – spytał Ulli.

– Tylko kiedy walczę – rzekł Bjorni. – A czasami nawet wtedy.

Max zakończył swoje zaklęcie. Felix podziękował mu i wstał.

– Za kilka godzin poczujesz prawdziwy ból, ale do tego czasu zaklęcie powinno się utrzymać. Jednak, nie powinienes być zbyt zajęty walką. Chyba, że...

Felix domyślał się, o czym myśli Max. Chyba, że orki wedrą się do środka i Felix będzie musiał

walczyć tak, czy inaczej. Za kilka godzin to nie będzie miało znaczenia, bowiem i tak będą martwi. Ostatnia fala napastników pozostawiła Olega umierającego powoli od rany brzucha, której nie mogła wyleczyć nawet magia Maxa. Felix pomyślał, że niewiele brakowało, by to on był na miejscu umierającego. Gdyby cios orka był odrobinę silniejszy. Gdyby jego kolczuga nie osłabiła wystarczająco uderzenia.

Komorę wypełniły jęki i modlitwy mężczyzny, które działały na nerwy Felixa jak trucizna. Pomyślał, że zabicie go byłoby dla niego miłosierdziem, a uciszenie rannego byłoby błogosławieństwem dla reszty.

Zadrzał. Stawał się równie zły, jak Gotrek i pozostałe krasnoludy. Jeszcze gorszy. Żaden z nich nie zaproponowałby czegoś podobnego.

Z bólem podszedł do Ulriki, które siedziała obok umierającego trzymając go za dłoń. Zauważył, że oboje milczeli. Skóra mężczyzny była blada jak wosk. Jego wąsy opadły. Odrobina krwi lśniła w kąciku ust.

– Czy mogę cokolwiek zrobić? – spytał Felix.

– Nic – powiedziała cicho. – Umarł kilka chwil temu.

Felix nagle poczuł się przerażająco winny.

Ugrek prowadził chłopaków na wzgórze. Usiekł kilku Złamanych Nosów, którzy weszli mu w drogę, dając im nauczkę, by nie robili tego więcej i zatrzymał się dwadzieścia kroków przed wejściem do jaskini. Obrócił się przez chwilę, by spojrzeć w tył i zobaczył z satysfakcją, że jego chłopaki byli bliscy wygrania bitwy. Magia szamana pomogła. Przepelnieni duchem bogów, jego wojownicy walczyli jak opętani. Ugrek podejrzewał, że w pewien sposób właśnie tak jest w istocie.

Pająk przewiózł swojego mistycznego jeźdźca przez całą drogę do Ugreka. Nikt mu nie przeszkodził. Stwór spojrział na Ugreka paciorkowatymi ślepiami, w których tkwiła złowieszcza inteligencja, a herszt zastanawiał się, czy to prawda, że w pająku tkwił zaklęty duch jego poprzedniego szamańskiego pana. To zresztą nie miało znaczenia. Jeśli w jakikolwiek sposób zawiedzie Ugreka, umrze jak wszyscy inni. Szaman bełkotał i wskazywał na coś z podnieceniem. Ugrek spojrział w tę stronę.

Wydawało mu się, że w oddali dostrzega zbliżający się punkt. Sądząc po jego rozmiarach, można było pomyśleć, że to smok, ale krasnoludy podobno go zabiły. Takie kłamstwo bardzo pasowało do kurdupli, którzy mogli wypuścić smoka innym wyjściem. Ugrek stwierdził, że w tej chwili było zbyt późno na przejmowanie się tym.

– Dobra, chłopaki! – ryknął. – Do jaskini. Zabić kurdupli. Złapać skarb. Zostawić topór dla mnie! Wyjaśniwszy swój plan, natychmiast wprowadził go w życie.

Felix obserwował niepowstrzymaną falę zielonoskórych wzbierającą na szczyt wzgórza i wiedział, że zaraz umrze. To były największe, najdziksze orki, jakie kiedykolwiek widział, a przy swoim wodzu wyglądali na słabych i łagodnych. Szef był wielki, dwukrotnie większy od zwykłego orka. W jednej ręce trzymał tasak, a w drugiej topór. Jego płaszcz z ludzkiej skóry łopotał za nim. Kły ociekały śliną. Głos orka dudnił ponad zgiełkiem bitwy. Felix zauważył, że ork spogląda na coś i popatrzył w tę stronę.

Usłyszał westchnięcie Ulriki za nim.

– Wygląda na to, że możemy zostać ocaleni.

– *Aye*, jeśli damy radę tyle wytrzymać – powiedział gorzko.

– Kto powiedział coś o wytrzymywaniu? – zapytał Gotrek. – Szarżujmy, powiadam!

– Snorri zgadza się – rzekł Snorri Gryzonos. – Snorri zamierza zabić tego pająka.

Zabójcy pomknęli w dół wzgórza na spotkanie zdumionych orków. Nastąpił potężny łoskot, gdy zderzyła się broń i rozpoczęło się gwałtowne i dzikie zabijanie.

Johan zauważył padający na niego cień i podniósł wzrok. Zastanawiał się, czy to kolejna magiczna sztuczka goblinów, widząc wielki kształt wypełniający niebo nad nim. Nie. To nie wyglądało na robotę zielonoskórych, chociaż z pewnością pojawiła się tam potężna magia. Prawdę mówiąc, bardziej przypominało to dzieło krasnoludów. Na boku obiektu dostrzegał runy, a poniżej łopotały sztandary Króla Zabójców.

Johan zrozumiał, że to musi być okręt powietrzny, o którym opowiadali mu Zabójcy. Istotnie, wywoływał duże wrażenie. Johan zobaczył, jak w środek bitwy zaczęły spadać czarne bomby. Eksplozje rozrywały szeregi zielonoskórych i ludzi, bez różnicy. Sądząc po torze lotu pocisków, krasnoludy starały się celować w orki i gobliny, ale niezbyt dokładnie. To zresztą nie było możliwe. Obie strony były zbyt przemieszane uniemożliwiając jakikolwiek precyzyjny ostrzał.

Ryk oznajmił wejście do bitwy innej broni krasnoludów. Na wieżyczkach pod gondolą ożyły działka obrotowe. Szrapnele z łatwością rozdzierały ludzi i goblinów. Johan uznał, że napatrzył się wystarczająco. Czas było odejść. Może uda mu się zdobyć konia...

Odgłos eksplozji i ryk dział obrotowych powiedziały Felixowi, że „Duch Grungniego” wykonywał swoją krwawą robotę. Najwyraźniej jego modlitwy doczekały się odpowiedzi. Krasnoludom musiało udać się dokończenie napraw statku powietrznego i wyruszyły na ich poszukiwanie. Sądząc po nowym uzbrojeniu błyszczącym po bokach, były przygotowane nawet na walkę ze smokiem. Felix zrozumiał, że nawet gdyby tutaj poległ, zostałby pomszczony.

Pobliskie krzyki przykuły jego uwagę z powrotem do walki. Widział, jak Gotrek przebija się przez ochroniarza Ugreka Ludodziery. Krasnolud zabijał wroga za każdym ciosem. Snorri stał tuż obok niego. Zgodnie ze swoim zapewnieniem, próbował dostać się do pająka i jego jeźdźca. Felix chciał popędzić na dół i pomóc im, ale był zmęczony, a ból jego rany uniemożliwiał mu prowadzenie walki. Nie. Zostanie tutaj i zapamięta śmierć Gotreka, jeśli do niej dojdzie, mając nadzieję, że statek powietrzny przybędzie na czas.

Snorri dotarł już do pająka. Stwór rzucił się na niego. Jego wielkie zuchwy ociekały trucizną. Snorri uniknął ukąszenia, przetoczył się pod brzuchem potwora i rąbnął w górę. Felix usłyszał nikczemny wrzask pająka i widział, jak zapada się w połowie. Snorri wytoczył się z tyłu i uderzył w jeźdźca, ale szaman zeskoczył z siedziska unikając trafienia i uciekł. Felix pomyślał, że szaman bez względu na swoją moc nie miał dość silnych nerwów, by zmierzyć się z Zabójcą.

Ulrika napinała swój łuk i strzelała, a potem jeszcze raz i jeszcze. Po każdym strzale padał ork. Śmierć jej ochroniarzy najwyraźniej wyzwoliła w niej spokojną, cichą furię zabijania. Malakai stał obok niej z raketową tubą na ramieniu. Wycelował dokładnie i pociągnął cyngiel. Z tyłu tuby posypały się iskry i śmignęła naprzód rakietka wdzierając się w szeregi orków. Zabiła ich pół tuzina. Malakai odrzucił broń.

– Ostatnia rakietka – wyjaśnił, odpinając swoje przenośne działko obrotowe i zaczynając rozpylać pociski. Bjorni i Ulli ramię w ramię walczyli z wielkimi orkami. Skutecznie wykorzystywali rozmiary swoich przeciwników, przebiegając między ich nogami, przeciskając się przez tłum ciał, rąbiąc i tnąc po drodze. Felix poczuł się bezużyteczny i żałował, że nie może się przyłączyć.

A potem zauważył, że Gotrek przebił się do wodza orków.

Ugrek zobaczył krasnoluda z toporem. Dobrze. To zaoszczędzi mu łowów na karzelka, by go zabić. Ryknął wyzwanie i spojrzął na krasnoluda. Ku jego zaskoczeniu, Zabójca nie cofnął się, co było niezwykle. Ugrek nigdy nie spotkał niczego na dwóch nogach, co nie cofało się na widok jego potężnej postaci. To go odrobinę zaniepokoiło. A jednak, nie miało to znaczenia. Przekraczał krasnoluda dwukrotnie wzrostem i trzykrotnie wagą. Był najtwardszym orkiem, jaki kiedykolwiek żył. Zamierzał zabić tego kurdupła.

Rąbnął swoim tasakiem. Dziwne, ale krasnoluda już tam nie było. To także było niezwykle. Ugrek wiedział, że jest szybki jak na orka. Nikomu jeszcze nie udało się dorównać jego niesamowitej szybkości. Krasnolud oddał cios. To także było dobre. Ugrek lubił, gdy jego jedzenie podejmowało walkę. Dzięki temu stawało się bardziej interesujące.

Zamigotały iskry, gdy ich broń spotkała się. Moc ciosu Zabójcy zdjęła zasłonę Ugreka. Siła uderzenia odepchnęła go w tył. Krasnolud był silny. To także było dobre. Ugrek zyska trochę tej siły, gdy pożre jego serce. Rąbnął swoim toporem. Krasnolud uniknął trafienia schylając się i skierował kontruderzenie w nogi Ugreka. Ugrek przeskoczył uderzającą broń i natychmiast opuścił obie swoje bronie na raz, wiedząc, że krasnolud w żaden sposób nie uniknie obu.

Krasnolud nawet tego nie próbował. Zamiast tego użył swojego topora oburącz i przyjął oba ciosy na trzon swojej broni. Siła uderzenia powaliła go na kolana. Przetoczył się w tył, z łatwością podrywając się na nogi. Ugrek cieszył się walką. Już teraz krasnolud wytrzymał dłużej niż jakikolwiek inny przeciwnik, z którym kiedykolwiek mierzył się Ugrek i wcale nie miał zamiaru uciekać od walki. Ugrek zawsze uważał, że orka można poznać po sile jego przeciwników, a kiedy pokona tego Zabójcę, wszystkie orki zobaczą, że Ugrek zaiste jest potężny. Ta myśl dawała mu wiele satysfakcji.

Krasnolud ruszył na niego ze zjeżoną brodą i szalonym światłem w oczach. Obrzucił Ugreka gradem ciosów, a każdy z nich był szybszy i silniejszy od poprzedniego. Do rozpaczliwie parującego ciosy Ugreka powoli dotarło, że krasnolud wcześniej nie dawał z siebie zbyt wiele. Fakt, że Ugrek powalił go na kolana zmusił go do podjęcia wzmoczonego wysiłku. Ugrek musiał przyznać, że Zabójca był niemal równie silny, jak on. To było jeszcze lepsze. Ugrek z większą niecierpliwością czekał na zjedzenie jego serca.

Trochę bolały go ramiona od parowania ciosów krasnoluda. Zdawało mu się, że ma rozciętą rękę. To było niezwykle. Nigdy nie spotkał przeciwnika, któremu udałoby się coś podobnego. Zabójca skierował w niego kolejny cios i Ugrek podniósł swój tasak, by sparować uderzenie. W ostatniej chwili zdał sobie sprawę, że tasaka nie ma na miejscu. Faktycznie, dłoni też nie było. Ból pochodził od nadgarstka, od którego oddzielono dłoń. Na bogów, ten topór był ostry. Ugrek pomyślał, że musi go mieć.

To była ostatnia myśl, jaka przebiegła przez jego mózg, zanim opadł topór sprowadzając ze sobą wieczną ciemność.

Felix przyglądał się Gotrekowi wygrywającemu walkę z wodzem orków. Ochroniarze najwyraźniej byli spanikowani. Ich morale było już podminowane ucieczką szamana, zniszczeniem rozpętanych przez krasnoludy i wrzaskami kamratów za nimi. Kilku odwróciło się i dostrzegło statek powietrzny. To była kropla, która przepełniła czarę. Musieli pomyśleć, że to krasnoludscy bogowie przybyli, by ich ukarać. Jeden po drugim odwracali się i zaczęli uciekać. Felix spojrzął w dół i przekonał się, że bitwa zamieniła się w bezładną szamotaninę. Orki, gobliny i ludzie przemierzali się kompletnie. Przestali walczyć i uciekali z doliny w każdą stronę. Bezlitosne żniwo śmierci zadanej przez „Ducha Grungniego” było dla nich zbyt duże.

– Myślę, że możemy to przetrwać – powiedział Felix do Ulriki, a potem zdumiał się widząc przerażenie na jej twarzy. Odwrócił się, by zobaczyć, na co wskazuje. Strumień ognia już ginał w głębiach góry. Obok leżała raketowa tuba Malakaia. Felix natychmiast zrozumiał, co się stało. Iskra z broni podpaliła proch zapalnika.

Felix myślał, czy uda się pobiec na dół i zgasić lont. Wiedział, że nie dokona tego będąc rannym. Nie miał zamiaru prosić Maxa, ani Ulriki, by próbowali czegoś podobnego. Uderzyła go inna myśl. Nie miał pojęcia, jak silne są ukryte tam materiały wybuchowe i jakie mogą być konsekwencje eksplozji.

– Lepiej wynośmy się stąd – powiedział i spróbował ruszyć naprzód, by odkryć, że jego nogi nie działają prawidłowo. Upadł na twarz. Rany musiały być gorsze, niż przypuszczał.

– Biegnijcie! – krzyknął. – Ratujcie się!

Poczuł, że Ulrika i Max podnoszą go i ciągną w dół zbocza ku krasnoludom.

– Szykujcie się – usłyszał głos Maxa. – Tunele zaraz wybuchną!

Krasnoludy jak jeden rzuciły się na ziemię. Felix poczuł wstrząs ziemi. Nastąpiło potężne uderzenie ognia i gorąca za nim oraz odgłos walących się skał i uderzających o siebie kamieni.

– No i po skarbie dla króla – usłyszał mamrotanie Ulliego, a potem powietrze wypełniło krasnoludzkie złorzeczenie.

EPILOG

Felix otworzył oczy i ujrzał stalowy sufit „Ducha Grungniego”. Borek i Ulrika nachylali się nad nim. Po drzeniu kajuty poznawał, że okręt powietrzny był w ruchu.

– A zatem, żyję – rzekł.

– Ledwo – powiedział Borek. Zmarszczki na jego sędziwej twarzy wygięły się życzliwie w uśmiechu. – W twoich ranach pojawiło się zakażenie. Jestem zdumiony, że w ogóle przeżyłeś, po tych wszystkich przygodach, o których opowiedziała mi Ulrika. Nie każdemu człowiekowi udało się zabić smoka i przeżyć.

Felix czuł zakłopotanie w połączeniu z przyjemnością.

– Cieszę się, że cię widzę. Zdaje się, że udało ci się naprawić statek powietrzny.

– Malakai pozostawił bardzo dokładne instrukcje.

– Czy wszystko z nim w porządku?

– Z nim i z pozostałymi. Chociaż wszyscy są rozżaleni z powodu skarbu.

– A zatem, jest stracony?

– Dla krasnoludów nic co pogrzebane pod ziemią nie jest stracone – rzekł Borek. – Całe lata zajmie usunięcie tych wszystkich skal, ale w końcu znajdziemy to.

Felix zamilkł na chwilę, myśląc o ciałach Stega i Grimmeo. Otrzymali wspanialszy pogrzeb niż mogli zapewnić im to żywi. To była niepokojąca myśl, bowiem wszyscy mogli zostać pochowani wraz z nimi. Felix wyciągnął rękę i ujął dłoń Ulriki.

– Nie martw się – powiedziała. – Max zapewnia, że staniesz na nogi zanim dotrzemy do naszego celu.

– Dokąd zmierzamy? – zapytał Felix, obawiając się, że wie już, co jest ich przeznaczeniem.

– Do Praag – odpowiedziała krótko. Felix zdrzął wiedząc, że wkrótce dotrze tam także największa armia Chaosu, jaka zebrała się od dwóch stuleci.